

Z JAWA

OPOWIEŚĆ
O ZEMŚCIE

MICHAEL PUNKE

„JEDNA Z NAJWSPANIALSZYCH XIX-WIECZNYCH OPOWIEŚCI
Z DZIKIEGO ZACHODU” – THE SALT LAKE TRIBUNE



M I C H A E L P U N K E

Z J A W A

Z języka angielskiego przełożył
Przemysław Hejmej



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:
THE REVENANT

Copyright © 2002 by Michael Punke
Copyright © 2014 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2014 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki:
Mariusz Banachowicz

Redakcja:
Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta:
Agata Szczyrba, Iwona Wyrwisz

ISBN 978-83-7999-133-4

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
<http://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga>

Dla moich Rodziców, Marylin i Butcha Punke

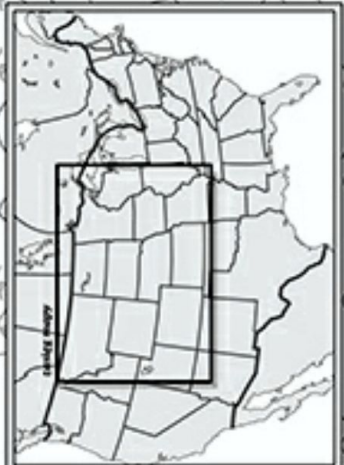
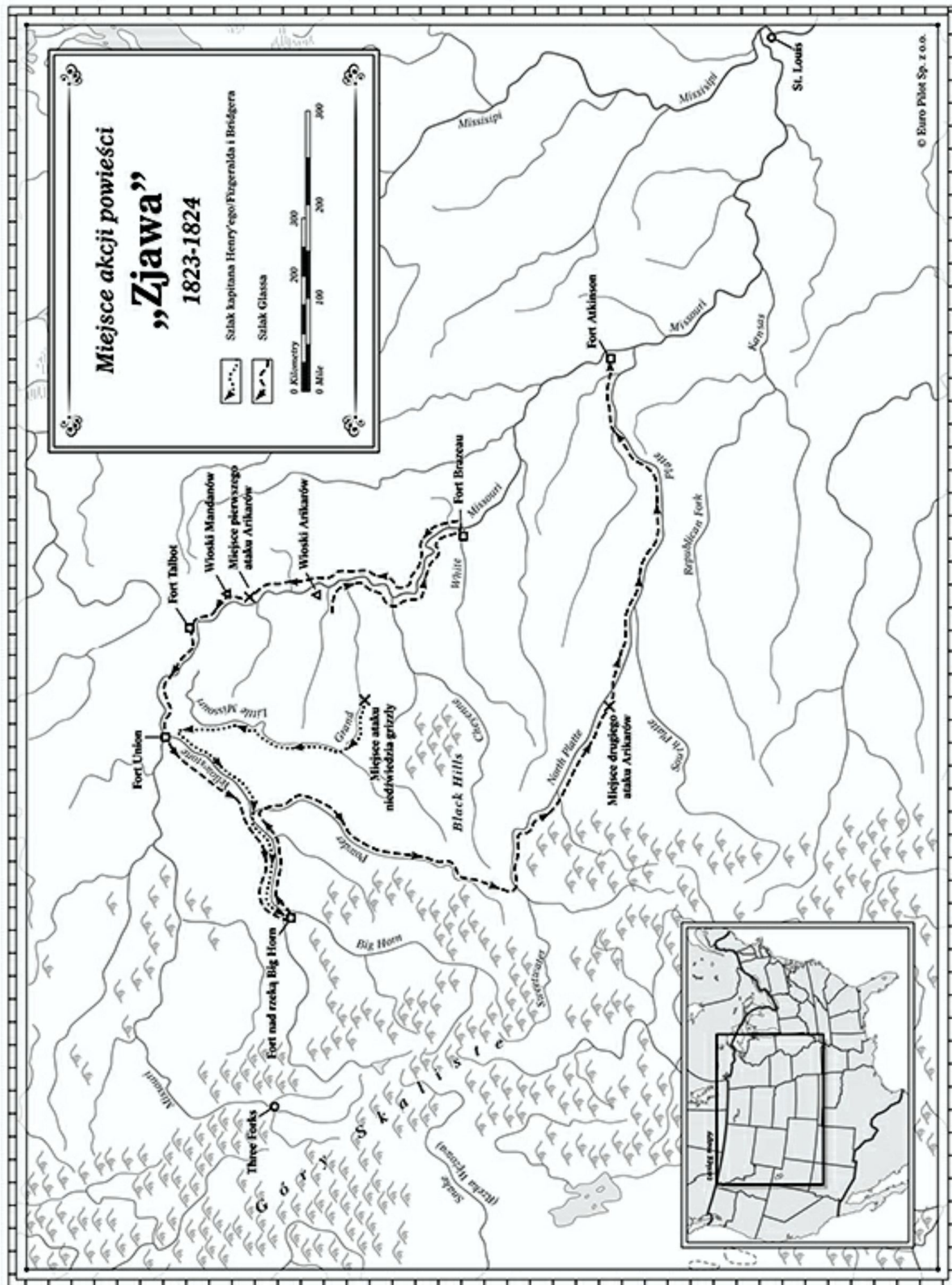
Nie wymierzajcie sami sobie sprawiedliwości,
lecz pozostawcie to pomście Bożej!
Napisano bowiem: Do Mnie należy pomsta.
Ja wymierzę zapłatę – mówi Pan.

Rz 12, 19–20.

Miejsce akcji powieści „Zjawa” 1823-1824

Szlak kapitana Henry'ego Fergalda i Bridgera

Szlak Glassa



1 września 1823 roku

Zamierzali go zostawić swemu losowi. Ranny mężczyzna zrozumiał to od razu, gdy tylko popatrzył na chłopca, który wbił oczy w ziemię, a następnie odwrócił wzrok, nie wytrzymując jego spojrzenia.

Od wielu dni chłopak toczył spór z człowiekiem w czapce z wilczej skóry. Czy naprawdę od wielu dni? Ranny cały czas walczył z gorączką i bólem, nie mógł więc mieć pewności, czy słyszane przezeń rozmowy są rzeczywiste, czy może stanowią jedynie wytwór majaczeń jego umysłu.

Spojrzał w górę, na strzelistą skalną formację wznoszącą się nad polaną. Dziwnym sposobem na nagiej kamiennej stromiźnie zdołała wyrosnąć samotna, krzywa sosna. Wcześniej wiele razy przyglądał się drzewu, nigdy jednak nie dostrzegł w nim tego, co widział w tej chwili – jego sylwetka tworzyła wyraźny kształt krzyża. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że może umrzeć tutaj, na tej polance nieopodal źródła.

Ranny mężczyzna czuł się dziwnie oderwany od sytuacji, w której odgrywał główną rolę. Przez krótką chwilę zastanawiał się, co zrobiłby na miejscu tamtych. Gdyby tu zostali, a oddział wojowników kierujący się w górę rzeki znalazłby polankę, wszyscy by zginęli. „Czy ja poświęciłbym życie, aby ich ratować... skoro i tak ich los byłby przesądzony?”

– Jesteś pewny, że zbliżają się do strumienia? – spytał chłopiec łamiącym się głosem. Na ogół udawało mu się mówić tenorem, jednak w chwilach, gdy nie panował nad sobą, wpadał w wysokie tony.

Przy ognisku człowiek w czapce z wilczej skóry pochylał się nad kratką do suszenia mięsa, pośpiesznie wpychając paski niedosuszonej dziczyzny do indiańskiej sakwy.

– Chcesz zostać i się przekonać?

Ranny starał się coś powiedzieć. Ponownie poczuł przeszywający ból w gardle. Wydał z siebie jakiś dźwięk, ale nie mógł wyartykułować żadnego zrozumiałego wyrazu.

Mężczyzna w czapce z wilczej skóry zignorował go i dalej zbierał skromne zapasy, chłopak jednak się odwrócił.

– On próbuje coś powiedzieć.

Uklęknął na jedno kolano tuż przy rannym. Nie mogąc mówić, mężczyzna podniósł jedyne sprawne ramię i na coś wskazał.

– Chce, żeby podać mu jego strzelbę – powiedział chłopak. – Żebyśmy go

posadzili i dali mu strzelbę.

Mężczyzna w czapce z wilczej skóry przebył dzielącą ich przestrzeń szybkimi, miarowymi krokami. Mocno kopnął chłopca w plecy.

– Ruszaj się, do cholery!

Przeszedł do rannego, który leżał obok swego skromnego dobytku ułożonego w stos: należały do niego torba myśliwska, nóż w ozdobionej paciorkami pochwie, toporek, strzelba i róg na proch strzelniczy. Ranny mężczyzna przyglądał się bezradnie, jak człowiek w czapce z wilczej skóry pochyła się i podnosi jego torbę myśliwską. Wygrzebawszy z wnętrza draskę i krzesiwo, wrzucił je do kieszeni na przodzie skórzanej bluzy. Następnie pochwyił prochownicę i przerzucił ją sobie przez ramię. Toporek zatknął za szeroki skórzany pas.

– Co robisz? – zapytał chłopak.

Mężczyzna znów się schylił, podniósł nóż i rzucił go chłopcu.

– Weź to.

Chłopiec złapał przedmiot, z przerażeniem patrząc na zdobioną paciorkami pochwę w swojej ręce. Pozostała już tylko strzelba. Człowiek w czapce z wilczej skóry szybko sprawdził, czy jest naładowana.

– Wybacz, stary Glassie. I tak żadna z tych rzeczy na nic ci się nie przyda.

Chłopiec wyglądał na zszokowanego.

– Nie możemy zostawić go tutaj bez niczego.

Człowiek w czapce z wilczej skóry omiótł go spojrzeniem, a potem zniknął w lesie.

Ranny wpatrywał się w chłopca, który stał przez dłuższą chwilę nieruchomo, trzymając w ręku nóż – jego nóż. Wreszcie chłopak uniósł głowę. Początkowo jakby chciał coś powiedzieć, lecz tylko okręcił się na pięcie i uciekł pomiędzy sosny.

Ranny mężczyzna obserwował prześwit między drzewami, w którym zniknęli tamci. Miotał nim gniew, pochłaniał go niczym ogień igliwie sosny. Niczego na świecie nie pragnął teraz bardziej, niż chwycić ich obu za gardła i zadusić na śmierć.

Zaczął instynktownie krzyczeć, znów zapominając, że nie jest w stanie wydobyć z siebie żadnych słów, że czeka go tylko cierpienie. Podniósł się na lewym łokciu. Lekko zgiął prawe ramię, ale było zbyt słabe, by się na nim oprzeć. Ruch sprawił, że jego szyję i plecy przeszył ostry ból. Poczł napięcie skóry pod prymitywnymi szwami. Spojrzał w dół na nogę, mocno obwiązaną zakrwawionymi strzępami starej koszuli. Nie mógł napiąć mięśni uda i zmusić nogi do funkcjonowania.

Zebrawszy wszystkie siły, przewrócił się ciężko na brzuch. Czuł, jak jeden ze szwów pęka, a świeża krew zalewa mu plecy. Ból był jednak niczym w porównaniu z napływem kolejnej fali gniewu.

Hugh Glass zaczął się czołgać.

CZEŚĆ I

Rozdział 1

21 sierpnia 1823 roku

– Moja łódź z St. Louis spodziewana jest w każdej chwili, monsieur Ashley – powtórzył tęgi Francuz cierpliwym, lecz jednocześnie natarczywym tonem. – Chętnie sprzedam Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych cały jej ładunek, nie mogę jednak sprzedać czegoś, czego nie mam.

William H. Ashley stuknął cynowym kubkiem o nieheblowane deski stołu. Starannie przystrzyżona siwa broda nie była w stanie ukryć silnie zaciśniętych szczęk. A w jego przypadku zaciśnięte szczęki mogły oznaczać kolejny wybuch, gdyż Ashley znów musiał stawić czoło czemuś, czego nie cierpiał ponad wszystko – czekaniu.

Francuz, o niewiarygodnym imieniu i nazwisku Kiowa Brazeau, przyglądał się Ashleyowi z rosnącym zaniepokojeniem. Jego obecność w tej odciętej od świata faktorii oznaczała rzadką szansę, a Kiowa wiedział, że sensowne wykorzystanie owej znajomości może położyć podwaliny pod jego nowe przedsięwzięcie. Ashley był ważną postacią świata biznesu i polityki w St. Louis, miał wizję rozwoju handlu na Zachodzie, a jednocześnie dysponował pieniędzmi, by tę wizję zrealizować. Pieniędzmi innych ludzi, jak sam mówił. Płochliwymi pieniędzmi. Nerwowymi pieniędzmi. Pieniędzmi, które łatwo przepływają od jednego spekulanta do drugiego.

Kiowa zmrużył oczy za grubymi szklami okularów; choć widział dość słabo, umiał czytać w ludziach.

– Jeśli okaże mi pan trochę pobłażliwości, monsieur Ashley, będę mógł panu zaproponować pewne pocieszenie podczas oczekiwania na moją łódź.

Ashley nie wydał z siebie żadnego słowa aprobaty, lecz także nie kontynuował tyrady.

– Muszę zamówić kolejne towary z St. Louis – rzekł Kiowa. – Jutro wyślę kuriera w dół rzeki, w kanu. Może przekazać pańską wiadomość dla syndykatu. Zdąży ich pan uspokoić, zanim usłyszą wszystkie plotki o klęsce pułkownika Leavenwortha.

Ashley westchnął ciężko i pociągnął solidny łyk kwaśnego piwa, rezygnując – z

braku alternatywy – z dalszej rozmowy na temat ostatniego opóźnienia. Czy mu się to podoba czy nie, rada Francuza jest rozsądna. Musi uspokoić inwestorów, nim wieści o bitwie zaczną krążyć po ulicach St. Louis.

Kiowa wyczuł jego otwartość na propozycję i kuł żelazo, póki gorące. Francuz wydobył gęsie pióro, atrament oraz pergamin, położył to wszystko przed Ashleyem i ponownie napełnił jego kubek piwem.

– Zostawię pana samego z jego obowiązkami, monsieur – powiedział, zadowolony z nadarzającej się okazji do wycofania się.

Przy słabym świetle łojowej świecy Ashley pisał aż do późnej nocy:

*Fort Brazeau
nad rzeką Missouri
21 sierpnia 1823 roku*

*Wielmożny James D. Pickens
Pickens i Synowie
St. Louis*

Szanowny Panie Pickens,

Przypadł mi w udziale przykry obowiązek poinformowania Pana o wydarzeniach, które miały miejsce w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Charakter owych wydarzeń sprawia, że nasze przedsięwzięcie nad Górną Missouri musi ulec pewnym zmianom, jakkolwiek nie zostanie zaniechane.

Jak Pan zapewne już wie, ludzie Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych zostali zaatakowani przez Indian Arikara po tym, jak w dobrej wierze kupili od nich sześćdziesiąt koni. Arikara zaatakowali niczym niesprowokowani, zabijając szesnastu naszych, raniąc tuzin i kradnąc konie, które – zamierzywszy oszustwo – sprzedali nam dzień wcześniej.

Wobec wspomnianej napaści zmuszony byłem wycofać się w dół rzeki, prosząc jednocześnie o pomoc pułkownika Leavenwortha oraz Armię Amerykańską, by zareagowała na ów jawny przejaw naruszenia suwerennych praw obywateli Stanów Zjednoczonych do swobodnego przekraczania Missouri. Poprosiłem również o wsparcie tych spośród naszych pracowników, którzy nie zostawili mnie samemu sobie i mimo wielkiego ryzyka przybyli tutaj z placówki w St. Union (pod przywództwem kapitana Andrew Henry'ego).

Do dnia 9 sierpnia mogliśmy już stawić czoło Arikarom, dysponując łącznie siłą 700 ludzi, w tym 200 żołnierzami regularnej armii pod dowództwem

Leavenwortha (i dwiema haubicami) oraz 40 pracownikami Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych. Pozyskaliśmy ponadto kolejnych sprzymierzeńców (choć tylko tymczasowo) w postaci 400 wojowników z plemienia Siuksów, których wrogi stosunek do Arikarów ma jakieś podłoże historyczne, niezbyt dobrze mi znane.

Dość powiedzieć, że owe połączone siły byłyby więcej niż wystarczające do zaprowadzenia porządku, ukarania Arikarów za ich zdradę oraz ponownego otwarcia szlaku Missouri dla naszych celów. Że tak się nie stało, należy przypisać wyłącznie chwiejnemu charakterowi pułkownika Leavenwortha.

Szczegóły tego niesławnego spotkania mogą poczekać do mojego powrotu do St. Louis; teraz wystarczy jedynie powiedzieć, że uporczywa niechęć pułkownika do współpracy z naszym pomniejszym wrogiem pozwoliła, by całe plemię Arikara wymknęło nam się z rąk, w wyniku czego doszło do zamknięcia dostępu do Missouri pomiędzy Fort Brazeau a osadami Mandanów. Gdzieś tam grasuje dziewięciuset wojowników Arikara, którzy bez wątplenia wzmocnili swe siły, mając nowe pobudki do udaremniania wszelkiej aktywności na Missouri.

Pułkownik Leavenworth powrócił do garnizonu w Ft. Atkinson, gdzie ma zamiar przezimować w ciepłku i uważnie zaplanować dalsze kroki. Ani myślę czekać na niego. W naszym przedsięwzięciu, jak Pan wie, nie można sobie pozwolić na stratę ośmiu miesięcy.

Ashley przerwał, żeby odczytać to, co napisał, niezadowolony z ponurego tonu. List przekazywał gniew, zamiast dominującej cechy jego charakteru – niewzruszonego optymizmu, niezachwianej wiary we własną zdolność do odniesienia sukcesu. Bóg umieścił go w ogrodzie nieskończonej obfitości, Krainie Goszen, w której każdy człowiek mógł wieść dostatnie życie, jeśli tylko miał w sobie dość odwagi i męstwa. Słabości Ashleja, do których się przed sobą szczerze przyznawał, stanowiły drobne przeszkody, absolutnie do pokonania dzięki twórczemu połączeniu wszystkich jego mocnych stron. Ashley spodziewał się w życiu różnych problemów, ale za nic nie ścierpiałby porażki.

Musimy owo niepowodzenie obrócić na swoją korzyść, działać dalej, teraz, kiedy nasi konkurenci odpoczywają. Ponieważ obszar Missouri jest niedostępny, postanowiłem wysłać na Zachód dwie grupy ludzi, każdą inną drogą. Kapitana Henry'ego skierowałem już w górę rzeki Grand. Ma za zadanie dojść najdalej jak się da, a następnie powrócić do Fort Union. Jedidiah Smith poprowadzi grupę drugą wzdłuż rzeki Platte, a jego celem są wody Wielkiej Kotliny.

Z pewnością podziela Pan moją głęboką frustrację w związku ze zwłoką w

naszych działaniach. Musimy teraz postępować szybko i stanowczo, aby nadrobić stracony czas. Poinstruowałem Henry'ego i Smitha, że mają nie wracać do St. Louis na wiosnę, wraz ze swymi zdobyczami. Przeciwnie – to my udamy się do nich, by spotkać się gdzieś w terenie w celu wymiany skór i futer na świeże zapasy. W ten sposób zaoszczędzimy cztery miesiące i spłacimy choćby część długu. Tymczasem proponuję sformować w St. Louis nowy oddział traperów i na wiosnę wysłać go w drogę. Poprowadzę go osobiście.

Ogarek świecy prysnął łojem i wypluł smugę brudnawego, czarnego dymu. Ashley podniósł wzrok, nagle uświadamiając sobie późną porę oraz własne zmęczenie. Zanurzył gęsie pióro w inkauście i wrócił do listu, pisząc mocno i szybko, gdyż zmierzał już do zakończenia:

Zwracam się do Pana z prośbą o zakomunikowanie naszemu syndykatowi – w sposób możliwie najdobitniejszy – iż jestem absolutnie przekonany, że nasze wysiłki skazane są na sukces. Opatrzność potraktowała nas z wielką szczodrością. Nie wolno nam zawieść, musimy zebrać w sobie dość odwagi, by otrzymać słusznie należący się nam udział.

Pański wielce unizony sługa
William H. Ashley

Dwa dni później, 16 sierpnia 1823 roku, z St. Louis przybyła łódź Kiowy Brazeau. William Ashley zaopatrzył swych ludzi w niezbędny ekwipunek i jeszcze tego samego dnia posłał ich na zachód. Pierwsze spotkanie zaplanowano na lato roku 1824, a jego miejsce mieli przekazać posłańcy.

Nie do końca świadom wagi swych decyzji, William H. Ashley wynalazł system, który miał określić charakter całej epoki.

Rozdział 2

23 sierpnia 1823 roku

Jedenastu ludzi przycupnęło w obozowisku, w którym nie palono ognisk. Znajdowało się ono w cieniu niewielkiej skarpy nad rzeką Grand, ale okoliczna równina tylko w niewielkim stopniu osłaniała je przed wzrokiem niepowołanych. Ogień stanowiłby sygnał widoczny z odległości wielu mil. Ostrożność należała do najlepszych sprzymierzeńców traperów, zwłaszcza gdy obawiali się kolejnego ataku. Większość ludzi korzystała z ostatniej godziny światła dziennego, aby oporządzić broń, naprawić mokasyny albo coś zjeść. Chłopak spał od chwili, gdy zatrzymali się na postój – zmięta płatanina długich kończyn i nędznych łachmanów.

Mężczyźni skupili się w trzech lub czterech grupkach, ścieśnieni nad brzegiem rzeki; leżeli oparci o jakiś kamień bądź skryci w kępie bylicy preriowej, jak gdyby owe drobne naturalne wyniosłości mogły zapewnić im jakąkolwiek ochronę.

Panujący zwykle w takich obozowiskach ożywiony gwar tłumiała świadomość porażki poniesionej nad Missouri; drugi atak, który miał miejsce przed trzema zaledwie dniami, zdławił go zupełnie. Jeśli w ogóle ze sobą rozmawiano, to wyłącznie głosem przyciszonym i w tonie zadumy, z szacunku dla towarzyszy poległych na szlaku, omawiając niebezpieczeństwa, które ich jeszcze czekały.

– Sądziś, że on cierpiał, Hugh? Nie mogę pozbyć się myśli, że przez cały czas bardzo się męczył.

Hugh Glass podniósł wzrok na Williama Andersona, mężczyznę, który zadał to pytanie. Zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział:

- Nie sądzę, żeby twój brat cierpiał.
- Był najstarszy. Kiedy wyjeżdżaliśmy z Kentucky, to jemu rodzice kazali opiekować się mną. Mnie nic nie powiedzieli. Nie przyszłoby im to do głowy.
- Zrobiłeś dla swojego brata wszystko, co mogłeś, Will. Wiem, że to przykre, ale on nie żył już w chwili, gdy trzy dni temu ta kula go trafiła.

Z cienia nad rzeką odezwał się czyjś głos.

– Szkoda, że go od razu wtedy nie pochowaliśmy, zamiast ciągnąć dwa dni. – Mówiący usadowił się wygodniej, a w gęstniejącej ciemności jego twarz była niemal niewidoczna, z wyjątkiem czarnej brody i białej blizny. Ta biegła od kącika ust, zakrzywiając się ku dołowi niczym haczyk na ryby, i odznaczała się wyraźnie, gdyż nie rosły na niej żadne włosy – tworzyła w brodzie trwałą, złośliwą przerwę. Mówiąc, człowiek ten prawą ręką ostrzył o kamień wielki nóż do sprawiania

zwierzyny, a jego słowa mieszały się z powolnym, zgrzytliwym chrobotem.

– Trzymaj gębę na kłódkę, Fitzgerald, albo przysięgam na grób brata, że wyrwę ci ten cholerny język.

– Na grób brata? Trochę nędzny ten grób, co?

Mężczyźni siedzący w zasięgu głosu nagle zamilkli, skupiając uwagę na rozmowie, zaskoczeni jej obrotem nawet ze strony Fitzgeralda.

Fitzgerald zauważył ów fakt i uznał go za zachętę.

– To przecież tylko kupa kamieni. Wydaje ci się, że on nadal tam jest i spokojnie sobie gnije? – Umilkł na chwilę, słysząc tylko zgrzyt ostrza o kamień. – Wątpliwe, moim zdaniem. – Ponownie zrobił pauzę, by zwiększyć efekt swoich kolejnych słów. – Jasne, może te kamienie nie dopuszczają mniejszych zwierzaków, ale i tak myślę, że kojoty rozwłóczyły już kawałki jego ciała po całej...

Anderson rzucił się na Fitzgeralda z rękami wyciągniętymi do przodu.

W reakcji na atak Fitzgerald podniósł wysoko jedną nogę i z pełną siłą uderzył napastnika gołeniami w krocze. Anderson złożył się we dwoje, jakby niewidzialny sznur związał jego szyję i kolana. Fitzgerald walnął bezbronnego kolanem w twarz i Anderson padł na plecy.

Fitzgerald poruszał się całkiem żwawo jak na kogoś jego postury; skoczył, by przycisnąć kolanem pierś łapiącego oddech i zakrwawionego przeciwnika. Myśliwski nóż przyłożył Andersonowi do gardła.

– Chcesz dołączyć do braciszka? – Mocny nacisk ostrza sprawił, że na szyi leżącego pojawiła się cienka krwawa linia.

– Fitzgerald – odezwał się Glass tonem spokojnym, lecz kategorycznym. – Dość.

Fitzgerald uniósł wzrok. Zastanawiał się, czy nie odpowiedzieć tak, by przeciwstawić się Glassowi. Z satysfakcją obserwował krąg mężczyzn, którzy zebrali się dookoła, stając się świadkami żalosnego położenia Andersona. Lepiej ogłosić zwycięstwo, zdecydował. Glassem zajmie się kiedy indziej. Cofnął ostrze z gardła Andersona i wetknął nóż do zdobionej paciorkami pochwy przy pasie.

– Nie zaczynaj czegoś, czego nie dasz rady skończyć, Anderson. Bo następnym razem to ja skończę z tobą.

Przez krąg gapiów torował sobie drogę kapitan Andrew Henry. Złapał Fitzgeralda od tyłu i mocno nim szarpnął, przyciskając do krawędzi skarpy.

– Jeszcze jedna bójka i wylatujesz, Fitzgerald. – Wskazał odległy horyzont poza granicą obozu. – Jeżeli dysponujesz dodatkowym zapasem moczu, możesz spadać i spróbować dać sobie radę na własną rękę.

Kapitan rozejrzał się dookoła, omiatając wzrokiem pozostałych mężczyzn.

– Jutro mamy do przebycia czterdzieści mil. Marnujecie czas, zamiast spać. Kto pierwszy obejmie wartę? – Nikt nie wystąpił. Wzrok Henry'ego spoczął na

chłopcu nieświadomym całego zajścia. W kilku zdecydowanych krokach zbliżył się do zmiętej postaci. – Wstawaj, Bridger.

Chłopiec podskoczył niczym wystrzelony z procy i – jeszcze oszołomiony – próbował wymacać swoją broń. Pordzewiały karabin stanowił zaliczkę akonto przyszłego wynagrodzenia, podobnie jak poślizgnięty róg na proch strzelniczy oraz garść krzemieni.

– Chcę, żebyś się przespacerował ze sto jardów w dół rzeki. Znajdź jakieś podwyższenie przy brzegu. Świnia, to samo, tylko w górę rzeki. Fitzgerald, Anderson – wy obejmiecie drugą straż.

Fitzgerald pełnił wartę poprzedniej nocy. Przez moment sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar zaprotestować przeciwko takiemu przydziałowi zadań. Opanował się jednak i nabzdyczony skierował ku granicy obozu. Chłopiec, wciąż zdezorientowany, co chwila potykając się o kamienie zalegające przy rzeczonym wale, zniknął w kobaltowych ciemnościach, które zaczynały spowijać oddział.

Człowiek nazwany Świnia urodził się jako Phineous Gilmore na ubogiej farmie w Kentucky. Z jego przewiskiem nie wiązała się żadna tajemnica: po prostu był ogromny i paskudny. Śmierdział tak strasznie, że wprawiał ludzi w zakłopotanie. Czując bijącą odeń ostrą woń, niektórzy zaczynali się rozglądać, szukając jej źródła, gdyż niewiarygodna wydawała im się myśl, że odór ten może wydzielać istota ludzka. Nawet traperzy, którzy do czystości nie przykładali szczególnej wagi, starali się trzymać względem Świni po zawietrznej. Podniósłszy się z wolna na nogi, Świnia przerzucił sobie strzelbę przez ramię i spokojnym krokiem ruszył w górę rzeki.

Nie zdążyła minąć godzina, nim światło dnia zgasło zupełnie. Glass przyglądał się, jak kapitan Henry wraca podminowany z kontroli straży. Szedł ostrożnie przy blasku księżyca, pomiędzy śpiącymi ludźmi, a Glass zdał sobie sprawę, że w całym obozie czuwają tylko oni dwaj. Kapitan wybrał dla siebie kawałek gruntu nieopodal Glassa i opadł swoim wielkim ciałem na ziemię, opierając się o strzelbę. Spoczynek przyniósł ulgę jego zmęczonym stopom, nie uwolnił go jednak od presji, którą odczuwał najdotkliwiej.

– Chcę, żebyś poszedł jutro na zwiady razem z Blackiem Harrisem – powiedział.

Glass podniósł wzrok, zawiedziony, że nie może poddać się kuszącym objęciom Morfeusza.

– Znajdźcie coś, co można upolować, najlepiej pod wieczór. Zaryzykujemy rozpalenie ogniska. – Henry mówił przyciszonym głosem, jakby się spowiadał. – Przed nami jeszcze bardzo długa droga, Hugh. – Wszystko w kapitanie wskazywało, że ma ochotę chwilę pogadać. Glass sięgnął po swoją strzelbę. Skoro nie było mu dane zasnąć, to może lepiej zająć się bronią. Tego popołudnia, podczas przekraczania rzeki, zalał ją wodą, teraz więc zamierzał potraktować

spust świeżym smarem.

– Na początku grudnia robi się już bardzo zimno – ciągnął kapitan. – Będziemy potrzebowali dwóch tygodni na zrobienie zapasów mięsa. Jeśli do października nie dotrzemy do Yellowstone, jesienią niewiele upolujemy.

O ile nawet kapitan przeżywał w głębi duszy katusze z wątplenia, o tyle jego władcza postawa w żaden sposób tego nie zdradzała. Przez szeroką pierś i ramiona okryte bluzą z jeleniej skóry biegła frędzlasta skórzana taśma, wskazując na jego poprzedni zawód górnik, wydobywającego rudę ołowiu w okręgu Saint Genevieve w stanie Missouri. Wąski w talii, za gruby skórzany pas zatykał dwa pistolety oraz wielki nóż. Nosił irchowe bryczesy do kolan, niżej obwiązane czerwoną wełną. Spodnie kapitana, uszyte na miarę specjalnie w St. Louis, dobitnie świadczyły o życiu wiedzionym w dzikich ostępach. Naturalna zwierzęca skóra zapewniała jego ciału doskonałą ochronę, lecz jej częsty kontakt z wilgocią sprawił, że stała się ciężka i zimna. Dla odmiany wełna schła szybko i nawet mokra zatrzymywała ciepło.

Wprawdzie ów oddział, któremu Henry przewodził, stanowił zwykłą ludzką zbieraninę, czerpał on jednak odrobinę satysfakcji z faktu, że nazywano go tu „kapitanem”. Rzecz jasna Henry zdawał sobie sprawę, że to tylko pozory. Jego grupa traperów nie miała nic wspólnego z wojskiem; w ogóle wykazywała raczej mało respektu dla jakiegokolwiek instytucji. Niemniej Henry jako jedyny spośród nich przemierzył, polując, tereny Three Forks. Sam tytuł znaczył może niewiele, istotą sprawy były jego życiowe doświadczenia.

Kapitan umilkł, czekając na potwierdzenie ze strony Glassa. Ten podniósł wzrok znad strzelby. Uczynił to tylko na krótką chwilę, ponieważ rozkręcił był właśnie elegancko wyprofilowaną osłonkę, która kryła podwójny spust broni. W złożonych dłoniach trzymał ostrożnie dwie śrubki, obawiając się, że może je w tych ciemnościach gdzieś zgubić.

Jednak dla Henry’ego spojrzenie to okazało się wystarczającą zachętą do kontynuowania przemowy.

– Opowiadałem ci kiedyś o Drouillardzie?

– Nie, kapitanie.

– Wiesz, kto to był?

– George Drouillard z Ekspedycji Lewisa i Clarka?

Henry skinął głową.

– Jeden z najlepszych ludzi Lewisa i Clarka, zwiadowca i myśliwy. W tysiąc osiemset dziewiątym roku zaciągnął się do oddziału pod moją komendą, chociaż tak naprawdę to on tam dowodził, zmierzającego do Three Forks. Mieliśmy stu ludzi, ale tylko Drouillard i Colter byli tam już wcześniej.

Nałapaliśmy bobrów jak mrówek. Nawet nie trzeba było zastawiać na nie sideł, wystarczyła pałka. Ale od razu napytaliśmy sobie biedy ze strony Czarnych Stóp.

Nie minęły dwa tygodnie, a zabili pięciu naszych. Musieliśmy się ufortyfikować, nie można było wysłać grup traperów.

Drouillard wytrzymał z nami w tym bezruchu jakiś tydzień, po czym oświadczył, że ma dość siedzenia na tyłku. Nazajutrz wyruszył w drogę, a po tygodniu wrócił, przywożąc dwadzieścia bobrowych skór.

Glass słuchał kapitana bardzo uważnie. Każdy mieszkaniec St. Louis znał jedną z wersji opowieści o Drouillardzie, lecz Glass nigdy nie słyszał jej z ust naocznego świadka.

– Postąpił w ten sposób dwukrotnie, wyjeżdżał i wracał z naręczem skórek bobrowych. Gdy opuszczał nas za trzecim razem, powiedział: „Do trzech razy sztuka”. Pół godziny później usłyszeliśmy dwa wystrzały – jeden z jego strzelby, a drugi z jego rewolweru. Tym drugim zabił własnego konia, żeby się za nim schować. Tak go znaleźliśmy – za koniem. Pomiędzy znajdowało się ze dwadzieścia indiańskich strzał. Czarne Stopy pozostawiły strzały na miejscu jako wiadomość dla nas. A jego nieźle porąbali – odcięli mu głowę.

Kapitan zrobił przerwę i zaostrzonym patykiem przejechał po ziemi przed sobą.

– Ciągle o nim myślę.

Glass szukał jakichś słów wsparcia. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, kapitan zapytał:

– Jak długo jeszcze, twoim zdaniem, ta rzeka będzie płynąć na zachód?

Glass, teraz skupiony, szukał wzrokiem oczu kapitana.

– Wkrótce zaczniemy posuwać się szybciej, kapitanie. Przez jakiś czas możemy iść wzdłuż rzeki Grand. Wiemy, że Yellowstone leży na północny zachód stąd. – Prawdę mówiąc, Glass odczuwał pewne istotne wątpliwości co do osoby kapitana. Pech wisiał nad nim niczym obłok dymu nad ogniskiem.

– Masz rację – powiedział kapitan, a potem powtórzył to raz jeszcze, jakby chcąc przekonać samego siebie. – Oczywiście, masz rację.

Przemawiały przez niego niepokój i obawa, gdyż kapitan Henry wiedział o geografii Gór Skalistych mniej więcej tyle, ile wszyscy inni biali ludzie. Także Glass, mieszkaniec równin, choć doświadczony, nigdy nie postawił stopy na terenach Górnej Missouri. A jednak Henry usłyszał w głosie Glassa coś, co go uspokoiło. Mówiono mu kiedyś, że w młodości Glass był marynarzem. Powiadano nawet, że został więźniem pirata Jeana Lafitte’a. Być może to właśnie lata spędzone na bezmiarze oceanu sprawiły, że teraz czuł się tak pewnie w monotonnym krajobrazie równin między St. Louis a Górami Skalistymi.

– Będziemy mieć szczęście, jeśli Czarne Stopy nie wycięły w pień wszystkich w Fort Union. Ci, których tam zostawiłem, nie należą do najlepszych. – Kapitan znów oddał się typowemu dlań utyskiwaniu. I tak bez końca, długo przez noc. Glass wiedział, że jedyne, co musi robić, to słuchać. Od czasu do czasu podnosił wzrok i chrząkał, przede wszystkim skupiony na czyszczeniu broni.

Strzelba Glassa stanowiła jedyną w jego życiu ekstrawagancję; smarując tłuszczem sprężynowy mechanizm czułego spustu, robił to z delikatnością, którą inni mężczyźni rezerwują dla żony lub dziecka. Był to tak zwany karabin strzałkowy z Kentucky, marki Anstadt, wyprodukowany – jak większość ówczesnej wspaniałej broni palnej – przez niemieckich rzemieślników z Pensylwanii. Ośmiokątna lufa miała u nasady inskrypcję z nazwiskiem swego wytwórcy: „Jacob Anstadt” oraz miejscem produkcji: „Kutztown, Pensylwania”. Lufa była krótka, mierzyła jedynie około trzydziestu sześciu cali. Typowe strzelby z Kentucky były dłuższe, lufy niektórych osiągały aż pięćdziesiąt cali. Glass wolał mniejszą broń, ponieważ była lżejsza, a lżejszą przecież łatwiej nieść. W rzadkich okazjach, gdy podróżował konno, przekonywał się, że krótszą strzelbą łatwiej jest też operować z siodła. Poza tym wyprodukowana z wielką znajomością rzeczy broń Anstadta charakteryzowała się śmiertelnością celnością, nawet bez dłuższej lufy. Celność tę zwiększał dodatkowo czuły spust; wystrzał następował przy bardzo delikatnym pociągnięciu. Naładowana do pełni dwustoma ziarnami czarnego prochu, strzelba marki Anstadt zdolna była wyrzucić pocisk kalibru .53 na odległość prawie 200 jardów.

Doświadczenia wyniesione z życia na zachodnich równinach nauczyły Glassa, że różnica między życiem a śmiercią jest często wypadkową sprawności jego broni. Rzecz jasna również większość ludzi w oddziale dysponowała solidnym uzbrojeniem, lecz tylko jego anstadt odznaczał się eleganckim pięknem.

Piękno to nie umknęło uwagi pozostałych mężczyzn; pytano Glassa często, czy wolno potrzymać jego strzelbę. Wykładana twardym jak żelazo drewnem orzechowym kolba zakrzywiała się elegancko w okolicy nadgarstka, była jednak na tyle solidna, by przyjąć odrzut wystrzału z pełnego załadunku. Z jednej jej strony mieściła się krosownica na naboje, z drugiej podwyższenie dla osłony policzka. Strzelba przyjemnie obracała się przy kolbie, przylegała więc do ramienia tak, jakby sama była kończyną strzelca. Kolba miała barwę bardzo głębokiego brązu, tylko o jeden odcień jaśniejszego od czerni. Słojowania jej drewna nie było widać nawet z bliska, jednakże przy uważniejszych oglądzinach nieregularne linie zdawały się wirować, ozywając pod przetartym ludzkimi dłońmi werniksem.

Ostatnim przejawem folgowania czystemu pięknu były metalowe akcesoria, wykonane ze srebra, nie zaś – jak zwykle – z mosiądzu, zdobiące trzewik kolby, krosownicę, osłonkę spustu oraz sam spust, a także wypukłe wykończenia na obu końcówkach wycioru. Wielu traperów dla ozdoby wbijało w kolby swoich strzelb mosiężne ćwieki. Glassowi nie mieściło się w głowie, by mógł w ten sposób oszpeścić swego anstadta.

Zadowolony, że broń działa już bez zarzutu, Glass umieścił osłonkę spustu z powrotem w ruchomej tulei i przykręcił obie śruby, które ją przytrzymały. Do

panewki pod zapalnikiem dosypał prochu, upewniając się, że broń jest gotowa do strzału.

Zdał sobie nagle sprawę, że w obozie panuje cisza i ze zdziwieniem stwierdził, że kapitan przestał mówić. Glass spojrział ku centralnej części obozu. Kapitan spał, a jego ciałem od czasu do czasu wstrząsały dreszcze. Po drugiej stronie, przy samej granicy obozu, spoczywał Anderson wsparty o drewniany kłoc, dryfujący wcześniej po rzece. Ponad uspokajającym szeptem wody nie unosił się żaden dźwięk.

Nagle ciszę rozerwał ostry odgłos strzału ze skałkówki. Dobięgl znad dolnego biegu rzeki – tam, gdzie tkwił ów chłopak, Jim Bridger. Śpiący mężczyźni zgodnie zerwali się na równe nogi, przestraszeni i zdezorientowani, szukając w ciemnościach broni i osłony. Od strony wody gnała ku obozowisku ciemna postać. Tuż obok Glassa wstał raptownie Anderson, jednocześnie unosząc strzelbę. Glass chwycił swego anstadta; gnająca ku nim postać nabrała kształtu dopiero jakieś czterdzieści jardów przed granicą obozu. Anderson wycelował broń, lecz przed naciśnięciem spustu zawahał się na mgnienie oka. Glass, w tymże ułamku sekundy, wsunął anstadta Andersonowi pod pachę i podbił lufę jego broni do góry, ku niebu, w chwili gdy proch eksplodował.

Usłyszawszy strzał, pędząca postać zamarła w biegu; znajdowała się teraz na tyle blisko, że można już było dostrzec szeroko otwarte, zdumione oczy i falującą pierś. Był to Bridger.

– Prze... Prze... moja... – Jąkał się w panice, jakby sparaliżowany.

– Co się stało, Bridger? – zapytał ostro kapitan, patrząc ponad chłopcem gdzieś w dal, w kierunku pogrążonej w mroku rzeki. Traperzy uformowali tymczasem obronny półokrąg, stając plecami do rzecznej wału. Większość z nich przyjęła pozycję strzelecką, klękając na jedno kolano i unosząc broń.

– Przepraszam, panie kapitanie. Nie chciałem, żeby wystrzeliła. Usłyszałem jakiś dźwięk, szuranie w zaroślach. Wstałem, a wtedy chyba kurek się obsunął. I wystrzeliło.

– Sądzę, że raczej zasnąłeś. – Fitzgerald obniżył broń i wstał z kolan. – Teraz każdy dureń w promieniu pięciu mil łatwo do nas trafi.

Bridger chciał coś powiedzieć, ale na próżno szukał odpowiednich słów, by wyrazić głębię swojego zawstydzienia i żalu. Stał z otwartymi ustami, patrząc z przerażeniem na otaczających go mężczyzn.

Glass wystąpił do przodu i wyjął z rąk Bridgera jego samopał. Ustawił karabin w pozycji pionowej i pociągnął za spust, blokując kciukiem kurek, zanim krzesiwo uderzyło o draskę. Powtórzył tę czynność raz jeszcze.

– To się do niczego nie nadaje, kapitanie. Proszę mu dać jakąś porządną strzelbę, a będzie mniej problemów podczas pełnienia warty. – Kilku mężczyzn skinęło potakująco głowami.

Kapitan spojrzał najpierw na Glassa, potem na Bridgera, i powiedział:
– Anderson, Fitzgerald, wasza kolej. – Dwaj wymienieni udali się na pozycje, jeden w górę, a drugi w dół rzeki.

Lecz straże nie były potrzebne. W ciągu tych kilku godzin, które zostały do świtu, nikt już nie zasnął.

Rozdział 3

24 sierpnia 1823 roku

Hugh Glass patrzył w dół na nachodzące na siebie tropy, głęboko odciśnięte w miękkim mule, wyraźne niczym litery w gazecie. Przy brzegu rzeki, gdzie zapewne przychodziły do wodopoju jelenie, zaczynały biec dwie odrębne grupy śladów, po czym znikaly w gęstych zaroślach wikliny. Wskutek nieustannej aktywności bobrów powstała tu ścieżka uczęszczana teraz przez różną zwierzynę. Obok niej zalegały całe stosy odchodów; Glass pochylił się i dotknął kuleczek wielkości grochu – wciąż ciepłych.

Spojrzał na zachód, gdzie słońce nadal wisiało wysoko ponad płaskowyżem wyznaczającym horyzont. Uznał, że zajdzie za jakieś trzy godziny. Jest więc jeszcze dość wcześnie, a kapitan wraz z resztą oddziału powinni dogonić go za godzinę. A poza tym to idealne miejsce na obóz. Rzeka zakręcała tu łagodnie wokół naturalnej przeszkody, tworząc zwirowy brzeg. Za wikliną widać było zagajnik topól, który mógł stanowić osłonę dla ognisk oraz źródło drewna na opał. Gałęzie wikliny natomiast nadawały się świetnie do wykorzystania przy budowie rusztowań do suszenia mięsa. Wśród zarośli Glass zauważył rozsiane tu i ówdzie śliwy – niezły fart. Z połączenia zmielonych owoców i mięsa mogą otrzymać pemikan. Omiótł spojrzeniem rzekę. „Gdzie jest Black Harris?”

W hierarchii wyzwań, przed którymi codziennie stawali traperzy, najbardziej palącym było zdobywanie pożywienia. Podobnie jak w każdym innym przypadku, wymagało to zmysłu równoważenia korzyści i ryzyka. Traperzy nie transportowali prawie żadnych zapasów żywności, zwłaszcza od chwili zejścia z łodzi pływającej po Missouri i po pieszej wędrówce w górę rzeki Grand. Nieliczni wciąż mieli trochę herbaty czy cukru, większości jednak musiał wystarczyć mieszek soli do konserwowania mięsa. Na obszarach wokół Grand dzikiej zwierzyny było w bród, ludzie ci mogli więc spożywać świeże mięso co wieczór. Ale polowanie oznaczało konieczność użycia broni palnej, której odgłos niósł się na wiele mil, ujawniając pozycję strzelca wszystkim nieprzyjaciołom w zasięgu słuchu.

Od chwili gdy wyruszyli znad Missouri, trzymali się ustalonej procedury. Codziennie oddział poprzedzało dwóch zwiadowców. Przez pewien czas ich trasa była niezmienna – po prostu podążali wzdłuż rzeki Grand. Do głównych zadań zwiadowców należało lokalizowanie Indian w celu ich obejścia, wybór miejsc na obozowisko oraz poszukiwanie pożywienia. Co kilka dni zabijali kilka sztuk

zwierzyny.

Zastrzeliwszy jelenia albo ciele bizona, zwiadowcy przygotowywali obozowisko jeszcze przed zmrokiem. Patroszyli zdobycz, zbierali drewno na opał, rozpalali dwa lub trzy niewielkie ogniska w wąskich, prostokątnych jamach. Kilka mniejszych ognisk dawało w sumie mniej dymu niż jedno wielkie, zapewniając ponadto więcej miejsca do wędzenia mięsa i znaczniejsze źródło ciepła. Gdyby nieprzyjaciel ujrzał je nocą, uległby złudzeniu, że ma przed sobą o wiele liczniejszą gromadę.

Gdy ogień już płonął, zwiadowcy rozbierali zwierzynę, wycinając najlepsze kęski dla siebie i konsumując je na miejscu. Potem kroili mięso na cienkie pasy. Za pomocą gałęzi wikliny konstruowali proste suszarki, nacierali mięso odrobiną soli i zawieszali tuż nad płomieniem. W stałym obozie przygotowywano by suszone mięso w inny sposób, wymagający schnięcia przez wiele miesięcy. Ta metoda pozwalała przechowywać żywność przez parę dni, czyli wystarczająco długo, by odnowić zapasy świeżego pokarmu.

Glass wyszedł z wiklinowych zarośli wprost na niewielką polanę, szukając wzrokiem jelenia. Był pewien, że zwierzę musi być już bardzo blisko.

Najpierw ujrzał młode, samicy nie dostrzegł. Parka toczyła się w jego stronę, popiskując niczym rozbawione szczeniaki. Urodziły się na wiosnę, a teraz, po pięciu miesiącach, musiały ważyć po sto funtów. Lekko kąsały się wzajemnie, skręcając w kierunku Glassa, i przez ułamek sekundy scena ta wydała mu się wręcz komiczna. Sparalizowany widokiem wirujących niedźwiadków nie patrzył na drugi koniec polany, jakieś pięćdziesiąt jardów dalej. Nie uświadamiał sobie również nieuniknionych implikacji płynących z faktu ich obecności.

I nagle zrozumiał. Poczł gwałtowny ucisk w żołądku, a zaraz potem przez polanę przetoczył się pierwszy dudniący pomruk. Z lekkim poślizgiem młode zatrzymały się w odległości niecałych trzech jardów od Glassa. Nie zwracając już na nie uwagi, wpatrywał się w linię zarośli po drugiej stronie polany.

Wiedział, jak jest ogromna, zanim ją jeszcze zobaczył. Nie tyle na podstawie trzasku grubych gałęzi, które pękały niczym słomki, gdy niedźwiedzica posuwała się do przodu, co samego jej ryku, głębokiego jak grzmot na niebie albo łoskot walącego się drzewa – tak basowy ton mógł wydobywać się tylko z gigantycznego cielska.

Ryk osiągnął apogeum w chwili, gdy samica wkroczyła na polanę. Czarne oczy wbiła w Glassa, łeb trzymając nisko nad ziemią, i analizowała obcy zapach, który mieszał się teraz z wonią jej młodych. Biła od niej determinacja, wielkie ciało było napięte i gotowe do skoku niczym ogromna sprężyna. Glassa zadziwiła potężna muskulatura zwierzęcia; grube kloce przednich łap przechodziły w masywne barki, ponad którymi wyrastał srebrzysty garb, oznaka przynależności do klanu grizzlich.

Glass z całych sił starał się panować nad swoimi reakcjami i zastanawiał się gorączkowo, jakie ma szanse. Instynkt, rzecz jasna, nakazywał mu ucieczkę. Z powrotem w zarośla. Do rzeki. Może uda mu się zanurkować i spłynąć wraz z prądem. Ale niedźwiedzica znajdowała się już zbyt blisko, jakieś trzydzieści jardów od niego. Oczy mężczyzny desperacko szukały jakiejś topoli, na którą mógłby się wspiąć; może wówczas znalazłby się poza jej zasięgiem i stamtąd by strzelił. Nie, drzewa są za plecami zwierzęcia. A wiklina nie zapewni odpowiedniej ochrony. Jego możliwości wyboru skurczyły się do jednej: stać i strzelać. Jediną szansę na powstrzymanie niedźwiedzicy dawała mu strzelba marki Anstadt kalibru .53.

Grizzly ruszył do ataku, rycząc ze skoncentrowaną nienawiścią rozwścieczonej matki lękającej się o potomstwo. Znow pod wpływem instynktu Glass omal nie odwrócił się i rzucił do ucieczki. Jednak jej daremność była aż nadto oczywista, gdyż niedźwiedzica poruszała się z piorunującą szybkością. Glass odwiódł kurek i podniósł anstadta, w niemym przerażeniu wpatrując się w widoczne w szczybinie zwierzę, które umiało być jednocześnie ogromne i zwinne. Zwalczył kolejny odruch – by wypalić natychmiast. Glass widział kiedyś grizzly, które wciąż żyły, choć postrzelono je kilkunastoma kulami. A on miał tylko jeden strzał.

Całym sobą starał się mierzyć w podskakujący łeb samicy, ale nie mógł wycelować. W odległości dziesięciu kroków grizzly wstał na tylne łapy. Górował o trzy stopy nad Glassem, obracając się, aby wykonać szeroki zamach swymi śmiertcionośnymi łapami. Mężczyzna odruchowo wycelował w serce niedźwiedzicy i pociągnął za spust.

Krzemień zaiskrzył o panewkę anstadta, powodując wystrzał i napełniając powietrze dymem oraz zapachem eksplodującego czarnego prochu. Grizzly wydał z siebie ryk, gdy kula przebiła mu pierś, ale nie zwolnił ataku. Glass rzucił strzelbę, teraz już nieprzydatną, i sięgnął po nóż, wiszący w pochwie przy pasku. Niedźwiedź machnął łapą, a Glassa przeszył paskudny ból, gdy sześciocalowe pazury zwierzęcia zagłębiły się w mięśnie jego prawego ramienia, barku i szyi. Cios powalił go na plecy. Nóż wypadł mu z ręki, a on sam zaczął wściekle odpychać się od ziemi nogami, na darmo szukając schronienia wśród zarośli.

Grizzly opadł na cztery łapy i stanął nad człowiekiem. Ten zwinął się w kłębek, desperacko pragnąc osłonić twarz i pierś. Niedźwiedzica wgryzła się w jego kark i podniosła przeciwnika z ziemi, potrząsając tak mocno, że Glass bał się, iż pęknie mu kręgosłup. Czuł, jak zęby zwierzęcia miażdżą mu kości łopatk. Szorujące po jego ciele łapy rozdzierały skórę na głowie i mięśnie pleców. Glass krzyczał w udęce. Zwierzę nagle puściło go, po czym zatopiło mu zęby głęboko w udzie i znow nim potrząsnęło, podniosło i rzuciło o ziemię z taką siłą, że po prostu padł i znieruchomiał – przytomny, niezdolny jednak do dalszego oporu.

Leżał na plecach, wpatrując się w niebo. Grizzly stanął nad nim na tylnych łapach. Przerazenie i ból minęły, zastąpione przez pełen lęku zachwyty nad potęgą zwierzęcia. Niedźwiedź wydał z siebie ostatni ryk, który odbił się w umyśle Glassa bardzo odległym echem. Zdawał sobie sprawę z rozmiarów kolosa, który zawisł nad nim. Wilgotny zapach futra samicy przytłoczył wszystkie pozostałe zmysły. „Co się stało?” Jego umysł szukał odpowiedzi, aż znalazł obraz złotego psa lizającego twarz chłopca na drewnianej werandzie chaty.

Wiszące nad nim rozjaśnione słońcem niebo stało się czernią.

Black Harris usłyszał wystrzał, niedaleko, tuż za zakolem rzeki, i pomyślał z nadzieją, że Glass ustrzelił jelenia. Poruszał się szybko, lecz cicho, świadom, że strzał karabinowy może oznaczać wiele rzeczy. Usłyszawszy ryk niedźwiedzia, rzucił się biegiem. Wtedy rozległ się krzyk Glassa.

W zaroślach wikliny Harris znalazł zarówno tropy jeleni, jak i ślady pozostawione przez człowieka. Patrzył na ścieżkę wytyczoną przez bobry i skupiony nasłuchiwał. Ponad przyciszonym szemraniem rzeki nie unosił się żaden dźwięk. Harris podniósł strzelbę z biodra, trzymając kciuk na kurku, a palec wskazujący na spuście. Szybko obrzucił wzrokiem pistolet przy pasie i upewnił się, że jest gotowy do strzału. Następnie wszedł w wiklinę, ostrożnie stawiając nogi obute w mokasyny; patrzył uważnie przed siebie. W ciszy rozległy się popiskiwanie niedźwiadków.

Na skraju polany Black Harris zatrzymał się i przyglądał rozgrywającej się przed nim scenie. Ogromny grizzly leżał bezwładnie na brzuchu; oczy miał otwarte i martwe. Jedno z młodych stało na tylnych łapkach, przyciskając nos do ciała samicy, w daremnym oczekiwaniu oznak życia. Drugi niedźwiadek grzebał za czymś w ziemi, szarpiąc to coś zębami. Harris zdał sobie nagle sprawę, że jest to ludzkie ramię. Glass. Uniósł strzelbę i strzelił do bliższego z niedźwiadków, a ten padł bez czucia. Jego brat popędził w kierunku topól i zniknął. Zanim ruszył do przodu, Harris ponownie załadował broń.

Gdy Kapitan Henry i pozostali członkowie oddziału usłyszeli dwa strzały, pobiegli w górę rzeki. Pierwszy wystrzał nie zaniepokoił kapitana, drugi już tak. Pierwszego się spodziewano – Glass albo Harris zgodnie z planem polują na dziką zwierzynę. Dwa strzały jeden po drugim też nie byłyby niczym nadzwyczajnym. Dwójka polujących razem myśliwych mogła mieć przed sobą więcej niż jeden cel albo też spudłowała za pierwszym razem. Ale oba strzały dzielił kilkuminutowy odstęp. Kapitan miał nadzieję, że myśliwi po prostu polowali każdy na własną rękę. Może jeden służył za nagonkę dla drugiego. Albo może mieli tyle szczęścia, że natknęli się na bizona. Zdarzało się, że bizona stały nieporuszone, nie reagując na trzask broni, pozwalając myśliwemu przeładować i wybrać sobie kolejny cel.

– Trzymać się razem – rozkazał. – Sprawdzić broń.

Po raz trzeci, na odcinku liczącym sto kroków, Bridger sprawdził swą nową strzelbę, którą podarował mu Will Anderson. „Mój brat już jej nie potrzebuje” – powiedział tylko.

Na polanie Black Harris patrzył na ciało niedźwiedzicy. Wystawało spod niego ramię Glassa. Harris rozejrzał się, po czym położył strzelbę na ziemi i próbując przesunąć martwe zwierzę, szarpnął je za przednią łapę. Dyszał ciężko, lecz wreszcie udało mu się przemieścić niedźwiedzicę na tyle, by wyłoniła się głowa Glassa: krwawa płatanina włosów i skóry. Jezu Chryste! Pracował gorączkowo, walcząc z własnym strachem przed tym, co może jeszcze znaleźć.

Przeniósł się na drugą stronę niedźwiedzia, przemieściwszy się bezpośrednio przez jego grzbiet, i pochwycił przednią łapę; ciągnął za nią, wspierając się kolanami o cielsko i wykorzystując je jako dźwignię. Po kilku próbach udało mu się zsunąć przód ciała zwierzęcia tak, że kolos leżał jakby zgięty w pasie. Potem kilkukrotnie pociągnął za tylną łapę. Ostatni wysiłek i niedźwiedź przewrócił się ciężko na grzbiet. Ciało Glassa było wolne. Na piersi samicy Black Harris zauważył zakrzepłą krew w miejscu, gdzie Glass zdążył ją postrzelić.

Uklęknął koło niego niepewny, co ma teraz robić. Nie chodziło o brak doświadczenia w postępowaniu z rannymi. Harris usuwał już wcześniej strzały i kule z ciał trzech mężczyzn, dwukrotnie sam został postrzelony.

Nigdy jednak nie widział człowieka w tak opłakanym stanie, bezpośrednio po ataku. Ciało Glassa było całe w strzępach, od stóp do głowy. Zdarta skóra zwisała z jednej strony jego czaszki; Harris potrzebował nieco czasu, by rozróżnić poszczególne elementy twarzy rannego. W najgorszym stanie znajdowało się gardło. Pazury grizzly wycięły w nim trzy głębokie, wyraźne bruzdy zaczynające się w okolicach barku i przechodzące przez całą szyję. Jeszcze cał i rozdarłyby tętnicę szyjną Glassa. Tak czy owak gardło było rozprute, mięśnie rozcięte, przelyk odsłonięty. Niedźwiedzica przecięła też tchawicę mężczyzny; przerażony Harris obserwował tworzącą się na jego oczach wielką bańkę krwi wydostającą się z rany. Była to pierwsza pewna oznaka, że Glass żyje.

Delikatnie obrócił go na bok, żeby przyjrzeć się plecom. Z bawełnianej koszuli nie pozostało nic. Z głębokich klutych ran karku i barków sączyła się krew. Prawe ramię opadało pod nienaturalnym kątem. Między środkiem pleców a lędźwiami wściekle pazury niedźwiedzia pozostawiły głębokie równoległe nacięcia. Przypominały Harrisowi znaki, jakie grizzly umieszczają na pniach drzew, zaznaczając w ten sposób swoje terytorium – tyle że tym razem widział je wyryte nie w drewnie, lecz w żywym ciele. Z tylnej części uda Glassa przez zamszowe bryczesy ciekła krew.

Harris nie miał pojęcia, od czego zacząć, i poczuł niemal ulgę na widok rany gardła, która sprawiała wrażenie śmiertelnej. Przeciągnął Glassa o kilka jardów na miejsce porośnięte trawą i ocienione, po czym odwrócił go na plecy. Ignorując

wychodzące z gardła bąble, skupił się na głowie. Glass zasługiwał przynajmniej na to, by umrzeć godnie, ze skórą na głowie. Harris nabrał wody z manierki, próbując zmyć jak najwięcej brudu. Naciągnął skórę na czaszkę rannego, przyciskając ją do jego czoła i zatykając za ucho. Była tak luźna, że ta operacja przypominała nakładanie kapelusza na łysinę. Przyszyje się ją później, o ile Glass przeżyje.

Harris usłyszał jakiś odgłos w zaroślach i sięgnął po pistolet. Na polanę wszedł kapitan Henry. Pozostali mężczyźni otoczyli ich ponurym kręgiem, przerzucając wzrok z Glassa na niedźwiedzicę, z Harrisa na martwe młode.

Kapitan omiół uważnym spojrzeniem polanę, dziwnie odrętwiały, podczas gdy jego umysł analizował scenę w perspektywie jego własnych minionych doświadczeń. Potrząsnął głową i przez chwilę jego oczy, zwykle o ostrym wejrzeniu, wydawały się rozbiegane.

– Nie żyje?

– Jeszcze żyje. Ale jest rozszarpany. Ma rozciętą tchawicę.

– Zabił samicę?

Harris skinął głową.

– Znalazłem ją martwą, na nim. Kula trafiła ją w serce.

– Ale trochę za późno, co? – odezwał się Fitzgerald.

Kapitan uklęknął przy Glassie. Brudnymi palcami pogmerał w rozdartym gardle, z którego przy każdym oddechu wciąż wychodziły bąbelki powietrza. Ranny oddychał z coraz większym trudem, z jego piersi dobywało się teraz niegłośne rżenie.

– Niech ktoś mi przyniesie czysty opatrunek i trochę wody. I whiskey, gdyby się ocknął.

Bridger wystąpił do przodu i zaczął przeszukiwać niewielką sakwę, którą nosił na plecach. Wyciągnął z niej wełnianą koszulę i podał Henry'emu.

– Proszę, kapitanie.

Kapitan zawahał się, nie wiedząc, czy powinien wziąć koszulę chłopaka. W końcu chwycił ją i podał szorstką tkaninę na pasy. Zawartość manierki wylała na rozharatane gardło. Zmytą krew szybko zastąpiła nowa, obficie sącząca się z rany. Glass zaczął się dławić i kaszleć. Jego powieki zadrżały, oczy otworzyły się szeroko, jakby w panice.

W pierwszym momencie odniósł wrażenie, że tonie. Ponownie zakaszłał, gdy organizm starał się pozbyć krwi z gardła i płuc. Przez chwilę skupił wzrok na Henrym, w chwili gdy kapitan przewracał go na bok. W tej pozycji Glass zdołał jeszcze wziąć dwa oddechy, nim ogarnęła go fala mdłości. Zwymiotował, czując potworny ból w gardle. Instynktownie sięgnął rękoma ku szyi. Prawe ramię miał niesprawne, ale palcami lewej dłoni wyczuł ziejącą ranę. Zalało go przerażenie i panika. Powiódł po otaczających go twarzach dzikim wzrokiem, szukając w nich

pocieszenia. Dostrzegł coś wręcz przeciwnego – przykre potwierdzenie swoich obaw.

Próbował coś powiedzieć, ale z jego gardła nie mógł dobyć się żaden dźwięk poza upiornym jękiem. Chciał wstać, podpierając się łokciami. Henry przycisnął go do ziemi i wlał mu do ust trochę whiskey. Dotychczasowy ból gardła przeszedł w nieznośne pieczenie. Glassem wstrząsnął ostatni spazm i znów stracił przytomność.

– Trzeba go opatrzyć, dopóki nie wie, co się z nim dzieje. Przygotuj więcej pasów, Bridger.

Chłopak zaczął drzeć koszulę na długie kawałki. Pozostali mężczyźni przyglądali się z powagą, stojąc dokoła niczym żałobnicy niosący trumnę.

Kapitan uniósł głowę.

– Wszyscy do roboty. Harris, wybierz się na zwiady po okolicy, szerokim kręgiem. Upewnij się, czy te strzały nie przyciągnęły czyjejs uwagi. Niech ktoś pilnuje ognisk, drewno musi pozostać suche, nie trzeba nam tu cholernych sygnałów dymnych. I poćwiartujcie to zwierzę.

Mężczyźni rozeszli się, a kapitan znów zajął się rannym. Wziął od Bridgera skrawek tkaniny i obwiązał nim szyję Glassa tak mocno, jak tylko śmiał. Czynność tę powtórzył dwukrotnie, z dwoma kolejnymi opatrunkami. Krew natychmiast się przez nie przesączyła. Kolejnym pasmem obandażował głowę Glassa, niezdarnie usiłując przytrzymać skórę na czaszce. Tu także rany mocno krwawiły, kapitan użył więc wody i koszuli, by wytrzeć krew zalewającą Glassowi oczy. Bridgera wysłał po wodę do rzeki w celu uzupełnienia zapasu w manierce.

Gdy tamten wrócił, wspólnie przewrócili Glassa na drugi bok. Bridger przytrzymał rannego, starając się, by jego twarz nie dotykała ziemi, a kapitan Henry badał mu plecy. Zalewał wodą miejsca, gdzie niedźwiedź wbił pazury. Choć rany te były głębokie, krwawiły tylko nieznacznie. W odróżnieniu od pięciu równoległych nacięć wrytych łapą samicy. Dwa z nich szczególnie głęboko wpiły się w plecy Glassa; krew lała się intensywnie, widać też było mięśnie. Ziemia zmieszała się z krwią, kapitan znów musiał posłużyć się wodą z manierki. Oczyszczone rany zdawały się krwawić jeszcze mocniej, Henry pozostawił je więc w spokoju. Wyciął z koszuli dwa długie pasy, owinął nimi ciało Glassa i mocno związał. Nie pomogło. Plecy ciągle zalewały się krwią.

Kapitan przerwał na chwilę i zastanawiał się.

– Te głębsze rany trzeba zszyć, bo wykrwawi się na śmierć.

– A co z jego gardłem?

– Też powinienem je zszyć, ale przy takiej jatce nie wiem, od czego zacząć. – Henry poszperał w swojej torbie myśliwskiej i wyjął z niej grubą czarną nić i wielką igłę.

Grube palce kapitana okazały się zadziwiająco zwinne, gdy przewlekał nić przez

ucho igielne i wiązał na jej końcu supełek. Bridger zaciskał brzegi najgłębszej rany i z fascynacją obserwował, jak Henry przebija igłą skórę Glassa. Gdy cztery szwy połączyły skórę w środkowej części rany, kapitan zakończył ścieg. Spośród pięciu ran pozostawionych przez niedźwiedzie pazury na plecach Glassa, dwie były na tyle głębokie, że wymagały szycia. W obu przypadkach Henry nie zadał sobie trudu, by zszyć rany na całej długości. Po prostu połączył skórę pośrodku ran, ale krwawienie i tak się zmniejszyło.

– A teraz przyjrzyjmy się jego szyi.

Przewrócili Glassa na plecy. Mimo prymitywnych bandaży z gardła wciąż wydobywały się bańki i charkot. Pod rozdartą skórą Henry widział śnieżnobiałą chrząstkę krtani i tchawicę. Obecność baniek wskazywała, że tchawica została przecięta bądź zmiażdżona, nie miał jednak zielonego pojęcia, jak to naprawić. Zawiesił dłoń nad ustami Glassa, czekając na powiew oddechu.

– Co pan zamierza zrobić, kapitanie?

Kapitan zawiązał nowy supełek na końcu nici.

– Nadal wciąga powietrze przez usta. Jedyne, co możemy zrobić, to zaszyć skórę – miejmy nadzieję, że z resztą on sam sobie poradzi. – Henry zakładał szwy w jednocalowych odstępach, starając się zamknąć otwór w gardle Glassa. Bridger oczyścił kawałek gruntu na skraju zarośli i przygotował dla rannego posłanie z koców. Umieścili go na nim tak delikatnie, jak tylko umieli.

Kapitan wziął strzelbę i opuścił polanę. Przez zarośla wikliny wrócił nad rzekę. Na brzegu położył broń na ziemi i zdjął skórzaną bluzę. Ręce miał całe w lepkiej krwi, obmył je w wodzie. Niektóre plamy nie chciały zejść, wziął więc nieco piasku i tarł nim zabrudzenia. Wreszcie poddał się, złożył dłonie w miseczkę i lodowatą wodą obmył brodatą twarz. Wcześniejsze i dobrze mu znane zwątpienie powróciło. „To znowu się dzieje”.

Nie dziwił się, gdy jakiś żółtodziób padał ofiarą dzikich przestrzeni Zachodu, ale wstrząsem dlań było, ilekroć spotykało to jakiegoś weterana. Podobnie jak Drouillard, Glass spędził na pograniczu wiele lat. Był niczym kil pod łodzią, swą milczącą obecnością zapewniał innym równowagę i spokój. A Henry wiedział, że człowiek ten umrze jeszcze przed pierwszym brzaskiem.

Kapitan odtworzył w myślach swoją rozmowę z Glassem z poprzedniej nocy. Naprawdę odbyła się wczoraj? Wtedy, w roku 1809, śmierć Drouillarda stanowiła początek końca. Ludzie z oddziału Henry’ego pozostawili ufortyfikowany obóz w dolinie Three Forks i uciekli na południe. Dzięki tej decyzji znaleźli się poza zasięgiem Czarnych Stóp, ale nie surowych warunków panujących w Górach Skalistych. Cierpieli straszliwe zimno, niemal umarli z głodu, zostali napadnięci i obrabowani przez Indian z plemienia Wron. Gdy w końcu ledwie żywi wyszli z gór w roku 1811, opłacalność handlu skórami nie była już tak oczywista.

Ponad dekadę później Henry ponownie objął dowództwo nad oddziałem

traperów, zmierzającym ku niepewnym bogactwom Gór Skalistych. Kapitan przewijał w głowie obrazy ze swej niedawnej przeszłości: tydzień po wyjściu z St. Louis stracił łódź z towarami wartości 10 tysięcy dolarów. Niedaleko wodospadów Great Falls na Missouri Czarne Stopy zabiły dwóch jego ludzi. Wcześniej pomagał Ashleyowi w jego zatargu z Indianami Arikara, brał udział w przykrym zajściu z pułkownikiem Leavenworthem, a potem obserwował, jak Arikara zamykają dostęp do Missouri. Po kilku dniach marszu w górę rzeki Grand Indianie z plemienia Mandanów, zwykle nastawieni pokojowo, uśmiercili trzech jego ludzi – atak nastąpił nocą, przez pomyłkę. A teraz Glass, jego najlepszy człowiek, leżał śmiertelnie ranny po walce z niedźwiedziem. „Jakaż klątwa nade mną wisi? Jakie popełniłem grzechy?”

Tymczasem na polanie Bridger okrył Glassa derką i odwrócił się, żeby spojrzeć na niedźwiedzicę. Przy jej sprawianiu pracowało czterech mężczyzn. Najlepsze kąski – wątrobę, serce, język, polędwicę, żeberka – ułożono osobno na boku, do natychmiastowej konsumpcji. Resztę krajano na cienkie paski i nacierano solą.

Bridger podszedł do wielkiej niedźwiedziej łapy, wyjmując z pochwy nóż. Fitzgerald, pracujący przy rozbiórce mięsa, podniósł wzrok, a chłopak tymczasem zaczął odcinać największy pazur zwierzęcia. Był wstrząśnięty jego rozmiarami – długi na prawie sześć cali, dwukrotnie grubszy od jego kciuka. Przy końcu ostry jak brzytwa, wciąż pokryty krwią po ataku na Glassa.

– A niby kto ci przyznał prawo do tego pazura, chłopcze?

– To nie dla mnie, Fitzgerald. – Bridger ujął zdobycz i podszedł do Glassa. Jego myśliwska torba leżała tuż obok. Bridger otworzył ją i wrzucił pazur do środka.

Tej nocy ludzie najedli się do syta, uczując wiele godzin. Ich organizmom brakowało pożywnej tłustej strawy. Wiedzieli, że minie wiele dni, zanim znów będą jeść świeże mięso, i delectowali się biesiadą. Kapitan Henry wystawił podwójne straże. Choć polana należała do stosunkowo odosobnionych, bał się, że ogniska zdradzą ich pozycję.

Większość mężczyzn siedziała w kręgu ciepła płomieni, trzymając różny z gałęzi wierzbowych z nabitym na nie mięsiwem. Kapitan i Bridger na zmianę doglądali Glassa. Ranny dwukrotnie otworzył oczy, szklane i niewidzące. Odbijał się w nich blask ognia, jednak we wnętrzu nie tliła się żadna iskra. Raz udało mu się łyknąć trochę wody, co przyplącił bolesnymi drgawkami.

Ogniska rozpalone w podłużnych jamach podsycano drewnem na tyle często, by dawały ciepło i dym niezbędne do suszenia mięsa na rusztach. Godzinę przed świtaniem kapitan Henry zajrzał do Glassa i stwierdził, że ten jest nieprzytomny. Ranny oddychał z trudem, zgrzytliwie, jakby każdy oddech wymagał od niego wszystkich sił.

Henry wrócił do ogniska, gdzie zastał Blacka Harrisa ogryzającego zeberka.

– To mogło się przytrafić każdemu, kapitanie. Każdy mógł się nadziać na burego misia. Pech to pech.

Henry tylko potrząsnął głową. Wiedział co nieco o pechu. Siedzieli w milczeniu, dopóki nie ukazały się pierwsze, ledwie dostrzegalne oznaki nowego dnia w postaci delikatnej poświaty na wschodnim fragmencie widnokregu. Kapitan wziął strzelbę i róg na proch strzelniczy.

– Wróć przed wschodem słońca. Kiedy ludzie się obudzą, wybierz dwóch do kopania grobu.

Godzinę później kapitan powrócił. Zdążono już wykopać płytką jamę w ziemi, ale najwyraźniej pracę przerwano. Spojrzał na Harrisa.

– W czym szkopuł?

– No cóż, kapitanie, po pierwsze, on wcale nie umarł. To raczej nie w porządku kopać dalej, skoro on tam leży i dycha.

Przez cały poranek czekali, aż Hugh Glass umrze. Nie odzyskał przytomności. Skórę miał bladą i bezbarwną wskutek utraty krwi, oddychał ciężko. Mimo to pierś ciągle wznosiła się i opadała, jeden oddech uparcie następował po drugim.

Kapitan Henry przemierzał przestrzeń dzielącą nurt rzeczny i polanę, tam i z powrotem, i tuż przed południem wysłał Blacka Harrisa na zwiady w górę rzeki. Gdy Harris wrócił, słońce stało w zenicie. Nie zauważył żadnych Indian, ale szlak, którym zwierzęta podążały do wodopoju przy drugim brzegu, pełen był tropów ludzi i koni. Dwie mile w górę rzeki Harris natknął się na opuszczone obozowisko. Kapitan nie mógł już dłużej czekać.

Rozkazał dwóm ludziom ściąć młode drzewka. Używając koców, na których leżał Glass, mieli sporządzić nosze.

– A może zrobimy włóki, kapitanie? Muł by je pociągnął.

– Nad rzeką jest zbyt nierówny grunt, żeby ciągnąć go na włókach.

– Więc oddalmy się od rzeki.

– Po prostu zróbcie te cholerne nosze – powiedział kapitan. Rzeka stanowiła jedyny drogowskaz na tym nieznanym terytorium. Henry nie miał najmniejszego zamiaru oddalać się od jej brzegów choćby o jard.

Rozdział 4

28 sierpnia 1823 roku

Mężczyźni docierali kolejno do przeszkody i zatrzymywali się. Rzeka Grand płynęła wprost na stromą ścianę piaskowca, która zmuszała ją w tym miejscu do skrętu. Woda wirowała i piętrzyła się pod skałą, po czym rozlewała szeroko w kierunku przeciwnego brzegu. Bridger i Świnia, którzy nieśli Glassa, dotarli tu jako ostatni. Położyli nosze na ziemi. Zdyszany Świnia zwałił się ciężko na tyłek. Koszulę miał ciemną od potu.

Wszyscy przybyli zadzierali do góry głowy, z miejsca uświadamiając sobie, że mają tu dwojaki wybór, jeśli chcą posuwać się dalej. Po pierwsze, mogą wspiąć się po stromej ścianie urwiska. Było to wykonalne, ale tylko z wykorzystaniem obu rąk i nóg. Tę właśnie drogę obrał Black Harris, który szedł tędy dwie godziny przed pozostałymi. Widzieli jego szlak, połamane gałązki, za które chwycił, podciągając się w górę. Nikt nie miał wątpliwości, że ani niosący nosze, ani muł nie dadzą rady tędy wejść.

Drugą możliwością było przebycie rzeki wplaw. Płaski drugi brzeg prezentował się zachęcająco, ale problem polegał na tym, jak się tam dostać. Głębia powstała przy rzeczonym wale musiała mieć co najmniej pięć stóp, a nurt należał do wartkich. Zmarszczki na wodzie, mniej więcej pośrodku rzeki, świadczyły, że jest tam dość płytko. Z tego miejsca łatwo byłoby już dotrzeć, brodząc, na drugi brzeg. Zwinny człowiek dałby radę utrzymać się na nogach w głębszej wodzie, trzymając strzelbę i proch wysoko nad głową; mniej sprawnemu groził upadek, ale nawet wtedy mógłby podplynać kilka jardów ku płyciźnie.

Nie nastroczało również kłopotów przeprowienie muła. Samica słynęła ze swej miłości do wody do tego stopnia, że otrzymała przezwisko Kaczka. Codziennie pod wieczór przez wiele godzin potrafiła wystawać w wodzie aż po wydęty brzuch. Właśnie przez tę osobliwą skłonność mulicy Mandanowie nie ukradli jej wraz z pozostałymi zwierzętami. Gdy tamte pasły się albo spały nad brzegiem rzeki, Kaczka zazwyczaj stała sobie w płytkiej wodzie na mieliźnie. Kiedy rozbójnicy próbowali ją uprowadzić, tkwiła jak wryta w muł. Aby ją stamtąd wyciągnąć, trzeba było połączonych wysiłków połowy oddziału.

Tak więc problemem nie była mulica. Problemem był, rzecz jasna, Glass. Przekroczenie rzeki z noszami nad głową nie wchodziło w grę.

Kapitan Henry rozmyślał nad tym wszystkim, przeklinając Harrisa, że nie pozostawił im znaku, by przebyli rzekę wcześniej. Minęli przecież łatwy bród

wyżej, jedną milę stąd. Nie cierpiał, gdy jego oddział rozpadał się na kilka grup, choćby na parę godzin, bez sensu byłoby jednak kazać wszystkim maszerować z powrotem.

– Fitzgerald, Anderson, wasza kolej przy noszach. Bernot, ty i ja pójdziemy razem z nimi do brodu, który minęliśmy. Reszta przekroczy tutaj rzekę i zaczeka.

Fitzgerald wpatrywał się gniewnie w kapitana i mamrotał coś pod nosem.

– Masz coś do powiedzenia, Fitzgerald?

– Zaciągnąłem się na trapera, kapitanie, nie na jakiegoś cholernego muła.

– Twoja kolej chwycić za nosze, tak jak wszyscy inni.

– Więc ja powiem panu to, co inni boją się powiedzieć w oczy. Wszyscy zastanawiamy się, czy zamierza pan wlec te zwłoki aż do Yellowstone.

– Zamierzam zrobić dla niego dokładnie to, co zrobiłbym dla ciebie i dla każdego człowieka w tym oddziale.

– Dla nas to pan po prostu kopie grób. Jak długo pańskim zdaniem będziemy jeszcze paradować przez tę dolinę, zanim natkniemy się na jakąś grupę myśliwych? Glass nie jest jedynym człowiekiem w tym oddziale.

– Ty też nie – wtrącił Anderson. – Fitzgerald nie mówi w moim imieniu, kapitanie, i założę się, że wielu ludzi podziela moje zdanie.

Anderson podszedł do noszy i umieścił swoją strzelbę obok Glassa.

– Chce pan, żebym go sam ciągnął?

Nieśli tak Glassa od trzech dni. Rzeka bądź tworzyła piaszczyste łachy, bądź płynęła między porzucanymi głazami. Widoczne od czasu do czasu nad linią wody kępy topól ustępowały miejsca urokliwym zaroślom wikliny, sięgającym nawet dziesięciu stóp wysokości. Strome stoki przy zakrętach zmuszały ich do wspinaczki; w tych gigantycznych rozpadlinach erozja pocięła skałę na równe plastry, niczym tasak. Szli zakosami przez uciążliwe rumowiska pozostałe po wiosennej powodzi – sterty kamieni, połamane gałęzie, a nawet drzewa powalone w całości, o pniach wyblakłych od słońca i gładkich jak szkło wskutek działania wody i piasku. Gdy teren stawał się nazbyt nierówny, przekraczali rzekę i szli dalej pod prąd, a mokra skórzana odzież jeszcze bardziej ich obciążała.

Rzeka stanowiła na tych równinach coś w rodzaju arterii komunikacyjnej i nie tylko ludzie Henry'ego podróżowali jej brzegiem. Traperzy nieustannie znajdowali liczne tropy i opustoszałe obozowiska. Black Harris dwukrotnie zauważył niewielkie grupki indiańskich myśliwych. Odległość była jednak zbyt duża, by ustalić, czy to Siuksowie czy Arikara, jakkolwiek przedstawiciele obu plemion oznaczali niebezpieczeństwo. Wojownicy Arikara, od czasu bitwy nad Missouri, z pewnością byli wrogo nastawieni. W tamtej potyczce Siuksowie brali udział jako sprzymierzeńcy białych, jednak ich aktualne usposobienie

pozostawało zagadką. Oddział traperów w liczbie zaledwie dziesięciu sprawnych mężczyzn nie zniechęcał do ataku. A jednocześnie pozostające w ich posiadaniu broń, sidła, a nawet mulica stanowiły atrakcyjny przedmiot pożądania. Nieustannie czyhały na nich zasadzki, z których udawało im się wymykać dzięki zwiadowczym umiejętnościom Blacka Harrisa i kapitana Henry'ego.

„Takie terytorium lepiej przejść jak najszybciej” – pomyślał kapitan. Tymczasem oni posuwali się z trudem i powoli, w ślimaczym tempie, jak kondukt pogrzebowy.

Glass odzyskiwał i tracił przytomność, choć jeden stan nie różnił się zbyt od drugiego. Od czasu do czasu pił trochę wody, ale rany gardła uniemożliwiały mu przełknięcie stałego pokarmu. Dwa razy nosze wymknęły się niosącym z rąk, a Glass wylądował na ziemi. Przy drugim razie pękły mu dwa szwy na szyi. Zatrzymano się na dłużej, by kapitan ponownie zszył gardło, teraz już zaczerwienione od infekcji. Nikt nie trudził się sprawdzaniem stanu pozostałych ran. I tak niewiele można było z nimi zrobić. Glass zresztą nie protestował. Za sprawą rozszarpanego gardła stał się niemy, a jedynym dźwiękiem, jaki z siebie wydawał, było żałosne charczenie przy oddychaniu.

Pod koniec trzeciego dnia dotarli do miejsca, w którym do rzeki Grand wpływał niewielki strumień. Ćwierć mili w górę potoku Black Harris znalazł źródło, otoczone gęstym lasem sosnowym. Było to idealne miejsce na obóz. Henry posłał Andersona i Harrisa na poszukiwanie zwierzyny.

Woda raczej sączyła się, niżli biła ze źródła, lecz była lodowato zimna i – przefiltrowana przez omszałe kamienie – tworzyła niewielki, przejrzysty zbiornik. Kapitan Henry pochylił się i pił, myśląc o podjętej wcześniej decyzji.

Oceniał, że po trzech dniach transportowania Glassa na noszach przebyli zaledwie czterdzieści mil. Tymczasem normalnie pokonaliby co najmniej dwa razy tyle. Prawdopodobnie opuścili już terytorium Arikarów, ale Black Harris z każdym dniem znajdował coraz więcej oznak obecności Siuksów.

Oprócz niepokoju związanego z ich położeniem Henry'emu towarzyszyła też obawa – ona przed wszystkim – czy dotrą do Yellowstone na czas. Jeśli nie poświęcą dwóch tygodni na zrobienie zapasów mięsa, cały oddział znajdzie się w niebezpieczeństwie. Późna jesień bywa kapryśna, nie wiadomo, jaką pogodę przyniesie. Może trafią na pogodne dni, a może na wyjące wichry pierwszych lodowatych burz.

Oprócz obawy o fizyczne bezpieczeństwo grupy Henry czuł też wielką presję związaną z chęcią odniesienia sukcesu handlowego. Przy odrobinie szczęścia, jeśli powiodłoby się im podczas jesiennych polowań i udało co nieco pohandlować z Indianami, przywieźliby ze sobą dość skór, by usprawiedliwić to wysłanie paru ludzi w dół rzeki.

Kapitan uwielbiał wyobrazić sobie, jak pewnego jasnego lutowego dnia

wyładowana futrami piroga przybywa do St. Louis. Nagłówki o ich udanej wyprawie do Yellowstone pojawiłyby się na pierwszej stronie „Missouri Republican”. Dzięki prasie zgłosiliby się nowi inwestorzy. Ashley mógłby wytargować zastrzyk świeżego kapitału i wczesną wiosną utworzyć nowy oddział traperów. Oczyma wyobraźni Henry widział siebie, jak pod koniec lata zarządza już całą siecią łowców skór na obszarze Yellowstone. Mając odpowiednią ilość ludzi i towarów, mógłby nawet zawrzeć pokój z Czarnymi Stopami i ponownie wybrać się w pełne bobrowych rodzin doliny Three Forks. Nim nadejdzie zima, trzeba byłoby sprowadzać tam łodzie i nimi spławiać wszystkie bobrowe skórki, które udałoby im się zdobyć.

Ale wszystko zależało od czasu. Należało tam dotrzeć jak najszybciej, jeszcze przed innymi, i być w pełni sił. Henry miał wrażenie, że konkurenci podążają w to miejsce z każdej strony świata.

Na północy Brytyjczycy z Kompanii Północno-Zachodniej zakładali forty, sięgając w kierunku południowym aż do ziemi Mandanów. Brytyjczycy dominowali także na zachodnim wybrzeżu, skąd parli teraz w głąb lądu wzdłuż rzeki Kolumbia i jej dopływów. Krążyły pogłoski, że ich traperzy penetrowali już nawet okolice Rzek Wężowej i Zielonej.

Z południa, od Taos i Santa Fe, podążało ku północy kilka różnych grup: ludzie Kompanii Futrzarskiej Columbia, Francuskiej Kompanii Futrzarskiej oraz firmy Stone-Bostwick i Spółka.

Ale najbardziej odczuwalna była konkurencja ze wschodu, z samego St. Louis. W roku 1819 armia amerykańska zainicjowała Ekspedycję Yellowstone, której jednoznacznym celem było zintensyfikowanie handlu skórami. Zainteresowanie wojska zdopingowało jeszcze przedsiębiorców, już wcześniej palących się do uczestnictwa w tym procederze. Kompania Futrzarska Missouri, należąca do Manuela Lisy, prowadziła handel nad rzeką Platte. John Jacob Astor tchnął nowego ducha w pozostałości swej Amerykańskiej Kompanii Futrzarskiej, wypartej z Kolumbii przez Brytyjczyków podczas wojny 1812 roku; nową siedzibę główną firmy założył w St. Louis. Wszyscy konkurowali ze sobą o ograniczone zasoby kapitałowe i ludzkie.

Henry spojrzął na Glassa leżącego na noszach w cieniu sosen. Jak dotąd nie przytwierdził skóry głowy do czaszki rannego w sposób solidny, szwami. Spoczywała beładnie, fioletowoczarna na krawędziach, to znaczy tam, gdzie zaschła już krew utrzymywała ją na miejscu, niczym groteskowa korona na poszarpanym ciele. Kapitanem ponownie targnęły sprzeczne doznania współczucia i złości, niechęci i poczucia winy.

Nie mógł przecież winić Glassa za atak niedźwiedzia. Grizzly stanowił po prostu jeden z wielu elementów ryzyka w ich zawodzie. Gdy oddział opuszczał St. Louis, Henry zdawał sobie sprawę, że sporo z jego ludzi zginie. Poturbowane ciało

Glassa wskazywało dobitnie, iż każdy z nich staje codziennie twarzą w twarz z realnym zagrożeniem. Henry uważał Glassa za swego najlepszego człowieka, w którym idealnie łączyły się zaprawa, umiejętności przetrwania i właściwe nastawienie. Pozostali, z wyjątkiem może Blacka Harrisa, byli dlań jedynie podwładnymi: młodsi, głupszy, słabsi, mniej doświadczeni. Kapitan Henry tylko w Glassie widział kogoś równego sobie. Skoro coś takiego przytrafiło się Glassowi, równie dobrze mogło przytrafić się każdemu – także jemu. Kapitan odwrócił się od umierającego.

Wiedział, że pełnienie roli przywódczej wiąże się z podejmowaniem trudnych decyzji dla dobra całego oddziału. Wiedział, że pogranicze nade wszystko szanuje niezależność oraz samowystarczalność i tych przede wszystkim wymaga. Na zachód od St. Louis nie istniało prawo. Jednak nieokrzesanych osobników, którzy składali się na jego preriowy oddział, wiązała ze sobą mocna nić współodpowiedzialności. Nie uznawali wprawdzie żadnych praw pisanych, ale obowiązywała w ich kręgu reguła, której przestrzegali, umowa wykraczająca poza egoistyczny interes własny. W swej głębi była wręcz biblijna, a jej znaczenie rosło z każdym kolejnym krokiem ku dzikim pustkowiom. Gdy zaistniała potrzeba, każdy człowiek musiał wyciągnąć pomocną dłoń nie tylko do swych przyjaciół, lecz także zwykłych towarzyszy, a nawet obcych. Dzięki temu wszyscy wiedzieli, że ich przetrwanie może kiedyś zależeć od pomocnego gestu innych.

Przypadek Glassa wydawał się jednak negować sensowność tej reguły. „Czy zrobiłem dla niego wszystko, co w mojej mocy?” Opatrując jego rany, transportując go, z respektem oczekując na jego śmierć, żeby przynajmniej pochować go w sposób cywilizowany. Wskutek decyzji Henry’ego potrzeby ogółu zostały podporządkowane potrzebom jednego człowieka. Postępowanie to było słuszne, ale nie mogło trwać w nieskończoność. Nie tutaj.

Już wcześniej kapitan zastanawiał się, czy po prostu Glassa nie zostawić. Co więcej, cierpienie rannego było tak wielkie, że Henry rozważał nawet wpakowanie mu kulki w głowę i położenie w ten sposób kresu jego męce. Szybko porzucił pomysł uśmiercenia Glassa, pragnął jednak porozumieć się z nim jakoś, dać mu do zrozumienia, że nie może już dłużej ryzykować losów całego oddziału. Znajdą mu jakieś schronienie, zostawią go przy ognisku, dadzą mu broń i zapasy. Jeśli zdoła dojść do siebie, dołączy do nich nad Missouri. Znając Glassa, kapitan podejrzewał, że gdyby tamten mógł mówić, poprosiłby właśnie o to. Z pewnością nie chciałby narażać na niebezpieczeństwo pozostałych ludzi.

Kapitan Henry nie umiał jednak zmusić się do pozostawienia rannego swemu losowi. Od czasu ataku niedźwiedzi nie udało mu się przeprowadzić z Glassem żadnej rozmowy, nie mógł więc upewnić się co do jego życzeń. Nie mając jasnych wskazówek, nie chciał polegać na li tylko domysłach. On był tu dowódcą, ponosił za Glassa odpowiedzialność.

„Ale za pozostałych też ponoszę odpowiedzialność”. A także za inwestycję Ashleya. Za swoją rodzinę tam daleko, w St. Louis, rodzinę, która od ponad dziesięciu lat czekała, aż odniosą sukces handlowy, który zawsze wydawał się równie odległy jak same góry.

Tej nocy traperzy zgromadzili się dookoła trzech niewielkich ognisk. Mieli świeże mięso małego bizona, które wędzili nad dymem, a w zaciszu sosnowego zagajnika czuli się bezpiecznie i mieli pewność, że ogień nie zgaśnie. Był koniec sierpnia, po zachodzie słońca robiło się więc dość szybko chłodno: nie zimno, lecz jakby dla zaznaczenia przejścia jednej pory roku w drugą, która czaiła się już za horyzontem.

Kapitan wstał i odwrócił się do zebranych mężczyzn, który to oficjalny gest wskazywał, iż to, co ma do powiedzenia, jest ważne.

– Musimy się spieszyć. Potrzebni mi są dwaj ochotnicy, którzy zostaną tutaj z Glassem, dopóki nie umrze, a wtedy zapewnią mu godny pochówek i dołączą do reszty. Kompania Futrzarska Gór Skalistych zapłaci po siedemdziesiąt dolarów każdemu, kto zaryzykuje pozostanie z Glassem.

W jednym z ognisk pękł sosnowy konar, wyrzucając w czyste nocne niebo snop iskier. Nad całym obozem zalegała cisza, gdy mężczyźni w milczeniu rozważali sytuację i złożoną ofertę. Było coś upiornego w oczekiwaniu na śmierć Glassa, mimo wszystko pewną. Francuz Jean Bernot przeżegnał się. Pozostali po prostu gapili się w ogień.

Przez dłuższy czas nikt się nie odzywał. Wszyscy myśleli o pieniądzu. Siedemdziesiąt dolarów stanowiło ponad jedną trzecią ich rocznego wynagrodzenia. Z perspektywy zimnej, czystej ekonomii Glass powinien był jak najszybciej umrzeć. Siedemdziesiąt dolarów za kilka dni na polanie, potem tydzień intensywnego marszu, żeby dogonić oddział. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że pozostanie w tyle to poważne ryzyko. Dziesięciu mężczyzn nie stanowiło zbyt poważnej siły w razie ataku, ale dwaj byli właściwie bezbronni. Gdyby przypadkiem trafiła na nich grupa indiańskich wojowników... Na co ci siedemdziesiąt dolarów, jeśli jesteś martwy?

– Ja z nim zostanę, kapitanie. – Siedzący przy ogniskach mężczyźni odwrócili się zaskoczeni, że na ochotnika zgłasza się Fitzgerald.

Kapitan Henry nie wiedział, jak zareagować, tak bardzo podejrzana wydała mu się motywacja tego człowieka.

Ten odczytał jego wahanie właściwie.

– Nie robię tego z miłości, kapitanie. Robię to dla pieniędzy, to przecież jasne jak słońce. Ale jeśli woli pan kogoś innego do niańczenia Glassa, to niech pan sobie sam wybiera.

Kapitan Henry rozejrzał się po mężczyznach siedzących w luźnym kręgu.

– Kto jeszcze zostanie?

Black Harris wrzucił do ogniska niewielki patyk.

– Ja, kapitanie. – Glass był starym przyjacielem Harrisa, a myśl, że mógłby pozostawić go z Fitzgeraldem, bardzo mu doskwierała. Żaden z traperów nie lubił Fitzgeralda. Glass zasługiwał na coś lepszego.

Kapitan pokręcił głową.

– Ty nie możesz zostać, Harris.

– Co to znaczy, że nie mogę zostać?

– Nie możesz. Wiem, że byliście przyjaciółmi, współczuję ci. Ale jesteś mi potrzebny jako zwiadowca.

Raz jeszcze zapadła długa cisza. Większość zebranych wpatrywała się pustym wzrokiem w ogień. Jeden po drugim dochodzili do tego samego nieprzyjemnego wniosku: nie warto. Te pieniądze nie są tego warte. I ostatecznie sam Glass nie jest tego wart. Nie żeby go nie szanowali. Lubili go nawet. Niektórzy, jak Anderson, czuli się dodatkowo zobowiązani za okazaną im wcześniej uprzejmość i pomoc. Byłoby lepiej, myślał Anderson, gdyby kapitan poprosił ich o pozostanie w celu utrzymania Glassa przy życiu – ale nie takie zadanie wymienił Henry. Zadanie polegało na oczekiwaniu wraz z Glassem na jego śmierć, a potem na pochowaniu ciała. Nie warto.

Henry zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście będzie zmuszony powierzyć tę misję tylko Fitzgeraldowi, gdy nagle Jim Bridger powstał niezdarnie na nogi.

– Ja zostanę.

Fitzgerald zachnął się.

– Jezu, kapitanie, chyba nie każe mi pan tu zabawić z jakimś gówniarzem! Jeśli Bridger ma tu zostać, to niech pan mi lepiej zapłaci stawkę za opiekę nad dwojgiem ludzi.

Słowa te uderzyły w Bridgera niczym ciosy pięścią. Poczuł, jak krew się w nim burzy z zawstydzenia i gniewu.

– Obiecuję panu, kapitanie, że wypełnię tę powinność.

Nie takich ochotników kapitan się spodziewał. Uświadomił sobie, że pozostawienie Glassa z Bridgerem i Fitzgeraldem niewiele się różni od porzucenia go na pastwę losu. Bridger to w gruncie rzeczy jeszcze chłopiec. W ciągu roku pracy na rzecz Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych pokazał, że jest uczciwy i pojętny, nie mógł jednak stanowić przeciwwagi dla Fitzgeralda. Fitzgerald zaś to najemnik. Ale przecież, myślał kapitan, czyż nie do tego w swej najgłębszej istocie sprowadza się droga życiowa, którą obrał? Czy nie polega na kupowaniu sobie zastępców, mianowaniu pełnomocników, nabywaniu namiastki ich odpowiedzialności? By ulżyć własnej odpowiedzialności? Ale cóż innego mógłby uczynić? Nie miał wyboru.

– W takim razie niech będzie – rzekł. – Wszyscy pozostali ruszają o świcie.

Rozdział 5

30 sierpnia 1823 roku

Mijał wieczór drugiego dnia od chwili, gdy kapitan Henry i reszta oddziału odeszli. Fitzgerald kazał chłopakowi nazbierać drewna na opał i pozostał w obozie sam z Glassem. Ranny leżał przy jednym z niewielkich ognisk. Fitzgerald nie zwracał na niego uwagi.

Nad polaną wznosiła się stroma formacja skalna. Masywne głązy układały się w kamienny stos, jak gdyby rękoma jakiegoś tytana ułożone jeden na drugim i ściśnięte ze sobą.

Ze szczeliny między wielkimi kamieniami wyrastała samotna, poskręcana sosna. Drzewo było krewniakiem sosen wydmowych, z których miejscowe plemiona indiańskie wyrabiały szkielety swych tipi, jednak jej zarodek musiał pochodzić z żyznej gleby na dole, na której rósł las. Wiele dziesięcioleci temu jakiś wróbel wyskubał go z szyszki i uniósł się wysoko w górę, ponad polanę. Nasionko wypadło mu zapewne z dzioba i wylądowało w szczelinie skalnej. W szczelinie znajdowało się nieco gleby, a padający czasem deszcz umożliwiał wzrost. W ciągu dnia skały zatrzymywały ciepło, choć częściowo rekompensując roślinie nieprzyjazne otoczenie. Do światła słonecznego nie prowadziła żadna prosta droga, dlatego sosna rosła najpierw na bok, a dopiero potem do góry, przedzierając się przez szczelinę ku niebu. Ze zwichrowanego pnia wystawało kilka sękatych gałęzi pokrytych żalonymi kępkami igieł. W dole sosny wydmowe rosły prosto jak strzały, sięgając niekiedy nawet dwudziestu jardów ponad poszycie lasu. Żadna jednak nie sięgała wyżej niż poskręcane drzewo na szczycie skały.

Gdy kapitan i reszta oddziału odeszli, Fitzgerald obrał prostą strategię: zgromadzić jak największy zapas suszonego mięsa, by móc poruszać się jak najszybciej, gdy Glass w końcu umrze, a do tego czasu trzymać się z dala od obozu, ile się da.

Znajdowali się wprawdzie dość daleko od wielkiej rzeki, Fitzgerald nie uważał jednak ich pozycji nad potokiem za zbyt bezpieczną. Strumień prowadził wprost na polanę. Zwęglone pozostałości po ogniskach świadczyły wymownie o tym, że z tutejszego źródła korzystało wielu ludzi. Fitzgerald obawiał się nawet, że o tej polanie wiadomo powszechnie jako o dobrym miejscu na obozowisko. A jeśli nawet nie, znad rzeki prowadziły tu wyraźne ślady oddziału i muła. Grupa myśliwych lub wojowników dojrzałaby je z łatwością, gdyby znalazła się w

pobliżu brzegów rzeki Grand.

Fitzgerald spojrział z goryczą na Glassa. W dniu, w którym oddział wyruszył w drogę, z chorobliwej ciekawości obejrzał rany tamtego. Szwy na poharatanym gardle mężczyzny wciąż trzymały, mimo upadku z noszy, ale cała szyja była czerwona od infekcji. Rany klute na nodze i ramieniu zdawały się goić, w odróżnieniu od głębokich cięć na plecach, które pozostawały w stanie zapalnym. Szczęśliwie dla siebie Glass przez większość czasu był nieprzytomny. „Kiedy ten gnojek wreszcie umrze?”

O tym, że John Fitzgerald znalazł się na pograniczu, zdecydowały dość zagmatwane koleje losu. Wszystko zaczęło się od jego ucieczki z Nowego Orleanu w roku 1815, dzień po tym, jak w pijanym szale zadźgał na śmierć prostytutkę.

Wychował się w Nowym Orleanie jako syn szkockiego marynarza oraz córki kupca z Cajun. W ciągu dziesięciu lat małżeństwa ojciec zawijał do portu tylko raz do roku, dopóki jego statek nie zatonął gdzieś na Karaibach. Podczas każdego pobytu w Nowym Orleanie pozostawiał w swej płodnej żonie nasienie, powołując w ten sposób do życia nowego członka rodziny. Trzy miesiące po otrzymaniu wiadomości o śmierci męża matka Fitzgeralda poślubiła starszawego właściciela sklepu z mydłem i powidłem, który to czyn podyktowany był pragnieniem utrzymania rodziny. Jej pragmatyczna decyzja wyszła większości dzieci na dobre. Ośmioro osiągnęło wiek dorosły. Dwóch najstarszych synów przejęło sklep po śmierci ojczyrna. Większość pozostałych chłopców znalazła sobie uczciwą pracę, a dziewczęta wyszły dobrze za mąż. Tylko John w tym wszystkim gdzieś się zagubił.

Od wczesnych lat Fitzgerald przejawiał skłonności oraz pewien talent do stosowania przemocy. Wszelkie spory rozwiązywał szybko za pomocą pięści lub kopniaków; ze szkoły wyrzucono go, gdy miał lat dziesięć, za to, że koledze z klasy wbił w nogę ołówek. W najmniejszym stopniu nie interesowała go ciężka praca na morzu, jaką wykonywał jego ojciec, chętnie jednak zanurzał się w podejrzane portowe zaułki. W dokach, w których spędził młodsze lata, doskonalił umiejętności walki na pięści. Gdy miał lat siedemnaście, pewien marynarz pociął mu twarz podczas awantury w knajpie. Incydent ten pozostawił po sobie pamiątkę w postaci haczykowatej blizny, w samym zaś Fitzgeraldzie wzmógł zainteresowanie ostrymi narzędziami. Zaczęła się fascynacja nożami, kolekcjonowanie sztyletów i skalpeli we wszelkich rozmiarach i kształtach.

W wieku dwudziestu lat Fitzgerald zakochał się w młodej dziwce pracującej w portowej knajpie, Francuzce Dominique Perreau. Mimo finansowego podłoża ich relacji, zawód wykonywany przez Dominique oraz płynące z tego faktu konsekwencje nie w pełni docierały do świadomości Fitzgeralda. Gdy pewnego

dnia młodzieniec zastał ukochaną na zabawie z grubym kapitanem łodzi, wpadł we wściekłość. Zadźgał oboje i uciekł. Ze sklepu brata skradł osiemdziesiąt cztery dolary, po czym wykupił miejsce na statku zmierzającym na północ, w górę Missisipi.

Przez pięć lat zarabiał na życie w tawernach Memphis. Doglądał szynku w zamian za izbę do spania, wyżywienie oraz niewielką pensję w lokalu znanym jako Złoty Lew, z pretensjami do rozwinięcia skrzydeł. Oficjalne stanowisko barmana dało Fitzgeraldowi coś, czego nie miał w Nowym Orleanie – prawo do angażowania się w bójkę. Awanturników wyrzucał z szynku z rozkoszą, która zdumiewała nawet gruboskórną klientelę owego przybytku. Dwukrotnie nieomal zatłukł kogoś na śmierć.

Fitzgerald dysponował też pewnymi zdolnościami matematycznymi, dzięki którym jego bracia stali się sprawnymi księgowymi; on wolał tę wrodzoną inteligencję wykorzystywać do hazardu. Przez pewien czas zadowalał się trwonieniem skromnego wynagrodzenia otrzymywanego w szynku. Później przerzucił się na wyższe stawki. Wymagało to większych pieniędzy, ale Fitzgeraldowi nie brakowało chętnych do udzielania pożyczek.

Zasilony dwustu dolarami od właściciela konkurencyjnej tawerny, Fitzgerald przeżył swoje pięć minut. Na własną rękę wygrał tysiąc dolarów w karty (damy na dziesiątkach), po czym kolejny tydzień spędził na hulankach, świętując. Sukces ten napęłnił go fałszywym przekonaniem co do swych wielkich umiejętności w dziedzinie hazardu oraz zachłannym pragnieniem nowych wygranych. Rzucił pracę w Złotym Lwie i zaczął żyć z gry w karty. Jednak szczęście opuściło go z dnia na dzień, i już po miesiącu był winien dwa tysiące dolarów pewnemu lichwiarzowi, który nazywał się Goeffrey Robinson. Przez kilka tygodni udawało mu się unikać Robinsona, aż w końcu dopadli go dwaj siepacze tamtego i złamali mu rękę. Dostał tydzień na spłatę długu.

Pełen desperacji znalazł drugiego pożyczkodawcę, Niemca Hansa Bangemanna – wziął od niego fundusze na spłatę pierwszego wierzyciela. Otrzymałszy jednak do ręki kolejne dwa tysiące dolarów, Fitzgerald przeżył objawienie: ucieknie z Memphis i zacznie gdzieś nowe życie. Nazajutrz rano znów znalazł się na pokładzie statku zmierzającego na północ. Pod koniec lutego 1822 roku wylądował w St. Louis.

Po miesiącu w tym nieznanym mu mieście Fitzgerald usłyszał, że dwóch mężczyzn wypytuje po knajpach o miejsce pobytu „karciarza z blizną na twarzy”. W małym świątku lichwiarzy z Memphis wieści rozchodziły się szybko, dlatego Geofrey Robinson i Hans Bangemann rychło dowiedzieli się o każdym szczególe podłej zdrady Fitzgeralda. Złożywszy się po sto dolarów, wynajęli dwóch siepaczy w celu odnalezienia zbiega, zamordowania go oraz odzyskania tyłu pieniędzy, ile tylko się da. Co do pieniędzy nie mieli specjalnych nadziei, przede wszystkim

pragnęli jednak pozbawić Fitzgeralda życia. Troszczyli się bowiem o swoją reputację, a pogłoski o ich planach obieły wszystkie bary w Memphis.

Fitzgerald znalazł się w potrzasku. St. Louis stanowiło najdalej na północ wysunięty przyczółek cywilizacji nad Missisipi. Na południe bał się jechać, gdyż w Nowym Orleanie i w Memphis czekałyby go tylko kłopoty. Pewnego dnia usłyszał, jak grupka klientów w jednym z barów w podnieceniu rozprawia o jakimś ogłoszeniu w gazecie „Missouri Republican”. Wziął ją do ręki i przeczytał:

Do wszystkich śmiałych młodych mężczyzn.

Ogłoszeniodawca pragnie zatrudnić stu młodych ludzi w celu odbycia podróży w górę rzeki Missouri, aż do jej źródeł, gdzie znajdą pracę na okres jednego roku, dwóch lub też trzech lat. O szczegóły proszę pytać kapitana Henry’ego z kopalni ołowiu w okręgu Washington, który poprowadzi ekspedycję jako jej dowódca.

Fitzgerald szybko podjął decyzję. Za resztkę pieniędzy, które ukradł Hansowi Bangemannowi, zakupił znoszoną skórzaną bluzę, mokasyny i strzelbę. Nazajutrz zaprezentował się z tym wszystkim kapitanowi Henry’emu i poprosił o przyjęcie do oddziału. Henry od samego początku spoglądał na niego podejrzliwie, ale chętnych nie zgłosiło się zbyt wielu. Potrzebował stu ludzi, a Fitzgerald wydawał się odpowiednim kandydatem. Jeśli nawet miał za sobą bójki z użyciem noża, tym lepiej. Po miesiącu Fitzgerald znalazł się więc na barce na Missouri, zmierzającej na północ.

Miał wprawdzie ukryty zamiar rzucić robotę w Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych przy pierwszej nadarzającej się okazji, jednak życie na pograniczu spodobało mu się. Odkrył w sobie zdolności posługiwania się nie tylko nożem, lecz także innymi rodzajami broni. Nie potrafił tropić śladów jak prawdziwi ludzie prerii obecni w oddziale, lecz był wyśmienitym strzelcem. Wykazując się cierpliwością snajpera, podczas niedawnego obłężenia nad Missouri zabił dwóch Arikarów. Wielu spośród ludzi Henry’ego czuło przerażenie podczas walki i bało się konfrontacji z różnymi plemionami. Fitzgerald traktował to jako coś radosnego, a nawet podniecającego.

Fitzgerald popatrzył na Glassa, a potem wpił wzrok w anstadta leżącego tuż przy rannym. Rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy Bridger nie wraca, i podniósł broń z ziemi. Przyłożył ją sobie do ramienia i spojrział przez szczerbinę na lufie. Strzelba cudownie pasowała do jego ciała, jakby specjalnie po to została stworzona – fakt ten niezwykle mu się spodobał. W szerokiej szczerbince szybko pojawiał się cel, a niewielki ciężar broni pozwalał na jej pełną stabilizację podczas mierzenia. Przesuwał lufę od jednego wyimaginowanego celu do drugiego, w górę i w dół, aż

wreszcie jej wylot skierował się na Glassa.

Po raz kolejny Fitzgerald pomyślał, że anstadt wkrótce będzie należeć do niego. Wprawdzie nie omawiali tej kwestii z kapitanem, lecz któż zasługiwał na strzelbę bardziej od człowieka, który pozostał przy rannym? Roszczenia Fitzgeralda były z pewnością bardziej zasadne niż Bridgera. Wszyscy traperzy podziwiali broń Glassa. Siedemdziesiąt dolarów to w sumie skromna zapłata za podjęte ryzyko – a Fitzgerald zdecydował się na nie tylko dla anstadta. Nie wolno zmarnować takiej strzelby, oddając ją chłopakowi. Poza tym Bridger i tak powinien być zadowolony, że dostał broń po Williamie Andersonie. Rzuci mu się jeszcze jakiś ochłap – na przykład nóż Glassa.

Fitzgerald analizował w myślach plan, na który wpadł, zgłaszając się do stróżowania przy Glassie. Z każdą mijającą godziną plan ów wydawał mu się coraz bardziej pociągający, coraz pilniejszy do zrealizowania. „Czy jeszcze jeden dzień życia sprawi Glassowi jakąś różnicę?” A z drugiej strony Fitzgerald był doskonale świadom wagi, jakiej każda kolejna doba nabiera w perspektywie przeżycia w tej dziczy.

Odłożył anstadta na miejsce. Przy głowie Glassa leżała zakrwawiona koszula. „Wystarczy przez kilka minut przyciskać ją do jego twarzy – i rano będziemy już w drodze”. Ponownie spojrzął na strzelbę, odcinającą się brązowo na tle uschłego sosnowego igliwia o barwie pomarańczy. Sięgnął po koszulę.

– Obudził się? – Bridger stał tuż za nim, trzymając w rękach drewno na opał.

Fitzgerald wzdrygnął się i na chwilę stracił rezon.

– Chryste, chłopcze! Spróbuj jeszcze raz podkraść się do mnie w ten sposób, a przysięgam na Boga, że cię zabiję!

Bridger rzucił drewno na ziemię i podszedł do Glassa.

– Tak się zastanawiałem, czy nie dać mu trochę rosołu.

– To cholernie miłe z twoje strony, Bridger. Wlej mu do gardła kapkę rosołu, a może pożyje o tydzień dłużej zamiast zdechnąć jutro! Lepiej ci się będzie spało dzięki temu? Co ty sobie wyobrażasz, że jak mu dasz zupy, to zaraz wstanie i zacznie chodzić?

Bridger milczał przez chwilę, a potem powiedział:

– Mówisz, jakbyś pragnął jego śmierci.

– Oczywiście, że pragnę jego śmierci! Popatrz tylko na niego. To on sam pragnie śmierci! – Fitzgerald przerwał dla większego efektu. – Chodziłeś ty kiedyś do szkoły, Bridger? – zapytał, znając odpowiedź.

Chłopak pokręcił głową.

– Pozwól więc, że udzielę ci krótkiej lekcji arytmetyki. Kapitan Henry i cała reszta robią przypuszczalnie koło trzydziestu mil dziennie, skoro nie muszą już taszczyć Glassa. Załóżmy, że my będziemy od nich szybsi; uda nam się iść w tempie czterdziestu mil dziennie, powiedzmy. Wiesz, ile to jest czterdzieści odjąć

trzydzieści, Bridger?

Chłopak wpatrywał się weń pustym wzrokiem.

– No to ci powiem. Dziesięć. – Fitzgerald uniósł w górę palce obu dłoni w pełnym szyderstwa geście. – Tylko tyle, chłopcze. Niezależnie od tego, jaką mają nad nami przewagę, gdy już wyruszymy, możemy nadrobić jedynie dziesięć mil na dobę. A są przed nami jakieś sto mil. To znaczy, że będziemy musieli dawać sobie radę sami przez dziesięć dni, Bridger. I to zakładając, że on umrze dzisiaj, a my znajdziemy tamtych bez problemu. Dziesięć dni z możliwością, że napatoczy się na nas jakiś oddział Siuksów. Nie rozumiesz?! Każdy dzień pobytu w tym miejscu oznacza trzy dni samotnego marszu. Kiedy Siuksowie z tobą skończą, chłopcze, będziesz wyglądał jeszcze gorzej niż Glass. Widziałeś kiedyś oskalpowanego człowieka?

Bridger nie odpowiedział, choć widział kogoś takiego. Był przy tym, jak w okolicy wodospadów Great Falls kapitan Henry przywiózł do ich obozowiska dwóch traperów zamordowanych przez Czarne Stopy. Bardzo wyraźnie pamiętał widok, jaki przedstawiały zwłoki. Kapitan przerzucił je twarzami w dół przez jednego jucznego muła. Gdy odciął podtrzymujące je sznury, ciała spadły sztywno na ziemię. Członkowie oddziału zebrali się dookoła zszokowani i przyglądali się okaleczonym zwłokom towarzyszy, którzy jeszcze rano siedzieli z nimi przy jednym ognisku. Okaleczenia nie ograniczały się tylko do zdjętych skalpów. Obu mężczyznom obcięto nosy i uszy, a także wyłupiono oczy. Bridger pamiętał, że pozbawione nosów ich głowy bardziej przypominały nagie czaszki. Zdarto z nich ubrania i pozbawiono przyrodzenia. Na szyjach i nadgarstkach widać było wyraźną linię wyznaczającą granicę opalenizny. Powyżej niej skóra była twarda i brązowa jak ta, z której wyrabia się siodła, natomiast reszta ciała pozostała biała jak śnieg. Wyglądało to niemal śmiesznie. Mogłoby wręcz stanowić temat żartów, gdyby nie było tak straszne. Oczywiście, nikt się nie śmiał. Zawsze podczas kąpieli Bridger przypominał sobie tę scenę – i to, że gdzieś pod spodem wszyscy mają tę białą, bielutką skórę, słabą jak u niemowlęcia.

Bridger z całych sił, wręcz desperacko pragnął przeciwstawić się Fitzgeraldowi, nie był jednak zdolny odeprzeć jego argumentów. Tym razem nie ze względu na brak słów, lecz brak powodów. Łatwo było potępiać motywy, którymi kierował się Fitzgerald – jak sam przyznał, chodziło mu o pieniądze. Ale co kieruje mną, zastanawiał się Bridger. Raczej nie pieniądze. Wszystkie te liczby plątały mu się jedna z drugą, a zresztą jego regularna pensja zapewniała mu większe bogactwo, niż kiedykolwiek wcześniej doświadczył. Bridger chciał wierzyć, że kieruje się lojalnością oraz wiernością wobec towarzysza z oddziału. Bez wątpienia poważał Glassa. Ten był dlań uprzejmy, liczył się z nim nawet w drobnych sprawach, uczył go, bronił przed wstydem. Bridger przyznawał, że ma wobec Glassa dług, lecz jak daleko ów dług sięgał?

Chłopak przypomniał sobie zaskoczenie i podziw w oczach traperów, gdy zgłosił się na ochotnika, by zostać z Glassem. Co za kontrast wobec gniewu i pogardy, z jaką potraktowano go w ową straszliwą noc, kiedy pełnił wartę. Przywołał w duchu chwilę, w której oddział opuszczał obóz, a kapitan poklepał go po ramieniu – ten prosty gest nappełnił go wówczas poczuciem wspólnoty i przynależności, jak gdyby po raz pierwszy zasłużył sobie na miejsce wśród prawdziwych mężczyzn. Czyż nie z tego powodu znajdował się teraz na polanie – by ukoić zranioną dumę? Nie po to, żeby zatroszczyć się o drugiego człowieka, lecz o samego siebie? Czym się różnił od Fitzgeralda, który korzystał na nieszczęściu innego? Cokolwiek by powiedzieć o Fitzgeraldzie, był on przynajmniej szczery, jeśli chodzi o powody swojej decyzji.

Rozdział 6

31 sierpnia 1823 roku

Poranek trzeciego dnia w obozie Bridger spędzał samotnie, przez kilka godzin naprawiając swoje mokasyny, w których po długiej podróży powstały dziury, a przez to chłopak stopy miał podrapane i posiniaczone. Cieszył się więc z okazji do załatania uszkodzeń. Wykroił sobie kawałek z połaci niewyprawionej skóry, którą pozostawił tu odchodzący oddział traperów, sztyłem nakłuł otwory dookoła krawędzi i zrobił sobie nową podeszwę. Ścieg był nierówny, aletrzymał mocno.

Obejrzawszy krytycznie swe dzieło, zerknął na Glassa. Nad jego ranami unosiły się roje much; Bridger zauważył, że Glass ma popękane i spieczone wargi. Chłopaka znów ogarnęły wątpliwości, czy faktycznie znajduje się na wyższym poziomie moralnym niż Fitzgerald. Napełnił wielki cynowy kubek zimną wodą ze źródła i przyłożył do ust Glassa. Ciecz wywołała odruchową reakcję, Glass zaczął pić.

Gdy skończył, Bridger poczuł się lekko rozczarowany. Fajnie pomagać innym, być użytecznym. Wpatrywał się w Glassa. Fitzgerald miał rację, no jasne. Nie ulegało wątpliwości, że Glass umiera. „Czy nie powinienem zrobić dla niego, co w mojej mocy? Zapewnić mu choć odrobinę wygody w ostatnich godzinach życia?”

Matka Bridgera umiała z niemal każdej rośliny wycisnąć substancję leczniczą. Chłopak wielokrotnie żałował, że nie zwracał uwagi na to, co przynosiła z lasu; jej koszyk zawsze był pełen różnych kwiatów, liści i kory. On sam znał tylko kilka pospolitych roślin, ale na skraju polany znalazł to, czego potrzebował: sosnę o lepkiej żywicy, gęstej niczym melasa. Zardzewiałym nożem do sprawiania skór zaczął zbierać żywicę, dopóki na ostrzu nie zgromadziła się jej spora ilość. Wrócił do Glassa i uklęknął przy nim. Najpierw skupił się na ranach na nodze i ramieniu, gdzie pazury niedźwiedzicy wbiły się bardzo głęboko. Tu skóra wciąż miała barwę czarnosiną, ale wydawało się, że zdrowieje. Bridger nakładał żywicę palcem, wpychał ją do ran i rozsmarowywał wokół nich.

Następnie przewrócił Glassa na bok i dokładnie obejrzał jego plecy. Po upadku z noszy prymitywne szwy puściły, widać też było oznaki niedawnego krwawienia. Ale to nie krew, lecz rozległa infekcja sprawiała, że plecy Glassa były karmazynowe. Przez niemal cały ten obszar ciągnęło się pięć długich, równoległych nacięć. W ich środkowej części zbierała się żółta ropa, a krawędzie aż gorzały ostrą czerwienią. Zapach skojarzył się Bridgerowi ze zsiadłym

mlekiem. Nie bardzo wiedząc, co robić, wysmarował całe plecy rannego sosnową żywicą, dwukrotnie wracając do drzewa po świeżą dostawę.

Na koniec zajął się ranami na szyi. Szwy założone przez kapitana tkwiły na swoim miejscu, aczkolwiek chłopak odniósł wrażenie, że służą jedynie do zamaskowania potwornych zniszczeń pod spodem. Świszczący charkot, wydobywający się przy każdym oddechu nieprzytomnego, nie ustawał; przywodził na myśl terkot poluzowanej części jakiejś maszyny. Bridger raz jeszcze podszedł do sosen, tym razem szukając drzewa z odstającą korą. Znalazł je i nożem podważywszy kawałek kory, zebrał do kapelusza trochę delikatnego łyka.

Napełnił kubek wodą ze źródła i postawił go nad tłącym się ogniskiem. Gdy woda zawrzała, wrzucił do kubka łyko sosnowe i rozmieszał wszystko ręką noża. Pracował dopóty, dopóki konsystencja mikstury nie osiągnęła gęstości i gładkości mułu. Zaczekał chwilę, aż owa maść nieco ostygnie, po czym nałożył ją na gardło Glassa, zaczynając od nacięć i rozsmarowując w kierunku barku. Następnie podszedł do swego niewielkiego zawiniątka i wyjął z niego pozostałości zapasowej koszuli. Uzyskanym w ten sposób bandażem owinął pokryte maścią rany; musiał nieco unieść głowę Glassa, aby zawiązać mu na karku mocny węzeł.

Delikatnie ułożył głowę rannego na ziemi i ze zdziwieniem stwierdził, że patrzy w otwarte oczy Glassa. Spoglądały z intensywnością i przytomnością, które dziwnie nie pasowały do tak zmasakrowanego ciała. Bridger wpatrywał się w nie uważnie, próbując odczytać wiadomość, którą Glass miał mu najwyraźniej do przekazania. „Co on chce powiedzieć?”

Glass gapił się na chłopaka jeszcze przez chwilę, po czym przymknął oczy. W krótkich okresach przytomności doświadczał wzmożonej świadomości własnego ciała, jak gdyby ktoś nagle objawił mu sekrety jego funkcjonowania. Działania podjęte przez Bridgera przyniosły mu pewną ulgę. Lekko szczypiąca sosnowa żywica miała właściwości lecznicze, a ciepło emanujące od maści sprawiało jego gardłu nieprawdopodobną przyjemność. A zarazem Glass czuł, że organizm szykuje się do kolejnej decydującej bitwy. Nie na powierzchni, lecz głęboko we wnętrzu.

Gdy Fitzgerald wrócił do obozu, cienie późnego popołudnia przechodziły w bladą poświatę wczesnego wieczoru. Niósł łanię, którą przerzucił sobie przez plecy. Zdążył wcześniej wypatroszyć zwierzę z wnętrzości i wykrwawić je, poderżnąwszy gardło. Rzucił zdobycz przy jednym z ognisk. Upadła, przyjmując nienaturalną pozycję, tak odmienną od pełnej gracji postawy za życia.

Fitzgerald gapił się na świeże opatrunki na ciele Glassa. Jego twarz przybrała napięty wyraz.

– Tracisz tylko czas. – Milczał przez chwilę. – Miałbym to głęboko gdzieś, tylko

że ty tracisz także mój czas.

Bridger zignorował te słowa, choć czuł, jak krew uderza mu do głowy.

– Ile masz lat, chłopcze?

– Dwadzieścia.

– Akurat, pieprzysz mi tu głupoty. Nie dasz rady nic powiedzieć, żeby zaraz nie pisać jak gówniarz. Założę się, że w życiu nie widziałeś babskiego cycka, poza cyckami twojej starej.

Chłopak odwrócił wzrok, szczerze nienawidząc Fitzgeralda za tę psią zdolność wyczuwania w drugim człowieku słabości.

Fitzgerald chłonał zmieszanie Bridgera niczym pożywny pokarm ze świeżego mięsa. Roześmiał się.

– Co?! Nigdy nie byłeś z kobietą? Mam rację, no nie, chłopcze? O co chodzi, Bridger? Nie było cię stać na dziwkę za dwa dolce w St. Louis? – Fitzgerald rzucił swoje wielkie ciało na ziemię; usiadł wygodnie, żeby mieć jeszcze lepszą zabawę.

– A może nie lubisz dziewczyn? Jesteś pedałem? Chyba muszę zacząć sypiać na plecach, żebyś mnie nie przeleciał którejś nocy. – Bridger nadal milczał. – A może w ogóle nie masz fiutka.

Niewiele myśląc, Bridger zerwał się na równe nogi, chwycił swoją strzelbę i wycelował długą lufę w głowę Fitzgeralda.

– Ty sukinsynu! Jeszcze słowo i rozwalę ci ten pieprzony łeb!

Fitzgerald zastygł zdumiony, wpatrując się w mroczny wylot lufy. Siedział tak dłuższą chwilę i tylko patrzył. Potem jego ciemne oczy przesunęły się wolno na Bridgera, a na usta wypełził uśmiech i ogarnął bliznę.

– Cóż, punkt dla ciebie, Bridger. Już nie piszczysz jak gówniarz, kiedy jesteś wkurzony.

Parsknął krótko w reakcji na własny żart, wyciągnął nóż i zaczął sprawiać łanię. W ciszy zaległej nad obozem Bridger słyszał swój ciężki oddech i czuł gwałtowne bicie serca. Obniżył broń i usadowił się na ziemi, a następnie położył. Poczł się nagle bardzo zmęczony. Okrył ramiona derką.

Po kilku minutach Fitzgerald powiedział:

– Hej, chłopcze.

Bridger spojrział na niego, ale milczał.

Fitzgerald bezwiednie otarł zakrwawioną dłoń o nos.

– Ta twoja nowa strzelba nie wypali bez krzemienia.

Bridger popatrzył na broń. Rzeczywiście, krzemienia nie było. Krew znów napłynęła mu do twarzy, choć tym razem równie mocno jak Fitzgeralda nienawidził siebie samego. Tamten zaśmiał się cicho i nadal oddawał się swemu niełatwemu zajęciu za pomocą długiego noża.

Tak naprawdę Jim Bridger miał dziewiętnaście lat, ale ponieważ odznaczał się wątłą budową ciała, wyglądał na młodszego. Przyszedł na świat w roku 1804, tym samym, w którym rozpoczęła się sławna ekspedycja Lewisa i Clarka; za sprawą ogólnego poruszenia, jakie towarzyszyło ich powrotowi w roku 1812, ojciec Jima postanowił przeprowadzić się z Wirginii na zachód.

Rodzina Bridgerów zamieszkała na małej farmie w Six-Mile-Prairie niedaleko St. Louis. Dla ośmioletniego chłopca podróż na zachód stanowiła wspaniałą przygodę: jazda wyboistymi drogami, polowanie, żeby zdobyć jedzenie na kolację, sypianie pod gołym niebem. Na nowej farmie na Jima czekał plac zabaw w postaci czterdziestu akrów łąk i lasów, przez które przepływały strumienie. Już w pierwszym tygodniu pobytu w nowym miejscu Jim odkrył maleńkie źródło. Doskonale pamiętał swoją ekscytację, gdy prowadził ojca ku ukrytemu zdrojowi, oraz dumę, kiedy później wzniesli tam altankę. Ojciec Jima parał się – między innymi – geodezją. Chłopiec często towarzyszył mu w pracy, podsycając w sobie pragnienie poznawania świata.

Dzieciństwo Bridgera skończyło się raptownie, gdy miał lat trzynaście; wówczas to w przeciągu jednego miesiąca matka, ojciec oraz starszy brat umarli na febrę. Chłopiec z dnia na dzień został obciążony odpowiedzialnością za samego siebie, a także za młodszą siostrę. W opiece nad siostrzyczką pomagała mu starszawa ciotka, jednak cały ciężar finansowego utrzymania rodziny spadł na Jima. Podjął pracę na promie.

Missisipi z czasów dzieciństwa Bridgera tętniła życiem, ruch rzeczny nie ustawał. Z południa napływały do rozkwitającego St. Louis dostawy artykułów przemysłowych spławianych w górę rzeki, natomiast w przeciwnym kierunku płynęły surowce pozyskiwane na pograniczu. Bridger słyszał różne opowieści o wielkim mieście Nowym Orleanie oraz o obcych portach za morzem. Dane mu było poznać szalonych marynarzy, którzy potrafili przebijać się swoimi łódkami pod prąd samą siłą mięśni i woli. Rozmawiał z woźnicami przewożącymi rozmaite produkty z Lexington i Terre Haute. Widział zwiastuny przyszłości, czyli bekające basowo statki parowe na rzece, zmagające się z jej nurtem.

Jednakże to nie Missisipi zawładnęła wyobraźnią Jima Bridgera, lecz Missouri. Dwie wielkie rzeki łączyły swe wody zaledwie sześć mil od promu, na którym pływał – dzikie wody z krainy pogranicza wpadały z impetem w spokojny, nudny nurt powszedni. W tym miejscu zlewało się stare z nowym, znane z nieznanym, cywilizacja i dzicz. Bridger czekał tylko na owe rzadkie chwile, w których przybywali handlarze skór i inni podróżnicy. Swe zgrabne łódki typu machkinaw cumowali na przystani promowej, a czasem nawet tam nocowali. Zauroczony słuchał ich opowieści o dzikich Indianach, wielkich stadach zwierząt, nieskończonych równinach i niebotycznych górach.

Pogranicze stało się dla Bridgera czymś dotkliwie obecnym w jego życiu, czymś,

co wyraźnie odczuwał, a czego nie potrafił w żaden sposób określić, jakąś magnetyczną siłą, która nieubłaganie ciągnęła go ku nieznanemu. Pewnego dnia na promie Bridgera pojawił się kaznodzieja, podróżujący na łąkowanym mule. Spytał chłopca, czy wie, jakie zadanie Bóg wyznaczył mu w życiu. Bez chwili wahania Bridger odparł: „Wyjazd w Góry Skaliste”. Kaznodzieja przyjął tę odpowiedź z zachwytem i zaczął go namawiać do pracy misyjnej wśród dzikich. Bridgera nie interesowało niesienie Chrystusa plemionom indiańskim, jednak rozmowa wywarła na nim silne wrażenie. Doszedł do przekonania, że podróż na zachód nie musi być tylko jego zachcianką ujrzenia nowych miejsc. Pragnienie to uznał za integralną część swojej duszy, jej brakujący element, który można odnaleźć jedynie gdzieś w odległych górach lub na preriach.

Pełen marzeń o przyszłości, Bridger nadal pracował na swym niemrawym promie, odpychając go od dna. Tam i z powrotem, w tę i we w tę, ruch w miejscu. Nigdy nie bywał dalej niż w odległości mili od dwóch stałych punktów łączących brzegi. Krańcowe przeciwieństwo życia, jakie dla siebie wymarzył, życia wędrowca i badacza przemierzającego dziewicze tereny, życia, w którym nigdy nie pójdzie po własnych śladach.

Po roku spędzonym na promie Bridger podjął desperacką i nieprzemyślaną próbę, która miała zbliżyć go do realizacji marzeń. Zatrudnił się jako czeladnik u kowala w St. Louis. Kowal traktował go dobrze, a nawet przekazał pewną skromną sumę, by sprowadzić do miasta siostrę i ciotkę Bridgera. Jednak warunki praktyki czeladniczej były jasne – pięć lat służby.

Nowe zajęcie nie miało wprawdzie wiele wspólnego z życiem w dzikich ostępach, jednak w mieście St. Louis nie rozmawiało się właściwie o niczym innym. Przez pięć lat Bridger nasiąkał opowieściami z pogranicza. Gdy w kuźni pojawiali się wędrowcy Wielkich Równin w celu podkucia koni albo naprawy pułapek na zwierzynę, Bridger pokonywał nieśmiałość i wypytywał ich o różne sprawy. Gdzie byli? Co widzieli? Słyszał historię o nagim Johnie Colterze, który przechytrzył stu wojowników Czarnych Stóp, zamierzających zdjąć z jego głowy skalp. Jak wszyscy mieszkańcy St. Louis, znał w szczegółach opowieści o sukcesach takich traperów jak Manuel Lisa czy bracia Chouteau. Najbardziej ekscytujące były chwile, gdy od czasu do czasu spotykał swych bohaterów osobiście. Raz w miesiącu zakład kowalski odwiedzał sam kapitan Henry ze swoim koniem. Bridger nie tracił żadnej okazji, by w tym dniu dyżur przypadał jemu, jeśli istniał choćby cień szansy, że uda mu się zamienić z kapitanem parę słów. Krótkie spotkania z Henrym stanowiły dlań utwierdzenie się w wierze, namacalny dowód istnienia rzeczywistości, która na co dzień zdawała się jedynie baśnią i opowieścią.

Okres terminowania w kuźni upływał w dniu osiemnastych urodzin Bridgera, to jest 17 marca 1822 roku. Z okazji tej daty, a właściwie niedawnych id

marcowych, miejscowa trupa aktorska wystawiała spektakl na podstawie sztuki Juliusz Cezar Szekspira. Bridger zapłacił za miejsce dwadzieścia pięć centów. Inscenizacja, trwająca dość długo, wydawała się mieć niewiele sensu. Mężczyźni wyglądali głupio w obszernych togach i po raz pierwszy od dawna Bridger nie był pewien, czy aktorzy mówią po angielsku. Mimo to spektakl podobał mu się. Po pewnym czasie zaczął nawet odnosić wrażenie, że czuje rytm tego nienaturalnego języka. Przystojny aktor o zawodzącym głosie wypowiedział frazę, która przyłgnęła do Bridgera na resztę życia:

*Jest prąd we wszystkich ludzkich sprawach bystry,
Chwycony w porę wiedzie do zwycięstwa.*^{1}

Trzy dni później kowal powiedział Bridgerowi o ogłoszeniu w gazecie „Missouri Republican”. „Do wszystkich śmiałych młodych mężczyzn...”. Bridger zrozumiał, że jego prąd się zbliża.

Nazajutrz rano Bridger obudził się i zobaczył Fitzgeralda pochylonego nad Glassem, z ręką przyciśniętą do czoła rannego.

– Co ty robisz, Fitzgerald?

– Od jak dawna ma gorączkę?

Bridger zbliżył się szybko do Glassa i dotknął jego skóry. Była gorąca i mokra od potu.

– Sprawdzalem go wczoraj wieczorem, wydawało się, że wszystko jest w porządku.

– No to teraz nie jest już w porządku. To poty przedśmiertne. Sukinsyn wreszcie umiera.

Bridger stał, nie wiedząc, czy powinien czuć żal czy ulgę. Glass zaczął się trząść i drżeć. Prawdopodobieństwo, że Fitzgerald się myli, było bardzo niewielkie.

– Posłuchaj, chłopcze. Musimy być gotowi do drogi. Wybieram się na zwiady w górę Grand. Ty nazbieraj trochę jagód i zrób z mięsa pemikan.

– A co z Glassem?

– A co ma być? Stałeś się lekarzem w tym obozie? Nic już nie możemy poradzić.

– Powinniśmy robić to, co do nas należy: czekać z nim, a potem, kiedy umrze, pochować go. Tak się umawialiśmy z kapitanem.

– No to kop grób, jeśli poczujesz się przez to lepiej! A nawet, do diabła, zbuduj dla niego kapliczkę! Ale jeśli mięso nie będzie gotowe, kiedy tu wrócę, to tak ci złoję skórę, że będziesz wyglądał gorzej od niego! – Fitzgerald chwycił swoją strzelbę i ruszył w dół strumienia.

Dzień był typowy dla początku września: rano słoneczny i rześki, po południu

upalny. W miejscu, w którym potok stykał się z rzeką, teren płasko opadał; ocieęwały nurt strumienia rozlewał się szeroko po płyciźnie, a następnie łączył swe wody z bystrym prądem rzeki Grand. Uwagę Fitzgeralda przyciągnęły rozproszone tropy pozostawione przez odchodzący oddział traperów, nadal widoczne na ziemi mimo upływu czterech dni. Obrzucił wzrokiem rzekę – na nagiej gałęzi umarłego drzewa tkwił orzeł, niczym wartownik. Nagle coś zaniepokoiło ptaka. Rozpostarł skrzydła i dwoma potężnymi machnięciami wzbił się w powietrze. Sterując końcem jednego skrzydła, wykonał zgrabny zakręt i poszybował w górę rzeki.

Głośnie rzenie konia przecięło powietrze poranka. Fitzgerald obrócił się na pięcie. Słońce stało dokładnie nad nurtem rzeczny, jego ostre promienie łączyły się z wodą, tworząc roztańczone morze światła. Mrużąc oczy oślepione blaskiem, Fitzgerald mógł rozróżnić sylwetki indiańskich jeźdźców. Padł na ziemię. „Widzieli mnie?” Leżał przyciśnięty mocno do gruntu, oddychał w przerywanym rytmie. Podczołgał się w kierunku jedynej dostępnej osłony, jaką była nędzna kępa wikliny. Nasłuchiwał uważnie; znów dobiegło go rzenie konia, lecz na szczęście nie tętniący huk galopującej szarży. Dla pewności sprawdził, czy strzelba i pistolet są naładowane, zdjął z głowy czapkę z wilczej skóry i uniósł nieco głowę, zaglądając między gałęziami.

W odległości niespełna dwustu jardów, na drugim brzegu rzeki Grand, dojrzał pięciu Indian. Czterech jeźdźców utworzyło luźny półokrąg wokół piątego, który okładał batem krnąbrnego srokacza. Dwóch mężczyzn się śmiało, a wszyscy sprawiali wrażenie całkowicie pochłoniętych walką z koniem.

Jeden z mężczyzn miał na głowie pełen pióropusz z orlich piór. Fitzgerald znajdował się dostatecznie blisko, by dostrzec naszyjnik z niedźwiedzych pazurów na piersi wojownika i wydrowe skórki, którymi miał oplecione warkocze. Trzech było uzbrojonych w strzelby, pozostali w łuki. Ani na ludziach, ani na koniach nie widać było barw wojennych, i Fitzgerald domyślił się, że są na polowaniu. Nie miał też pewności, do jakiego plemienia należą, aczkolwiek założył z góry, iż każdy Indianin w tych stronach jest nastawiony do traperów wrogo. Doszedł też do wniosku, że wojownicy znajdują się poza zasięgiem jego strzelby, co mogłoby szybko ulec zmianie, gdyby zaatakowali. Miałby wówczas tylko jeden strzał z karabinu i jeden z pistoletu. Gdyby rzeka trochę ich spowolniła, może udałoby mu się ponownie naładować broń. Trzy strzały do pięciu celów. Nie podobała mu się ta proporcja.

Z brzuchem przy ziemi przedzierał się ku wysokim zaroślom wikliny nieopodal strumienia. Czołgał się przez stare ślady oddziału traperów, przeklinając fakt, że tak wyraźnie zdradzają ich pozycję. Dotarłszy do gęstwiny, odwrócił się zadowolony, że Indianie wciąż są zajęci upartym srokaczem. Mimo wszystko mogli się tu znaleźć w jednej chwili. Zauważą strumień i ślady ludzi. Cholerne

tropy! Były niczym drogowskaz wskazujący ich pozycję.

Fitzgerald przedzierał się teraz od wikliny w kierunku sosen. Po raz ostatni obejrzał się na indiańskich myśliwych. Płochliwy srokacz uspokoił się już i cała piątka jeźdźców ruszyła dalej wzdłuż rzeki. „Musimy uciekać”. Niewielki dystans dzielący go od obozu Fitzgerald pokonał, biegnąc.

Bridger tłukł właśnie polędwicą o kamień, kiedy Fitzgerald wpadł pędem na polanę.

– Pięciu Indiańców jedzie w górę Grand! – Zaczął wściekle pakować swój skromny dobytek. Nagle podniósł głowę, a w jego oczach widać było determinację i strach, a potem także złość. – Ruszaj się, chłopcze! Za chwilę nas wytropią!

Bridger upchnął mięso do sakwy. Następnie przerzucił ją sobie wraz z torbą myśliwską przez ramię i odwrócił się, żeby wziąć strzelbę, opartą o drzewo tuż obok anstadta Glassa. Glass! Świadomość wszystkich konsekwencji wynikających z tej nagłej ucieczki uderzyła chłopaka niczym trzeźwiący policzek. Spojrzał w dół, na rannego.

Po raz pierwszy tego ranka Glass miał oczy otwarte. Początkowo wydały się Bridgerowi szkliste, o nierozumiejącym wyrazie kogoś budzącego się z głębokiego snu. Im dłużej Glass patrzył, tym bardziej jego wzrok zaczynał się koncentrować, aż w końcu stało się jasne, że jego oczy spoglądają z całkowitą trzeźwością i że Glass, podobnie jak Bridger, w pełni zrozumiał znaczenie faktu obecności Indian nad rzeką.

Bridger odczuwał tę chwilę niezwykle intensywnie, niemal każdą komórką swego ciała, a jednocześnie odnosił wrażenie, iż w oczach Glassa dostrzega absolutny spokój. „Zrozumienie? Wybaczenie? A może to ja chcę w to po prostu wierzyć?” Gdy chłopak wpatrywał się w rannego, poczucie winy chwyciło go w swe żelazne kleszcze. „O czym Glass myśli? I co pomyśli sobie kapitan?”

– Jesteś pewny, że zbliżają się do strumienia? – Bridgerowi załamał się głos. Nienawidził się za ów brak kontroli nad sobą, za widoczną słabość w chwili wymagającej hartu ducha.

– Chcesz zostać i się przekonać? – Fitzgerald zbliżył się do ogniska i zebrał pozostałe mięso z prymitywnej suszarki.

Bridger ponownie spojrzął na Glassa. Ranny mężczyzna poruszył spieczonymi wargami, usiłując wyrzucić z niemego dotychczas gardła jakieś słowo.

– On próbuje coś powiedzieć. – Chłopak uklęknął, starając się zrozumieć. Glass uniósł powoli rękę i pokazał coś trzęsącym się palcem. „Chce andstadta”. – Chce, żeby podać mu jego strzelbę. Żebyśmy go posadzili i dali mu strzelbę.

Chłopiec poczuł nagle na plecach tępy ból potężnego kopniaka i padł twarzą na ziemię. Podciągnął się na czworakach i popatrzył w górę na Fitzgeralda. Wściekły wyraz twarzy tamtego zdawał się idealnie pasować do czapki z wilczej skóry.

– Ruszaj się, do cholery!

Bridger wygramolił się z trudem do pozycji stojącej, zszokowany i przestraszony. Przyglądał się, jak Fitzgerald podchodzi do Glassa, leżącego na plecach i mającego przy boku kilka należących doń rzeczy: torbę myśliwską, nóż w zdobionej paciorkami pochwie, toporek, anstadta oraz róg na proch strzelniczy.

Fitzgerald zatrzymał się i podniósł torbę myśliwską Glassa. Wygrzebawszy z jej wnętrza draskę i krzesiwo, wrzucił je do kieszeni umieszczonej na piersiach swej skórzanej bluzy. Następnie pochwycił róg na proch strzelniczy i przerzucił sobie przez ramię. Toporek zatknął za szeroki skórzany pas.

Bridger gapił się, nic nie pojmując.

– Co robisz?

Fitzgerald znów się schylił, podniósł nóż Glassa i rzucił go chłopcu.

– Weź to. – Bridger złapał przedmiot, z przerażeniem patrząc na zdobioną paciorkami pochwę w swojej ręce. Pozostała już tylko strzelba. Fitzgerald pochwycił ją i szybko sprawdził, czy jest naładowana. – Wybacz, stary Glassie. I tak żadna z tych rzeczy na nic ci się nie przyda.

Bridger patrzył wstrząśnięty.

– Nie możemy zostawić go tutaj bez niczego.

Człowiek w czapce z wilczej skóry omiótł go krótkim spojrzeniem, a potem zniknął w lesie.

Bridger patrzył na nóż, który trzymał w ręku. Potem spojrział na Glassa, którego oczy spoczywały wprost na nim, nagle pełne życia, niczym węgle pod miechem. Bridger czuł się jak sparaliżowany. Walczyły w nim sprzeczne emocje, dyktując mu sposób postępowania, aż wreszcie jedna z nich wzięła zdecydowanie górę: strach.

Chłopak odwrócił się i uciekł do lasu.

Rozdział 7

2 września 1823 roku – ranek

Był dzień. Glass tylko tyle mógł ustalić z pewnością, nawet nie musiał się ruszać, ale żadne dalsze określenie czasu nie wchodziło w grę. Leżał w tym samym miejscu, w którym upadł dnia poprzedniego. Gniew doprowadził go na skraj polany, jednak gorączka uniemożliwiła dalszą ucieczkę.

Do zewnętrznych obrażeń powstałych w wyniku ataku niedźwiedzicy doszła gorączka, która czyniła spustoszenia w jego wnętrzu. Glass miał wrażenie, jakby go wywracało na nice. Trząsał się w sposób nieopanowany, straszliwie pragnął ogrzać się przy ogniu. Rozejrzał się po obozie i zauważył, że znad spalonych bierwion nie unosi się dym. Nie ma ognia, nie ma ciepła.

Zaczął się zastanawiać, czy dałby chociaż radę przesunąć się z powrotem do swego podartego koca i uczynił w tym kierunku nieśmiałą próbę. Zbierał wszystkie siły, lecz reakcja organizmu była słaba, niczym dalekie echo unoszące się nad wielką otchłanią.

Ruch podrażnił coś w głębi jego piersi. Czując zbliżający się atak kaszlu, napiął mięśnie brzucha, by go zdławić. Lecz po tym wszystkim, co dotąd przeszło, ciało bolało go straszliwie i mimo starań Glass rozkaszlał się. Krzywiąc się z bólu, miał wrażenie, że ktoś wyciąga z niego głęboko osadzony haczyk na ryby, jakby patroszył go przez gardło.

Gdy ból nieco osłabł, Glass ponownie skoncentrował się na kocu. „Muszę się ogrzać”. Uniesienie głowy wymagało zebrania wszystkich sił. Koc leżał jakieś dwadzieścia stóp dalej. Ranny przetoczył się z boku na brzuch, manewrując lewym ramieniem wyciągniętym przed siebie. Zgiął lewą nogę w kolanie, a następnie wyprostował ją, odpychając się w ten sposób. Posługując się jedną zdrową ręką i jedną zdrową nogą, przesunął się przez polanę. Dwadzieścia stóp wydawało się równać dwudziestu milom; trzykrotnie zatrzymywał się, aby odpocząć. Każdy oddech przechodził mu przez gardło ze zgrzytem, w rozplątanych plecach znów czuł tępe pulsowanie. Gdy wreszcie koc znalazł się w jego zasięgu, wyciągnął rękę najdalej jak mógł. Owinął go sobie wokół ramion, sycąc się ciężkim ciepłem wełny znad Zatoki Hudsona. A potem zemdłał.

Przez cały długi poranek ciało Glassa walczyło z infekcją. Tracił i odzyskiwał przytomność, z reguły tkwiąc gdzieś pomiędzy tymi stanami, tylko mgliście świadom tego, co go otacza, jakby czytał książkę co kilkadziesiąt stron, na chybił trafił, a czytana historia nie miała żadnej ciągłości. W chwilach jawy rozpaczliwie

pragnął zapaść w sen, żeby uciec od bólu. Jednak każde kolejne zanurzenie się we śnie poprzedzała dręcząca i przerażająca myśl, że może się już więcej nie obudzić. „Czy tak wygląda umieranie?”

Nie miał pojęcia, jak długo tam leżał i ile czasu minęło do momentu, gdy ujrzał węża. Patrzył z mieszaniną strachu i fascynacji, jak gad – nieomal beztrosko – wypelza z lasu na polanę. Po chwili jednak zwierzę podjęło pewne środki ostrożności: na otwartej przestrzeni zatrzymało się i wystającym językiem badało powietrze. Był to okaz drapieżnika będącego w swoim żywiole, który z wielką pewnością siebie wybiera się na zer. Wąż ruszył dalej, najpierw wykonując powolne serpentyny, a potem nagle przyspieszając, aż osiągnął niewiarygodną szybkość. Zmierzał wprost na Glassa.

Ranny chciał sturlać się w tył, jednak w sposobie poruszania się węża było coś dziwnie nieuniknionego. Gdzieś w głowie Glassa pojawiło się słyszane kiedyś ostrzeżenie, aby w obecności tych gadów pozostać nieruchomym. Zamarł, nie tyle zahipnotyzowany, co zdeterminowany nawet nie drgnąć. Wąż zbliżył się na odległość kilku stóp od twarzy mężczyzny i zatrzymał. Glass patrzył, starając się wytrzymać nieruchomy, wpity weń wzrok zwierzęcia, lecz żadną miarą nie mógł się z nim równać. Czarne oczy węża były pozbawione wszelkiej litości. Mężczyzna obserwował, zaczarowany, jak wąż powoli zwija się w idealną spiralę, a całe jego ciało nastawione jest na realizację jednego jedyne go celu, jakim jest skok i atak. Język zwierzęcia wysuwał się z paszczy i w niej znikał, testując, badając. Znajdujący się gdzieś we wnętrzu spirali ogon zaczął drżeć; grzechotka, która niczym metronom odliczała krótkie chwile dzielące człowieka od śmierci.

Pierwsze uderzenie nastąpiło tak szybko, że Glass nie zdążył się cofnąć. Z przerażeniem patrzył, jak głowa grzechotnika skacze do przodu, a jego szczęki rozwierają się, ukazując ociekające jadem zęby, które zatapiają się w przedramieniu Glassa. Krzyknął z bólu, kiedy trucizna wtargnęła do jego organizmu. Zaczął wymachiwać ręką, ale zęby trzymały mocno, ciało węża młóciło powietrze. Wreszcie gad odpadł; jego długie cielsko leżało prostopadle do tułowia Glassa. Zanim ten zdążył się odczołgać do tyłu, wąż zwinął się i ponownie zaatakował. Tym razem Glass nie mógł krzyczeć. Grzechotnik wbił mu zęby w gardło.

Glass otworzył oczy. Słońce stało dokładnie nad jego głową, promienie światła padały na całą płaszczyznę polany. Ostrożnie przetoczył się na bok, żeby ochronić oczy od blasku. Dziesięć stóp dalej leżał, rozciągnięty na całą długość, sześciostopowy grzechotnik. Przed godziną połknął młodego królika; linię jego ciała deformowało teraz wielkie wybrzuszenie. To ofiara przesuwiała się wolno przez układ pokarmowy gada.

Glass spojrział w panice na swoje ramię. Nie było widać żadnych śladów po ukąszeniu. Delikatnie dotknął szyi, niemal spodziewając się, że znajdzie tam

uczepionego węża. Nic. Ogarnęła go wielka ulga, gdy uświadomił sobie, że grzechotnik – a przynajmniej jego atak – to tylko koszmarny sen. Ponownie spojrzął na zwierzę, teraz senne, trawiące swoją ofiarę.

Przesunął dłoń z szyi w kierunku twarzy. Poczuł grubą warstwę słonego, gęstego potu, jednak sama skóra była chłodna. Gorączka minęła. „Wody!” Ciało domagało się czegoś do picia. Podczołgał się do źródła. Poharatane gardło pozwalało mu przyjmować tylko odrobinę płynu, małymi łykami. Nawet one sprawiały ból, chociaż lodowato zimna woda smakowała jak balsam, oczyszczający od wewnątrz i dodający sił.

Niezwykłe życie Hugh Glassa rozpoczęło się najzwyczajniej: urodził się jako pierworodny syn Victorii i Williama Glassów. Ojciec był angielskim murarzem pracującym w Filadelfii. Na początku wieku miasto to gwałtownie się rozwijało, budowlańcom nie brakowało pracy. William Glass nigdy nie został człowiekiem zamożnym, ale bez większych problemów stać go było na wychowanie pięciorga dzieci. Jako murarz uważał się za odpowiedzialnego za stworzenie trwałych podwalin życia potomstwa. Swój wkład w zdobycie przez nie wykształcenia uważał za największe osiągnięcie i ukoronowanie życia.

Ponieważ Hugh wykazywał się niepoślednimi zdolnościami w nauce, William namawiał syna do kariery prawnika. Młodzieńca nie interesowały jednak ani białe peruczki, ani pachnące stęchlizną prawnicze księgi. Miał swoją pasję – geografie.

Biuro Towarzystwa Żeglugi Rawsthorne i Synowie działało przy tej samej ulicy, przy której mieszkała rodzina Glassów. W przedsionku budynku umieszczono wielki globus, jeden z nielicznych wtedy w Filadelfii. Wracając codziennie ze szkoły do domu, Hugh wstępował do siedziby towarzystwa i kręcił globusem, a jego palce badały oceany i góry kuli ziemskiej. Ściany biura zdobiły barwne mapy, na których zaznaczono główne szlaki żeglugowe. Cienkie linie przemierzały rozległe oceany, łącząc Filadelfię z wielkimi portami świata. Hugh lubił sobie wyobrazać miejsca i ludzi na końcach owych linii: między Bostonem a Barceloną, Konstantynopolem a Chinami.

Chcąc pomóc synowi zrealizować marzenia, William zachęcał go do obrania zawodu kartografa. Lecz Hugh samo sporządzanie map uważał za nazbyt pasywne zajęcie. Źródło jego fascynacji nie było w abstrakcyjnych odwzorowaniach różnych miejsc, ale w nich samych, a już najbardziej pociągały go niezmierzone obszary zaznaczone jako terra incognita. Kartografowie tamtych czasów lubili umieszczać na mapach owych terenów podobizny najbardziej fantastycznych i przerażających potworów. Hugh zastanawiał się, czy bestie te naprawdę istnieją, czy też może są wymysłami nudzących się kartografów. Spytał

o to ojca, a ten odpowiedział: „Tego nikt nie wie”. Zamiarem Williama było odstręczenie Hugh od bardziej praktycznych poszukiwań. Taktyka ta zawiodła. W wieku lat trzynastu Hugh oświadczył, że zamierza zostać kapitanem statku.

W roku 1802 Hugh skończył szesnaście lat, William zaś – w obawie, że chłopak ucieknie gdzieś na morza – uległ żądaniom syna. Znał holenderskiego kapitana fregaty, należącej do firmy Rawsthorne i Synowie, i poprosił go, by przyjął Hugh na chłopca okrętowego. Ów kapitan, Jozias van Aartzen, nie miał własnych dzieci. Wziął odpowiedzialność za chłopca z całą powagą i przez dziesięć lat wytrwale szkolił go w rzemiośle marynarskim. Gdy w roku 1812 kapitan zmarł, Hugh chodził już w randze pierwszego oficera.

Wojna, która wybuchła w tym samym roku, przerwała tradycję handlu prowadzonego przez spółkę Rawsthorne i Synowie z Wielką Brytanią. Firma szybko weszła w niebezpieczny, choć lukratywny nowy biznes – omijanie morskiej blokady. Lata wojny spędził Hugh na wymykaniu się brytyjskim okrętom wojennym; jego szybka fregata transportowała rum i cukier z Karaibów do odciętych od świata amerykańskich portów. Gdy w roku 1815 wojna się skończyła, Rawsthorne i Synowie nie przestali prowadzić swych karaibskich interesów, a Hugh został kapitanem niewielkiego frachtowca.

Skończył właśnie trzydzieści jeden lat, gdy pewnego letniego dnia poznał Elizabeth van Aartzen, dziewiętnastoletnią bratanicę swego mentora. Firma Rawsthorne i Synowie sponsorowała obchody święta 4 Lipca, podczas których tańczono i pito kubański rum. Styl owego tańca – w jednym szeregu – nie ułatwiał nawiązania rozmowy, umożliwiał jednak wymianę wielu krótkich, poruszających zdań. Glass wyczuwał w Elizabeth coś wyjątkowego, jakąś pewność siebie, a jednocześnie wyzwanie. Był pod wielkim wrażeniem.

Następnego dnia wybrał się do niej z wizytą, a potem odwiedzał ją za każdym razem, gdy wpływali do Filadelfii. Elizabeth należała do kobiet bywałych i wykształconych, potrafiła swobodnie rozprawiać o dalekich krajach i ich mieszkańcach. Rozumieli się w pół słowa, czytali sobie w myślach. Rozbawiały ich opowiadane wzajemnie historie. Czas spędzony z dala od Filadelfii stał się dla Glassa udręką, gdyż nieustannie widział jej oczy w promieniach porannego słońca, jej jasną skórę w świetle księżyca padającym na żagiel.

Pewnego słonecznego, majowego dnia w roku 1818 Glass powrócił do Filadelfii z maleńkim aksamitnym woreczkiem umieszczonym w kieszeni na piersi munduru. W środku znajdowała się lśniąca perła na delikatnym, złotym łańcuszku. Wręczył ją Elizabeth i poprosił ją o rękę. Ślub zaplanowano na lato.

Tydzień później Glass wyruszył na Kubę. Przez jakiś czas musiał pozostać w porcie w Hawanie, czekając na rozstrzygnięcie sporu o opóźnioną dostawę stu baryłek rumu, toczącego się wśród miejscowych. Po miesiącu kompania Rawsthorne i Synowie przysłała na Kubę kolejny statek, który przywiózł dla

Glassa list: matka informowała go o śmierci ojca. Błagała, aby natychmiast wracał do Filadelfii.

Hugh zdawał sobie sprawę, że spór dotyczący rumu może ciągnąć się miesiącami. Mógłby ten czas spożytkować na podróż do Filadelfii, zajęcie się sprawami majątkowymi po ojcu i zdążyłby jeszcze wrócić na Kubę. Gdyby jednak sprawy w Hawanie potoczyły się szybciej, pierwszy oficer jego okrętu zdolny jest doprowadzić jednostkę do Filadelfii samodzielnie. Glass zarezerwował bilet na Bonitę Morenę, hiszpański statek handlowy, odpływający do Baltimore.

Jak się jednak okazało, ów hiszpański statek nie miał nigdy minąć szczytów Fort McHenry, a Glass – nie miał już ujrzeć Filadelfii. Dzień po opuszczeniu Hawany na widnokręgu ukazała się jednostka bez bandery. Kapitan Bonity Moreny próbował salwować się ucieczką, lecz jego ociężała łajba nie miała szans z szybkim pirackim kutrem. Ten zrównał się z nimi i wypalił kartaczami z pięciu dział. Mając na pokładzie pięciu zabitych, kapitan zrzucił żagle.

Spodziewał się, że kapitulacja ocali im życie. Tak się jednak nie stało. Na pokład Bonity Moreny wdarło się dwudziestu piratów. Ich herszt, Mulat ze złotym zębem i złotym łańcuchem, podszedł do kapitana, który czekał – jak nakazuje obyczaj – na pokładzie rufowym.

Mulat wyciągnął zza pasa pistolet i bez słowa strzelił kapitanowi w głowę. Załoga i pasażerowie stali wstrząśnięci, czekając na swoją kolej. Wśród nich znajdował się też Hugh Glass, przyglądając się piratom i ich statkowi. Ludzie ci porozumiewali się między sobą łamaną mieszaniną kreolskiego, francuskiego i angielskiego. Glass słusznie podejrzewał, że to baratarianie – najemnicy pracujący dla rozrastającego się syndykatu pirata Jeana Lafitte'a.

Jean Lafitte grasował na Karaibach od wielu lat, jeszcze przed wybuchem wojny roku 1812. Amerykanie mało się nim przejmowali, ponieważ atakował głównie Brytyjczyków. W 1814 roku Lafitte dostrzegł szansę oficjalnego dania upustu swej nienawiści do Anglii. Generał major Edward Pakenham na czele sześciu tysięcy weteranów spod Waterloo obległ Nowy Orlean. Dowodzący wojskami amerykańskimi generał Andrew Jackson miał pięciokrotnie mniej ludzi. Kiedy Lafitte zaoferował usługi swoich baratarian, Jackson nie pytał o referencje. Lafitte i jego ludzie walczyli mężnie w bitwie o Nowy Orlean. W uniesieniu, po zwycięstwie wojsk amerykańskich, Jackson zalecał, by puścić w niepamięć wszelkie wcześniejsze grzechy Lafitte'a, co też prezydent Madison bezzwłocznie uczynił.

Lafitte nie miał zamiaru zrzucić swego dotychczasowego zajęcia, rozumiał wszakże wartość, jaką ma dla niego protektor w postaci suwerennego państwa. Meksyk toczył właśnie wojnę z Hiszpanią. Lafitte założył osadę o nazwie Campeche na wyspie Galveston i zaproponował swoje usługi miastu Meksyk. Meksykanie usługi te przyjęli, uznając Lafitte'a i jego małą flotę za własną, i

zezwoili na atakowanie każdego hiszpańskiego okrętu. W zamian Lafitte otrzymał oficjalne prawo do ich grabienia.

Brutalny realizm tego układu rozgrywał się teraz na oczach Hugh Glassa. Gdy z pomocą śmiertelnie rannemu kapitanowi ruszyło dwóch członków załogi, również zostali zastrzeleni. Trzy obecne na pokładzie kobiety, w tym leciwa wdowa, zostały zabrane na kuter, gdzie powitały je pożądliwe spojrzenia załogi. Jedna grupa piratów zeszła do ładowni, aby obejrzeć ładunek, druga tymczasem ją przyglądać się bliżej pasażerom i marynarzom. Starsi mężczyźni oraz jeden otyły bankier zostali ograbienni ze wszystkiego, co posiadali, i wrzuceni do morza.

Mulat mówił po hiszpańsku i po francusku. Stał przed szeregiem marynarzy i wyjaśniał im, jaki mają wybór. Każdy, kto wyrzeknie się Hiszpanii, może znaleźć swoje miejsce w służbie u Jeana Lafitte'a. Jeśli nie, dołączy do kapitana. Tuzin pozostałych przy życiu żeglarzy wybrało Lafitte'a. Połowę zabrano na kuter, druga połowa miała współpracować z piracką załogą, która prowadziła teraz Bonitę Morenę.

Choć Glass znał po hiszpańsku jedynie kilka słów, zrozumiał istotę postawionego przez Mulata ultimatum. Gdy ten podszedł do niego z pistoletem w rękę, Glass wskazał na siebie i wypowiedział jedno francuskie słowo: „Marin”. Żeglarz.

Mulat wpatrywał się w niego, taksując go w milczeniu. W kącikach ust błąkał mu się ironiczny uśmieszek.

– À bon? – spytał. – Okay monsieur le marin, hissez le foc. – Postaw fok.

Glass rozpaczliwie starał się przywołać na pomoc cały swój podstawowy francuski. Nie miał pojęcia, co znaczy hissez le foc. Rozumiał jednak doskonale, że gra o wysoką stawkę i przypuszczał, że Mulat postawił go przed próbą mającą potwierdzić wiarygodność twierdzenia, iż jest żeglarzem. Pewnym krokiem poszedł na dziób okrętu i sięgnął po fał foka.

– Bien fait, monsieur le marin – powiedział Mulat. Był sierpień 1819 roku. Hugh Glass został piratem.

Glass raz jeszcze spojrział na miejsce, w którym między drzewami zniknęli Fitzgerald i Bridger. Na myśl o ich postępku zacisnął szczęki, znów poczuł głębokie pragnienie, by rzucić się w pogoń. Tym razem jednak słabość ciała mocniej dała o sobie znać. Pierwszy raz od ataku niedźwiedzicy jego umysł pracował jasno. Wraz z ową jasnością pojawiła się zatrwajająca ocena sytuacji.

Z wielką obawą Glass rozpoczął oględziny swoich ran. Lewą ręką przejechał po skórze głowy, wyczuwając naderwane krawędzie. W wodzie źródelka zobaczył niewyraźne odbicie swej twarzy i zrozumiał, że niedźwiedź prawie go oskalpował. Nigdy nie był człowiekiem próżnym, a w obecnej sytuacji wygląd zupełnie go nie

obchodził. Jeśli przeżyje, te blizny zapewnią mu wręcz spory szacunek wśród współtowarzyszy.

Martwiło go przede wszystkim gardło. Nie mógł go zobaczyć, nie licząc ozmazanego odbicia w wodzie źródelka, dlatego ograniczył się do delikatnego badania palcami. Kompres Bridgera odpadł podczas wczorajszego pełzania. Glass dotknął szwów i docenił podstawowe umiejętności chirurgiczne kapitana Henry'ego. Jak przez mgłę przypomniał sobie postać kapitana robiącego coś przy nim zaraz po ataku, ale szczegóły oraz chronologia zdarzeń ginęły w mroku.

Wyciągnąwszy szyję, zobaczył ślady pazurów ciągnące się od ramienia do gardła. Niedźwiedź wrył mu się głęboko w mięśnie klatki piersiowej i barku. Sosnowa żywica użyta przez Bridgera zasklepiła rany. Wyglądały całkiem dobrze, choć ostry ból mięśniowy uniemożliwiał Glassowi uniesienie prawego ramienia. Maść skierowała jego myśli ku Bridgerowi. Przypomniał sobie, że chłopak doglądał jego ran. A jednak to nie obraz Bridgera troszczącego się o jego życie tkwił mu przed oczami. Widział go w chwili, gdy na skraju polany odwraca się ostatni raz, z ukradzionym nożem w ręku.

Spojrzał na węża i pomyślał: „Boże, oddałbym wszystko za nóż”. Grzechotnik wciąż nie ruszał się z miejsca. Glass stłumił myśli na temat Fitzgeralda i Bridgera. „Nie teraz”.

Popatrzył na swoją prawą nogę. Bridger posmarował mazią rany klute w górnej części uda. Również one wyglądały stosunkowo dobrze. Glass ostrożnie spróbował rozprostować nogę. Była sztywna jak drewno. Przekręcił się lekko w bok, żeby spróbować ją unieść i opuścić. Potworny ból idący od ran ogarnął całe ciało. Noga nie miała szans udźwignąć jego ciężaru.

Na koniec lewą ręką zbadał głębokie cięcia na plecach. Wyczuł pod palcami pięć równoległych wyłobień. Dotykał kleistych pozostałości po sosnowym opatrunku, szwów oraz strupów. Gdy spojrzał na swoją dłoń, zobaczył też świeżą krew. Cięcia zaczynały się w okolicach pośladków i stawały się coraz głębsze, im wyżej sunął. Maksimum głębokości osiągały między łopatkami, dokąd nie mógł dosięgnąć ręką.

Ukończywszy samobadanie, Glass doszedł do kilku chłodnych wniosków. Był bezbronny. Gdyby znaleźli go Indianie albo dzikie zwierzęta, nie miałby szans stawić oporu. Nie mógł zostać na polanie. Nie wiedział, ile dni tkwi w tym obozowisku, był jednak pewien, że źródelko w lesie jest dobrze znane okolicznym plemionom indiańskim. Glass nie miał pojęcia, dlaczego wojownicy nie wpadli tu już wczoraj i nie znaleźli go, ale rozumiał, że łut szczęścia nie może trwać wiecznie.

Mimo ryzyka odkrycia przez Indian, Glass nie miał zamiaru oddalać się od rzeki Grand. Stanowiła pewne źródło wody i pożywienia, pozwalała orientować się w terenie. Zachodziło jednak kluczowe w tej sytuacji pytanie: z prądem czy pod

prąd? Wprawdzie Glass bardzo chciał natychmiast rzucić się w pościg za zdrajcami, zdawał sobie jednak sprawę, że byłoby to szaleństwem. Był sam, bez broni, na wrogim terytorium. Słaby od głodu i gorączki. Nie mógł chodzić.

Sama myśl o odwrocie – choćby tylko tymczasowym – sprawiała mu przykrość. Glass wiedział jednak, że w gruncie rzeczy nie ma innego wyjścia. Faktoria Fort Brazeau leżała trzysta pięćdziesiąt mil w dół rzeki, u zbiegu rzek White i Missouri. Gdyby zdołał tam dotrzeć, mógłby zaopatrzyć się w prowiant i niezbędny ekwipunek, i zaraz potem ruszyć w pościg.

Trzysta pięćdziesiąt mil. Przy sprzyjającej pogodzie zdrowy człowiek pokonałby pewnie tę odległość w dwa tygodnie. „Jaki dystans mogę przebyć dziennie, wlokąc się noga za nogą?” Nie miał pojęcia, nie zamierzał jednak siedzieć beczynnie w jednym miejscu. Ramię i noga nie sprawiały wrażenia objętych stanem zapalnym i Glass zakładał, że z czasem zupełnie wydobrzeją. Mógłby się wlec dopóty, dopóki znalazłaby się jakaś podpora dla jego ciała. Gdyby nawet robił trzy mile dziennie – niech będzie. Lepiej mieć trzy mile za sobą niż przed sobą. A poza tym, idąc, zwiększał swoje szanse na znalezienie pożywienia.

Mulat skierował zarekwirowany hiszpański okręt na zachód, ku zatoce Galveston i pirackiej kolonii Lafitte’ a w Campeche. Sto mil na południe od Nowego Orleanu złoczyńcy zaatakowali ogniem z dział kolejny hiszpański żaglowiec; ich ofiary niczego się nie spodziewały, widząc na Bonicie Morenie banderę Hiszpanii. Po abordażu nowej zdobyczy, nazywającej się Castellana, piraci ponownie przeprowadzili brutalną selekcję więźniów. Tym razem w większym pośpiechu, ponieważ ogień z armat rozerwał burty Castellany poniżej linii wody. Jednostka tonęła.

Piraci wyciągnęli bardzo szczęśliwy los na loterii. Castellana płynęła z Sewilli do Nowego Orleanu z ładunkiem broni ręcznej. Gdyby udało im się zabrać całą broń ze statku przed jego zatonięciem, obłowiliby się jak nigdy wcześniej. Ku zadowoleniu Lafitte’a.

Zasiedlanie Teksasu przez białych rozpoczęło się na dobre w roku 1819, a piracka enklawa Jeana Lafitte’a na wyspie Galveston nie ustawała w wysiłkach zaopatrywania nowego terytorium. Między rzekami Rio Grande i Sabine powstawały nowe miasta, które domagały się towarów. Metodą Lafitte’a na pozyskanie tanich dostaw było wyrzynanie pośredników. Dzięki tej przewadze nad konkurującymi z nim zwykłymi kupcami Campeche rozkwitało, stając się mekką dla wszelkiego rodzaju przemytników, handlarzy niewolników, maruderów oraz każdego, kto poszukiwał tolerancyjnego środowiska dla swej nielegalnej działalności. Niejednoznaczny status Teksasu zabezpieczał piratów z Campeche przed interwencją zewnętrznych potęg. Meksyk czerpał korzyści z ich

ataków na hiszpańskie statki, Hiszpania zaś była zbyt słaba, aby się z nimi rozprawić. Stany Zjednoczone wołały chwilowo zajmować się czym innym. W końcu Lafitte ich jednostek nie niepokoił, a poza tym był przede wszystkim bohaterem bitwy o Nowy Orlean.

Mimo że nie nosił kajdan w sensie fizycznym, Hugh Glass stał się na dobre więźniem przestępczego syndykatu Jeana Lafitte'a. Nawet najdrobniejszy bunt na statku pirackim zostałby niechybnie ukarany śmiercią. Uczestnictwo w wielu atakach na hiszpańskie okręty handlowe nie pozostawiło mu w tej kwestii najmniejszych złudzeń. Jakoś unikał zabijania; wszystkie swe pozostałe działania usprawiedliwiał doktryną wyższej konieczności.

Także pobyty na lądzie, w Campeche, nie dawały zbyt wielu dobrych okazji do ucieczki. Lafitte rządził na wyspie niepodzielnie. Po drugiej stronie zatoki, w Teksasie, zamieszkiwali Indianie Karankawa, znani z kanibalizmu. Ziemie graniczące z ich terytorium zajmowali Tonkawa, Komancze, Kiowa oraz Osagowie. Wszystkie owe plemiona były nastawione wobec białych wrogo, jakkolwiek nie wykazywały większych skłonności do ich zjadania. Wśród rozrzuconych tu i ówdzie przyczółków cywilizacji nadal dominowały placówki hiszpańskie, gdzie bardzo chętnie wieszano – pod zarzutem piractwa – każdego, kto przybywał z wybrzeża. Kolorytu tej mieszance dodawała jeszcze obecność meksykańskich banditos oraz strażników Teksasu.

Lecz tolerancja cywilizowanego świata wobec prosperującego państwa pirackiego miała swoje granice. Co istotniejsze, Stany Zjednoczone postanowiły poprawić swoje stosunki z Hiszpanią. Wysiłki dyplomatyczne w tej kwestii torpedował fakt nieustannego nękania hiszpańskich statków, nierzadko na wodach terytorialnych Stanów Zjednoczonych. W listopadzie 1820 roku prezydent Madison posłał do Campeche porucznika Larry'ego Kearneya na USS Enterprise oraz flotę amerykańskich okrętów wojennych. Porucznik Kearney postawił Lafitte'a przed prostym wyborem – albo opuści wyspę, albo zostanie rozszarpany na kawałki.

Jean Lafitte był wprawdzie awanturnikiem, lecz także człowiekiem pragmatycznym. Załadował na statki tyle zagrabionych łupów, ile tylko zdołał, puścił Campeche z dymem i odpłynął ze swoją piracką flotą, znikając na zawsze z kart historii.

Tej listopadowej nocy Hugh Glass stał w plątaninie uliczek Campeche, podjąwszy nagłą decyzję dotyczącą przyszłości. Nie miał najmniejszego zamiaru przyłączać się do bandytów i ich uciekającej floty. Napatrzył się już na morze, które kiedyś stanowiło dlań synonim wolności, i miał już dość ograniczonej przestrzeni pokładu niewielkiego statku. Postanowił skierować swe życie na nowe tory.

Karmazynowy blask ognia otaczał Campeche apokaliptycznym przepychem.

Ludzie przetrząsali budynki, zabierając wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Alkohol, którego nigdy tu nie brakowało, lał się strumieniami. Spory dotyczące łupionych dóbr rozstrzygano na miejscu za pomocą broni palnej, co napełniało miasto urywanym staccato wystrzałów. Krążyła straszliwa pogłoska, że lada moment amerykańska flota ostrzela Campeche ogniem swych dział. Ludzie walczyli zapamiętane o wejście na pokład odpływających statków, których załogi szablami i pistoletami odpędzały niechcianych pasażerów.

Glass, pogrążony w rozważaniach, dokąd się teraz udać, wpadł nagle na jakiegoś człowieka. Był nim Alexander Greenstock, także jeniec, zmuszony do pracy na zajętej przez piratów jednostce. Glass służył razem z nim podczas ostatniego wypadu na wody Zatoki Meksykańskiej.

– Na południowym wybrzeżu wyspy jest łódka – powiedział Greenstock. – Zamierzam dopłynąć nią na stały ląd.

Spośród rysujących się przed nimi wyłącznie złych dróg wyjścia ryzyko wyprawy na stały ląd zdawało się najmniejsze. Glass i Greenstock przedzierali się przez miasto. Na wąskiej drodze stał konny powóz, bezładnie zarzucony piętrzącymi się beczkami i skrzyniami. Znajdowało się w nim trzech uzbrojonych po zęby mężczyzn. Jeden okładał konia batem, dwaj pozostali pilnowali łupów. Powóz uderzył kołem o kamień, jedna ze skrzyń spadła na ziemię i roztrzaskała się. Mężczyźni nie zwrócili na to uwagi, chcąc jak najszybciej dostać się na statek.

Na wieku skrzyni widniał napis „Kutztown, Pensylwania”. W środku znajdowały się nowiuteńkie strzelby z warsztatu rusznikarskiego Josepha Anstadta. Glass i Greenstock wzięli po jednej, nie wierząc we własne szczęście. Przetrzęsnęli kilka sąsiednich budynków, które nie padły jeszcze ofiarą płomieni, i wreszcie znaleźli kule, proch oraz kilka drobiazgów do ewentualnej wymiany.

Wiosłowanie wokół wschodniego narożnika wyspy i przez zatokę Galveston zajęło im prawie całą noc. Na wodzie odbijały refleksy płonącej kolonii, sprawiając, że cała zatoka wydawała się pogrążona w ogniu. Wyraźnie widzieli masywne sylwetki amerykańskich okrętów wojennych oraz uciekającą flotę Lafitte’a. Gdy znaleźli się sto jardów od stałego lądu, na wyspie nastąpiła potężna eksplozja. Glass i Greenstock obejrzeni się za siebie i ujrzeli płomienie błyskawicznie ogarniające Maison Rouge, rezydencję i arsenał Jeana Lafitte’a. Szybko przebyli ostatnie jardy zatoki i wskoczyli do płytkiej wody. W bród dotarli do brzegu i Glass już na zawsze pozostawił morze za sobą.

Nie mając planu ani miejsca, do którego mogliby się udać, dwaj mężczyźni zdecydowali się wyruszyć na rekonesans wzdłuż wybrzeża Teksasu. W swym wyborze kierowali się bardziej tym, czego pragnęli uniknąć, niż tym, co chcieli znaleźć. Nieustannie obawiali się Indian Karankawa. Na plaży byli narażeni na atak, jednak gęste trzciny oraz bagniste tereny zalewowe odstraszały ich od skierowania się w głąb lądu. Równie mocno bali się hiszpańskich wojsk, a także

amerykańskiej floty.

Po siedmiodniowym marszu ich oczom ukazała się w oddali maleńka osada Nacogdoches. Wieści o amerykańskiej interwencji w Campeche musiały niewątpliwie dotrzeć także tutaj. Zakładali, że miejscowi uznają za pirata każdego człowieka nadchodzącego od strony Galveston i z miejsca go powieszają. Glass wiedział, że Nacogdoches to punkt graniczny hiszpańskiej enklawy San Fernando de Bexar. Postanowili ominąć osadę i skierować się w głąb lądu. Liczyli, że z dala od wybrzeża wiedza o wydarzeniach w Campeche nie będzie zbyt powszechna.

Ich nadzieje okazały się jednak płonne. Po sześciu dniach dotarli do San Fernando de Bexar i od razu zostali aresztowani przez Hiszpanów. Spędziwszy tydzień w dusznej więziennej celi, stanęli przed obliczem majora Juana Palacio del Valle Lersundi, który pełnił obowiązki miejscowego sędziego pokoju.

Major Palacio przyglądał im się ze znużeniem. Był pozbawionym złudzeń żołnierzem, niedoszłym konkwistadorem, który wylądował jako administrator zapadłej dziury podczas wojny z góry przez Hiszpanię przegranej. Patrząc na dwóch stojących przed nim mężczyzn, major Palacio zdawał sobie sprawę, że najbezpieczniej dla niego będzie kazać ich powiesić. Skoro przyszli tu z wybrzeża, mając tylko strzelby i okrycie wierzchnie, muszą być piratami albo szpiegami, choć obaj twierdzą, że podczas podróży statkiem zostali wzięci do niewoli przez Lafitte'a.

Ale major Palacio nie był w nastroju do wieszania. Tydzień wcześniej skazał na śmierć młodego hiszpańskiego żołnierza za to, że ten zasnął podczas pełnienia warty – za przestępstwo to przepisy przewidywały taką właśnie karę. Egzekucja sprawiła, że major wpadł w głęboką depresję i przez większość tygodnia oddawał się spowiedzi u miejscowego padre. Wpatrywał się więc w więźniów i słuchał ich opowieści. Czy była prawdziwa? Skąd miałyby mieć pewność, a jeśli tej pewności brak, to kto dał mu prawo odebrać im życie?

Major Palacio zaproponował Glassowi i Greenstockowi układ. Zostaną uwolnieni i opuszczą San Fernando de Bexar pod jednym warunkiem – że udadzą się na północ. Gdyby wyruszyli na południe, zdaniem Palacio istniała obawa, iż zostaną pochwyteni przez inne oddziały hiszpańskie. A ostatnią rzeczą, jakiej major teraz potrzebował, była reprimenda za ulaskawienie piratów.

Mężczyźni nie wiedzieli zbyt wiele o Teksasie, lecz Glass poczuł nagle ogromną radość, że dane mu będzie wędrować bez kompasu przez interior.

Tak więc Glass i Greenstock wyruszyli na północ, a potem na wschód, zakładając, że w którymś momencie muszą natknąć się na wielką Missisipi. Przebyli ponad tysiąc mil, udało im się przeżyć na otwartych równinach Teksasu. Zwierzyny było w bród, w tym tysiące zdziczałych krów, pożywienie nie stanowiło więc problemu. Niebezpieczeństwo wiązało się jedynie z wrogo nastawionymi plemionami indiańskimi. Skoro jednak przetrwali wędrówkę przez terytorium

Karankawa, tym łatwiej udało im się to także na ziemiach Komanczów, Kiowa, Tonkawa i Osagów.

Szczyście opuściło ich w okolicach rzeki Arkansas. Ustrzelili właśnie ciele bizona i zabrali się za jego sprawianie. Huk wystrzału usłyszało dwudziestu jeźdźców z plemienia Paunisów, żyjącego nad rzeką Loup, i nadszedł pędem z drugiej strony falistego wzgórza. Bezleśna płaszczyna, pozbawiona nawet kamieni, nie dawała żadnej naturalnej osłony. Bez koni mężczyźni nie mieli szans. Wykazując się głupotą, Greenstock podniósł broń i wystrzelił, zabijając jednego z galopujących koni. W następnej sekundzie już nie żył, a z jego piersi sterczały trzy strzały. W udzie Glassa też tkwiła jedna.

Glass nie zdążył sięgnąć po strzelbę, jedynie wpatrywał się zafascynowany w dziewiętnastu galopujących jeźdźców. Zauważył lśnienie barw wojennych na piersi konia, który wysforował się do przodu, oraz czarne włosy wojowników, odcinające się wyraźnie na tle błękitnego nieba i prawie nie poczuł tępej kamiennej końcówki indiańskiego kija bojowego, który uderzył go w czaszkę.

Przytomność odzyskał w wiosce Paunisów. Pulsowało mu w głowie; był przywiązany za szyję do pala wbitego w ziemię. Skrępowano mu również nadgarstki i nogi w kostkach, mógł jednak poruszać rękoma. Wokół niego zgromadził się tłumek dzieci, reagujący z ożywieniem, gdy otworzył oczy.

Bardzo leciwy wódz o sztywno sterczących włosach podszedł do pala i spojrzał w dół na dziwnego mężczyznę przed sobą, jednego z niewielu białych, których w życiu widział. Wódz, zwany Kopiającym Bykiem, powiedział coś, czego Glass nie zrozumiał, choć zebrani wokół Paunisi przyjęli jego słowa radosnymi okrzykami i wyciem, demonstrując wyraźne zadowolenie. Glass leżał na skraju wielkiego okręgu pośrodku wsi. Gdy udało mu się skupić wzrok, w samym centrum owego okręgu dostrzegł starannie przygotowany stos; bez trudu domyślił się powodów radosnego poruszenia wśród Indian. Jakaś stara kobieta krzyknęła na dzieci. Uciekły. Dorośli Paunisi także się rozeszli, aby przygotować się do uroczystego aktu spalania jeńca.

Glass pozostał sam i uznał za konieczne zorientować się w sytuacji. Przed oczyma migotały mu podwójne obrazy, zlewając się w jeden tylko wtedy, gdy przymykał oko. Spojrzał na swoją nogę i skonstatował, że Paunisi wyświadczyli mu uprzejmość i usunęli strzałę. Nie weszła wprawdzie zbyt głęboko w ciało, ale rana i tak by go spowolniła, gdyby odważył się na ucieczkę. Słowem: ledwie widział na oczy i ledwie mógł chodzić, nie mówiąc już o bieganiu.

Pomacał kieszeń na piersi i z ulgą stwierdził, że nadal znajduje się w niej małe puzderko z cynobrem. Owa farba należała do skromnego zapasiku, który Glass zdołał pozyskać podczas ucieczki z Campeche. Przetoczył się na bok, żeby ukryć to, co zamierzał zrobić, wyciągnął puzderko, otworzył je i splunął na proszek, po czym zmieszał wszystko palcem. Następnie natarł sobie twarz farbą, dokładając

starań, aby pokryć każdy skrawek odsłoniętej skóry od czoła aż po wylot koszuli. Grubą warstwą cynobru pokrył również wnętrze dłoni. Zamknął słoiczek i zagrzebał go w piaszczystej ziemi pod sobą. Zakończywszy całą operację, obrócił się na brzuch i złożył głowę na zgiętym ramieniu tak, że twarz pozostawała niewidoczna.

Trwał w tej pozycji dopóty, dopóki po niego nie przyszli; słyszał podniecenie wywołane przygotowaniem do egzekucji. Zapadła noc, lecz wielkie ognisko rzucało blask na okrąg znajdujący się w pośrodku obozu Paunisów.

Glass sam nigdy do końca nie potrafił stwierdzić, czy działając w ten sposób, zamierzał wykonać jakiś symboliczny gest pożegnania z życiem, czy może liczył na efekt, który de facto osiągnął. Słyszał kiedyś, że większość dzikich plemion jest przesądna. W każdym razie wrażenie było piorunujące, co – jak się okazało – uratowało mu życie.

Dwóch wojowników i wódz Kopiający Byk podeszli, żeby przenieść Glassa na stos. Widząc go leżącego twarzą ku ziemi, uznali to za oznakę tchórzostwa. Kopiający Byk przeciął sznury, a wojownicy chwycili więźnia pod ramiona i unieśli. Ignorując ból w zranionym udzie, Glass skoczył na równe nogi i zwrócił swe oblicze w kierunku wodza, wojowników i wszystkich członków plemienia.

Paunisi stali nieruchomo, wstrząśnięci, z otwartymi ustami. Cała twarz Glassa spływała krwistą czerwienią, jakby zdarto z niej skórę. W białkach jego oczu odbijał się blask ogniska – lśniły jak upiorne księżycy. Większość Indian nigdy wcześniej nie widziała białego człowieka, dlatego jego gęsta broda jeszcze przydawała mu demonicznego wyglądu. Glass klepnął wnętrzem dłoni jednego z wojowników, pozostawiając na jego piersi jaskrawoczerwony odcisk. Jak na komendę, ludzie wydali z siebie głębokie westchnienie.

Przez dłuższy czas trwała zupełna cisza. Glass gapił się na Paunisów, a osłupiali Paunisi gapili się na niego. Co nieco zaskoczony skutecznością swej taktyki, Glass zastanawiał się gorączkowo, co teraz. Panikę wywoływała w nim myśl, że któryś z Indian mógłby nagle otrząsnąć się z szoku. Postanowił więc krzyczeć, a ponieważ nie był zdolny wymyślić nic innego, zaczął wrzaskliwą recytację modlitwy Pańskiej:

– Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...

Wódz Kopiający Byk wpatrywał się weń kompletnie zdezorientowany. Widział już kiedyś kilku białych, ale ten człowiek musiał być chyba jakimś szamanem albo demonem. Jego dziwny śpiew sprawiał, że całe plemię stało nieruchomo, jak zaczarowane.

Glass recytował:

– Bo Twoje jest królestwo potęgą i chwała na wieki. Amen.

Wreszcie biały człowiek przestał krzyczeć. Stał, dysząc jak koń po długim biegu. Wódz Kopiający Byk rozejrzał się dookoła. Jego ludzie przerzucali wzrok z wodza

na szalonego białego demona i z powrotem. Wódz czuł, że plemię ma do niego pretensje. Kogo on im tu sprowadził? Należało podjąć bezzwłoczne działania.

Wolnym krokiem podszedł do Glassa i zatrzymał się tuż przed nim. Sięgnął ręką do szyi i zdjął z niej naszyjnik, przy którym dyndały dwie odcięte stopy jastrzębia. Założył naszyjnik na szyję demona, patrząc mu pytająco w oczy.

Glass potoczył wzrokiem po ludziach stojących w okręgu. W jego centrum, niedaleko stosu, stały rzędem cztery niskie krzesła z wikliny. Niewątpliwie były przeznaczone dla najważniejszych widzów spektaklu, jakim miało być jego rytualne spalenie. Pokuśtykał do jednego z krzeseł i usiadł. Wódz Kopiaący Byk powiedział coś, a wtedy dwie kobiety zerwały się i pobiegły po jedzenie i wodę. Następnie rzucił parę słów do wojownika z czerwonym odbiciem dłoni na piersi. Wojownik pobiegł i przyniósł anstadta, którego umieścił na ziemi obok Glassa.

Glass spędził u Paunisów znad rzeki Loup prawie rok, żyjąc na równinach między Arkansas a Platte. Wódz Kopiaący Byk, który z czasem pokonał swą rezerwę wobec białego, traktował Glassa jak syna. Jeśli Hugh nie wiedział czegoś o sposobach przetrwania na prerii – mimo wędrówki po ucieczce z Campeche – nauczył się tego od Paunisów.

Był rok 1821. Od pewnego czasu biali ludzie zapuszczali się na równinne tereny między Platte a Arkansas. Latem tegoż roku, podczas polowania w grupie dziesięciu Paunisów, Glass natknął się na dwóch białych mężczyzn podróżujących wozem. Swym indiańskim przyjaciołom polecił trzymać się z tyłu, sam zaś powoli zbliżył się do zaprzęgu. Byli to agenci federalni wysłani na te tereny przez Williama Clarka, komisarza Biura ds. Indian. Clark zapraszał do St. Louis wodzów wszystkich okolicznych plemion. Aby zademonstrować dobrą wolę rządu, wóz wyładowano wszelkiego rodzaju darami – znajdowały się w nim koce, igły do szycia, noże i żeliwne naczynia.

Trzy tygodnie później Glass przybył do St. Louis w towarzystwie Kopiaącego Byka.

St. Louis leżało na granicy dwóch potężnych sił, szarpiących duszą Glassa. Wschód wzywał go siłą dawnych więzów, łączących go z cywilizowanym światem – z Elizabeth i jego rodziną, z wykonywanym wcześniej zawodem i w ogóle całą jego przeszłością. Zachód wabił i kusił niezbadaną terra incognita, bezgraniczną wolnością, nowym początkiem. Glass wysłał do Filadelfii trzy listy: do Elizabeth, do swojej matki oraz do firmy Rawsthorne i Synowie. Tymczasem podjął pracę urzędnika w Towarzystwie Transportowym Missisipi i czekał na odpowiedzi.

Przyszły po ponad pół roku. Na początku marca 1822 roku otrzymał list od brata. Ich matka zmarła, pisał brat, zaledwie miesiąc po śmierci ojca.

Wiadomości było więcej. „Jest też mym smutnym obowiązkiem zawiadomić Cię, że Twoja droga Elizabeth nie żyje. W styczniu zapadła na febrę i mimo wysiłków już się z niej nie podniosła”. Glass opadł na krzesło. Krew odpłynęła

mu z twarzy, czuł, że robi mu się niedobrze. Czytał dalej: „Mam nadzieję, że pewną pociechą będzie dla Ciebie informacja, że spoczęła tuż obok Matki. Wiedz również, iż pozostała Ci niezachwianie wierna, nawet wtedy, gdy wszyscy uznali Cię za zmarłego”.

W dniu 20 marca, po przyjeździe do biura Towarzystwa Transportowego Missisipi, Glass zobaczył gromadę mężczyzn tłoczących się nad ogłoszeniem zamieszczonym w „Missouri Republican”. William Ashley formował oddział łowców skór zwierzęcych, który miał wyruszyć w górę Missouri.

Tydzień później nadszedł list od firmy Rawsthorne i Synowie, w którym proponowano Glassowi stanowisko kapitana na kutrze kursującym między Filadelfią a Liverpooliem. Wieczorem 14 kwietnia przeczytał go po raz ostatni i wrzucił do kominka, po czym obserwował, jak płomień pożerają ostatnie ogniwo łączące go z dawnym życiem.

Nazajutrz rano zaciągnął się do oddziału pod dowództwem kapitana Henry’ego, zorganizowanego przez Kompanię Futrzarską Gór Skalistych. Miał trzydzieści sześć lat i nie uważał się już za młodego człowieka. Lecz w przeciwieństwie do wielu ówczesnych młodych ludzi Glass nie był straceńcem. Decyzja o wyruszeniu na zachód nie była ani wymuszona, ani pochopna, lecz podjęta z pełnym rozmysłem, jak każda inna w jego życiu. Mimo wszystko jednak nie potrafiłby wyjaśnić, z czego wypływa. Bardziej to czuł, niż rozumiał.

W liście do brata napisał: „Przedsięwzięcie to pociąga mnie bardziej niż cokolwiek innego w całym moim życiu. Mam pewność, że to moja droga, do której jestem przeznaczony, chociaż nie potrafię Ci wytłumaczyć dlaczego”.

Rozdział 8

2 września 1823 roku – popołudnie

Glass ponownie obrzucił uważnym spojrzeniem grzechotnika, który cały czas leżał nieruchomo, oddając się wyłącznie konsumowaniu swej ofiary. „Jedzenie”.

Ugasiwszy pragnienie przy źródle, Glass poczuł się nagle potwornie głodny. Nie miał pojęcia, od jak dawna nie jadł, ale ręce drżały mu z braku pokarmu. Gdy unióśł głowę, polana powoli zawirowała, wykonując pełny okrąg.

Podczołgał się ostrożnie do węża, wciąż mając przed oczyma żywe wspomnienie sennego koszmaru. Dotarł na odległość sześciu stóp i podniósł kamyk wielkości orzecha włoskiego. Lewą ręką poturlał kamyk tak, że uderzył w ciało gada. Wąż się nie poruszył. Glass poszukał więc kamienia wielkości pięści i podczołgał się na tyle blisko, by zwierzę znalazło się w jego zasięgu. Wąż zauważył go i wykonał ospały ruch w poszukiwaniu kryjówki, ale było już za późno. Glass trzepnął go kamieniem w łeb, uderzając raz za razem, dopóki nie uzyskał pewności, że gad nie żyje.

Jednak sprawa nie kończyła się na zabiciu grzechotnika; teraz należało go jeszcze wypatroszyć. Glass rozejrzał się po obozie. Torba myśliwska leżała na skraju polany. Podczołgał się tam i wysypał jej skromną zawartość na ziemię: kilka strzępów tkaniny do strzelby, brzytwa, dwie stopy jastrzębia na naszyjniku z paciorków i sześciocalowy pazur niedźwiedzia grizzly. Glass podniósł pazur, skupiając wzrok na grubej warstwie zakrzepłej krwi, znajdującej się na jego zakończeniu. Schował go z powrotem do torby, zastanawiając się, skąd ów pazur się tu wziął. Zebrał do ręki szmatki z myślą o ewentualnym wykorzystaniu ich jako podpałki, gorzko żałując, że nie mogą posłużyć do celów, do których były przeznaczone. Jedynym cennym znaleziskiem okazała się brzytwa. Jej ostrze było zbyt delikatne jak na broń, ale mogła się przydać do wielu innych zadań. Najpilniejszą sprawą było rozcięcie skóry węża. Wrzucił brzytwę do torby myśliwskiej, przewiesił ją sobie przez ramię i podczołgał się z powrotem do grzechotnika.

Nad jego okrwawionym łbem już gromadziły się muchy. Glass wolał być ostrożniejszy. Widział kiedyś, jak odcięta głowa węża wpiła się w nos nieopatrznie ciekawskiego psa. Przypomniawszy sobie widok nieszczęsnego zwierzęcia, położył na łbie węża długi kij i przycisnął go lewą nogą. Prawego ramienia nie był w stanie unieść bez przeszywającego bólu barku, ale dłoń funkcjonowała normalnie. Użył jej teraz do odcięcia brzytwą głowy gada. Kijem

odrzuć łeb na skraj polany.

Rozciął brzuch grzechotnika, poczynając od szyi. Brzytwa szybko się tępiła, z każdym calem jej skuteczność malała. Glassowi udało się jednak rozpruć ciało węża na całej długości, to znaczy jakichś pięciu stóp. Usunął wnętrzności i wyrzucił je. Ponownie zaczynając od góry, obdarł zwierzę z łuskowatej skóry, odsłaniając mięśnie. Zobaczył połyskujące mięso, nieodparcie atrakcyjne wobec dręczącego go głodu.

Wpił się w grzechotnika zębami, rwąc surowe mięso, jakby to była kolba kukurydzy. Wreszcie udało mu się wyszarpać cały kęs. Żuł sprężystą masę, aczkolwiek niezbyt angażując w tę czynność zęby. Niezdolny skupić się na niczym poza chęcią zaspokojenia głodu, popełnił błąd i spróbował przełknąć wszystko naraz. Spory kawałek surowego mięsa utknął w obolałym gardle niczym kamień. Ból niemal pozbawił go przytomności. Rozkaszał się i przez chwilę myślał, że się zadławi. W końcu udało mu się przełknąć.

Wyciągnął z tej lekcji wnioski. Resztę dnia spędził na cięciu mięsa brzytwą na drobne kawałki i ubijaniu go na miazgę za pomocą dwóch kamieni, tak aby rozmiękczyć włóknistą strukturę. Każdy kęs popijał dużą ilością źródlanej wody. Był to bardzo mozolny sposób pożywiania się; w chwili gdy dotarł do końca ogona, Glass nadal czuł się głodny. Fakt ten wzbudził w nim niepokój, wątpił bowiem, by kolejny posiłek przyszedł mu z równą łatwością.

W gasnącym świetle dnia przyjrzał się uważnie grzechotkom na koniuszku ogona węża. Było ich dziesięć, w każdym kolejnym roku życia wyrastała kolejna. Glass nigdy nie widział węża z dziesięcioma grzechotkami. „Dziesięć lat to długi czas”. Rozmyślał o wężu, który przetrwał całą dekadę dzięki swej sile i brutalności. A potem jeden błąd, chwila spędzona w miejscu, gdzie jest się narażonym na cios, śmierć i zjedzenie, zanim jeszcze krew na dobre przestanie krążyć. Odciał grzechotki i przebierał po nich palcami jak po różańcu. Po chwili wrzucił je do torby myśliwskiej. Staną się pamiątką, ostrzeżeniem, gdy będzie na nie patrzył.

Zrobiło się ciemno. Glass otulił się kocem, zwinął w kłębek i zasnął.

Z niespokojnego snu obudził się głodny i spragniony. Bolała go każda rana. „Trzysta pięćdziesiąt mil do Fort Kiowa”. Wiedział, że w tej sytuacji nie może pozwalać sobie na tego rodzaju myśli. „Jedna mila na raz”. Pierwszym jego celem będzie rzeka Grand. Gdy oddział oddalił się od rzeki i dotarł do strumienia i źródła, Glass pozostawał nieprzytomny, ale na podstawie rozmów Bridgera i Fitzgeralda zakładał, że musi ona znajdować się niedaleko.

Zdjął z ramion wełniany koc hudsonski. Brzytwą odciał z niego trzy długie pasy. Pierwszym owinął sobie lewe, zdrowe kolano. Musi mieć jakiś ochraniacz, skoro przyjdzie mu się czołgać. Dwa pozostałe pasy owinął sobie wokół dłoni, tak że wystawały tylko palce. Resztę koca zrolował, a oba jego końce związał długim

paskiem od torby myśliwskiej. Upewnił się, że jest dobrze zamknięta, po czym umieścił ją sobie na plecach wraz z kocem. Pasek przytroczył do ramion, pozostawiając obie ręce wolne.

Długo pił wodę ze strumienia, a potem zaczął się czołgać. Właściwie nie było to czołganie, lecz wleczenie się po ziemi. Prawym ramieniem starał się utrzymywać równowagę, ale nie mógł się nim podeprzeć. Prawą nogę po prostu ciągnął za sobą, tylko tyle mógł zrobić. Udawało mu się rozluźniać mięśnie dzięki zginaniu i rozprostowywaniu nogi, jednak sama kończyna pozostawała sztywna jak kij.

Z czasem wypracował optymalny dla siebie rytm. Prawa ręka służyła mu za wysięgnik, przez co ciężar ciała spoczywał po lewej stronie; opierał się na lewym ramieniu, podciągając najpierw lewe kolano, a następnie sztywną prawą nogę. Raz za razem, jard za jadem. Kilkukrotnie zatrzymywał się, żeby poprawić położenie koca i torby. Przy takich szarpanych ruchach pasy nieustannie się luzowały. W końcu zdołał wypracować odpowiednie węzły, dzięki którym pakunek trzymał się mocno.

Przez jakiś czas wełniane ochraniacze na kolanie i dłoniach spisywały się dobrze, choć często trzeba je było poprawiać. Glass nie wziął pod uwagę skutków ciągnięcia za sobą sztywnej prawej nogi. But zapewniał ochronę stopie, ale kostce już nie. Po stu jardach starł sobie naskórek i zatrzymał się, aby odciąć kawałek koca, który miał zabezpieczyć nogę przed kontaktem z ziemią.

Przezołganie się w dół strumienia do rzeki Grand zajęło mu prawie dwie godziny. Gdy dotarł do rzeki, ręce i nogi bolały wskutek dziwnego sposobu poruszania się, do którego nie przywykły. Popatrzył na stare tropy oddziału traperów i zastanowił się, jakimż to cudem Indianie ich nie zauważyli.

Wyjaśnienie tej zagadki – którego Glass nigdy nie poznał – znajdowało się po drugiej stronie rzeki. Gdyby ją przekroczył, w zaroślach borówek znalazłby liczne odciski niedźwiedzich stóp. Równie wyraźne były ślady pięciu indiańskich koni. Tej ironii Glass by zapewne nie docenił: przed Indianami ocalił go inny grizzly, który – tak jak Fitzgerald – odkrył nad rzeką ów zagajnik. Zwierzę posilało się w czasie, gdy w górę rzeki jechało pięciu wojowników z plemienia Arikara. To zapach niedźwiedzia tak bardzo spłoszył srokacza. Zaniepokojony widokiem i wonią pięciu jeźdźców, grizzly wycofał się w zarośla. Myśliwi pognali za nim, nie zauważając tropów na przeciwległym brzegu rzeki.

Gdy Glass wyłonił się z sosnowego zagajnika, który dotąd zapewniał mu schronienie, ujrzał rozległy, jednostajny krajobraz. Widnokrąg składał się z falujących wzgórz i zagajników topól. Gęste zarośla wikliny nad rzeką utrudniały pełzanie naprzód, a przy tym przepuszczały promienie upalnego, porannego słońca. Czuł strużki potu spływające po plecach i piersi, a także nieprzyjemne pieczenie, gdy sól wsączała mu się do ran. Po raz ostatni napił się chłodnej wody ze strumienia. Między jednym łykiem a drugim rzucał niespokojne spojrzenia w

górze rzeki, jeszcze raz rozważając, czy nie puścić się od razu w pogoń. „Jeszcze nie”.

Drażniąca konieczność odłożenia tej sprawy na później działała niczym zimna woda na gorące żelazo jego determinacji – hartowała ją i utrwalała. Przyrzekł sobie, że ocali życie choćby po to, by dokonać zemsty na ludziach, którzy go zdradzili.

Tego dnia czołgał się jeszcze przez trzy godziny. Przypuszczał, że pokonał w ten sposób dwie mile. Brzegi rzeki Grand zmieniały się, piaszczyste łąchy przechodziły w połacie trawy i skały. Gdyby Glass mógł ustać na nogach, z łatwością przechodziłby w bród przez pływiczny na drugi brzeg, żeby ułatwić sobie wędrówkę tam, gdzie teren był najłagodniejszy.

Jednak przekroczenie rzeki nie wchodziło w grę; pełzanie skazywało Glassa na drogę wzdłuż prawego brzegu. Szczególną trudność nastroczały mu kamienie. Gdy się wreszcie zatrzymał, wełniane ochraniacze były w strzępach. Wełna nie dopuściła wprawdzie do powstania otarć skórnych, lecz siniakom już nie zapobiegła. Dłonie i kolano miał czarnoniebieskie, wrażliwe na każde dotknięcie. Mięśnie lewej ręki dopadły skurcze, ponownie czuł drżączkę i słabość spowodowane niedożywieniem. Tak jak się spodziewał, nie natknął się na żadne źródło pokarmu mięsnego. Musiał się więc zadowolić roślinami, przynajmniej na razie.

Podczas pobytu u Paunisów Glass poznał bardzo wiele różnych roślin porastających prerię. W miejscach, w których teren się obniżał, tworząc bagniste rozlewiska, gęsto rosły pałki wodne. Ich pierzaste brunatne czubki chwiały się na smukłych zielonych łodygach, sięgających na ponad trzy stopy. Prętem wykopał jedną z łodyg wraz z korzeniami, obrał ją z warstwy zewnętrznej i pożarł delikatne kielki. Oprócz pałek porastających bagniska nie brakowało tam też milionów moskitów. Unosiły się nieprzerwanie nad każdym całem odsłoniętej skóry na głowie, karku i ramionach Glassa. Przez jakiś czas, kopiąc w głodnym zapamiętaniu, nie zwracał na nie uwagi. W końcu zaspokoił najgorszy głód, albo przynajmniej stłumił go na tyle, by zacząć się bardziej przejmować ukąszeniami owadów. Przeczłogał się kolejne sto jardów w dół rzeki. O tej porze nie było ucieczki przed moskitami, ale gdy oddalił się od stojącej bagnistej wody, ich liczba znacząco spadła.

Trzy dni pełzył z nurtem rzeki Grand. Pałek wodnych wciąż nie brakowało, Glass znalazł także obfitość innych roślin, o których wiedział, że są jadalne – spożywał cebulę, mniszek lekarski, a nawet liście wierzby. Dwa razy, natknąwszy się na jagody, zatrzymywał się na ucztę; gdy jadł, palce spływały mu fioletowym sokiem.

Nie znalazł jednak tego, czego organizm domagał się najbardziej. Od ataku grizzly mijał już dwunasty dzień. Zanim pozostawiono go własnemu losowi, Glass miał dwa razy możliwość spożyć kilka łyków rosołu. Poza tym jedyną jego

konkretną strawą był grzechotnik. Jagody i pędy wystarczą na kilka dni, ale żeby wyzdrowieć, żeby wstać na nogi, Glass potrzebował pokarmu bogatego w składniki odżywcze, czyli mięsa. Węza należało złożyć na karb szczęśliwego trafu, który zapewne już się nie powtórzy.

Wciąż jednak uważał, że pozostawanie w jednym miejscu oznaczałoby śmierć. Następnego ranka znów zaczął pełznąć. Jeśli szczęście nie zechce mu dopisać, zrobi wszystko, aby poradzić sobie bez niego.

Rozdział 9

8 września 1823 roku

Padlinę bizona poczuł wcześniej, niż ją zobaczył. A także usłyszał. Właściwie usłyszał bzyczenie gromady much, które wirowały nad wielką masą skóry i kości. Ściągną podtrzymywały szkielet w stanie niemal nienaruszonym, choć padlinożercy całkowicie wyczyścili go z mięsa. O dawnej potędze zwierzęcia świadczyły tylko sterczące czarne rogi oraz masywny, kudłaty łeb. Także on padł ofiarą ptaków, które wydziobały bizonowi oczy.

Patrząc na zwierzę, Glass nie czuł odrazy, lecz rozczarowanie, iż ktoś inny pozbawił go potencjalnego źródła cennego pożywienia. W okolicy pełno było rozmaitych tropów. Glass przypuszczał, że padlina leży tu od czterech lub pięciu dni. Gapił się w ten stos kości. Przez chwilę wyobraził sobie swój własny szkielet – rozrzucony beładnie po tej ponurej krainie, gdzieś w zapomnianym zakątku prerii, pozbawiony mięśni pożartych przez dzikie zwierzęta, ściervo, na którym żerują sroki i kojoty. Przyszedł mu na myśl cytat z Pisma Świętego: „Prochem jesteś, w proch się obrócisz”. Czy tak właśnie się stanie?

Lecz jego myśli szybko zwróciły się ku praktyczniejszym kwestiom. Widział kiedyś, jak głodujący Indianie gotowali skóry bizonów, otrzymując kleistą, lecz jadalną masę. Chętnie podjąłby się tego zadania, nie dysponował jednak żadnym naczyniem na wrzątek. Wpadł na inny pomysł. Nieopodal padliny leżał kamień wielkości ludzkiej głowy. Podniósł go lewą ręką i rzucił niezdarnie na mniejsze żebra. Jedna z kości pękła z trzaskiem, Glass sięgnął po odłamek. Szpik, który chciał w ten sposób pozyskać, wysechł. „Potrzebna mi grubsza kość”.

Bizon miał urwaną przednią nogę, która spoczywała osobno, ogryziona do kości aż po kopyto. Ułożył ją na płaskim kamieniu i zaczął w nią walić innym. W końcu pojawiła się szczelina i kość pękła.

Nie pomylił się – w grubszej kości wciąż znajdował się zielonkawy szpik. Sam zapach powinien był mu podpowiedzieć, że nie należy brać go do ust, ale głód pozbawił Glassa rozsądku. Nie zwracał uwagi na gorzki smak szpiku, wysysał miąższ z kości, a potem jeszcze wygrzebywał go kawałkiem ułamanego żebra. „Lepiej zaryzykować, niż umrzeć z głodu”. Szpik przynajmniej łatwo się połyka. Pochłonięty szaleństwem spożywania pokarmu, samą mechaniką jedzenia, spędził niemal godzinę na tłuczeniu kości i wyskrobywaniu ich zawartości.

A potem pojawił się pierwszy skurcz. Gdzieś w głębi trzewi poczuł jakby próżnię. Nagle niezdolny do poradzenia sobie z ciężarem własnego ciała,

przewrócił się na bok. Ciśnienie panujące w jego głowie było tak potężne, że Glass świadom był każdego szwu kostnego. Zaczął się obficie pocić. Niczym promień słońca przechodzący przez soczewkę, palący ból brzucha szybko skoncentrował się w jednym miejscu. Mdłości wzbierały mu w żołądku nieuniknioną, potężną falą. Zwymiotował; upokarzające konwulsje wstrząsały jego ciałem, a poszarpane gardło zalewał potworny ból, gdy Glass wypluwał zeń żółć.

Leżał tak dwie godziny. Żołądek pozbył się swej zawartości bardzo szybko, ale drgawki nie ustały. Między atakami torsji spoczywał w całkowitym bezruchu, jakby chciał się w ten sposób schować przed chorobą i bólem.

Gdy pierwsza fala dolegliwości minęła, odczołgał się od padliny, z całych sił pragnąc uciec od jej mdłego, słodkawego zapachu. Ruch na nowo wzbudził zarówno ból głowy, jak i nudności. Wpełził w gęste zarośla wikliny, znajdujące się około trzydziestu jardów od martwego bizona, przeturlał się na bok i zapadł w stan przypominający bardziej utratę przytomności niż sen.

Przez całą kolejną dobę jego organizm pozbywał się zjełczałego szpiku. Ból, koncentrujący się w okolicach ran zadanych mu przez niedźwiedzia grizzly, łączył się teraz z przeszywającą, ogarniającą całe ciało słabością. Glass wyobraził sobie swoje siły witalne w postaci piasku w klepsydrze. Czuł, jak życie wypływa z niego z każdą mijającą chwilą. Tak jak w klepsydrze – myślał – nadejdzie moment, gdy przez szczelinę przeleci ostatnie ziarenko piasku, a górna komora stanie się całkowicie pusta. Nie mógł uwolnić się od widoku bizoniego szkieletu, tej potężnej bestii odartej z mięsa, gnijącej na prerii.

Następnego dnia rano obudził się głodny, zachłannie głodny. Uznał to za znak, że jego organizm pozbył się trucizny. Podjął próbę kontynuowania swej mozolnej wędrówki w dół rzeki, mając cichą nadzieję, że natknie się na jakieś inne źródło pożywienia, ale przede wszystkim dlatego, że nie chciał dłużej zwlekać. Szacował, że w ciągu dwóch poprzednich dni przebył nie więcej niż ćwierć mili. Zdawał sobie sprawę, że choroba kosztowała go więcej niż tylko utracony czas i krótki dystans. Pozbawiła go sił, opróżniła do końca ów maleńki rezerwuar witalności, który mu jeszcze pozostał.

Wiedział, że jeśli w ciągu kilku najbliższych dni nie zje mięsa, zginie. Wskutek doświadczenia z padliną bizona Glass podjął decyzję, że odtąd będzie się trzymał z dala od każdego zwierzęcia, które nie zostało świeżo zabite, niezależnie od targającej nim desperacji. Jego pierwszą myślą był projekt zrobienia włóczni albo zabicie jakiegoś królika kamieniem. Ale ból w prawym barku uniemożliwił podniesienie ręki, nie mówiąc już o wyprowadzeniu silnego uderzenia, które miałyby zabić. Lewej ręce brakowało zaś dokładności, by w cokolwiek trafić.

Polowanie więc odpadało. Pozostawały sidła. Gdyby dysponował nożem i sznurkiem, potrafiłby sporządzić różnego rodzaju wnyki na drobną zwierzynę.

Ale ponieważ rzeczy tych nie miał, zdecydował się na pułapkę z ciężarkiem. Jest to nieskomplikowane urządzenie – duży kamień wsparty chwiejnie na jakimś kiju, ustawiony tak, by spadł na niczego nieświadomą ofiarę, która zwołni zapadkę.

Przez wiklinę porastającą brzegi Grand przebiegały zygzaki zwierzęcych tropów. Widać je było także na wilgotnym piasku przy brzegu. W wysokiej trawie Glass zauważył wgniecenia pozostałe po śpiących tam sarnach i jeleniach. Złapanie jelenia na pułapkę z ciężarkiem uznał Glass za mało prawdopodobne. Choćby dlatego, że nie byłby zdolny unieść tak dużego kamienia ani nagiąć odpowiedniego drzewa. Postanowił obrać sobie za cel króliki, które często widywał nad rzeką.

Szukał śladów tych zwierząt w pobliżu ich ulubionych gęstych zarośli. Natrafił na topolę, niedawno ściętą przez bobry; jej liściaste gałęzie tworzyły coś, co można było potraktować jako system zapór i kryjówek. Tropy prowadziły do i z tego miejsca, wzdłuż ich linii widać było liczne odchody wielkości ziaren grochu.

Nad rzeką Glass znalazł trzy odpowiednie kamienie: na tyle płaskie, by swą szeroką powierzchnią mogły spaść na ofiarę po uruchomieniu wnyków oraz na tyle ciężkie, aby ją zabić. Miały rozmiary beczułki z prochem, każdy z nich ważył prawie trzydzieści funtów. Ze swą niesprawną ręką i nogą potrzebował niemal godziny, żeby je przetoczyć, jeden po drugim, od rzeki do drzewa.

Następnie wyszukał trzy kije, niezbędne do zbudowania pułapki. Powalona topola dostarczała całą gamę możliwości. Wybrał trzy gałęzie o średnicy cala, po czym odłamał je na długości równej ramieniu. Wszystkie trzy nadłamał następnie w połowie. Przy pierwszym ramieniu i plecach przeszył porażający ból, dlatego dwa pozostałe oparł o drzewo i złamał za pomocą jednego z przytarganych kamieni.

Uzyskał w ten sposób po jednym nadłamanym kiju dla każdej pułapki. Złożony ponownie, kij miał wytrzymać – w sposób bardzo chwiejny – ciężar wspartego na nim kamienia. W miejscach, w których kij był nadłamanym, Glass wbijał, niczym klin, patyk zwalniający cały mechanizm. Po jego pociągnięciu lub uderzeniu weń, główny kij powinien złożyć się na dwoje, niczym kolano w stawie, uwalniając jednocześnie śmiertelno-nośny kamień, który spadnie na niczego nieświadomą ofiarę.

Aby pozyskać patyczki zwalniacza, Glass wybrał trzy smukłe gałązki wikliny i odciął je na długości około siedemnastu cali. Wcześniej nad rzeką zauważył liście mniszka lekarskiego i narwał ich jako przynętę; na każdy patyk zwalniacza nabił wiele delikatnych listków.

Wąska ścieżynka z tropami i odchodami zwierzęcymi prowadziła ku największej gęstwinie w upadłym drzewie. To właśnie miejsce wybrał Glass na zainstalowanie pierwszej pułapki i zaczął ją konstruować.

Trudność polegała na znalezieniu równowagi między stabilnością a czułością mechanizmu. Stabilność oznaczała, że pułapka nie zawali się sama pod ciężarem kamienia, jednak przesadna stabilność wcale nie była pożądana; natomiast czułość mechanizmu sprawiała, że ofiara mogła łatwo pułapkę uruchomić, ale nadmierna groziłaby samowyzwoleniem. Znalezienie równowagi między tymi czynnikami wymagało siły i koordynacji, a rany Glassa odarły go z jednego i drugiego. Jego prawe ramię nie potrafiło utrzymać ciężkiego kamienia, wetknął go więc niezdarnie pod prawą nogę. Jednocześnie lewą ręką starał się utrzymać oba fragmenty głównego kija wspierającego i wetknąć między nie patyk zwalniający mechanizm pułapki. Niestety, całość ciągle wysuwała mu się z ręki. Dwukrotnie wydało mu się, że ustawił pułapkę zbyt sztywno i sam spowodował jej uruchomienie.

Po niecałej godzinie udało mu się wreszcie uzyskać odpowiedni punkt równowagi. Znalazł też dwa obiecujące miejsca na ścieżce prowadzącej do zwalonej topoli i ustawił tam pozostałe pułapki, po czym wycofał się w kierunku rzeki.

Glass ulokował się w osłoniętym miejscu nad zerodowanym brzegiem Grand. Gdy nie mógł już dłużej znieść ukłuć głodu, jadł gorzkie korzenie mniszka lekarskiego, którego nazrywał do pułapek. Napił się wody z rzeki, aby splukać ów smak z ust, i ułożył do snu. Króliki są aktywniejsze nocą. Rano sprawdzi pułapki.

Ostry ból gardła obudził Glassa jeszcze przed świtem. Brzask nowego dnia sączył się niczym krew od wschodniej części widnokregu. Glass zmienił ułożenie ciała, na darmo próbując w ten sposób uwolnić się od bólu barku. Po chwili poczuł, że powietrze wczesnego poranka jest bardzo chłodne. Skulił ramiona i owinął się mocno postrzępionym kocem aż po szyję. Leżał tak, cierpiąc niewygodę, przez godzinę, i czekał na światło dnia, które pozwoli mu sprawdzić pułapki.

Gdy czołgał się ku powalonej topoli, w ustach wciąż czuł gorycz. Gdzieś w głębi świadomości przypomniawszy mu się gnilny smród wydawany przez skunka. Jednak wrażenia te natychmiast zniknęły, jak tylko zaczął sobie wyobrażać królika piekącego się na rożnie nad trzaskającym ogniem. Świeże mięso; prawie czuł jego zapach, delektował się smakiem.

Z odległości około pięćdziesięciu jardów Glass zobaczył wszystkie trzy pułapki. Jedna była nietknięta, ale dwie zostały uruchomione – kamienie leżały na ziemi, kije podtrzymujące puściły. Glass czuł, jak serce wali mu w gardle; zaczął się czołgać najszybciej, jak potrafił.

Trzy jarde od pierwszej pułapki, przy wąskiej ścieżce, zauważył mnóstwo nowych zwierzęcych tropów, a gdzieś tam także kupki świeżych odchodów. Wstrzymał oddech i zajrzał za kamień – nic nie wystawało. Podniósł głaz, wciąż mając nadzieję. Pułapka była pusta. Serce zalało mu uczucie zawodu. „A może

ustawiłem ją zbyt delikatnie? Może zapadła się sama?” Pospiesznie podczołgał się ku kolejnemu kamieniowi. Od przodu nic spod niego nie wystawało. Wyciągnął się na całą długość, żeby zajrzeć na drugą stronę pułapki.

Dostrzegł coś czarno-białego i usłyszał syczenie, na granicy percepcji. Zanim jego umysł zdołał pojąć, co się dzieje, poczuł ból. W pułapce tkwił skunks, z unieruchomioną przednią nogą, ale niepozbawiony zdolności przyskania swą smrodliwą cieczą. Glassowi wydawało się, że gorący olej wypala mu oczy. Sturlał się w tył w próżnym trudzie ucieczki przed odorem. Kompletnie oślepiiony, ni to pełził, ni toczył się ku rzece.

Wpadł do głębokiej wody przy samym brzegu, rozpaczliwie starając się zmyć piekącą ciecz. Z twarzą zanurzoną w wodzie spróbował otworzyć oczy, ale pieczenie było zbyt silne. Zanim odzyskał wzrok, minęło dwadzieścia minut; widział coś jedynie wtedy, gdy mimo bólu udało mu się zmrużyć zaczerwienione oczy i spojrzeć przez wąskie szparki. W końcu wygramolił się na brzeg. Przyprawiający o mdłości smród skunksa przyłgął do jego skóry i ubrania niczym mróz do szyby. Widział kiedyś psa, który tarzał się w pyle ulicy przez tydzień, żeby pozbyć się tego zapachu. Zdawał sobie sprawę, że smród będzie mu towarzyszyć wiele dni.

Gdy pieczenie oczu trochę ustąpiło, Glass dokonał szybkiego przeglądu stanu swoich ran. Dotknął szyi, a potem spojrzął na palce. Nie zobaczył krwi, choć ból krtani podczas przełykania i głębokich oddechów nie ustępował. Uświadomił sobie, że od kilku dni nie wypowiedział ani słowa. Tytułem próby otworzył usta i wciągnął powietrze do nagłośni. Czynność ta poskutkowała jedynie ostrym bólem i żalonym, zgrzytliwym zawrotem głowy. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś będzie mógł normalnie mówić.

Wykręciwszy szyję, zobaczył równoległe nacięcia, które biegingy od gardła do barku. Maść Bridgera ciągle tam była. Całe ramię bardzo bolało, lecz same nacięcia wydawały się goić. Także rany klute na biodrze dobrze się prezentowały, choć noga nadal nie była zdolna utrzymać ciężaru ciała. Dotykając skóry głowy, doszedł do wniosku, że musi wyglądać okropnie, ale już nie krwawiła i nie bolała.

Oprócz gardła najbardziej martwiły Glassa plecy. Nie był w stanie dotknąć ran, a ponieważ ich też nie widział, umysł podsuwał mu ich straszliwe obrazy. Doznawał płynących stamtąd dziwnych wrażeń, które wiązał z nieustannym pękaniem kolejnych strupów. Wiedział, że kapitan Henry założył szwy, bo czasami czuł na plecach drapanie luźnych końcówek nici.

Ale najbardziej dokuczał mu zjadliwy, pustoszący głód.

Leżał na piaszczystym brzegu rzeki, wyczerpany i całkowicie zniechęcony ostatnim obrotem spraw. Na smukłej zielonej łodydze chwiała się kępka żółtych kwiatków. Roślina wyglądała jak dzika cebula, ale Glass znał jej prawdziwą nazwę – ciemiężyca. „Czy to dzieło Opatrzności? Znalazła się tu specjalnie dla

mnie?” Glass zastanawiał się nad działaniem jej trucizny. Czy spokojnie odpłynie w nieskończony sen? Czy może jego ciało opanują skurcze agonii? Czy to aż tak bardzo może się różnić od jego obecnego stanu? Przynajmniej uzyska pewność, że zbliża się koniec.

Kiedy tak leżał nad brzegiem rzeki, przy brzasku poranka z wikliny po drugiej stronie wyłoniła się łania. Rozejrzała się ostrożnie w lewo i w prawo, zanim uczyniła kolejny krok do przodu, z wahaniem, żeby napić się wody z rzeki. Znajdowała się niecałe trzydzieści jardów od Glassa, łatwy cel dla kogoś, kto ma strzelbę Anstadta.

Po raz pierwszy tego dnia pomyślał o ludziach, którzy zostawili go na pastwę losu. Gdy patrzył na łanię, jego gniew narastał. „Zostawili” to zbyt łagodne określenie dla tego rodzaju zdrady. Pozostawienie kogoś to coś biernego – ucieczka z jakiegoś miejsca, porzucenie. Gdyby ci, którzy mieli się nim zajmować, po prostu go zostawili, celowałby w tej chwili ze swojej broni, mając na muszce pijącą łanię. Nożem sprawiałby upolowaną zwierzynę, uderzał krzesiwem o draskę, żeby rozpalić ognisko i ugotować mięso. Spojrzał po sobie, na rannego mężczyznę mokrego od stóp do głów, cuchnącego skunksem, czującego w ustach gorzyc korzonków.

Fitzgerald i Bridger uczynili coś gorszego niż pozostawienie go na pastwę losu, coś znacznie gorszego. To nie byli zwykli przechodnie na drodze do Jerycha, którzy odwracali wzrok i umykali na drugą stronę. Glass nie wymagał od nikogo, żeby był dla niego jak dobry Samarytanin, ale oczekiwał, że ci, którzy mieli go doglądać, przynajmniej nie wyrządzą mu krzywdy.

Fitzgerald i Bridger działali świadomie i celowo, ogołacając go z tych kilku rzeczy, które mogłyby posłużyć mu do ratowania życia. Pozbawiając Glassa wszelkich szans, zabili go. Zamordowali, w sposób równie pewny jak pchnięcie nożem w serce czy kula w łeb. Zamordowali go, tyle że on jeszcze nie umarł. I nie umrze, obiecał sobie, ponieważ musi żyć, aby tamtych zabić.

Hugh Glass dźwignął się i kontynuował swoją pełzającą wędrówkę wzdłuż brzegów rzeki Grand.

Glass przyglądał się uważnie krajobrazowi, który się przed nim otwierał. Pięćdziesiąt jardów stąd bagienna równina opadała z trzech stron do szerokiego, suchego parowu. Zarośla preriowej bylicy i trawa zapewniały niewielką osłonę. Okolica przypominała mu łagodne, pofalowane wzgórza nad rzeką Arkansas. Przyszła mu na myśl pułapka, którą zastawiały dzieci Paunisów. Dla nich to była zabawa, dla Glassa tego rodzaju umiejętność była teraz sprawą życia lub śmierci.

Podczołgał się wolno ku zapadlinie, zatrzymując się w miejscu, które uznał za jej środek. Znalazł kamień o ostrych krawędziach i zaczął kopać w ubitej,

piaszczystej ziemi.

Wykopał dołek o średnicy czterech cali i nieco mniejszej głębokości. Następnie poszerzył otwór, tak że uzyskał on kształt butelki od wina, z szyjką u góry. Rozrzucił ziemię wokół dziury, by zatrzeć ślady niedawnego kopania. Ciężko oddychając z wysiłku, chwilę odpoczywał.

Potem wyruszył na poszukiwanie dużego, płaskiego kamienia. Znalazł go w odległości czterdziestu stóp od otworu. A także trzy inne mniejsze kamienie, które rozmieścił w równych odstępach wokół dziury. Płaski kamień ułożył na wierzchu, jakby dachem zamykając wylot – znajdująca się pod nim pusta przestrzeń miała stwarzać iluzję kryjówki.

Ziemię dookoła pułapki przykrył gałązkami dla kamuflażu, po czym powoli odczołgał się od dziury. W kilku miejscach zauważył maleńkie, wskazujące na obecność zwierząt odchody – dobry znak. Pięćdziesiąt jardów od otworu zatrzymał się. Kolano i dłonie miał otarte wskutek czołgania. Bolało go udo, znowu doznawał okropnego uczucia, że coś mu pęka; strupy na plecach zaczęły krwawić. Brak ruchu zapewniał chwilowe wytchnienie, ale jednocześnie uświadamiał mu, jak potwornie jest zmęczony. Gdzieś z głębi ciała emanował stłumiony ból, rozlewając się na cały organizm. Glass walczył z chęcią zamknięcia oczu i pokusą osunięcia się w sen. Wiedział, że nie odzyska sił, dopóki czegoś nie zje.

Zmusił się do czołgania. Zwracając baczność uwagę na zachowanie odległości, zatoczył wielkie koło wokół dołka, który wykopał. Zajął mu to pół godziny. Ciało domagało się odpoczynku, wiedział jednak, że zatrzymanie się w tym momencie znacznie zmniejszy efektywność przygotowanej pułapki. Pełzł więc dalej, zataczając spiralę w kierunku dołka, zacieśniając kręgi. Gdy natrafiał na jakieś zarośla, przetrząsał je. Wszystkie żywe stworzenia wewnątrz okręgu miały być zapędzone do nory.

Po godzinie Glass dotarł do pułapki. Zdjął płaski kamień zamykający jej wylot i nasłuchiwał. Widział kiedyś, jak chłopiec z plemienia Paunisów sięgnął ręką do otworu i natychmiast ją stamtąd wyrwał, krzycząc, z grzechotnikiem uciepionym do dłoni. Błąd tego chłopca zrobił wtedy na wszystkich wielkie wrażenie. Glass rozejrzał się w poszukiwaniu gałęzi. Znalazł odpowiednio długą, z płaskim zakończeniem, i kilka razy walnął nią w pułapkę.

Upewniwszy się, że nie ma w niej nic żywego, zanurzył w dziurze rękę. Jedną po drugiej wyciągnął cztery martwe myszy i dwa susły. Tego rodzaju metoda polowania nie przynosiła przesadnej chwały, ale Glass był uszczęśliwiony jej skutecznością.

Ponieważ bagniste zagłębienie terenu zapewniało pewną osłonę, Glass zdecydował się zaryzykować rozpalenie ogniska, przeklinając jednocześnie brak krzesiwa i draski. Wiedział, że iskrę można otrzymać przez pocieranie o siebie

dwóch drewnienek, ale nigdy dotąd tego nie robił. Przypuszczał, że sposób ten jest bardzo żmudny, jeśli w ogóle skuteczny.

Musiał teraz wykonać niewielki łuk i umieścić na nim wrzeciono – prymitywną maszynę do rozpalania ognia. Miała składać się z trzech części: płaskiego kawałka drewna z otworem, w którym umieszczano się gruby na trzy czwarte cala i długi na osiem cali patyk z wrzecionem oraz łuk – coś w rodzaju smyczka – do obracania owym wrzecionem.

Przemierzył parów w poszukiwaniu tych elementów. Płaski kawałek drewna nietrudno było znaleźć, podobnie jak dwa kijki na wrzeciono i łuk. „Potrzebny mi sznurek do smyczka”. Nie miał go. „Pasek od torby”. Wyjął brzytwę i naciął pasek, po czym związał końce patyka. Następnie również brzytwą wyciął w drewnie otwór, starając się, by był nieco większy niż grubość kijka.

Mając już smyczek i wrzeciono, postarał się o rozpałkę i paliwo. Wyjął z torby myśliwskiej szmatki do czyszczenia broni i podarł je tak, by uzyskać postrzępione brzegi. Miał też trochę wełny z pałki wodnej. Z tego wszystkiego ułożył luźny stosik, umieszczając go w płytkim zagłębieniu w ziemi, po czym na wierzch nasypał trochę suchej trawy. Oprócz nielicznych kawałków drewna, jakie znalazł w okolicy, miał też nawóz bizona, wyschły na wiór po wielu tygodniach leżenia na słońcu.

Przygotowany w ten sposób do rozpalenia ogniska, Glass wziął do ręki smyczek i wrzeciono. Do otworu w płaskim drewnienku nasypał rozpałki, umieścił w nim patyk i owinął wokół niego ściągawę. Trzymał kijek w prawej dłoni, na której nadal znajdował się wełniany owijacz ochronny. Lewą ręką pociągał za smyczek. Ruch w przód i w tył powodował wirowanie wrzeciona, a co za tym idzie – wywołane tarcie ciepło.

Feler tej prymitywnej maszyny wyszedł na jaw niemal natychmiast. Jeden koniec kijka ocierał się o otwór w płaskim drewnienku – tam miał powstać płomień. Tymczasem jego drugi koniec wwiercał się w mięśnie dłoni. Glass przypomniał sobie, że Paunisi używali niewielkiego kawałka drewna, którym przytrzymywali górny koniec kijka. Ponownie wybrał się na poszukiwanie odpowiedniego narzędzia. Znalazł je i brzytwą wyciął w drewnienku otwór, w który mógłby wetknąć koniec patyka.

Lewą rękę miał dość niezdarną, a znalezienie właściwego rytmu poruszania smyczkiem, tak by nie wypadł z dłoni, wymagało kilku prób. Wkrótce jednak wrzeciono wirowało szybko i równo. Po kilku minutach nad otworem zaczął unosić się dym. Nagle podpałka zajęła się ogniem. Glass chwycił wełnę z pałki wodnej i chroniąc ją przed wiatrem, przytknął do płomieni. Gdy rozgorzała, przeniósł ogień na rozpałkę w niewielkim zagłębieniu w ziemi. Czuł, jak wiatr smaga mu plecy; przez chwilę ogarnęła go panika, że płomień zgaśnie. Lecz rozpałka zajęła się szybko, podobnie jak sucha trawa. Po kilku minutach do

niewielkiego płomienia wrzucił bizonie łajno.

Gdy zdjął z gryzoni skórę i wypatroszył je, stwierdził, że mięsa jest bardzo mało. Mimo wszystko był to świeży pokarm. Metoda zastawiania pułapki była wprawdzie czasochłonna, ale jej prostota przynosiła przynajmniej wymierne korzyści.

Gdy Glass skubał ostatnie maleńkie żeberka upolowanego gryzonia, wciąż był potwornie głodny. Postanowił, że następnego dnia wcześniej przerwie wędrówkę. Może wykopie otwory w dwóch różnych miejscach. Myśl o spowolnieniu marszu rozdrażniła go. Jak długo uda mu się jeszcze unikać Arikarów w tym uczęszczanym przecież miejscu, jakimi są brzegi Grand? „Nie rób tego. Nie patrz zbyt daleko. Niech twoim codziennym celem będzie kolejny ranek”.

Po ugotowaniu posiłku nie należało dłużej ryzykować palenia ogniska. Zasypał je piaskiem i położył się spać.

Rozdział 10

15 września 1823 roku

Dwa bliźniacze wzgórza zamykały dolinę, zmuszając rzekę Grand do przeciskania się wąskim kanałem pomiędzy nimi. Glass pamiętał te wzgórza z podróży w górę rzeki z kapitanem Henrym. W miarę jak czołgał się coraz bardziej na wschód, krajobraz tracił na wyrazistości. Bezmiar prerii zdawał się pożerać nawet kępy topól.

Oddział traperów z kapitanem Henrym obozował wcześniej w pobliżu wzgórz, Glass również miał zamiar zatrzymać się w tym miejscu w nadziei, że może znajdzie tam coś przydatnego. W każdym razie pamiętał, że wysoki brzeg rzeki nieopodal wzniesień stanowi bezpieczne schronienie. Na zachodnim widnokrzęgu gromadziły się złowieszczo wielkie czarne chmury. Burza nadejdzie za kilka godzin, a zanim uderzy, Glass chciał się tam zaszyć.

Podążając wzdłuż rzeki, dowlókł się do obozowiska. Pierścień szerniałych kamieni otaczał miejsce, w którym niedawno palono ogień. Przypomniawszy sobie, że traperzy obozowali bez ognia i zaczął się zastanawiać, kto w takim razie szedł ich tropem. Zatrzymał się, zdjął z pleców torbę myśliwską i koc, a potem pociągnął spory łyk wody z rzeki. Za sobą miał zerodowany brzeg, który stanowił dobrą osłonę, tę, którą pamiętał. Zlustrował rzekę, wypatrując oznak obecności Indian, z rozczarowaniem odnotowując ubogą florę. Poczłł znajome ssanie głodu; rozmyślał, czy roślinność jest tu na tyle bujna, by dało się zbudować skuteczną pułapkę na myszy. „Czy to warte wysiłku?” Zastanawiał się, co jest dla niego teraz ważniejsze: bezpieczne schronienie czy szansa na posiłek. Gryzonie utrzymywały go przy życiu już drugi tydzień. Mimo to Glass zdawał sobie sprawę, że jego los jest bardzo niepewny – wprawdzie jeszcze nie zginął, ale wciąż pozostawał bardzo daleko od celu.

Lekkie podmuchy wiatru zwiastowały zbliżające się chmury burzowe; poczuł ich chłód na spoconym karku. Odwrócił się do rzeki plecami i podczołgał na wysoki brzeg, żeby przyjrzeć się burzy.

To, co zobaczył w dole, zaparło mu dech w piersiach. W rozległej dolinie poniżej wzgórz pasły się tysiące bizonów. Na przestrzeni ciągnącej się prawie milę równina wydawała się wręcz czarna. W odległości nie większej niż pięćdziesiąt jardów od Glassa stał czujnie wielki byk. Mierzył w kłębie z siedem stóp. Zmierzwiona grzywa płowego futra na jego czarnym ciele podkreślała potężny łeb i bary zwierzęcia, sprawiając, że rogi wydawały się już niemal zbędne. Byk

parsknął i wciągnął nozdrzami powietrze, zaniepokojony ostrzejszym powiewem wiatru. Za bykiem jakaś samica tarzała się w ziemi, wzniesając obłoki pyłu. Kilkanaście innych krów i cieląt pasło się obojętnie w pobliżu.

Glass swego pierwszego bizona ujrzał, gdy przemierzał równiny Teksasu. Od tamtej pory widywał ich wiele, w małych albo wielkich stadach, przy setkach okazji. Jednak widok tych zwierząt za każdym razem napełniał go respektem i strachem ze względu na ich liczebność, a także podziwem dla prerii, która umiała je wykarmić.

Sto jardów od Glassa, w dole rzeki, wataha ośmiu wilków obserwowała tego samego byka oraz gromadkę, której przewodził. Samiec alfa siedział na zadzie nieopodal kępy bylicy preriowej. Całe popołudnie czekał cierpliwie na moment, który właśnie nadszedł, moment, w którym między osobną grupką a resztą stada powstała odpowiednia odległość. Odstęp. Zgubna słabość. Wielki wilk wstał nagle na wszystkie cztery łapy.

Był wysoki, ale chudy. Jego nogi sprawiały wrażenie niezdarnych, węzłowatych i dziwnie nieproporcjonalnych w stosunku do pokrytego kruczoczną sierścią ciała. Nad rzeką wesoło bawiło się dwoje szceniąt. Niektóre wilki spały spokojnie niczym psy podwórkowe. Wszystkie wyglądały bardziej na domowe zwierzaki niż na drapieżców, aczkolwiek nagły ruch wielkiego samca poderwał je do życia.

Śmiertelne niebezpieczeństwo, jakie stanowiła wilcza wataha, można było uświadomić sobie dopiero wtedy, gdy drapieżniki ruszyły. Ich siła nie tkwiła w muskulaturze czy pełnym gracji sposobie poruszania się, lecz raczej w pełnej determinacji inteligencji, dzięki której ich działania były celowe i niepowstrzymane. Poszczególne osobniki łączyły się w jeden śmiercionośny oddział, współtworząc kolektywną siłę watahy.

Samiec alfa rzucił się w przerwę między odłączoną grupką a resztą stada, po kilku jardach osiągając pełną szybkość biegu. Wataha uformowała za nim półkolisty szyk z precyzją i nakierowaniem na cel, które zdumiały Glassa, tak bardzo przypominały szyk wojskowy. Wilki wbiły się w odstęp. Nawet szczenięta zdawały się rozumieć sens tego przedsięwzięcia. Bizony znajdujące się na skraju głównego stada wycofały się, popychając przed sobą cielaki, po czym odwróciły się, stając w jednej linii frontem do wilków. Wraz z przemieszczeniem się głównego stada odstęp powiększył się, a byk i kilkanaście innych bizonów znalazło się w osamotnieniu poza jego obwodem.

Wielki byk ruszył do ataku, nabijając jednego z wilków na rogi i odrzucając skowyczące zwierzę na odległość siedmiu jardów. Wilki warczały, szczyrzyły kły i nagle zaatakowały osaczoną grupkę z flanki. Większość bizonów uciekła do głównego stada, instynktownie rozumiejąc, że ich bezpieczeństwo kryje się w liczbie osobników.

Samiec alfa lekko ukąsił jedno z cieląt w miękki zadek. Zdezorientowane oderwało się od stada i pobiegło ku brzegom rzeki. Wilki, co do jednego świadome owego śmiertelnego w skutkach błędu małego bizona, natychmiast pognały za ofiarą. Cielę ryczało i pędziło przed siebie jak szalone. Przekoziołkowało przez skarpe rzeczną, łamiąc sobie podczas upadku nogę. Próbowало znów powstać, ale uszkodzona kończyna zawisła w dziwacznej pozycji, a potem zupełnie załamała się pod zwierzęciem. Młode upadło na ziemię, wataha je przykryła. Kły wbiły się w każdą część ciała ofiary. Samiec alfa zacisnął zęby na miękkim gardle bizona i rozerwał je.

Od miejsca śmierci cielaka dzieliło Glassa kilkadziesiąt jardów. Obserwował tę scenę z mieszaniną strachu i fascynacji, zadowolony, że jego kryjówka leży po zawietrznej. Wataha skupiła całą uwagę na łupie. Samiec alfa i jego towarzyszka jedli jako pierwsi, okrwawione pyski nurzały się w miękkim podbrzuszu. Następnie pozwoliły najeść się szczeniętom, ale już innym wilkom z watahy – nie. Gdy któryś z nich próbował dostać się chyłkiem do ofiary, po chwili zmykał poturbowany lub pogryziony przez warczącego czarnego samca.

Glass gapił się na cielę bizona i na wilki, a jego umysł pracował na pełnych obrotach. Cielę urodziło się na wiosnę. Przeżywszy lato obfitości na prerii ważyło pewnie ze sto pięćdziesiąt funtów. „Sto pięćdziesiąt funtów świeżego mięsa”. Po dwóch tygodniach polowania na ofiary, które połykało się jednym kęsem, Glass z trudem mógł wyobrazić sobie taki ogrom. W pierwszej chwili miał nadzieję, że wataha zostawi mu trochę odpadków. Gdy jednak obserwował tę ucztę, stwierdził, że pożywienie znika w zastraszającym tempie. Nasyciwszy się, samiec alfa i jego towarzyszka w końcu oddalili się niespiesznie od padliny, unosząc ze sobą oderwaną tylną nogę bizona dla swych młodych. Cztery pozostałe wilki dopadły do ścierwa.

Czując rosnącą desperację, Glass rozważał swoje szanse. Jeżeli będzie czekał zbyt długo, z pewnością nic dla niego nie zostanie. Myślał o perspektywie dalszego żywienia się myszami i korzonkami. Nawet jeśli uda mu się zdobyć ich tyle, by nie umrzeć z głodu, sam proces pozyskiwania tego pożywienia trwa po prostu za długo. Do tej pory nie przebył nawet trzydziestu mil. W tym tempie będzie mieć szczęście, jeśli dotrze do Fort Kiowa przed zimą. I oczywiście, każdy dzień pobytu nad rzeką grozi spotkaniem z Indianami.

Rozpaczliwie potrzebował tej siły, którą mogłoby mu dać mięso bizona. Być może sama Opatrzność zesłała to cielę. „To moja szansa”. Jeśli chce mieć swój udział w ucztie, będzie musiał o niego zawalczyć. I to od razu.

Zlustrował okolicę w poszukiwaniu jakiejś broni. Nie znalazł jednak nic prócz kamieni, kawałków drewna spływającego rzeką i kępek bylicy. „Pałka?” Przez chwilę zastanawiał się, czy zdołałby odpędzić wilki. Uznał to za niewykonalne. Nie jest w stanie zamachnąć się na tyle, by wyprowadzić znaczniejszy cios. A

będąc cały czas na kolanach, traci przewagę wzrostu. „Bylica”. Przypomnił sobie intensywne, choć krótkotrwałe płomienie, którymi paliły się suche kępy bylicy. „Pochodnia?”

Nie widząc przed sobą żadnej innej możliwości, zaczął się gorączkowo rozglądać za przedmiotami niezbędnymi do rozpalenia ognia. Wiosenne powodzie wyrzuciły na brzeg wielki pień topoli, tworząc w ten sposób naturalny parawan. Glass wykopał płytki dołek tuż obok pnia.

Wyjął swój mały łuk i wrzeczono, wdzięczny, że ma przynajmniej owo instrumentarium służące do rozpalania ognia. Z torby myśliwskiej wyciągnął ostatnią szmatkę oraz wielki kłęb wełny z pałki wodnej. Spojrzał w kierunku rzeki na watahę wilków, wciąż rozszarpujących ciele. „Jasna cholera!”

Zaczął szukać podpałki. Oprócz pnia nurt rzeki nie przyniósł tu żadnego innego drewna. Znalazł jednak kępę uschłej preriowej bylicy, urwał pięć długich gałęzi i położył je obok dołka.

Następnie umieścił łuk i smyczek na miejscu, ostrożnie nakładając rozpałkę. Jął poruszać łukiem, najpierw powoli, po czym coraz szybciej, aż wpadł w rytm. Po kilku minutach w zagłębieniu przy pniu topoli płonął skromny ogieniek.

Jeszcze raz obejrzał się na wilki. Samiec alfa, jego towarzyszka i dwa szczeniaki siedziały razem jakieś dwadzieścia jardów od cielaka. Skorzystały z prawa pierwszeństwa posilenia się mięsem ofiary, a teraz zadowolaly się spokojnym wylizywaniem smakowitego szpiku z kości tylnej nogi bizona. Glass miał nadzieję, że nie będą się angażować w nadchodzące starcie. To oznaczało, że pozostały mu cztery wilki przy padlinie.

Paunisi znad Loup, czyli Wilczej Rzeki darzyli te zwierzęta wielkim poważaniem ze względu na ich siłę, ale przede wszystkim na ich przebiegłość. Już sama nazwa ich rzeki o tym świadczyła. Glass brał udział w wyprawach myśliwskich Paunisów, podczas których zabijali wilki; ich skóra stanowiła ważny element licznych ceremonii. Lecz nigdy dotąd nie robił czegoś takiego jak to, do czego się teraz przygotowywał: miał podczołgać się do wilczej watahy uzbrojony jedynie w pochodnię z preriowej bylicy i rzucić jej wyzwanie, którego stawką są resztki po cielaku.

Gałęzie bylicy były poskręcane niczym wielkie artretyczne palce. Z głównego konara wyrastały regularnie drobniejsze gałązki o miękkim łyku, gdzieniegdzie porośnięte łamliwymi, zielononiebieskimi liśćmi. Chwycił jedną z gałęzi i przystawił do ognia. Zająła się błyskawicznie, w jej górnej części gorzał płomień wysoki na stopę. „Pali się za szybko”. Glass zaczął się zastanawiać, czy ogień nie zgaśnie po przebyciu odległości dzielącej go od wilków, bo przecież miał stanowić jedyną broń w czekającej go bitwie. Postanowił zabezpieczyć się na wszelki wypadek. Zamiast podpalać od razu wszystkie gałęzie bylicy, po prostu je przeniesie jako zapas amunicji, którego można będzie użyć na miejscu.

I znów popatrzył na wilki. Nagle wydały mu się większe. Zawahał się. Nie ma odwrotu, zdecydował. „To moja szansa”. Z płonąca gałęzią bylicy w jednej ręce i czterema zapasowymi w drugiej, Glass szczołgał się ze skarpy w kierunku wilków. Gdy znalazł się w odległości pięćdziesięciu jardów, samiec alfa i jego towarzyska unieśli głowy znad kości tylnej nogi cielaka i patrzyli na dziwne zwierzę, które zbliżało się do padliny. Uznały Glassa za ciekawostkę, nie zagrożenie. A poza tym zdążyły już swoje zjeść.

Kiedy dotarł na odległość dwudziestu jardów, wiatr zmienił kierunek i cztery wilki przy bizonie poczuły zapach dymu. Wszystkie odwróciły głowy. Glass zatrzymał się, sam na sam z czterema wilkami. Z oddalenia łatwo było wyobrazić sobie, że są to po prostu psy. Z bliska jednak widział, że z udomowionymi kuzynami nic ich nie łączy. Biały wilk odstłonił ociekające krwią kły i zrobił w kierunku Glassa pół kroku, a z głębin jego gardzieli dobiegło stłumione warczenie. Obniżył barki, który to ruch był zarówno defensywny, jak i ofensywny.

W białym wilku walczyły przeciwstawne instynkty – z jednej strony musiał bronić swojej zdobyczy, z drugiej bał się ognia. Inny wilk, z brakującym sporym fragmentem ucha, ustawił się obok pierwszego. Dwa pozostałe nadal szarpały ścierwo bizona, najwyraźniej korzystając z okazji. Płonąca gałąź w prawej ręce Glassa zaczęła sypać iskrami. Biały wilk uczynił kolejny krok w stronę Glassa, któremu przypomniały się potworne niedźwiedzie zębiska, boleśnie wpijające się w jego ciało. „Co ja narobiłem...”

Nagle nastąpił jasny rozbłysk, po nim krótka przerwa, a następnie przez dolinę przetoczył się basowy pomruk burzy. Krople deszczu uderzyły Glassa w twarz, wiatr targnął płomieniem. Poczul bolesny skurcz żołądka. „Boże, nie – nie teraz!” Musiał działać szybko. Biały wilk szykował się do ataku. „Czy one naprawdę potrafią wyczuć strach?” Musiał zrobić coś nieoczekiwanego. To on musiał zaatakować.

Wziął do prawej ręki cztery pozostałe gałęzie bylicy i przytknął je do pochodni trzymanej w lewej ręce. Płomienie przeskoczyły, żarłocznie pochłaniając susz. Trzymał teraz gałęzie oburącz, co oznaczało, że nie mógł już używać lewej ręki do balansowania ciałem. Z poranionego prawego uda promieniował potworny ból, ponieważ główny ciężar spoczywał obecnie na nodze – Glass był bliski upadku. Dzięki przechyłowi w bok udało mu się utrzymać pozycję wyprostowaną. Kuśtykając na kolanach, rzucił się do tak zwanego ataku. Wydał z siebie najgłośniejszy dźwięk, na jaki go było stać, który zabrzmiał jak jakiś upiorny lament. Posuwał się jednak naprzód, wymachując płonąca pochodnią jak ognistym mieczem.

Skierował ją w stronę wilka o jednym uchu. Płomień osmalił pysk zwierzęcia, które odskoczyło do tyłu, skomlać. Biały samiec rzucił się na Glassa z boku i zatopił kły w jego ramieniu. Glass obrócił się, odsuwając jak najdalej szyję, żeby

nie dopuścić wilka do gardła. Jego twarz dzieliło od wilczego pyska tylko kilka cali, czuł cuchnący krwią oddech zwierzęcia. Ze wszystkich sił starał się utrzymać równowagę. Przesunął ręce tak, żeby skierować ogień na wilka, i przypalił mu brzuch i krocze. Wilk puścił jego ramię i cofnął się.

Glass usłyszał warczenie za swoimi plecami i instynktownie padł na ziemię. Jednouchy wilk przeleciał nad jego głową, chybiając karku, ale przewracając Glassa na bok. Mężczyzna jęknął, uderzywszy o grunt; ból w plecach, gardle i ramieniu wybuchł z nową siłą. Pochodnia z kilku gałęzi upadła na piaszczystą ziemię i rozleciała się. Glass sięgnął po gałęzie, desperacko pragnąc pozbierać je, zanim zgasną. Jednocześnie ze wszystkich sił starał się odzyskać pozycję wyprostowaną, na obu kolanach.

Dwa wilki krążyły wolno wokół niego, czekając na odpowiedni moment, już ostrożniejsze, gdy spróbowały płomieni. „Nie mogą zejść mnie od tyłu”. Znów uderzył piorun, tym razem odgłos grzmotu rozległ się niemal natychmiast. Burza była już prawie nad nim. Deszcz mógł lunąć w każdej chwili. „Nie ma czasu”. Nawet bez deszczu pochodnie paliły się bardzo słabo.

Biały i jednouchy zbliżyły się. One również wyczuwały, że walka osiąga punkt kulminacyjny. Glass zamarkował rzut pochodnią. Zwolniły, ale nie wycofały się. Glass zdążył już doczołgać się na odległość jarda od padliny. Dwóm pozostałym wilkom, pożywiającym się przez ten cały czas, udało się urwać drugą tylną nogę i oddalić od całego zamieszania wywołanego przez ich pobratymców i dziwne stworzenie z ogniem. I wtedy Glass zauważył kępy suchej bylicy preriowej, otaczające padlinę. „Zapalą się?”

Ze wzrokiem utkwionym w przeciwnikach, Glass przyłożył pochodnię do bylicy. Od wielu tygodni nie padał tu deszcz. Krzew był suchy jak wiór i łatwo zajął się ogniem. W jednej chwili płomień wysoki na dwie stopy ogarnął bylicę rosnącą obok padliny. Glass podpalił jeszcze dwie kępy. Cieleń bizona leżało teraz otoczone przez trzy płonące krzaki. Jak Mojżesz, Glass oparł się kolanami o padlinę i wymachiwał resztkami pochodni. Uderzył piorun, a po nim odezwał się grzmot. Wiatr szarpał płomieniami palących się roślin. Zaczęło padać, lecz jeszcze nie na tyle mocno, żeby zagasić ogień.

Efekt był imponujący. Biały i jednouchy rozejrzały się dokoła. Samiec alfa, jego towarzyszka i szczenięta sadyły susami przez prerię. Mając pełne brzuchy i burzę nad głowami, zmierzały do bezpiecznej, znajdującej się w pobliżu kryjówki. Dwa pozostałe wilki, które wcześniej pożywiały się ściervem, ruszyły w ślady tamtych, z wysiłkiem ciągnąc przez prerię tylną ćwiartkę bizona.

Biały wilk przysiadł w kucki, jakby sposobił się do kolejnego ataku. Lecz wtedy nagle jednouchy odwrócił się i pobiegł za watahą. Biały wstał i rozważał zmieniającą się sytuację. Dobrze znał swoje miejsce w stadzie: nie był przywódcą, robił to, co mu narzucano. Inne wilki decydowały, kiedy zabijać, on tylko

pomagał w realizacji. Inne wilki jadły pierwsze, on zadowalał się resztkami. Zwierzę nigdy nie widziało podobnego stworzenia do tego, które pojawiło się dzisiaj, doskonale jednak znało swoje miejsce w hierarchii. Gdzieś wysoko rozległ się kolejny huk gromu, deszcz rozpadał się na dobre. Biały wilk po raz ostatni spojrzął na bizona, człowieka i dymiącą bylicę, po czym odwrócił się i pognął za watahą.

Glass obserwował, jak wilki znikają za skarpą rzeczną. Wokół niego dymiło się coraz bardziej, w miarę jak ulewa tłumiała płomienie. Jeszcze chwila i stanie się całkiem bezbronny. Miał zdumiewające szczęście. Rzucił szybko okiem na ślady zębów na ramieniu. Krew ściekała z dwóch ran kłutych, które jednak nie były głębokie.

Cielę spoczywało w groteskowej pozycji, jakby nadal zamierzało uciekać przed wilkami. Brutalne kły rozpruły mu brzuch. Z rozerwanego gardła spływała świeża krew, tworząc kałużę, a jej upiornie jaskrawy karmazyn odcinał się od stonowanego brązu piaszczystej gleby. Wilki skupiły się głównie na bogatych w składniki odżywcze wnętrznościach, których również Glass pragnął skosztować. Przetoczył cielę z pozycji bocznej na grzbiet i zawiedziony stwierdził, że z wątroby nie pozostało nic. Zniknęły także pęcherzyk żółciowy, płuca oraz serce. Z jamy brzusznej zwisał jedynie kawałek jelita. Glass wyciągnął z torby myśliwskiej brzytwę, włożył lewą rękę do wnętrza ciała cielaka i przesuwając ją wzdłuż wijącego się organu doszedł do dwustopowej długości żołądka, który następnie wyciął. Prawie niezdolny do panowania nad sobą z powodu głodu, włożył kawałek żołądka do ust i pożarł go.

Wataha wilków zjadła wprawdzie najlepsze kęski, ale przynajmniej wyświadczyła Glassowi tę usługę, że niemal odarła ofiarę ze skóry. Glass przesunął się ku szyi, gdzie za pomocą brzytwy udało mu się usunąć luźną powłokę. Cielę było dobrze odżywione. Mięśnie pulchnego karku otaczała warstewka delikatnego białego tłuszczu. Traperzy określali ten tłuszcz mianem „runa” i uważali za przysmak. Glass odcinał teraz kawałki białej substancji, wpychał je sobie do ust, i prawie wcale nie żując – połykał. Za każdym razem czuł w gardle przeraźliwy ogień, ale głód miał przewagę nad bólem. Mężczyzna sycił się swoją zdobyczą w ulewnym deszczu, aż wreszcie osiągnął ów próg, który pozwolił mu skupić się na ocenie sytuacji.

Ponownie wspiął się na krawędź nadrzecznej skarpy i zlustrował widnokrąg. Luźne grupki bizonów pasły się obojętnie, nigdzie nie dostrzegł śladów bytności Indian ani wilków. Deszcz i grzmoty ustały, znikając równie szybko, jak przyszły. Ukośne promienie popołudniowego słońca skutecznie przebijały się przez burzowe chmury; z nieba ku ziemi napływały mieniące się wszelkimi barwami słoneczne włócznie.

Rozsiadł się wygodnie i rozmyślał o swym szczęściu. Wilki wzięły, co im się

należało, ale oto miał przed sobą jakże obfite źródło pożywienia. Trzeźwo oceniał swoje położenie, lecz przynajmniej na razie nie groził mu głód.

Przez trzy dni obozował nad zerodowanym brzegiem rzeki, tuż obok padliny cielaka. W pierwszych godzinach nie rozpałał nawet ogniska i gorączkowo posilał się cienkimi plasterkami cudownie świeżego mięsa. Wreszcie zrobił sobie przerwę, rozniecił ogień, piekł i suszył dziczyznę, a jednocześnie starał się, by płomienie były jak najmniej widoczne, skryte za skarpą.

Z zielonych gałęzi rosnącej nieopodal wikliny zbudował kratownicę do suszenia mięsa. Godzina po godzinie wycinał swą tępą brzytwą fragmenty martwego cielaka i rozwieszał mięso na kratkach. Stale dokładał do ognia. W ciągu trzech dni uzyskał piętnaście funtów suszonego mięsa, czyli wystarczająco dużo, aby przeżyć nawet dwa tygodnie. A być może dłużej, gdyby po drodze udało mu się znaleźć jakiś dodatkowy pokarm.

Wilki pozostawiły jeden rarytas – język. Rozkoszował się nim jak królewskim przysmakiem. Żebra i resztki kości nóg piekł, jedno po drugich, nad ogniskiem, po czym łamał je i wysysał gęsty, świeży szpik.

Za pomocą swej tępej brzytwy zdjął z cielaka całą skórę. Zadanie, które normalnie trwa kilka minut, jemu zajęło parę godzin; w przerwach rozmyślał z goryczą o mężczyznach, którzy ukradli mu nóż. Nie miał ani czasu, ani odpowiednich narzędzi, żeby odpowiednio spreparować futro, ale wyciął sobie prymitywną sakwę ze skóry, zanim wyschła i stała się sztywna. Potrzebował torby na suszone mięso.

Trzeciego dnia wybrał się na poszukiwanie długiej gałęzi, która miała mu posłużyć za podpórkę. Podczas potyczki z wilkami zaskoczył go fakt, że ranna noga zdołała utrzymać tak spory ciężar. Przez dwa ostatnie dni poddawał ją regularnym ćwiczeniom, prostując ją i sprawdzając. Wierzył, że dzięki kuli będzie mógł chodzić w pozycji wyprostowanej, która to perspektywa – po trzech tygodniach pełzania jak kulawy pies – ogromnie mu się podobała. Znalazł gałąź topoli o odpowiedniej długości i kształcie. Z wełnianego koca odciął długi pas i owinał go wokół górnego fragmentu swej kuli, uzyskując w ten sposób ochraniacz.

Koc, cięty regularnie na kawałki, stał się właściwie kawałkiem tkaniny o wielkości dwóch stóp na jedną. W samym jego środku Glass wykroił brzytwą otwór, przez który mógł precyzyjnie przycisnąć głowę. Uzyskany tą drogą strój trudno było uznać za płaszcz, ale przynajmniej chronił skórę ramion przed uderzeniami podskakującej sakwy na mięso.

Noc spędzona niedaleko wzgórz znów była chłodna. Ostatnie kawałki mięsa zabitego cielaka suszyły się na kratownicy nad żarzącymi się czerwono węglami.

Ogień rzucał przyjemny blask na obozowisko, maleńką oazę światła pośród mrocznej, pozbawionej blasku księżycy równiny. Glass wysysał szpik z ostatniego zebra. Wrzuciwszy kość do ogniska, zdał sobie nagle sprawę, że nie jest głodny. Rozkoszował się ciepłem płomieni, luksusem, na który nie będzie mógł już sobie pozwolić w dającej się przewidzieć przyszłości.

Trzy dni pochłaniania pokarmu bardzo się przysłużyły jego poranionemu ciału. Zgiął prawą nogę, żeby się jej przyjrzeć. Mięśnie miał obolałe i naciągnięte, ale noga funkcjonowała. Poprawił się również stan ramienia. Wprawdzie nie było jeszcze zbyt silne, za to trochę bardziej giętkie. Nadal bał się dotknąć gardła. Sterczały z niego resztki szwów, choć sama skóra już się zagoiła. Zastanawiał się nad podjęciem próby usunięcia szwów za pomocą brzytwy, jednak czuł przed tą operacją strach. Oprócz krzyku, jaki dobył z siebie podczas starcia z wilkami, jak dotąd nie sprawdzał stanu swego głosu. Teraz również nie zaryzykował. Głos nie miał większego znaczenia, jeśli chodzi o przeżycie nadchodzących tygodni. Jeżeli doszło do jakichś zmian, trudno. Glass doceniał, że przynajmniej może już połykać, nie czując tak silnego bólu.

Rozumiał, że ciele bizona stanowiło łut szczęścia. Fakt ten nie zakłócał jednak jego zdolności oceny bieżącej sytuacji. Udało mu się przetrwać kolejny dzień, ale był sam, bez broni. Od Fort Brazeau dzieliło go trzysta mil otwartej prerii. Wzdłuż rzeki, wedle której orientował się co do właściwego kierunku marszu, przemieszczały się dwa plemiona indiańskie – jedno z nich zapewne wrogo nastawione, drugie nastawione wrogo bez najmniejszych wątpliwości. A poza tym, z czego Glass boleśnie zdawał sobie sprawę, zagrożenie płynęło nie tylko ze strony Indian.

Wiedział, że powinien się wyspać. Mając nową kulę, liczył, że zdoła jutro pokonać dziesięć, a nawet piętnaście mil. Mimo to coś kazało mu chwycić tę ulotną chwilę dobrego samopoczucia – gdy leżał syty, wypoczęty, ogrzany.

Sięgnął do torby myśliwskiej i wyjął z niej niedźwiedzi pazur. Obracał go z wolna w słabym świetle ogniska, znów przyglądając się zaschłej krwi na czubku – jego krwi, uświadomił sobie. Zaczął nacinać brzytwą grubą podstawę pazura, aż uzyskał wąski rowek, który starannie pogłębiał. Wyciągnął z torby naszyjnik ze stopami jastrzębia. Jego sznur owinął wokół rowka u podstawy pazura i związał w mocny węzeł. Końce sznura umocował sobie na karku.

Świadomość, że pazur, który zadał mu rany, wisi teraz martwy u jego szyi, sprawiała mu przyjemność. „Mój talizman”, pomyślał, a potem zasnął.

Rozdział 11

16 września 1823 roku

„Niech to jasna cholera!” John Fitzgerald stał, wpatrując się w płynącą przed nim rzekę, a dokładniej – w jej zakręt.

Jim Bridger podszedł do niego.

– Co ona robi, skręca na wschód? – Bez ostrzeżenia Fitzgerald zdzielił chłopca w zęby. Bridger wylądował na plecach ze zdumionym wyrazem twarzy. – Za co to?

– Myślisz, że nie widzę, że skręca na wschód? Kiedy będę chciał zrobić z ciebie zwiadowcę, to ci powiem! Miej oczy otwarte, ale głowę trzymaj na kłódkę!

Bridger miał oczywiście rację. Przez ponad sto mil rzeka, wzdłuż której szli, biegła zasadniczo na północ, czyli dokładnie tam, dokąd się kierowali. Fitzgerald nie bardzo się orientował, co to za rzeka ani jak się nazywa, wiedział jednak, że każdy ciek wodny wpada ostatecznie do Missouri. Gdyby nadal płynęła w kierunku północnym, zdaniem Fitzgeralda doprowadziłaby ich na odległość jednego dnia marszu od Fort Union. Wręcz żywił nadzieję, iż już znajdują się w Yellowstone, jakkolwiek Bridger utrzymywał, że są o wiele bardziej na wschód.

W każdym razie Fitzgerald planował trzymać się rzeki aż do jej ujścia do Missouri. Prawdę powiedziawszy, nie miał zielonego pojęcia o geografii tego ogromnego pustkowia, jakie rozciągało się przed nimi. Od czasu, gdy odeszli od głównego koryta Górnej Grand, krajobraz pozbawiony był jakichkolwiek cech charakterystycznych. Jak okiem sięgnąć, widać było tylko milczące morze traw i falujących pagórków, z których żaden niczym się nie różnił od pozostałych.

Rzeka stanowiła niezawodny drogowskaz, a ponadto zapewniała stałe zaopatrzenie w wodę. Mimo to Fitzgerald nie chciał skręcać na wschód – w tym bowiem kierunku podążała teraz rzeka na przestrzeni, którą mogli ogarnąć wzrokiem. Ich wrogiem był czas. Im dłużej wędrowali w odłączeniu od oddziału i kapitana Henry’ego, tym większe było prawdopodobieństwo, że wpadną w tarapaty.

Pozostawali w tym miejscu przez kilka minut, podczas których Fitzgerald wpatrywał się w horyzont, dręczony myślami. Wreszcie Bridger wziął głęboki oddech i rzekł:

– Powinniśmy pójść skrótem na północny zachód.

Fitzgerald zaczął go beszczać, ale sam zupełnie nie wiedział, co teraz zrobić. Wskazał ręką morze suchej trawy, które ciągnęło się po horyzont.

– Zakładam, że wiesz, gdzie można tam znaleźć wodę?

– Nie. Ale przy tej pogodzie nie będziemy jej dużo potrzebować. – Bridger, wyczuwając brak zdecydowania Fitzgeralda, pojął rosnące znaczenie własnych opinii. W przeciwieństwie do tamtego, on rzeczywiście miał instynkt radzenia sobie na otwartych przestrzeniach, wewnętrzny kompas, który zdawał się prowadzić go po nieznanym terenie. – Myślę, że jesteśmy najwyżej dwa dni drogi od Missouri. Tyle samo jest też chyba do fortu.

Fitzgerald zwalczył w sobie chęć ponownego zdzielenia towarzysza. A właściwie chęć zabicia go. Zrobiłby to już dawno, tam, nad rzeką Grand, gdyby nie to, że liczyła się też druga strzelba. Dwaj strzelcy to może niewiele, ale dwa to po prostu więcej niż jeden.

– Posłuchaj, chłopcze. Musimy sobie pewne rzeczy wyjaśnić, ty i ja, zanim dogonimy tamtych. – Bridger spodziewał się tej rozmowy od dnia, w którym porzucili Glassa. Spuścił głowę, już zawstydzony tym, co nastąpi.

– Zrobiliśmy dla starego Glassa wszystko, co w naszej mocy, zostaliśmy przy nim dłużej, niż zrobiłby to ktoś inny. Siedemdziesiąt dolarów to za mała cena za oskalpowanie przez Arikarów.

Bridger milczał, Fitzgerald ciągnął więc dalej.

– Glass był martwy od chwili, kiedy ten grizzly z nim skończył. Jedyne, czego nie zrobiliśmy, to pogrzeb. – Bridger nadal stał ze wzrokiem wbitym w ziemię. W Fitzgeraldzie znów wezbrał gniew. – Wiesz co, Bridger? Gównu mnie obchodzi, co sobie myślisz o naszym postępowaniu. Jedno ci tylko powiem: zacznij się komuś żalić, a poderżnę ci gardło od ucha do ucha.

Rozdział 12

17 września 1823 roku

Kapitan Andrew Henry wcale nie podziwiał surowego piękna rozpościerającej się przed nim doliny. Z punktu obserwacyjnego na wysokiej skarpie u zbiegu rzek Missouri oraz Yellowstone, Henry i jego siedmiu towarzyszy obserwowali krajobraz rozległego, monotonnego płaskowyżu. Poprzedzały go łagodne wzgórza rozlewające się niczym płowe fale pomiędzy stromym urwiskiem, na którym stali, a Missouri. Z tej strony rzeki nie rosły żadne drzewa, jednak na jej przeciwległym brzegu widać było gęste zagajniki topól, które toczyły z jesienią bój o utrzymanie – choćby chwilowe – zieleni swego listowia.

Henry nie oddawał się także rozważaniom dotyczącym filozoficznej symboliki zbiegu dwóch rzek. Nie marzył o wysokogórskich łąkach, gdzie wody brały swój początek, czyste jak płynny kryształ. Nie stał w miejscu również po to, by podziwiać praktyczne i zmyślne usytuowanie fortu, pozwalające ciągnąć zyski z handlu odbywającego się na obu traktach wodnych.

Myśli kapitana Henry'ego skupiały się nie na tym, co właśnie widział, lecz na tym, czego nie widział: a nie widział koni. Dostrzegał poruszających się tu i ówdzie ludzi oraz dym z wielkiego ogniska, konia natomiast ani jednego. „Nawet cholernego muła”. Wystrzelił w powietrze, bardziej w poczuciu frustracji niż w geście pozdrowienia. Ludzie w obozowisku przerwali swoje zajęcia i rozglądali się w poszukiwaniu strzelca. W odpowiedzi zagrzmiały dwie strzelby. Henry i jego siedmiu podkomendnych powlokło się w dół doliny do Fort Union.

Mijało osiem miesięcy, odkąd opuścili to miejsce, spiesząc z odsieczą Ashleyowi walczącemu z Indianami Arikara. Henry wydał wcześniej dwa polecenia: zakładać pułapki i sidła na zwierzęta na wszystkich strumieniach w okolicy oraz za wszelką cenę strzec koni. Wydawało się, że szczęście nie opuści kapitana Henry'ego.

Świnia zdjął strzelbę z ramienia, gdyż zaczynała się wrzynać na stałe w jego ciało. Chciał przełożyć ciężką broń na lewy bark, lecz tam tkwił już pas torby myśliwskiej, która też wywierała niemały nacisk. Ostatecznie zrezygnował i postanowił po prostu nieść strzelbę przed sobą, co natychmiast przypomniało mu, że bolą go obie ręce.

Świnia nieustannie marzył o wygodnym sienniku, znajdującym się na tyłach zakładu bednarskiego w St. Louis, i raz jeszcze doszedł do wniosku, że zaciągnięcie się do oddziału kapitana Henry'ego było straszliwym błędem.

Przez pierwsze dwadzieścia lat swego życia Świnia nigdy nie przeszedł więcej niż dwie mile naraz. A tymczasem w ciągu ostatnich sześciu tygodni nie było dnia, żeby nie musiał przebyć co najmniej dwudziestu mil, często zaś pokonywali nawet trzydzieści i więcej. Dwa dni temu Świnia zdarł trzecią parę mokasynów. Ziejące dziury w podeszwach przepuszczały mroźną rosę poranka. Kamienie ocierały mu stopy do krwi. Ale najgorszy był moment, gdy pewnego dnia nastąpił nogą na kaktus – kolczastą opuncję. Mimo długotrwałych wysiłków nie udało mu się usunąć nożem wszystkich maleńkich igiełek i teraz przy każdym kroku jęczał z powodu bólu ropiejącego palucha.

A przede wszystkim – nigdy w życiu nie był bardziej głodny niż teraz. Tęsknił za prostą przyjemnością zanurzenia bułki w sosie, marzył, by zatopić zęby w tłustej nodze kurczaka. Wspominał z czułością wielką stertę zarcia na cynowym talerzu, którą żona bednarza przynosiła mu trzy razy dziennie. A teraz jego śniadanie składało się z zimnego suszonego mięsa – i to w niezbyt wielkiej ilości. Rzadko zdarzało im się zrobić postój na obiad, a jeśli już, to zjadali właśnie zimne suszone mięso. Ponieważ kapitan bał się ryzykować użycia broni palnej, także na kolacje spożywano głównie... zimne suszone mięso. Przy nielicznych okazjach, gdy trafiała im się świeża zdobycz, Świnia zażerał się, ile wlezie, łykając wielkie kawałki dziczyzny albo łamiąc kości i wysysając z nich szpik. Że też na tym pograniczu zdobywanie jedzenia wymagało tyle cholernego wysiłku. I wysiłek ten sprawiał, że znów robił się głodny jak wilk.

Z każdym kolejnym skurczem żołądka, z każdym kolejnym krokiem marszu Świnia coraz mocniej kwestionował swoją decyzję wędrówki na zachód. Bogactwa pogranicza pozostawały tylko w strefie marzeń, jak wcześniej.

Od sześciu miesięcy nie zastawił ani jednej pułapki na bobry. Gdy weszli do obozu, stwierdzili, że brakuje w nim nie tylko koni. „Gdzie są futra?” Na drewnianych umocnieniach fortu wisiało kilka bobrowych skórek zawieszonych na wiklinowych kratownicach, a także rozmaite fragmenty skór bizona, łosia i wilka. Trudno to było jednak uznać za bonanzę, na którą wielu liczyło.

Do przodu wysunął się mężczyzna zwany Krępy m Billem i wyciągnął do Henry’ego rękę na powitanie.

Henry ją zignorował.

– Gdzie są konie, u diabła?

Ręka Krępego Billa zawisała na chwilę w powietrzu, samotna i jakaś nie na miejscu. W końcu opadła.

– Czarne Stopy ukradły, panie kapitanie.

– Słyszałeś kiedyś o czymś takim jak straż?

– Wystawiliśmy straż, kapitanie, ale oni pojawili się jak duchy i popędzili stado.

– Ruszyliście za nimi?

Krępy Bill pokręcił wolno głową.

– Jak dotąd nie szło nam zbyt dobrze z Czarnymi Stopami. – Było to powiedziane delikatnie, lecz skutecznie. Kapitan Henry westchnął głęboko.

– Ile koni zostało?

– Siedem... Właściwie pięć i dwa muły. Wszystkie zabrał Murphy razem ze swoją grupą traperów nad Beaver Creek.

– Nie wydaje mi się, żebyście się specjalnie zajmowali zakładaniem pułapek i pozyskiwaniem skór.

– Ależ tak, kapitanie, tylko że wszystko w okolicach fortu już wylapano. A bez koni nie możemy zapuszczać się dalej.

Jim Bridger leżał skulony pod wytartym kocem. Rankiem ziemię pokrywała gruba warstwa szadzi; chłopak czuł wilgotne zimno wgryzające się aż do szpiku kości. Znow spali bez rozpalania ogniska. Po długiej szamotaninie wewnętrznej zmęczenie wzięło w nim górę nad niewygoda i zimnem i Bridger zasnął.

Śniło mu się, że stoi nad ogromną przepaścią. Niebo miało fioletowoczarny odcień późnego wieczoru. Nadciągał mrok, lecz zostało jeszcze dość światła, by rozróżniać przedmioty spowite bladą poświatą. Upiór wyglądał początkowo jak jakiś bardzo rozmyty kształt, dość odległy. Zbliżał się powoli, niechybnie. Jego zarys przybierał konkretną formę – widać już było poskręcane, kuśtykające ciało. Bridger zapragnął uciec, lecz ziejąca za nim przepaść czyniła odwrót niemożliwym.

Z odległości dziesięciu kroków wyraźnie już widział potworną twarz. Było w niej coś nienaturalnego, jej zniekształcone rysy przywodziły na myśl maskę. Przez policzki i czoło biegły blizny. Nos i uszy tkwiły nie na swoich miejscach, nierówno i niesymetrycznie. Oblicze otaczała plątanina włosów i brody, potęgując jeszcze wrażenie, że istota ta nie jest już człowiekiem.

Gdy widmo zbliżyło się jeszcze bardziej, jego oczy zapłonęły i spoczęły nieruchomo na osobie Bridgera z wyrazem takiej nienawiści, że nie mógł jej znieść.

Widmo uniosło ramię ruchem zniwiarza i wbiło nóż głęboko w pierś Bridgera. Mostek pękł gładko na dwoje, a wstrząśnięty chłopak odczuł potworną siłę ciosu. Chwiejnie cofnął się o krok, po raz ostatni spojrzął w płonące oczy i upadł.

Wpatrywał się w nóż sterczący mu z piersi, a otchłań zamykała się nad nim. Nie zdziwił się zbyt, poznawszy srebrną gałkę na rękojeści noża. To był nóż Glassa. Pod pewnymi względami śmierć przynosi ulgę, pomyślał, jest łatwiejsza niż życie z poczuciem winy.

Poczuł tępe walnięcie w żebra. Otworzył oczy i wzdrygnął się, widząc nad sobą Fitzgeralda.

– Czas w drogę, chłopcze.

Rozdział 13

5 października 1823 roku

Zgliszczą wioski Arikarów przypominały Hugh Glassowi szkielety. Spacer wśród nich miał w sobie coś złowieszczego. Miejsce, które jeszcze nie tak dawno tętniło życiem pięciuset mieszkających tu rodzin, stało teraz puste i martwe niczym cmentarzysko, szerniały pomnik wzniesiony na wysokiej skarpie Missouri.

Wioska znajdowała się osiem mil na północ od miejsca, w którym rzeka łączyła się z Grand, natomiast Fort Brazeau leżał w odległości siedemdziesięciu mil na południe. Glass miał dwa powody, aby zmienić kierunek marszu i ruszyć w górę Missouri. Skończyło mu się suszone bizonie mięso i znów musiał polegać na korzonkach i jagodach. Pamiętał, że wokół osad Arikarów znajdowały się pola kukurydzy i miał nadzieję, że się tam pożywi.

Wiedział też, że w wiosce znajdzie materiały niezbędne do zbudowania tratwy. Mając tratwę, mógłby z łatwością dopłynąć z prądem do Fort Brazeau. Idąc powoli przez osadę, zdał sobie sprawę, że z materiałem budowlanym nie będzie najmniejszego problemu. Między chatami a palisadą walały się setki odpowiednich pni.

Zatrzymał się, żeby obejrzeć dużą chatę nieopodal centrum wioski, najwyraźniej coś w rodzaju ogólnodostępnej świetlicy. W mrocznym wnętrzu zauważył jakiś ruch. Zatoczył się krok do tyłu, serce waliło mu jak młotem. Znieruchomiał i wpatrywał się w dom, czekając, aż oczy przyzwyczają się do światła. Nie potrzebował już podpórki, dlatego z kuli otrzymanej z topolowego kija zrobił sobie prymitywną włócznię, zaostrzywszy jeden koniec. Trzymał ją teraz w pozycji gotowej do walki.

We wnętrzu chaty zaskomlał młody pies, wręcz szczeniak. Z uczuciem ulgi i ekscytacji na myśl o świeżym mięsie Glass zrobił powoli krok przed siebie. Obrócił włócznię tępym końcem do przodu. Jeśli uda mu się przywabić psa bliżej, jedno szybkie uderzenie rozwali mu czaszkę. „Nie ma potrzeby niszczyć mięsa”. Wyczuwając niebezpieczeństwo, pies czmychnął ku spowitym w mroku zakamarkom na tyłach otwartego pomieszczenia.

Glass rzucił się w pogoń, ale natychmiast stanął jak skamieniały, widząc, że pies wpada wprost w ramiona wiekowej squaw. Stara kobieta przycupnęła na posłaniu, tak mocno owinąwszy się podartym kocem, że wyglądała jak kula. Trzymała szczeniaka niczym dziecko. Ciało zwierzęcia zasłaniało jej twarz, widać było tylko białe włosy skryte w cieniu. Wykrzyknęła coś głośno i zaczęła

histerycznie zawodzić. Po chwili zawodzenie przeszło w przerażający i upiorny śpiew. „Czy to jej pieśń śmierci?”

Ramiona obejmujące pieska składały się niemal wyłącznie ze starej luźnej skóry zwisającej z kości. Gdy wzrok Glassa przystosował się do ciemności, dostrzegł walające się wokół kobiety odpadki i nieczystości. W wielkim glinianym naczyniu znajdowała się woda, ale nigdzie nie zobaczył śladu żywności. „Dlaczego nie zbierała kukurydzy?” Glass znalazł kilka kolb, idąc przez wieś. Jelenie i Siuksowie przetrzebili uprawy, ale coś na pewno jeszcze zostało. „Czy ona nie jest w stanie chodzić?” Sięgnął do sakwy i wyjął z niej kolbę kukurydzy. Zaczął ją łuskać, po czym zgiął się, by podać ziarna starej kobiecie. Trzymał tak rękę dość długo, tymczasem staruszka nie przestawała zawodzić. Po chwili szczeniak wyczuł ziarno i zaczął je zlizywać. Glass wychylił się jeszcze bardziej i dotknął głowy kobiety, delikatnie poruszając białe włosy. Wtedy wreszcie przestała śpiewać i zwróciła twarz ku światłu, które wpadało przez drzwi.

Glass wstrzymał oddech. Jej oczy były idealnie białe, całkowicie ślepe. Teraz rozumiał, dlaczego Arikara, uciekając w środku nocy, pozostawili tę starą kobietę własnemu losowi.

Wziął jej rękę i delikatnie ułożył na niej kukurydżę. Wymamrotała coś, czego nie zrozumiał, i wcisnęła kolbę do ust. Glass zauważył, że nie ma zębów i żuje surową kukurydżę samymi dziąsłami. Słodki sok zdawał się pobudzać w niej głód, zaczęła niezdarnie ogryzać kolbę. „Powinna się napić zupy”.

Rozejrzał się po wnętrzu chaty. W samym środku, obok paleniska, leżał zardzewiały kociołek. Sprawdził wodę w wielkim glinianym naczyniu. Była słonawa, na powierzchni coś pływało. Dźwignął garniec i wyniósł go na dwór. Wylał wodę i napełnił naczynie w małym strumyku, który płynął przez wieś.

Tam właśnie zauważył kolejnego psa i tego już nie oszczędził. Niebawem w centrum chaty zapłonął ogień. Część psa Glass upiekł na rożnie, drugi kawałek ugotował w garnku. Do psiego mięsa dodał kukurydżę, po czym wybrał się na dalszy rekonesans po wsi. W wielu ziemiankach ogień nie poczynił większych szkód i Glass ucieszył się, znajdując spory zwój sznura na swojej tratwę, a także cynowy kubek i chochlę wykonaną z rogu bizona.

Po powrocie do wielkiej chaty zastał kobietę w tej samej pozycji, w której ją zostawił – wciążssała kolbę kukurydzy. Zbliżył się do garnca i cynowym kubkiem zaczerpnął wywaru, po czym usiadł przy posłaniu staruszki. Szczeniak, zaniepokojony zapachem wydzielanym przez mięso jego pobratymca na rożnie, cisnął się do nóg kobiety. Ona również wyczuła ów zapach. Chwyciła kubek i połknęła wywar od razu, gdy tylko jego temperatura na to pozwoliła. Glass ponownie napełnił kubek, tym razem wrzucając doń małe kawałki mięsa, które odciął brzytwą. Postąpił tak trzykrotnie, aż wreszcie staruszka nasyciła się i zasnęła. Poprawił koc okrywający jej kościste ramiona.

Przesunął się w stronę ogniska i zaczął jeść pieczonego psa. Paunisi uważali mięso tych zwierząt za przysmak i zachowywali je na specjalne okazje, tak jak biali zarzynają świnie. Glass bez wątpienia wolałby bizona, ale w obecnym położeniu musiał zadowolić się psem. Zjadł kukurydzą z garnka, wywar i gotowane mięso zostawiając dla squaw.

Posiłał się już prawie godzinę, gdy staruszka nagle coś wykrzyknęła. Glass szybko zbliżył się do niej. W kółko powtarzała te same słowa. „He tuwe he... He tuwe he...”. Tym razem jednak jej głos nie wyrażał strachu, jak pieśń śmierci, lecz brzmiał cicho i stanowczo, jakby zależało jej na przekazaniu czegoś ważnego. Glass nie rozumiał, o czym mówi. Nie bardzo wiedząc, co zrobić, wziął kobietę za rękę. Odwzajemniła lekki uścisk i przycisnęła jego dłoń do swego policzka. Siedzieli tak przez chwilę. Ślepe oczy zamknęły się, odpłynęła w sen.

Nad ranem umarła.

Glass spędził większość poranka na wznoszeniu prymitywnego stosu nad brzegiem Missouri. Gdy skończył, wrócił do wielkiej chaty i owinął zwłoki staruszki w koc. Zaniósł je na stos, a pies truchtał za nimi żałośnie, tworząc dziwaczny kondukt pogrzebowy. Podobnie jak noga, także ramię Glassa – ranione przez wilka – zagoiło się już niemal całkowicie. Mimo to jęknął, podnosząc ciało i układając je na stosie. Poczul znane, niepokojące mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Stanem pleców cały czas się martwił. Przy odrobinie szczęścia za kilka dni powinien dojść do Fort Brazeau. Tam ktoś się nim zajmie należycie.

Stał chwilę przy stosie, jakby zmuszały go do tego stare konwenanse, jeszcze z czasów zamierzchłej przeszłości. Zastanawiał się, jakie słowa padły podczas pogrzebu jego matki, a jakie, gdy chowano Elizabeth. Wyobraził sobie kopiec ziemi tuż obok świeżo wykopanego, otwartego grobu. Pojęcie pogrzebu zawsze uderzało go jako przygnębiające i zimne. Wolał sposób indiański, pozostawianie zwłok gdzieś wysoko – jakby chciało się je przekazać Niebu.

Pies nagle zawarczał i Glass się odwrócił. Od strony wioski w jego stronę jechało powoli czterech konnych wojowników; znajdowali się już w odległości mniej więcej siedemdziesięciu jardów. Po włosach i ubiorze Glass natychmiast rozpoznał Siuksów. W pierwszej chwili załapała go fala paniki; zaczął obliczać dystans dzielący go od gęstych drzew przy brzegu. Przypomniało mu się jednak pierwsze spotkanie z Paunisami i postanowił nie ustępować pola.

Zaledwie miesiąc temu traperzy i Siuksowie zawiązali sojusz przeciwko plemieniu Arikara. Glass pamiętał, że Siuksowie zrezygnowali z walki, zniesmaczeni taktyką pułkownika Leavenwortha, które to odczucie podzielało zresztą wiele osób z Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych. „Czy tamten sojusz jeszcze obowiązuje?” Glass stał nieruchomo, przybierając najbardziej pewną siebie pozę, na jaką go było stać, i obserwował nadjeżdżających Indian.

Byli młodzi, trzech z nich liczyli kilkanaście wiosen. Czwarty był nieco starszy,

miał może dwadzieścia parę lat. Zbliżali się ostrożnie, z bronią gotową do walki, jakby podchodzili do jakiegoś dziwnego zwierzęcia. Starszy Siuks jechał o pół konia przed pozostałymi. Zbrojny w karabin, który trzymał trochę od niechcenia; lufa spoczywała na szyi ogromnego gniadego ogiera. Na zadzie zwierzęcia widać było wypalone litery „U.S.”. „Jeden z koni Leavenwortha”. W innych okolicznościach Glass uznałby ten fakt za zabawny.

Starszy Siuks zatrzymał rumaka półtora jarda przed Glassem, lustrując go od stóp do głów. Potem spojrzął na stos za nim. Próbował zrozumieć, co łączy tego rozczochranego i brudnego białego z martwą kobietą Arikara. Wcześniej z oddali widzieli, jak z wysiłkiem układa jej ciało na drewnie. To nie miało sensu.

Indianin przerzucił nogę przez szyję wielkiego ogiera i lekko zsunął się na ziemię. Podszedł do Glassa, jego ciemne oczy przeszywały go na wylot. Traper czuł, jak wywraca mu się żołądek, choć wytrzymał spojrzenie tamtego niewzruszony.

Indianin bez najmniejszego wysiłku wykazywał to, co Glass starał się udawać – poczucie absolutnej pewności siebie. Nazywał się Żółty Koń. Był wysoki, ponad sześć stóp, o kwadratowych ramionach i idealnej postawie, którą podkreślały jeszcze silny kark i potężna pierś. W splecionych włosach nosił trzy orle pióra oznaczające liczbę wrogów zabitych w bitwie. Na piersiach jego zamszowej bluzy widać było dwa ozdobne pasy biegnące z góry na dół. Glass zauważył ich misterne wzory, setki wszytych kolców jeżozwierza, wspaniale zabarwionych cynobrem i indygo.

Dwaj mężczyźni stali twarzą w twarz. Wreszcie Indianin wyciągnął powoli rękę i dotknął naszyjnika Glassa. Obracał w palcach wielki niedźwiedzi pazur. Gdy go puścił, przeniósł badawczy wzrok na blizny widoczne na gardle i głowie trapera. Szturchnął go w ramię, chcąc, żeby tamten się odwrócił, i przyglądał się ranom widocznym pod podartą koszulą. Powiedział coś do trzech pozostałych. Glass słyszał, jak tamci schodzą z koni i zbliżają się, a potem z ożywieniem rozmawiają, dotykając i naciskając jego plecy. „Co się dzieje?”

Powodem fascynacji Indian były głębokie, równoległe ślady ciągnące się przez cały grzbiet Glassa. Indianie widzieli wcześniej wiele ran, ale takich jeszcze nigdy. Te głębokie bruzdy w ciele wciąż były rozognione. Roilo się w nich od larw.

Jednemu z Indian udało się pochwycić w palce białego, wijącego się robaka. Pokazał go Glassowi. Ten krzyknął z przerażeniem, rozdzierając resztki koszuli i starając się bezskutecznie sięgnąć ręką do ran, po czym padł na czworaka i zwymiotował. Na samą myśl o tej ohydnej inwazji robiło mu się niedobrze.

Wsadzili Glassa na konia za jednym z młodych wojowników i wyjechali z wioski Arikarów. Pies starej kobiety ruszył biegiem za końmi. Jeden z Indian zatrzymał się, zsiadł z konia i przywołał psa. Obuchem tomahawka rąbnął go w czaszkę, chwycił zwierzę za tylną nogę i ruszył w ślad za pozostałymi.

Obozowisko Siuksów znajdowało się nieco na południe od rzeki Grand. Przybycie czwórki wojowników i białego człowieka wywołało natychmiastową ekscytację; gdy przejeżdżali między tipi, ciągnął za nimi cały tłumek Indian, niczym w jakiejś paradzie.

Żółty Koń doprowadził tę procesję do niskiego namiotu stojącego poza obozem. Pokrywały go dziwne rysunki: błyskawice uderzające wprost z czarnej chmury, bizona rozstawione symetrycznie wokół słońca, niby-ludzkie postacie tańczące dookoła ogniska. Żółty Koń krzyknął coś w pozdrowieniu, a po chwili w wejściu ukazał się stary, sękaty Indianin. Zmrużył oczy oślepione słońcem; zmarszczki na twarzy miał tak głębokie, że ledwie mu było widać oczy, nawet jeśli miał je szeroko otwarte. Górną połowę jego oblicza okrywała czarna farba, za prawym uchem siedział – przywiązany – martwy, wysuszony kruk. Piers miał naga, mimo chłodu października, a niżej nosił tylko przepaskę na biodra. Skóra zwisająca luźno z zapadłej piersi pomalowana była naprzemiennie w czarne i czerwone pasy.

Żółty Koń zsiadł z ogiera i kazał Glassowi zrobić to samo. Glass poruszał się sztywno, rany rozboleły go na nowo z powodu kołysania na końskim grzbiecie, od którego zdążył się już odzwyczaić. Żółty Koń opowiedział szamanowi o dziwnym białym, którego znaleźli w spalonej wsi Arikarów i o tym, jak uwolnił on ducha starej squaw. Mówił szamanowi, że biały człowiek nie okazał strachu, gdy podeszli do niego, choć nie miał przy sobie żadnej broni oprócz zaostrzonego kija. Wspomniał o naszyjniku z pazurem niedźwiedzia oraz o ranach gardła i pleców.

Podczas długiej przemowy Żółtego Konia czarownik milczał, choć jego oczy w pobrużdżonej masce twarzy patrzyły świdrująco. Zebrani wokół Indianie ścieśnili się jeszcze bardziej, chcąc wszystko słyszeć; podczas opisywania larw, wijących się w ranach pleców, rozległ się pomruk.

Gdy Żółty Koń skończył, szaman podszedł do Glassa. Pokurczony starzec ledwie sięgał Glassowi do brody, dzięki czemu stary Siuks znajdował się na idealnej wysokości, by przyjrzeć się pazurowi niedźwiedzia. Szturchnął go opuszką kciuka, jakby chcąc zweryfikować jego autentyczność. Poskręcane ręce drżały lekko, gdy dotykały różowiących się blizn, które ciągnęły się od prawego barku Glassa do jego gardła.

W końcu obrócił białego mężczyznę, aby zbadać jego plecy. Sięgnął do kołnierza znoszonej koszuli i rozdarł ją jednym szarpnięciem. Poddała się bardzo łatwo. Indianie przesunęli się bliżej, żeby na własne oczy zobaczyć to, o czym mówił Żółty Koń. Po chwili dał się słyszeć podekscytowany szmer rozmów w dziwnym języku. Glass znów poczuł, że przewraca mu się w żołądku na myśl o widowisku,

które wywołało to poruszenie.

Szaman powiedział coś i wszyscy Indianie momentalnie umilkli. Starzec odwrócił się i zniknął za zasłoną swojego tipi. Gdy wyłonił się z niego po kilku minutach, niósł w rękach rozmaite tykwy i zdobione paciorkami woreczki. Stał znów przy Glassie i kazał mu położyć się twarzą do ziemi. Obok rozłożył piękną, białą skórę zwierzęcą i rozmieścił na niej swój zestaw leków. Glass nie miał zielonego pojęcia, co naczynia te zawierają. „Mam to gdzieś”. Liczyło się tylko jedno. „Ściągnijcie to ze mnie”.

Starzec powiedział coś do jednego z młodych wojowników, który pobiegł i po paru chwilach wrócił z czarnym naczyniem pełnym wody. Tymczasem szaman powąchał zawartość największej tykwy i dodał do niej trochę składników z różnych woreczków. Pracując, cicho intonował monotonną pieśń; był to jedyny dźwięk, jaki unosił się ponad mieszkańcami wsi, stojącymi w pełnym poszanowania milczeniu.

W tykwie znajdował się mocz bizona, pozyskany z pęcherza wielkiego byka podczas polowania zeszłego lata. Szaman dodał do niego korzenia olchy oraz prochu strzelniczego. Powstały w ten sposób środek odkażający miał moc terpentyny.

Starzec wręczył Glassowi patyk długości sześciu cali. Chwilę trwało, zanim biały człowiek zrozumiał jego przeznaczenie. Wziął głęboki oddech i umieścił patyk między zębami. Był gotów.

Szaman polał mu plecy płynem.

Nigdy w życiu Glass nie doświadczył takiego bólu: jakby ktoś wlewał roztopione żelazo w formę, którą jest ludzkie ciało. Początkowo doznanie ograniczało się do konkretnego obszaru, kiedy płyn – jeden potworny cal bólu za drugim – wsączał się w każdą z pięciu szram. Szybko jednak ów skoncentrowany ogień rozlał się szerszą falą udreki, pulsując zgodnie z rytmem serca. Glass wbił zęby w miękkie drewno patyka. Próbował wyobrazić sobie oczyszczające działanie leku, lecz nie umiał nawet na chwilę odgrodzić się od wszechogarniającego bólu.

Środek odkażający zadziałał na larwy zgodnie z oczekiwaniem. Dziesiątki wijących się białych robaków zapragnęło wydostać się na powierzchnię. Po upływie kilku minut szaman nabrał chochlą wody i splukał zarówno robactwo, jak i palący płyn z pleców Glassa. Ranny dyszał ciężko, ale ból powoli mijał. Właśnie udało mu się złapać oddech, kiedy starzec ponownie polał mu plecy zawartością wielkiej tykwy.

Postąpił w ten sposób czterokrotnie. Gdy wreszcie zmył z pleców Glassa ostatnie ślady substancji, opatrzył rany gorącym kompresem z kory sosnowej i modrzewia. Żółty Koń pomógł traperowi wejść do tipi szamana. Jakaś squaw przyniosła świeżo ugotowaną dziczyznę. Glassowi udało się wytrzymać pieczenie w plecach na tyle długo, by zjeść sporą porcję. Skończywszy, położył się na

bizonim futrze i zapadł w głęboki sen.

Budząc się i zaraz zasypiając, przeżył dwie kolejne doby. W chwilach przytomności znajdował obok siebie stale uzupełniane zapasy jedzenia i wody. Szaman opatrywał mu plecy, dwukrotnie zmienił kompres. Po szarpiącym bólu wywołanym przez środek odkażający, wilgotne ciepło okładów było niczym kojący dotyk matczynej dłoni.

Brzask nowego poranka oświeślał tipi bladą poświatą, kiedy Glass wreszcie obudził się na dobre. Od czasu do czasu ciszę dnia przerywało tylko rzenie koni i pohukiwania gołębi. Szaman spał obok, z futrem bizona naciągniętym na kościstą pierś. Z drugiej strony Glassa znajdował się stosik ładnie ułożonych ubrań z wyprawionej skóry – spodnie, zdobione koralikami mokasyny oraz prosta zamszowa bluza. Traper powoli wstał i ubrał się.

Paunisi uważali Siuksów za swych śmiertelnych wrogów. Raz nawet zdarzyło się Glassowi walczyć z grupą myśliwych z tego plemienia podczas niewielkiej potyczki, gdy przemierzał równiny Kansas. Teraz spoglądał na nich inaczej. Czy mógł nie czuć wdzięczności za samarytański uczynek Żółtego Konia i szamana? Ten ostatni poruszył się i widząc przed sobą Glassa, usiadł. Powiedział coś, czego traper nie mógł zrozumieć.

Po kilku chwilach pokazał się Żółty Koń. Sprawiał wrażenie ucieszonego faktem, że Glass jest już na nogach. Dwaj Indianie przyglądali się jego plecom i zdawali się wymieniać na ich temat pełne zadowolenia uwagi. Gdy skończyli, Glass wskazał na swój grzbiet i uniósł brwi w niemym pytaniu: „Dobrze to wygląda?”. Żółty Koń ściągnął usta i skinął twierdząco głową.

Tego dnia spotkali się ponownie, tym razem w tipi Żółtego Konia. Posługując się chaotycznym językiem migowym oraz rysunkami na piasku, Glass próbował opowiedzieć mu, skąd przyszedł i dokąd zmierza. Żółty Koń zrozumiał najwyraźniej, że chodzi o Fort Brazeau, co Glass potwierdził, kiedy Indianin narysował mapę i precyzyjnie umieścił na niej faktorię u zbiegu rzeki Missouri i White. Traper kiwał głową jak szalony. Żółty Koń powiedział coś do wojowników zebranych w tipi. Glass nie zrozumiał; tego wieczoru udał się na spoczynek z myślą, czy aby nie powinien wymknąć się stąd na własną rękę.

Nazajutrz rano obudził go odgłos końskich kopyt przed tipi szamana. Gdy wyszedł na zewnątrz, zobaczył Żółtego Konia i trzech młodych wojowników, tych samych, którzy byli w wiosce Arikarów. Siedzieli na końskich grzbietach, a jeden z młodzieńców trzymał za uzdę srokacza bez jeźdźca.

Żółty Koń powiedział coś i wskazał na srokacza. Słońce dopiero zaczynało wspinać się po widnokręgu, kiedy wyruszyli na południe, do Fort Brazeau.

Rozdział 14

6 października 1823 roku

Poczucie kierunku nie zawiodło Jima Bridgera. Miał rację, kiedy namawiał Fitzgeralda do pójścia skrótem i oddalenia się od skręcającej w kierunku wschodnim Małej Missouri. Na zachodnim horyzoncie zniknął właśnie ostatni promień słońca, gdy dwaj mężczyźni strzałem z karabinu zasygnalizowali swój zamiar zbliżenia się do Fort Union. Kapitan Henry na ich powitanie wysłał jednego jeźdźca.

Ludzie z Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych przyjęli pojawienie się Fitzgeralda i Bridgera w forcie z posępnym respektem. Fitzgerald niósł strzelbę Glassa tak, jakby to był dumny sztandar ich poległego towarzysza. Jean Poutine przeżegnał się, widząc anstadta, a kilku innych zdjęło kapelusze z głów. Ze śmiercią Glassa, bez względu na to, jak bardzo była nieunikniona, wielu z nich mierzyło się z trudem.

Wszyscy zebrali się w baraku, żeby wysłuchać relacji Fitzgeralda. Bridger czuł mimowolny podziw dla jego umiejętności i wprawy w okłamywaniu innych.

– Nie ma wiele do opowiadania – mówił Fitzgerald. – Wszyscy wiemy, jak to się musiało skończyć. Nie będę udawał, że się z nim przyjaźniłem, ale szanuję człowieka, który był tak waleczny jak on. Pochowaliśmy go głęboko... Przykryliśmy kamieniami, żeby zwierzęta się nie dobrały. Prawdę powiedziawszy, kapitanie, chciałem od razu stamtąd odejść, ale Bridger stwierdził, że powinniśmy ustawić nad grobem krzyż.

Bridger podniósł wzrok, przerażony tym ozdobnikiem. Dwadzieścia pełnych podziwu twarzy zwróciło się ku niemu, kilka osób skinęło głowami, uroczyście wyrażając aprobatę. „Boże – mam szacunek! Nie!” Teraz, kiedy wreszcie dostał to, czego od zawsze tak bardzo pragnął, nie był w stanie tego znieść. Do diabła z konsekwencjami, musi zrzucić z ramion ten potworny ciężar kłamstwa – także jego własnego kłamstwa.

Poczuł na sobie lodowaty wzrok Fitzgeralda. „Wszystko mi jedno”. Otworzył usta gotów się wypowiedzieć, lecz zanim zdążył znaleźć odpowiednie słowa, kapitan Henry rzekł:

– Wiedziałem, że się przyłożysz, Bridger.

Kolejne pełne aprobaty skinienia członków oddziału. „Co ja narobiłem?” Milcząc, wpatrywał się w podłogę.

Rozdział 15

9 października 1823 roku

W wypadku Fort Brazeau pierwszy człon nazwy był – delikatnie mówiąc – przesadą. Być może w grę wchodziła tu po prostu zwykła próżność, pragnienie, by rodowe nazwisko zyskało pomnik w postaci twierdzy. A może liczone, że mocą samego nazewnictwa da się odstraszyć potencjalnych napastników. Tak czy owak z pewnością była to nazwa na wyrost.

Fort Brazeau składał się z jednej chaty z drewnianych bali, prymitywnego nabrzeża oraz słupka do przywiązywania koni. Wąskie szczeliny strzelnicze w ścianach chaty stanowiły jedyne świadectwo, że budynek pełni też funkcje obronne, aczkolwiek bardziej uniemożliwiały one dostęp światłu słonecznemu niż indiańskim strzałom.

Na polanie wokół fortu tu i ówdzie stały tipi; część postawili Indianie chwilowo przebywający tutaj w celach handlowych, część mieszkający tu na stałe pijacy z plemienia Siuksów Yankton. Wszyscy podróżujący rzeką zatrzymywali się tu na noc. Zwykle obozowano pod gołym niebem, aczkolwiek zamożniejsi mogli przespać się za 25 centów na sienniku w drewnianej chacie.

Połowę jej wnętrza zajmował sklep z mydłem i powidłem, drugą natomiast bar. Wobec słabego oświetlenia doświadczało się tu głównie wrażeń węchowych: czuć było starym dymem, jechało wonią otwartych beczek z solonymi dorszami oraz tłustym odorem niewyprawionej skóry zwierzęcej. Wyjąwszy pijackie rozmowy, dominującym dźwiękiem było nieustanne bzyczenie much, a czasem również chrapanie dobiegające z poddasza.

Kiowa Brazeau, noszący to samo imię co fort, przyglądał się pięciu jeźdźcom przez grube okulary, w których jego oczy wydawały się nienaturalnie wielkie. Z niemałą ulgą stwierdził, że rozpoznaje twarz Żółtego Konia. Kiowa obawiał się, że obecnie Siuksowie żywią wobec białych niezbyt przyjazne uczucia.

William Ashley spędził w Fort Brazeau większą część miesiąca, snując plany dotyczące przyszłości Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych po klęsce zadanej jej przez Arikarów. W walce z tym plemieniem Siuksowie byli sprzymierzeńcami białych. Albo – mówiąc bardziej precyzyjnie – byli sojusznikami białych dopóty, dopóki nie wściekli się na pułkownika Leavenwortha i jego taktykę nicnierobienia. W samym środku oblężenia Siuksowie nagle zniknęli (choć wcześniej zdążyli jeszcze ukraść konie zarówno Ashleyowi, jak i armii amerykańskiej). Dezercję Siuksów Ashley postrzegał jako zdradę. Kiowa po cichu

solidaryzował się z Siuksami, nie widział jednak potrzeby okazywania tego w obecności ludzi z Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych. Bądź co bądź Ashley i jego załoga stanowili najlepszą klientelę Kiowy i kupowali niemal wszystko, co miał na składzie.

W gruncie rzeczy wątpła gospodarka Fort Brazeau opierała się na handlu z miejscowymi plemionami. Największe znaczenie mieli tu Siuksowie, zwłaszcza od czasu dramatycznej zmiany stosunków z Arikarami. Kiowa obawiał się, że pogarda Siuksów dla Leavenwortha może przerzucić się także na niego i jego faktorię. Przyjazd Żółtego Konia i trzech innych wojowników stanowił dobry znak, szczególnie że wieźli ze sobą białego, którym najwyraźniej się opiekowali.

Tłumek miejscowych Indian i podróżnych, którzy zatrzymali się w forcie na chwilę, zebrał się, aby pozdrowić przybyszów. Gapiono się zwłaszcza na białego mężczyznę ze straszliwymi bliznami na twarzy i głowie. Brazeau przemówił do Żółtego Konia, płynnie posługując się językiem Siuksów, ten zaś przekazał mu, co wie o białym człowieku. Glass czuł się nieswojo pod spojrzeniem dziesiątków oczu. Ci, którzy mówili językiem Siuksów, słuchali opowieści Żółtego Konia o tym, jak wojownicy znaleźli Glassa samego, bez broni, ciężko ranionego przez niedźwiedzia. Pozostali musieli się tylko domyślać, aczkolwiek jasne było, że biały mężczyzna niejedno musiał przejść.

Kiowa wysłuchał Żółtego Konia, po czym zwrócił się do białego człowieka:

– Kim jesteś? – Tamten najwyraźniej próbował coś powiedzieć. Sądząc, że nie został zrozumiany, Brazeau przeszedł na francuski: – Qui êtes vous?

Glass przełknął ślinę i ostrożnie odchrząknął. Pamiętał Kiowę z krótkiego postoju, na który oddział Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych zatrzymał się w Fort Brazeau w drodze w górę rzeki. Było jasne, że Kiowa zupełnie go nie pamięta. Glass uświadomił sobie, że musi teraz wyglądać zdecydowanie inaczej, choć od momentu ataku nie miał okazji przyjrzeć się swojej twarzy w lustrze.

– Hugh Glass. – Mówiąc, czuł ból krtani, a jego głos zabrzmiał jak żalosne, zgrzytliwe zawodzenie. – Człowiek Ashleya.

– Rozminął się pan z monsieur Asheleyem. Wysłał Jeda Stuarta i piętnastu ludzi na zachód, a sam wyruszył z powrotem do St. Louis, żeby sformować następny oddział. – Kiowa odczekał chwilę w nadziei, że ów poraniony mężczyzna sam zechce udzielić mu jakichś nowych informacji.

Gdy jednak ten nie wykazał żadnych oznak chęci kontynuowania rozmowy, jakiś jednooki Szkot przemówił w imieniu czekających niecierpliwie ludzi. Bełkotliwym dialektem zapytał:

– Co ci się stało?

Glass mówił wolno, starając się oszczędzać słowa.

– Nad górną Grand zaatakował mnie grizzly. – Żalosne zawodzenie własnego głosu budziło w nim niechęć, mówił jednak dalej. – Kapitan Henry zostawił mnie

z dwójką ludzi. – Ponownie przerwał, kładąc dłoń na poharatanym gardle. – Uciekli i ukradli cały mój ekwipunek.

– Siuksowie przyprowadzili cię aż stamtąd? – zapytał Szkot.

Widząc ból na twarzy Glassa, Kiowa odpowiedział za niego.

– Żółty Koń znalazł go samego w wiosce Arikarów. Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, monsieur Glass, ale idę o zakład, że doszedł pan tam znad Grand o własnych siłach.

Traper przytaknął skinieniem głowy.

Jednooki Szkot chciał zadać następne pytanie, lecz Kiowa nie dopuścił do tego.

– Monsieur Glass może opowiedzieć nam swoją historię kiedy indziej. Uważam, że zasługuje na posiłek i trochę snu. – Okulary przydawały obliczu Kiowy wyrazu inteligencji i dobroduszości. Wziął Glassa pod ramię i wprowadził do wnętrza chaty. Tam posadził go przy długim stole i powiedział coś w języku Siuksów do swojej żony, a ona po chwili postawiła przed Glassem pełen talerz gulaszu przygotowanego w ogromnym żeliwnym kotle. Glass wsunął jedzenie bez słowa, a potem jeszcze dwie dokładki.

Kiowa zasiadł po drugiej stronie stołu i cierpliwie obserwował go w przyćmionym świetle chaty. Od czasu do czasu odpędzał ciekawskich.

Gdy Glass skończył jeść, odwrócił się do Kiowy tknięty nagłą myślą.

– Nie mam czym zapłacić.

– Nie spodziewałem się, że ma pan przy sobie nadmiar gotówki. Człowiek Ashleya może liczyć u mnie na kredyt. – Glass skinął z wdzięcznością głową. Kiowa ciągnął: – Mogę dać panu ekwipunek i wsadzić na najbliższy statek do St. Louis.

Glass gwałtownie pokręcił głową.

– Nie wybieram się do St. Louis.

– Więc dokąd planuje się pan dalej udać? – spytał Kiowa zaskoczony.

– Do Fort Union.

– Do Fort Union! Mamy październik! Jeśli nawet uda się panu ominąć Arikarów i dotrzeć do wiosek Mandanów, będzie już grudzień. A przecież stamtąd do Fort Union jest jeszcze trzysta mil. Chce pan wędrować w górę Missouri w środku zimy?

Glass nie odpowiedział. Bolało go gardło. Poza tym nie dopraszał się o niczyje pozwolenie. Pociągnął łyk wody z wielkiego cynowego kubka, podziękował gospodarzowi za posiłek i zaczął wspinać się po chybotliwej drabinie na poddasze, gdzie sypiali przyjezdni. W połowie drogi zatrzymał się, zsunął na dół i wyszedł z budynku.

Znalazł Żółtego Konia w obozie z dala od fortu, nad brzegiem rzeki White. Siuksowie oporządzili konie, dokonali drobnej wymiany handlowej, a rankiem zamierzali odjechać. W miarę możliwości Żółty Koń unikał fortu. Kiowa i jego

żona z plemienia Siuksów traktowali go zawsze uczciwie, ale cała osada przyprawiała go o przygnębienie. Gardził brudnymi Indianami – a nawet wstydził się za nich – którzy obozowali wokół fortu, a swoje żony i córki sprzedawali za odrobinę whiskey. Lękał się tego zła każącego ludziom porzucać dawne życie i żyć w pohańbieniu.

Oprócz wpływu Fort Brazeau na tutejszych Indian jego głęboki niepokój budziły również inne rzeczy. Podziwiał wyrafinowanie i doskonałą jakość dóbr produkowanych przez białych, od broni i siekier po ubrania i igły. Odczuwał jednak utajony lęk przed ludźmi, którzy umieli wyrabiać te przedmioty, zaprzęgając do tego siły dla niego niepojmowalne. A co myśleć o opowieściach o wielkich wioskach białych ludzi na wschodzie, w których mieszka tyle osób, ile jest bizonów na prerii? Wątpił, by opowieści te były prawdziwe, a jednak z każdym rokiem napływał coraz większy strumień białych handlarzy. Teraz doszła jeszcze ta wojna między Arikarami a wojskiem. Wprawdzie biali zamierzali ukarać tylko Arikarów, za którym to plemieniem Żółty Koń nie przepadał. Prawdą jest również to, że biali żołnierze okazali się tchórzami i głupcami. Próbował uśmierzyć swój niepokój. Wzięte z osobna, wszystkie te złe przecucia nie miały wielkiej siły przekonywania. A jednak Żółty Koń czuł, że każda z tych obserwacji do czegoś prowadzi, fakty jakoś się ze sobą łączą, splatają w jedno wyraźne ostrzeżenie, które jeszcze nie w pełni rozumiał.

Gdy Glass wszedł do obozu, Żółty Koń wstał; blask niewielkiego ogniska oświetlał ich twarze. Traper zastanawiał się wcześniej, czy nie powinien spróbować zapłacić Siuksom za ich opiekę, ale coś mu mówiło, że Żółty Koń potraktuje to jak policzek. Może jakiś drobny podarunek, myślał Glass, trochę tytoniu albo nóż. Ale takie drobiazgi wydały mu się niewspółmierne wobec wdzięczności, jaką odczuwał. Podszedł więc do Żółtego Konia, zdjął swój naszyjnik z niedźwiedzim pazurem i założył go Indianinowi na szyję.

Żółty Koń wpatrywał się przez chwilę w Glassa. Ten odwzajemnił spojrzenie, skinął głową, a potem odwrócił się i odszedł w kierunku chaty z drewnianych bali.

Gdy ponownie wspiął się po drabinie do części sypialnej, zastał tam już dwóch podróżnych śpiących na wielkim sienniku. W ciasnym rogu pomieszczenia, pod okapem, rozłożono nędzną zwierzęcą skórę. Glass opadł na nią i niemal natychmiast zasnął.

Nazajutrz rano obudziła go głośna rozmowa prowadzona po francusku w pomieszczeniu na dole. Przeplatała się z wesołym śmiechem; Glass nagle zdał sobie sprawę, że jest na poddaszu sam. Leżał jeszcze przez chwilę, ciesząc się luksusem schronienia i ciepła. Przekręcił się z brzucha na plecy.

Brutalna terapia szamana okazała się skuteczna. Wprawdzie plecy jeszcze się nie zagoiły, lecz przynajmniej rany miał oczyszczone z paskudnej infekcji.

Rozciągał wszystkie kończyny jedną po drugiej, jakby testował poszczególne elementy nowo zakupionej maszyny. Noga mogła już utrzymać ciężar ciała, aczkolwiek Glass nadal wyraźnie kulał. Nie odzyskał też jeszcze pełni sił, choć ramię i bark funkcjonowały normalnie. Przypuszczał, że odrzut broni podczas strzału wywoła silny ból ramienia, był jednak pewien, iż zdoła utrzymać strzelbę.

Strzelba. Glass doceniał fakt, że Kiowa gotów jest zapewnić mu wszelkie niezbędne wyposażenie, ale to swoją broń przede wszystkim pragnął odzyskać. Pragnął też wyrównania rachunków z ludźmi, którzy mu ją ukradli. Dotarcie do Fort Brazeau trudno mu było uznać za wielki sukces. To prawda, uczynił krok milowy, ale fort nie stanowił dlań mety, której osiągnięcie wiąże się z uczuciem euforii, lecz raczej punkt startu, z którego wyrusza się z pełną determinacją. Mając nowy ekwipunek i dysponując coraz lepszym zdrowiem, znajdował się w tak dogodnej sytuacji, o jakiej w ciągu ostatnich sześciu tygodni mógł tylko marzyć. Lecz mimo wszystko cel wciąż znajdował się daleko przed nim.

Leżąc na plecach na poddaszu, zauważył wiadro wody na stole. Drzwi pod nim otworzyły się, a w popękany lustrze na ścianie odbiły się promienie światła poranka. Glass wstał z podłogi i wolno podszedł do lustra.

Właściwie nie był wstrząśnięty tym, co w nim zobaczył. Spodziewał się, że wygląda teraz inaczej. Mimo to patrząc wreszcie na swoje rany, które od wielu tygodni tylko sobie wyobrażał, doznał dziwnego uczucia. Potrójne, równoległe ślady pazurów wcięły się głęboko w zarośnięty policzek. Przypominały Glassowi barwy wojenne. Nic dziwnego, że budził w Siuksach respekt. Różowe blizny biegły przez skórę czaszki, na jej czubku widać było kilka strupów. We włosach, które rosły gdzieś tam, zauważył ślady siwizny – zwłaszcza w brodzie. Ze szczególną pieczołowitością obejrzał gardło. Także tam po niedźwiedzich pazurach pozostały równoległe pasy. W miejscach, gdzie założono szwy, powstały gruzłowate zabliznienia.

Glass uniósł zamszową bluzę i starał się obejrzeć swoje plecy, ale w ciemnym lustrze zobaczył tylko zarysy długich ran. Obraz wijących się larw nie chciał go opuścić. Zostawił lustro i zszedł z poddasza.

W sali na parterze zebrało się kilkunastu mężczyzn usadowionych za długim stołem i nie tylko. Na widok schodzącego po drabinie Glassa rozmowy umilkły.

Kiowa przywitał się z nim, bez trudu przechodząc na angielski. Zdolności do języków dawały Francuzowi dużą przewagę w handlu w tej pogranicznej wieży Babel.

– Dzień dobry, monsieur Glass. Właśnie mówiliśmy o panu. – Traper odpowiedział skinieniem głowy, ale milczał.

– Miał pan szczęście – ciągnął Kiowa. – Być może znalazłem dla pana transport w górę rzeki. – Zainteresowanie Glassa natychmiast wzrosło.

– Przedstawiam panu Antoine'a Langevina. – Niski mężczyzna z długimi

własami wstał grzecznie od stołu wyciągnął rękę do trapera i uściśnął mu dłoń z siłą zaskakującą jak na tak małego człowieka.

– Langevin przyплыwał wczoraj wieczorem. Podobnie jak pan, monsieur Glass, też ma co nieco do opowiedzenia. Monsieur Langevin przybywa prosto z terytorium Mandanów. Mówi, że nasi wędrujący znajomi, plemię Arikara, założyli nową wioskę zaledwie milę na południe od osiedla Mandanów.

Langevin powiedział coś po francusku, czego Glass nie zrozumiał.

– Właśnie miałem do tego przejść, Langevin – rzekł Kiowa rozdrażniony, że mu przerwano. – Myślę, że nasz przyjaciel nie miałby nic przeciwko wprowadzeniu go w kontekst historyczny. – Gospodarz ciągnął swoje wyjaśnienia. – Jak się pan domyśla, zaprzyjaźnieni z nami Mandanowie troszkę się zdenerwowali, że sojusznicy obarczają ich swoimi problemami. W ramach umowy o zajęcie przez nas terytorium Mandanów, ci wymusili obietnicę, że Arikara zaprzestaną ataków.

Kiowa zdjął okulary, wytarł je o długą połę swojej kurtki, po czym wetknął z powrotem na czerwony nos.

– Co zmusza mnie do wspomnienia o mojej osobistej sytuacji. Ów niewielki fort zależy całkowicie od handlu nadržecznego. Potrzebni mi są kupcy i traperzy, tacy jak pan, którzy wędrują w dół i w górę Missouri. Bardzo cenię sobie długi pobyt pana Ashleya i jego ludzi, ale wojna z Arikarami rujnuje mój biznes.

Poprosiłem właśnie Langevina, żeby ze swymi ludźmi wyruszył w górę Missouri jako mój emisariusz. Mają zabrać ze sobą podarki i odbudować przyjazne stosunki z Arikarami. Jeśli im się uda, dajmy znać do St. Louis, że Missouri stoi dla handlu otworem.

Na båtard Langevina mieści się sześciu ludzi i zaopatrzenie. To jest Toussaint Charbonneau. – Kiowa wskazał kolejnego mężczyznę za stołem. Glass znał to nazwisko i spojrzał z ciekawością na męża Sacagawei{2}. – Toussaint był tłumaczem w ekipie Lewisa i Clarka. Mówi językami Mandanów, Arikarów i wszystkimi innymi, których możecie po drodze potrzebować.

– Po angielsku też mówię – dodał Charbonneau, co zabrzmiało jak „Pu angelesku tesz mowję”. Kiowa posługiwał się angielskim prawie bez akcentu, ale Charbonneau nie umiał pozbyć się wyraźnie słyszalnej melodii ojczystego języka. Glass podał mu rękę.

Kiowa kontynuował prezentację.

– To Andrew MacDonald. – Wskazał jednookiego Szkota, którego Glass widział już poprzedniego dnia. Teraz zauważył, że oprócz oka człowiek ten nie ma również sporego kawałka nosa. – Istnieje znaczne prawdopodobieństwo, że jest to najgłupszy facet, jakiego znam – ciągnął Kiowa. – Ale potrafi wiosłować cały dzień, bez odpoczynku. Nazywamy go „Professeur”. – Professeur odwrócił głowę tak, żeby mieć Kiowę w zasięgu jedyne go oka, które słysząc swoje przezwisko, zmrużył, jakkolwiek bez wątpienia nie pojął szyderstwa.

– I na koniec: oto Dominique Cattoire. – Kiowa wskazał podróżnika palącego cienką glinianą fajkę, a ten wstał i uściśnął Glassowi dłoń.

– Enchanté – powiedział.

– A ten król putains{3}, Louis Cattoire, to brat Dominique’a. On także płynie, o ile zdołamy go wywabić wraz z jego wackiem z namiotu dziwek. Louisa nazywamy „La Vièrge”{4}. – Mężczyźni przy stole roześmiali się.

– I tu wracamy do pana. Ci ludzie płyną w górę rzeki, dlatego ich łódź musi być lekka. Potrzebny jest myśliwy, który zapewni załodze mięso. Przypuszczam, że jest pan w tym całkiem niezły. A może nawet więcej niż niezły, jeśli załatwimy panu broń.

W odpowiedzi Glass tylko skinął głową.

– Istnieje jeszcze jeden powód, dla którego delegacji przyda się dodatkowa strzelba – ciągnął Kiowa. – Dominique słyszał pogłoski, że pewien wódz Arikarów, zwany Językiem Łosia, odłączył się od głównego plemienia. Prowadzi niewielką grupę wojowników i ich rodzin na tereny gdzieś między ziemią Mandanów a rzeką Grand. Nie wiemy, o co im konkretnie chodzi, ale facet przysiągł pomścić ataki na osady Arikarów.

Glass przypomniał sobie zwęglone pozostałości po wiosce Arikarów i skinął w odpowiedzi głową.

– Wchodzi pan w to?

Miał wątpliwości, gdyż nie chciał stanowić obciążenia dla uczestników wyprawy. Zakładał dotąd, że wybierze się w górę Missouri samotnie i pieszo, a wyruszy jeszcze dzisiaj; nie mógł znieść myśli, iż musiałby czekać. Rozumiał jednak, że dostał szansę. W towarzystwie innych ludzi byłby bezpieczniejszy, o ile ci cokolwiek umieją. Ale członkowie delegacji Kiowy wyglądali na zaprawionych w bojach, a Glass wiedział, że trudno o lepszych wioślarzy. Zdawał też sobie sprawę, że jego organizm jeszcze nie odzyskał pełni sił, że przez pieszą wędrówkę spowolni proces zdrowienia. Wiosłowanie pod prąd łodzią zwaną bâlard też nie będzie łatwe ani szybkie. Ale da mu przynajmniej miesiąc na zupełne wyzdrowienie.

Przyłożył dłoń do gardła.

– Wchodzę.

Langevin powiedział coś po francusku do Kiowy. Ten słuchał, po czym zwrócił się do Glassa.

– Langevin mówi, że potrzebuje całego dzisiejszego dnia na dokonanie pewnych drobnych napraw swojej bâlard. Wyruszenie jutro o brzasku. Niech pan coś zje, a potem zaopatrzymy pana w niezbędne rzeczy.

Kiowa trzymał swoje towary pod przeciwległą ścianą chaty. Deska ustawiona na dwóch pustych beczkach służyła za kontuar. Glass skupił się przede wszystkim na broni długiej. Do wyboru miał pięć strzelb, w tym trzy pordzewiałe i leciwe

karabiny o bardzo długich lufach, niewątpliwie przeznaczone do handlu z Indianami. Jeśli chodzi o dwa pozostałe egzemplarze, początkowo wybór wydawał się oczywisty. Jednym z nich była klasyczna długa strzelba typu Kentucky, pięknie wykończona lśniącym drewnem orzechowym. Drugim – podniszczony karabin piechoty amerykańskiej, model 1803, ze złamaną kolbą zreperowaną kawałkiem niewyprawionej skóry. Glass wziął obie sztuki i wyszedł z nimi na zewnątrz w towarzystwie Kiowy. Musiał podjąć ważną decyzję, dlatego chciał obejrzeć broń w świetle dnia.

Kiowa przyglądał się wyczekująco, jak Glass uważnie bada długą strzelbę z Kentucky.

– Piękna broń – rzekł kupiec. – Jeśli chodzi o kuchnię, to Niemcy zrą gówna, ale wiedzą, jak wyprodukować strzelbę.

Glass przytaknął. Zawsze podziwiał elegancką linię strzelb z Kentucky. Jednak dwie kwestie budziły jego wątpliwości. Po pierwsze, zauważył z rozczarowaniem, że strzelba ma niewielki kaliber, który prawidłowo ocenił na .32. Po drugie, znaczna długość lufy czyniła tę broń ciężką podczas dźwigania i nieporęczną w czasie ładowania. Idealna strzelba dla jakiegoś dżentelmena albo farmera polującego na wiewiórki w Wirginii. Glass potrzebował jednak czegoś innego.

Podał karabin marki Kentucky Francuzowi, a sam wziął do ręki model 1803, broń, której używało wielu żołnierzy z ekspedycji Lewisa i Clarka. Najpierw obejrzał uszkodzoną kolbę i sposób jej naprawy. Wokół pęknięcia mocno naciągnięto wilgotną, niewyprawioną skórę zwierzęcą, która po wyschnięciu stwardniała i skurczyła się, tworząc mocną jak skała litą formę. Kolba była brzydka, ale wydawała się solidna. Glass przyjrzał się zamkowi i mechanizmowi spustowemu. Były świeżo nasmarowane, bez śladu rdzy. Przesunął wolno ręką po nieuszkodzonej części kolby, a następnie po całej krótkiej lufie. Włożył palec do jej grubego wylotu, z aprobatą rozpoznając solidny kaliber .53.

– Podoba się panu, co?

W odpowiedzi Glass tylko skinął głową.

– Dobra strzelba – powiedział Kiowa. – Proszę ją wypróbować. – Po czym dodał cierpko:

– Z takiej broni można ustrzelić niedźwiedzia! – Wręczył Glassowi róg na proch i miarkę, a ten wsypał pełen ładunek, składający się z dwustu granów, wprost do lufy. Z kieszeni kamizelki Kiowa wyjął duży pocisk kalibru .53 oraz tłustą od smaru szmatkę i wręczył je Glassowi, który owinął kulę w otrzymany kawałek tkaniny, a następnie wetknął ją do lufy. Chwycił wycior i mocno docisnął kulę przy spuście. Dosypał prochu do panewki, odciągnął kurek, po czym zaczął szukać jakiegoś celu.

Mniej więcej pięćdziesiąt jardów od nich, w rozgałęzieniu konarów wielkiej topoli, siedziała sobie spokojnie wiewiórka. Glass wycelował i pociągnął za spust.

Zapłon prochu w panewce i wystrzał pocisku z lufy oddzielał zaledwie ułamek sekundy. Powietrze wypełniło się dymem, chwilowo przesłaniając cel. Glass skrzywił się, gdy pchnięta siłą odrzutu kolba mocno uderzyła go w ramię.

Kiedy dym opadł, Kiowa wolnym krokiem podszedł do topoli. Pochylił się i podniósł rozszarpane szczątki wiewiórki, która teraz sprowadzała się właściwie do puszystego ogona. Wrócił do Glassa i rzucił mu ogon pod nogi.

– Myślę, że ta strzelba nie nadaje się do polowań na wiewiórki.

Tym razem Glass się uśmiechnął.

– Biorę ją.

Przeszli z powrotem do chaty z bali, gdzie Glass wybrał sobie pozostałą część ekwipunku: pistolet kalibru .53, kulolejkę, ołów, proch i krzemienie. A także tomahawk i wielki nóż do ściągania skór. Broń zatknął za grubo skórzany pas. Wziął również dwie koszule z czerwonej bawełny do noszenia pod zamszową bluzą, długą wełnianą pelerynę, wełnianą czapkę i rękawice, pięć funtów soli i trzy zwoje tytoniu. Igły, nici i sznurek. Aby załadować gdzieś swoje nowe skarby, wybrał skórzaną torbę myśliwską z frędzlami, misternie zdobioną koralikami. Zauważył, że wszyscy wędrowcy mają przy pasie niewielkie sakiewki, w których przechowują fajkę i tytoń. Zdecydował się na podobną dla siebie, uznając ją za poręczne miejsce dla zestawu do rozpalania ognia.

Kiedy skończył, czuł się bogaty niczym król. Po sześciu tygodniach, podczas których nie miał nic poza koszulą na grzbiecie, Glass uważał się teraz za doskonale przygotowanego do wszelkich niebezpieczeństw. Kiowa podliczył rachunek, który wyniósł w sumie sto dwadzieścia pięć dolarów. Tymczasem Glass napisał do Williama Ashleya krótki list:

10 października 1823 roku

Szanowny Panie Ashley,

Wszystko, co miałem z wyposażenia, zostało mi skradzione przez dwóch ludzi z naszego oddziału, z którymi sam wyrównam moje rachunki. Pan Brazeau udzielił mi kredytu jako pracownikowi zatrudnionemu przez Kompanię Futrzarską Gór Skalistych. Pozwoliłem sobie nabyć rzeczy, których listę załączam, w ramach zaliczki na poczet mego wynagrodzenia. Zamierzam odzyskać swoją własność i zobowiązuję się zwrócić Panu wszelkie długi.

*Unizony sługa
Hugh Glass*

– Prześlę pański list razem z rachunkiem – powiedział Kiowa.

Wieczorem Glass zjadł obfitą kolację w towarzystwie Kiowy i czwórki nowych towarzyszy. Piąty, Louis „La Vièrge” Cattoire nadal nie wychodził z namiotu dziwek. Jego brat Dominique wyjawiał, że La Vièrge na zmianę upija się i uprawia seks od chwili przybycia do Fort Brazeau. Z wyjątkiem sytuacji, w których zwracano się bezpośrednio do Glassa, podczas rozmowy podróżnicy posługiwali się językiem francuskim. Traper rozpoznawał niektóre słowa i zwroty, które pamiętał z okresu spędzonego w Campeche, ale nie na tyle, by rozumieć całą konwersację.

– Dopilnuj, żeby twój brat był rano gotowy do drogi – powiedział Langevin. – Potrzebny mi jest jako wioślarz.

– Będzie gotowy.

– I nie zapomnijcie, jakie jest wasze główne zadanie – rzekł Kiowa. – Nie zaszyjcie się u Mandanów na całą zimę. Muszę mieć gwarancje, że Arikara nie będą atakować handlarzy podróżujących wzdłuż rzeki. Jeśli do Nowego Roku nie otrzymam od was wiadomości, nie zdążę już przekazać do St. Louis żadnych informacji, które by zmieniły plany kompanii na wiosnę.

– Znam swoje obowiązki – odparł Langevin. – Dostaniesz wszystkie informacje, jakich pragniesz.

– Skoro o tym mowa – Kiowa przeszedł gładko z francuskiego na angielski. – Wszyscy chcielibyśmy się dowiedzieć, co dokładnie się z panem działo, monsieur Glass. – Na te słowa nawet zamglone oko Professeura błysnęło zainteresowaniem.

Glass przebiegł wzrokiem po siedzących przy stole.

– Nie ma zbyt wiele do opowiadania. – Kiowa przetłumaczył jego słowa, a podróżnicy się roześmiali. Kiowa też się zaśmiał, po czym rzekł:

– Z całym szacunkiem, mon ami, sama pańska twarz już wiele mówi, chcielibyśmy jednak poznać szczegóły.

Rozsiadłszy się wygodnie, by wysłuchać – jak się spodziewali – zajmującej opowieści, podróżnicy nabili swe długie fajki świeżym tytoniem. Kiowa wyjął z kieszonki kamizelki ozdobną srebrną tabakierkę i włożył sobie do nosa szczyptę tabaki.

Glass dotknął dłonią gardła, wciąż zawstydzony swym zawodzącym głosem.

– Wielki grizzly zaatakował mnie nad rzeką Grand. Kapitan Henry zostawił Johna Fitzgeralda i Jima Bridgera, żeby mnie pochowali, kiedy umrę. Tymczasem zostałem przez nich okradziony. Mam zamiar odzyskać to, co należy do mnie i dopilnować, by sprawiedliwości stało się zadość.

Glass skończył. Kiowa przetłumaczył. Zapadła długa, pełna wyczekiwania cisza.

Wreszcie, chropawym dialektem, zadał pytanie Professeur:

- Czy on nie chce z nami więcej mówić?
- Proszę się nie gniewać, monsieur – rzekł Toussaint Charbonneau – ale nie jest pan raczej typem gawędziarza.

Glass spojrział na niego przeciągle, ale nadal milczał.

- Pański interes – odezwał się Kiowa – skoro nie chce nam pan opowiedzieć w szczegółach walki z niedźwiedziem, ale nie puszczę pana stąd, dopóki nie opisz mi pan rzeki Grand.

Już na wczesnym etapie swojej działalności Kiowa zrozumiał, że sukces nie zależy jedynie od towarów, którymi się handluje, lecz także od posiadanych informacji. Ludzie przybywali do jego faktorii nie tylko po oferowane przez nią towary, lecz by się czegoś dowiedzieć. Fort Kiowa leżał u zbiegu rzek Missouri i White, dlatego o tej drugiej wiedział on bardzo dużo, podobnie zresztą jak o rzece Cheyenne na północy. Od Indian zbierał wszelkie informacje na temat Grand, ale wciąż były one bardzo ogólne.

Kiowa powiedział coś do swej żony w języku Siuksów. Po chwili kobieta przyniosła podniszczoną książkę, z którą obchodzili się jak z rodzinnym egzemplarzem Biblii. Księga nosiła długi tytuł, widniejący na podartej okładce. Kiowa poprawił okulary i odczytał na głos: Dzieje ekspedycji ...

- ...pod kierunkiem kapitanów Lewisa i Clarka – dokończył Glass.

Kiowa podniósł pełne ekscytacji oczy.

- À bon! Nasz poraniony wędrowiec umie czytać!

Glass także był podniecony, na chwilę zapomniał nawet o bólu podczas mówienia.

- Pod redakcją Paula Allena. Wydano w Filadelfii w roku tysiąc osiemset czternastym.

- Więc zna pan również mapę sporządzoną przez kapitana Clarka?

Glass przytaknął. Pamiętał dobrze ów dreszcz, który towarzyszył pojawieniu się od dawna oczekiwanej publikacji pamiętników i mapy. Podobnie jak inne ryciny, które kształtowały jego chłopięce marzenia, Glass pierwszy raz zobaczył Dzieje ekspedycji w filadelfijskich biurach firmy Rawsthorne i Synowie.

Kiowa oparł księgę na grzbiecie i otworzył ją na stronie, na której widniała mapa Clarka, zatytułowana Mapa szlaku Lewisa i Clarka przez zachodnią część Ameryki Północnej, od Missisipi do Oceanu Spokojnego. Przygotowując się do ekspedycji, Clark intensywnie ćwiczył się w kartografii i jej tajnikach. Jego mapa stanowi cud tamtych czasów, przewyższając szczegółowością i precyzją wszystko, cokolwiek wcześniej nakreślono. Mapa jasno wskazywała główne dopływy Missouri, od St. Louis do Three Forks.

Mimo dokładnego oddania przebiegu rzek zasilających Missouri, szczegółowe informacje na ich temat ograniczyły się właściwie do zbiegów traktów wodnych. Niewiele wiedziano o trasie i źródłach poszczególnych cieków. Wyjątki były

nieliczne: w 1814 zaznaczono na mapie odkrycia dokonane w dorzeczu rzeki Yellowstone przez Drouillarda i Coltera. Zaznaczono też na niej trasę pokonaną przez Zebulona Pike'a^{5}, który przeszedł południową część Gór Skalistych. Sam Kiowa narysował przebieg Platte, zaznaczając orientacyjne położenie jej rozwidleń na północy i południu. Na mapie widniał też opuszczony fort Manuela Lisy w Yellowstone, umieszczony u ujścia rzeki Big Horn.

Glass z zapalem studiował dokument. Ale interesowała go nie sama mapa Clarka. Ją znał dobrze dzięki długim godzinom spędzonym w siedzibie firmy Rawsthorne i Synowie, a także niedawnym badaniom w St. Louis. Glassa interesowały przede wszystkim nowe oznaczenia naniesione przez Kiowę, pociągnięcia ołówkiem wyrosłe z wiedzy zdobytej w ciągu ostatniej dekady.

Powtarzającym się elementem mapy były cieki wodne. Ich nazwy mówiły wiele: niektóre upamiętniały potyczki – Potok Wojny, Lancy, Niedźwiedziej Gawry. Inne opisywały miejscową florę i faunę – Potok Antylopy, Bobra, Sosnowy, Różyczkowy. Jeszcze kolejne zawierały informacje na temat samej wody – Potok Głęboki, Bystry, Płytki, Siarkowy, Słodkiej Wody. Kilka odwoływało się do rzeczywistości bardziej mistycznej – Potok Szamański, Zamkowy, Żółwiowe Wzgórze (w języku Siuksów Keya Paha).

Kiowa zasypał Glassa pytaniami. Ile dni szli w górę Grand, zanim dotarli do rozwidlenia? W których miejscach dopływy wpadały do rzeki? Jakie widział po drodze punkty orientacyjne? Jakież oznaki bytności bobrów i innej zwierzyny? Czy są tam lasy? Jeśli tak, to ile? Jak daleko jest do Bliźniaczych Wzgórz? Czy zauważyli obecność Indian? Których plemion? Oстрыm ołówkiem Kiowa zaznaczał na mapie nowe dane.

Glass nie tylko udzielał sporo informacji, lecz równie wiele ich otrzymywał. Wprawdzie ogólny zarys mapy miał utrwalony w pamięci, jednak wobec planów samotnego przedarcia się przez te tereny drogą lądową niezbędne okazywały się dane szczegółowe. Ile mil dzieli osiedla Mandanów od Fort Union? Jakież są główne dopływy rzeki powyżej ziemi Mandanów i jaka dzieli je odległość? Jakież jest tam ukształtowanie terenu? Kiedy Missouri zamarza? Gdzie mógłby zaoszczędzić czas, idąc skrótem między zakolami rzeki? Spory fragment mapy Clarka Glass skopiował dla własnych potrzeb, skupiając się przede wszystkim na rozległych terytoriach między osiedlami Mandanów a Fort Union, a także na kilkusetmilowym odcinku na północ od fortu, przez który płynęły rzeki Yellowstone i Missouri.

Kiowa i Glass stali przy stole do późnej nocy, podczas gdy pozostali podróżnicy woleli się ulotnić; przyćmione światło kaganka rzucało bezkształtne cienie na ściany z bali. Żądny skorzystania z rzadkiej okazji do inteligentnej rozmowy, Kiowa nie chciał wypuścić Glassa z rąk. Zdumiała go opowieść o samotnej wędrówce z Zatoki Meksykańskiej do St. Louis. Wyjął czystą kartkę papieru i

kazał Glassowi naszkicować mapkę równin Teksasu i Kansas.

– Bardzo by mi się tu przydał człowiek taki jak pan. Przybywający do nas podróżnicy spragnieni są wszelkich informacji, jakie pan posiada.

Glass pokręcił głową.

– Naprawdę, mon ami. Może pan tu jednak przezimuje? Dam panu pracę. – Kiowa rzeczywiście gotów był zapłacić, i to chętnie, choćby po to, by mieć towarzystwo.

Glass znów pokręcił głową, tym razem jeszcze bardziej stanowczo.

– Mam pewne sprawy do załatwienia.

– Czy to nie głupi pomysł? W przypadku człowieka o takich umiejętnościach? Włóczyć się po Luizjanie w samym środku zabójczej zimy? Lepiej niech pan ściga tych zdrajców na wiosnę, jeśli wciąż będzie mieć pan na to ochotę.

Miła atmosfera poprzedniej rozmowy ulotniła się z pomieszczenia, jak gdyby ktoś w chłodny zimowy dzień otworzył nagle drzwi. Oczy Glassa rozblęśły, a Kiowa natychmiast pożałował swojej wypowiedzi.

– Nie prosiłem pana o radę w tej sprawie.

– To prawda. Nie prosił pan.

Do świtu pozostały niecałe dwie godziny, gdy Glass, wykończony, wspiał się wreszcie po drabinie na poddasze. Niecierpliwe wyczekiwanie, by już ruszyć w drogę, nie pozwoliło mu zażyć zbyt wiele snu.

Glass ocknął się, słysząc stek różnorodnych przekleństw wypowiedzianych donośnym głosem. Jakiś mężczyzna krzyczał po francusku. Glass nie rozumiał poszczególnych wyrazów, ale kontekst sprawiał, że ich sens przedstawiał się całkowicie jasno.

A krzyczał „La Vièrge” Cattoire, niedawno brutalnie wyrwany przez swego brata Dominique’a z głębin pijackiego snu. Znużony wygłupami brata i nie mogąc go obudzić standardowym kopnięciem w żebra, Dominique spróbował innej taktyki: nasikał śpiącemu na twarz. Ów akt straszliwego braku respektu wywołał perorę ze strony La Vièrge’a. Działanie Dominique’a rozgniewało również squaw, z którą La Vièrge spędził noc. Kobieta ta tolerowała wiele form obrazy moralności, do których dochodziło w jej tipi. Do części nawet sama zachęcała. Jednak bezpardonowy akt sikania wiązał się z zabrudzeniem jej najlepszego koca i wywołał w kobiecie wściekłość. Wrzeszczała przeszywającym, piskliwym głosem obrażonej sroki.

Kiedy Glass wyszedł z chaty na zewnątrz, ów krzykliwy pojedynek przekształcił się w walkę na pięści. Niczym starożytny grecki zapaśnik La Vièrge stanął przed starszym bratem kompletnie nagi. Górował nad nim posturą, ale na jego niekorzyść przemawiały trzy dni nieprzerwanego ostrego picia, nie wspominając

już o gwałtownym i przykrym przebudzeniu. Nie widział zbyt wyraźnie na oczy, miał zachwianą równowagę, jakkolwiek owe ułomności nie stępiły jego ochoty do walki. Dominique, obeznany ze stylem La Vièrge'a, stał nieruchomo – czekał na nieunikniony atak. Wydawszy z siebie gardłowy ryk, La Vièrge opuścił głowę i rzucił się do przodu.

Cały impet swej szarży włożył w zamaszysty cios wymierzony w głowę brata. Gdyby mu się udało, wbiłby Dominique'owi nos w mózg. Na szczęście ten bez trudu uchylił się przed ciosem.

La Vièrge stracił równowagę. Dominique kopnął go mocno w zgięcie kolan, a potem pociągnął za stopy. La Vièrge wylądował na plecach, a z płuc uleciało mu całe powietrze. Przez chwilę wił się żałośnie, próbując złapać oddech. Gdy tylko znów mógł oddychać, zaczął bluzgać przekleństwami i próbował podnieść się na nogi. Dominique kopnął go potężnie w splot słoneczny i La Vièrge ponownie musiał walczyć o odrobinę powietrza.

– Mówiłem ci, że masz być gotowy, żaloszny tępaku! Wyrusza-my za pół godziny.
– Dla podkreślenia swych słów Dominique kopnął La Vièrge'a w usta, rozbijając mu obie wargi.

Walka dobiegła końca, gapie się rozeszli. Glass ruszył nad rzekę. Bâtard Langevina stała przy nabrzeżu, wartki prąd Missouri szarpał jej liną cumowniczą. Jak wskazywała nazwa{6}, łódź należała do średniej wielkości jednostek transportowych. Wprawdzie mniejsza od wielkich canots de maître, i tak była całkiem spora, a jej długość wynosiła trzydzieści stóp.

Płynąc z prądem Missouri, który dawał im napęd, Langevin i Professeur mogli sami sterować bâtard, nie przejmując się pełnym załadunkiem, składającym się ze skórek zwierzęcych wyhandlowanych od Mandanów. Jednak podróż w górę rzeki tak obciążoną łodzią wymagała dziesięciu wioślarzy. Tym razem ładunek Langevina miał być lekki – kilka podarków dla Mandanów i Arikarów. Mimo wszystko, z zaledwie czterema ludźmi u wiosła, czekała ich trudna podróż.

Toussaint Charbonneau siedział na beczie przy nabrzeżu, beztrosko jedząc jabłko, podczas gdy Professeur przygotowywał łódź pod kierunkiem Langevina. Aby równomiernie rozłożyć ładunek, na podłodze – między rufą a dziobem – umieszczono dwie długie żerdzie. Professeur kładł na nie towary, schludnie zwinięte w cztery niewielkie bele. Najwyraźniej nie mówił po francusku (a czasami sprawiał wrażenie, że po angielsku też nie mówi). Niezdolność zrozumienia francuskich komend Langevin rekompensował mu, podnosząc głos i mówiąc bardzo wyraźnie. Nie było to jednak specjalnie pomocne; ciągła gestykulacja ze strony Langevina dostarczała Professeurowi o wiele więcej cennych wskazówek.

Sztuczne oko nadawało temu człowiekowi jeszcze bardziej przerażający wygląd. Stracił ów narząd w jakimś szynku w Montrealu, kiedy to pewien cieszący się złą

sławą awanturnik, noszący przezwisko Joe Ostryga, po prostu wyłuskał mu go z czaszki. Professeurowi udało się wetknąć oko na miejsce, ale niestety – nie chciało funkcjonować. W martwym oczodole umieszczono stałą protezę, lecz ta utkwiała pod dziwacznym kątem i w efekcie mężczyzna wyglądał, jakby cały czas spodziewał się ataku z flanki. Nigdy nie zdecydował się na noszenie opaski.

Wyruszyli w drogę bez specjalnej pompy. Dominique i La Vièrge pojawili się na nabrzeżu, każdy ze strzelbą i niewielką torbą na rzeczy osobiste. La Vièrge mrużył oczy, oślepienie porannym słońcem odbijającym się od rzeki. Na jego długich włosach zaschło błoto, a krew z rozciętych warg barwiła czerwono brodę i przód bluzy. Mimo to dziarskim skokiem zajął miejsce u wiosła na dziobie bâlard, a w jego oczach pojawił się błysk, który nie miał nic wspólnego z promieniami słonecznymi. Dominique usiadł na burcie za sterem. La Vièrge powiedział coś i obaj bracia wybuchnęli śmiechem.

Langevin i Professeur zasiedli jeden obok drugiego w szerokiej części pośrodku łodzi, chwytając za wiosła z lewej i prawej burty. Za sobą i przed sobą mieli po jednej beli ładunku. Charbonneau i Glass usadowili się przy pozostałych belach, przy czym Charbonneau bliżej dzioba, a Glass bliżej burty.

Czterech podróżników chwyciło za wiosła i skierowało łódź na bystry nurt rzeki. Zanurzyli je głęboko w wodzie; bâlard popłynęła, kierując się pod prąd.

La Vièrge, wiosłując, zaintonował pieśń, którą podchwycili pozostali:

*Le laboureur aime sa charrue,
Le Chasseur son fusil, son chien;
Le musicien aime sa musique;
Moi, mon canot – c'est mon bien!*

*Oracz kocha swój pług,
Myśliwy wielbi swą broń i psa,
Muzykowi muzyka to bóg,
Dla mnie miłością jest łódka ma!*

– Bon voyage, mes amis! – wołał za nimi Kiowa. – Tylko nie spędźcie całej zimy u Mandanów!

Glass się obejrzał. Przez chwilę wpatrywał się w Kiowę Brazeau machającego im z nabrzeża swego małego fortu. Potem odwrócił się twarzą w górę rzeki i więcej już się za siebie nie oglądał.

Wstawał dzień 11 października 1823 roku. Od ponad miesiąca Glass nieustannie oddalał się od celu. Był to wprawdzie strategiczny odwrót, lecz jednak odwrót. Począwszy od dzisiaj, postanowił Glass, ani kroku w tył.

CZEŚĆ II

Rozdział 16

29 listopada 1823 roku

Cztery wiosła przecinały wodę w idealnym unisono. Ich wysmukłe pióra niknęły pod powierzchnią, pod naciskiem mocnych rąk wchodząc w głąb prawie na osiemnaście cali. Bâtard sunęła wolno naprzód, posłuszna rytmowi, pokonując opór silnego nurtu. Po każdym zamachu wiosła wyłaniały się z wody i przez chwilę wydawało się, iż rzeka zniweczy wysiłek załogi, lecz zanim do tego dochodziło, pióra znów się zanurzały.

Gdy wypływali o świcie, w miejscach, gdzie woda stała nieruchomo, widać było cienką jak papier warstewkę lodu. Teraz, kilka godzin później, Glass rozsiadł się na ławce, wygrzewając się z przyjemnością w przedpołudniowym słońcu i ciesząc nostalgicznym kołysaniem rzeki.

Pierwszego dnia po wypłynięciu z Fort Brazeau Glass spróbował swych sił w wiosłowaniu. Bądź co bądź, rozumował, jest przecież żeglarzem. Podróżnicy wybuchnęli śmiechem, gdy z determinacją chwycił za drewnianą rękojeść. Natychmiast stało się jasne, że jego pomysł jest niedorzeczny. Mężczyźni pracowali w zawrotnym tempie sześćdziesięciu wymachów na minutę, regularnie niczym szwajcarski zegarek. Glass nie byłby w stanie dotrzymać im tempa, nawet gdyby miał w pełni zdrowe ramię. Przez parę chwil młócił wodę, nim coś miękkiego i mokrego uderzyło go w tył głowy. Odwróciwszy się, ujrzał Dominique'a, z kpiącym uśmiechem na twarzy.

– Dla pana, panie świniojadzie! – Dla paaNAA, panie świniojaDZIEE! – Przez dalszą część podróży Glass nie chwycił już za wiosło, lecz obsługiwał wielką gąbkę, którą nieustannie musiał usuwać wodę z dna łodzi.

Była to robota na pełny etat, gdyż båtard przeciekała. Kojarzyła się Glassowi z pływającą kołdrą. Łaty kory brzozonej, z której wykonano poszycie, połączono za pomocą wattope, mocnych sosnowych korzeni. Miejsca łączeń uszczelniono żywicą, którą nanoszono stale, w miarę pojawiania się przecieków. Ponieważ coraz trudniej było znaleźć brzozy, podróżnicy zostali zmuszeni do korzystania z innych materiałów do łatania i zatykania dziur. W kilku miejscach zastosowano niewyprawioną skórę zwierzęcą, ściągając ją mocno i smarując grubo żywicą. Glassa zdumiewała kruchość tej jednostki. Mocnym kopnięciem można było z

łatwością przebić jej poszycie; do głównych zadań La Vièrge'a jako sternika należało unikanie śmiertelnie groźnych śmieci płynących z nurtem rzeki. Na ich korzyść działał jedynie relatywnie niski stan spokojnej wody, typowy dla jesieni. Z pewnością wiosenne wezbrania niosłyby całe powalone drzewa.

Lecz oprócz wad łódź miała też pewien plus. Wprawdzie wątła, była jednocześnie lekka, co nie pozostawało bez znaczenia z punktu widzenia walki z nurtem. Glass bardzo szybko zrozumiał owo dziwne uczucie, którym podróżnicy darzyli swój stateczek. Łączyło ich coś na kształt więzów małżeńskich; ludzie napędzali łódź, a ona zapewniała im transport, istniało między nimi dziwne partnerstwo. Jedna strona zależała od drugiej, polegały na sobie nawzajem. Podróżnicy połowę dnia przeznaczali na gorzkie narzekania na temat różnorodnych niedomagań swojej jednostki, drugą zaś na czułą dbałość o nią.

Do wyglądu båtard przywiązywali wielką wagę, gdyż stanowiła przedmiot ich dumy; ozdabiali ją pysznymi pióropuszcami i malowali w jaskrawe barwy. Na sterzącym dziobie odwzorowali głowę jelenia, z porożem wyzywająco zwróconym w kierunku wody (natomiast na rufie La Vièrge umieścił wizerunek przedstawiający tyłek tego zwierzęcia).

– Przed nami dobre miejsce na biwak – odezwał się La Vièrge ze swojego punktu obserwacyjnego na dziobie.

Langevin spojrział w górę rzeki, tam gdzie łagodny prąd wody szorował lekko o piaszczysty brzeg, potem uniósł głowę, aby ocenić pozycję słońca.

– Okej, to będzie jedna fajka. Allumez.

W kulturze podróżników fajka miała tak istotne znaczenie, że terminu tego używali na określenie odległości. „Fajka” oznaczała dystans, jaki przebywali zwykle między krótkimi przerwami na palenie tytoniu. Gdy płynęli z prądem, fajka równała się nawet dziesięciu milom, na wodzie stojącej – pięciu milom, natomiast na trudnym nurcie Missouri mieli szczęście, jeśli fajka oznaczała dwie mile.

Szybko weszli w codzienną rutynę. Śniadania spożywali o fioletowo-niebieskiej godzinie tuż przed świtem, sycąc się dziczyzną i podpłomykami, a chłód poranka odpędzając wrzącą herbatą w cynowych kubkach. O pierwszym brzasku znajdowali się już na wodzie, żądni każdą godzinę wykorzystać na pokonanie kolejnego dystansu. Dziennie przebywali od pięciu do sześciu fajek. Około południa zatrzymywali się na dłuższy postój, jedli suszone mięso i garść suszonych jabłek, ale dopiero wieczorem rozpalali ognisko i coś sobie gotowali. Wraz z zachodem słońca, po kilkunastu godzinach spędzonych na rzece, dobijali do brzegu. Glass dysponował zwykle co najmniej godziną o zmierzchu, by coś upolować. Pozostali mężczyźni odpoczywali, oczekując pojedynczego strzału, który oznaczał sukces. Glass rzadko wracał do obozu z pustymi rękami.

Przy samym brzegu La Vièrge wskoczył do wody sięgającej mu do kolan i

baczył, żeby delikatne poszycie båtard nie szorowało o piasek. Brodząc, wyszedł na ląd i przywiązał cumę do wielkiego pnia. Langevin, Professeur i Dominique wyskoczyli kolejno z łodzi i z bronią w ręku obserwowali linię drzew. Glass i Professeur osłaniali pozostałych, gdy tamci szli do brzegu, po czym ruszyli w ich ślady. Poprzedniego dnia Glass natknął się na porzucone obozowisko, w którym pozostały kamienne kręgi po dziesięciu tipi. Nie mieli pojęcia, czy obozowała tu grupa Języka Łosia, ale odkrycie to wzmoгло ich czujność.

Mężczyźni wyjęli fajki i tytoń ze swych sacs au feu zawieszonych u pasa, a potem podawali sobie płonący patyk z rozpalonego przez Dominique'a maleńkiego ogniska. Bracia usiedli bezpośrednio na piasku. Ponieważ ich stanowiska pracy znajdowały się na dziobie i na burcie, musieli w trakcie wiosłowania stać. Teraz więc, oddając się paleniu fajki, woleli siedzieć. Pozostali mężczyźni stali, z zadowoleniem korzystając ze sposobności rozprostowania nóg.

Chłód jesieni przenikał rany Glassa niczym śnieżna zamieć szalejąca w górskiej dolinie. Każdego ranka budził się zeszywniały i obolały, a wskutek wielogodzinnego przebywania w ciasnocie łodzi jego kondycja znacznie się pogorszyła. Starał się maksymalnie skorzystać z przerwy, przemierzając szybko piaszczystą łachę, aby przywrócić krążenie w obolałych kończynach.

Przyglądał się towarzyszom podróży. Byli uderzająco podobni do siebie, jeśli chodzi o strój – jakby wszyscy włożyli jeden mundur. Nosili czerwone wełniane czapki z pomponem oraz otokiem, który można było wywinąć i wykorzystać jako nauszniki. (La Vièrge przyozdobił swoją czapkę piórem strusia). Zamiast koszul mieli długie bawełniane bluzy w kolorach białym, czerwonym lub granatowym, wpuszczone w spodnie. Każdy z nich opasany był wielobarwną szarfą, której końce zwisały wzdłuż nogi. Za szarfę zatknięty był sac au feu, w którym przechowywali fajkę i kilka przydatnych w każdej chwili drobiazgów. Nosili zamszowe spodnie, na tyle luźne, by można było wygodnie zginać nogi w łódce. Poniżej kolan wiązali bandany, które przydawały ich strojowi odrobiny elegancji. Obuci byli w same mokasyny, bez skarpet.

Z wyjątkiem Charbonneau, ponurego jak deszcz w listopadzie, podróżnicy budzili się co ranka pełni niezawodnego, pogodnego optymizmu. Przy najmniejszej okazji wybuchali śmiechem. Ciszy i milczeniu okazywali niewiele tolerancji, przez cały dzień z pasją i bez końca rozprawiając o kobietach, wodzie i dzikich Indianach. Obrażali się wzajemnie i obrzucali obelgami. Co więcej, przepuszczenie okazji do dobrego żartu traktowali jako skazę charakteru, oznakę słabości. Glass żałował, że nie zna zbyt dobrze francuskiego, choćby dla samej rozrywki, jaką musiało być słuchanie tych przekomarzań, dzięki którym podróżnicy byli tak weseli.

W rzadkich chwilach, w których rozmowa milkła, ktoś intonował żywiołową pieśń, a pozostali niezwłocznie doń dołączali. Brakowało im słuchu muzycznego,

lecz fakt ten nadrabiali szczerym entuzjazmem. W sumie, myślał Glass, przyjemny sposób na życie.

Krótką przerwę na odpoczynek zakłócił Langevin, jak rzadko bardzo poważny.

– Musimy zacząć wystawiać wartę w nocy – powiedział. – Dwóch ludzi, na zmianę.

Charbonneau wypuścił z ust długie pasemko dymu.

– Mówiłem ci jeszcze w Fort Brazeau: jestem tłumaczem, nie trzymam warty.

– Cóż, ja nie zamierzam brać dodatkowej wachty, żeby on mógł sobie pospać – stwierdził La Vièrge stanowczo.

– Ja też nie – rzekł Dominique.

Nawet Professeur wyglądał na poruszonego.

Wszyscy spojrzeli wyczekująco na Langevina, ten jednak nie zamierzał pozwolić, by kłótnia pozbawiła go przyjemności palenia fajki. Kiedy skończył, po prostu wstał i oznajmił:

– Allons-y. Szkoda światła dziennego.

Pięć dni później dotarli do miejsca, w którym do rzeki wpadał niewielki potok. Jego krystalicznie czysta woda szybko traciła przejrzystość, łącząc się z mętym nurtem Missouri. Langevin wpatrywał się w strumień, zastanawiając, co teraz zrobić.

– Rozbijmy obóz, Langevin – powiedział Charbonneau. – Mam już dość picia tego mułu.

– Niechętnie, ale zgadzam się z nim – rzucił La Vièrge. – Charbonneau ma rację. Ciągłe sram przez tę brudną wodę.

Langevinowi także uśmiechała się perspektywa obozowania przy czystym strumieniu. Frasowało go jednak jego położenie – na zachodnim brzegu Missouri. Zakładał, że grupa Języka Łosia znajduje się gdzieś na zachód od rzeki. Od chwili, gdy Glass natknął się na niedawne obozowisko Indian, trzymali się bardzo blisko wschodniego brzegu, zwłaszcza wybierając miejsca na nocleg. Langevin spojrzał na zachód, gdzie za widnokretem niknęły ostatnie karmazynowe promienie słońca. Potem na wschód, ale przed kolejnym zakolem rzeki nie mógł dostrzec żadnego miejsca nadającego się na popas.

– Okej. Nie mamy większego wyboru.

Podpłynęli do brzegu. Professeur i La Vièrge wyładowali paki, a pustą łódkę podholowali na suchy ląd. Tam przewrócili ją na bok, tworząc prymitywne schronienie otwierające się w kierunku wody.

Glass brodził w płytkiej wodzie, nerwowo lustrując okolicę. Piaszczysta łacha biegła jakieś sto jardów w dół rzeki, w kierunku czegoś w rodzaju naturalnego mola – pasa głazów narzutowych, za którymi rosły gęste zarośla wikliny i krzewy.

Zatrzymywały one pnie drzew spływające rzeką, i inne śmieci, tarasując nurt i odpychając go od łagodnego brzegu. Za łachą widać było kolejną wiklinę, a za nią stanowisko topól coraz rzadziej występujących w miarę jak posuwali się na północ.

– Jestem głodny – powiedział Charbonneau. – Niech nam pan załatwi jakąś dobrą kolację, panie myśliwy. – ...dobrą kolaCJĘ, panie myśLIWYYY.

– Dzisiaj żadnego polowania – odrzekł Glass. Charbonneau zaczął protestować, ale Glass mu przerwał. – Mamy mnóstwo suszonego mięsa. Przeżyje pan jeden wieczór bez świeżej dziczyzny, Charbonneau.

– Ma rację – poparł trapera Langevin.

Jedli więc suszone mięso z kaszą kukurydzianą ugotowaną na żeliwnej patelni nad małym ogniem. Siedzieli dookoła ogniska, blisko siebie. Podczas zachodu słońca lodowaty wiatr nieco ustał, widzieli jednak swoje oddechy. Czyste niebo oznaczało zimną noc i silny przymrozek nad ranem.

Langevin, Dominique i La Vièrge zapalili gliniane fajki i rozsiedli się wygodnie, delektując dymem. Od ataku grizzly Glass nie palił tytoniu, zbyt bolesne było go wtedy gardło. Professeur zdrapywał z patelni resztki kaszy. Charbonneau nie było, pół godziny wcześniej oddalił się od obozu.

Dominique podśpiewywał sobie cicho pod nosem, jakby oddawał się marzeniom:

*Pączek róży zerwałem
Pączek róży zerwałem uroczy
Płatek za płatkim mu brałem
Aż zapaskę pełną woni miałem...*

– Dobrze, że przynajmniej potrafisz o tym śpiewać, bracie – zauważył La Vièrge. – Założę się, że od roku żadnego pączka nie zerwałeś. To tobie należy się przydomek Dziewica.

– Lepiej chodzić głodnym, niż żreć byle gównem.

– Wymagający człowiek. Taki wyrobiony.

– Nie muszę przeproszać za to, że mam swoje wymagania. Na przykład w przeciwieństwie do ciebie lubię kobiety, które mają zęby.

– Ależ ja wcale nie chcę, żeby gryzły za mnie mój obiad.

– Poszedłbyś do łóżka ze świnią, gdyby nosiła perkalową suknię.

– No cóż, dzięki temu ty możesz być ozdobą rodziny Cattoire'ów. Z pewnością mamusia byłaby bardzo dumna, gdyby wiedziała, że sypiasz tylko z ekskluzywnymi dziwkami z St. Louis.

– Mamusia nie. Tatuś być może. – Obaj roześmiali się głośno, a potem uroczyście przeżegnali.

– Uciszcie się – syknął Langevin. – Wiecie, jak głos niesie się po wodzie.
– Czemu jesteś dziś taki nie w sosie, Langevin? – zapytał La Vièrge. – Wystarczy, że musimy znosić humory Charbonneau. Widywałem już pogrzeby, które były zabawniejsze.

– Jeśli będziecie się tak wydzierać, to faktycznie dojdzie do pogrzebu.

La Vièrge ani myślał jednak pozwolić, by Langevin popsuł im ciekawą konwersację.

– Wiesz, że ta squaw w Fort Kiowa miała trzy sutki?

– Po co komu trzy sutki? – zapytał Dominique.

– Twój problem polega na tym, że brak ci wyobraźni.

– Wyobraźni, tak? Gdybyś ty miał trochę mniej wyobraźni, to może by cię tak bardzo nie bolało, kiedy sikasz.

La Vièrge zastanawiał się nad odpowiedzią, lecz prawdę mówiąc, zmęczył się już nieco rozmową z bratem. Tymczasem Langevin najwyraźniej nie był w nastroju do pogaduszek, a Charbonneau zniknął gdzieś w lesie. La Vièrge spojrzał na Professeura, o którym jednak nigdy nie słyszano, by zamienił z kimś słowo.

Wreszcie jego wzrok spoczął na Glassie. Nagle zdał sobie sprawę, że od wyruszenia z Fort Kiowa tak naprawdę z nim nie rozmawiali. Czasami zdarzało się im rzucić kilka zdań, głównie dotyczących sukcesów myśliwskich Glassa i jego stałych dostaw świeżego mięsa. Ale do prawdziwej rozmowy dotąd nie doszło, a już na pewno nikt go o nic solidnie nie wypytał, co należało przecież do ulubionych czynności La Vièrge'a. Poczul się nagle winny towarzyskiego zaniedbania. O Glassie wiedział niewiele ponad to, że ledwo się wykaraskał ze starcia z niedźwiedziem. Ale co ważniejsze, myślał La Vièrge, Glass też bardzo mało wiedział o nim – a niewątpliwie bardzo chciał się dowiedzieć więcej. Poza tym nadarzała się dobra okazja, aby poćwiczyć trochę angielski; La Vièrge uważał się za zaawansowanego w znajomości tego języka.

– Hej, świniogadzie. – Gdy Glass podniósł wzrok, Francuz zapytał: – Z gdzie ty pochodzisz?

Pytanie – oraz niespodziewane użycie angielskiego – zaskoczyło Glassa. Odchrząknął.

– Z Filadelfii.

La Vièrge skinął głową, czekając na odwzajemnienie pytania przez Glassa. Nie doczekał się.

– Mój brat i ja – rzekł wreszcie – my z Contrecoeur.

Teraz Glass kiwnął głową, ale milczał dalej. Najwyraźniej, uznał La Vièrge, ten Amerykanin potrzebuje trochę zachęty.

– Wiesz, jak to się stało, że jesteśmy wszyscy podróżnikami? – Wiesz, jak to się staŁO, że jesteŚMY wszySCY podróżnikaMI?

Glass pokręcił głową. Dominique przewrócił oczami, rozpoznając wstęp do

dobrze mu znanych opowieści brata.

– Contracoeur leży nad wielką Rzeką św. Wawrzyńca. Swego czasu, ze sto lat temu, w naszej wsi zamieszkiwali wyłącznie biedni farmerzy. Przez cały dzień pracowali na polu, ale ziemia była uboga, a klimat zbyt zimny, więc nigdy nie uzyskiwali dobrych zbiorów.

Pewnego dnia na polu niedaleko rzeki pracowała piękna dziewczyna imieniem Isabelle. Nagle z wody wyszedł ogier, wielki i silny, czarny jak węgiel. Stał w rzece, wpatrując się w dziewczynę. A ona bardzo się przestraszyła. Ogier zobaczył, że dziewczyna chce uciec, wierzgnął więc w wodzie i ku dziewczynie poleciał pstrąg. Upadł na ziemię u jej stóp... – La Vièrge nie mógł znaleźć odpowiedniego angielskiego wyrazu, uczynił więc gest rękoma. – Isabelle widzi ten petit cadeau{7} i jest bardzo szczęśliwa. Podnosi go z ziemi i zabiera do domu, dla rodziny na kolację. Opowiada o koniu swojemu tacie i braciom, ale oni myślą, że sobie żartuje. Śmieją się i każą jej przynieść więcej ryb od nowego znajomego.

Isabelle wraca na pole i odtąd każdego dnia spotyka czarnego ogiera. Codziennie on podchodzi troszkę bliżej i codziennie daje dziewczynie podarunek. A to jabłko, a to kwiaty. Ona opowiada swojej rodzinie o koniu, który wychodzi z rzeki. A oni cały czas się z tego śmieją.

Wreszcie nastaje dzień, gdy ogier podchodzi bardzo blisko Isabelle. Ona wsiada na jego grzbiet, a koń kieruje się ku rzece. Znikają w jej nurcie – i nikt już ich więcej nie widział.

Ogień rzucał tańczące cienie na mówiącego La Vièrge'a. Szum płynącej rzeki stanowił coś w rodzaju cichego akompaniamentu dla jego opowieści.

– Tamtej nocy, kiedy Isabelle nie wróciła do domu, jej ojciec i bracia wyruszyli na poszukiwania. Znajdują ślady stóp dziewczyny i znajdują odciski kopyt ogiera. Rozumieją, że Isabelle dosiadła konia i że ten pobiegł do rzeki. Szukali wszędzie, ale nie mogli dziewczyny znaleźć. Nazajutrz wszyscy mężczyźni z tej wsi wsiedli do łodzi i przyłączyli się do poszukiwań. I złożyli przysięgę: porzucą swoje farmy i zostaną na rzece dopóty, dopóki nie znajdą biednej Isabelle. Lecz jak dotąd im się to nie udało. I widzisz pan, Monsieur Glass, od tego dnia jesteśmy podróżnikami. Ciągłe prowadzimy poszukiwania nieszczęsnej dziewczyny.

– Gdzie jest Charbonneau? – zapytał Langevin.

– Gdzie jest Charbonneau?! – zdumiał się La Vièrge. – Ja wam opowiadam historię o zaginionej dziewczynie, a ty martwisz się o jakiegoś starego faceta, który zniknął?

Langevin nie odpowiedział.

– On jest malade comme un chien{8} – rzekł La Vièrge, uśmiechając się. – Zawołam go, sprawdzę, czy nic mu się nie stało. – Przyłożył złączone dłonie do ust i wrzasnął w kierunku wikliny. – Nie martw się, Charbonneau, wysyłamy ci na pomoc Professeura, żeby podtarł ci dupę!

Touissant Charbonneau znajdował się tymczasem w pozycji kucznej, dyskretnie wystawiając gołe pośladki w kierunku krzaków. Trwał tak już od dłuższego czasu, do tego wręcz stopnia, że zaczynał czuć skurcze w udzie. Od wyruszenia z Fort Brazeau nie czuł się dobrze. Bez wątpienia zaszkodziło mu to gówniane jedzenie serwowane przez Kiowę. Słyszał, jak w obozowisku La Vièrge kpi sobie z niego. Zaczynał nienawidzić tego łajdaka. Nagle gdzieś trzasnęła gałązka.

Charbonneau wyprostował się gwałtownie. Jedną ręką sięgnął po pistolet, drugą próbował podciągnąć spodnie z jeleniej skóry. Żadna z rąk nie spełniła swego zadania. Pistolet spadł na spowity w mroku grunt. Spodnie zsunęły się do kostek. Gdy znów się schylił, żeby podnieść broń, potknął się o własne portki. Padł jak długi na ziemię, rozdzierając sobie kolano o wielki kamień. Stęknął z bólu; wtedy kątem oka dostrzegł ogromnego łosia przedzierającego się przez las.

– Mèrde! – Charbonneau wrócił do przerwanej czynności. Ból w nodze wywoływał grymas na jego twarzy.

Już w obozie poczuł, że jego zwykle rozdrażnienie wzniosło się o stopień wyżej. Popatrzył na Professeura, który spoczywał w pozycji pólężącej, wsparty o wielki pień. Na brodzie wielkiego Szkota widać było zaschlą kukurydzianą kaszę.

– Jak on je, ohyda – powiedział Charbonneau.

La Vièrge podniósł nań wzrok znad fajki.

– No nie wiem. Sposób, w jaki światło ogniska pada na jego podbródek, przypomina mi trochę zorzę polarną. – Langevin i Dominique roześmiali się, co tylko jeszcze bardziej zirytowało Charbonneau. Professeur spokojnie żuł, obojętny na żarty, jakie sobie z niego strojono.

– Hej, ty durny szkocki draniu – rzucił Charbonneau po francusku – rozumiesz chociaż jedno słowo z tego, co do ciebie mówię? – Professeur nie przerywał konsumowania kaszy, spokojny jak krowa przy żłobie.

Charbonneau uśmiechnął się blado. Cieszył się z okazji bezkarnego pofolgowania sobie w wypowiedaniu złośliwych uwag.

– Co mu się stało w oko, nawiasem mówiąc?

Nikt jednak nie rwał się do rozmowy z Charbonneau. Wreszcie Langevin rzekł:

– Stracił je podczas jakiejś awantury w Montrealu.

– Paskudnie wygląda. I wkurza mnie, kiedy to coś gapi się na mnie całymi dniami.

– Sztuczne oko nie może się gapić – zauważył La Vièrge. Zdążył polubić Szkota, a przynajmniej cenil jego umiejętność posługiwania się wiosłem. Niezależnie jednak od swego stosunku do Professeura, La Vièrge z pewnością nie lubił Charbonneau. Zrędlive komentarze starszego mężczyzny męczyły go od pierwszego dnia na rzece.

– Ale tak wygląda, jakby się gapiło – nie ustępował Charbonneau. – Jakby zawsze patrzył kątem oka. A poza tym nigdy nie mruga. Nie rozumiem, jakim

cudem mu nie wysycha.

– Gdyby nawet to oko widziało, to i tak nie ma za wiele na co patrzeć, jeśli chodzi o ciebie, Charbonneau – rzekł La Vièrge.

– Mógłby sobie przynajmniej sprawić opaskę. Mam ochotę sam taką wyszykować.

– Czemu nie? Byłoby miło, gdybyś czymś się zajął.

– Nie jestem twoim cholernym engagé! – zasyczał Charbonneau. – Będziesz się cieszył, że tu jestem, kiedy Arikara przyjdą po twój zapchlony skalp! – Tłumacz pienieł się z wściekłości, w kąciu ust zbierała mu się plwocina. – Przecierałem szlaki razem z Lewisem i Clarkiem, kiedy ty jeszcze srałeś w pieluchę.

– Jezu Chryste, staruszk! Jeśli jeszcze raz usłyszę którąś z tych twoich cholernych opowiastek o Lewisie i Clarku, to przysięgam, że strzelę sobie w łeb. Albo lepiej: może tobie strzelę w łeb! Wszyscy będą mi za to wdzięczni.

– Ça suffit! – wmieszał się wreszcie Langevin. – Dość tego! Sam chętnie bym się pozbył was obu dla swojego dobra, gdyby nie to, że jesteście potrzebni!

Charbonneau zaśmiał się szyderczo i triumfalnie zarazem.

– Ale posłuchaj mnie, Charbonneau – powiedział Langevin. – Każdy z nas zajmuje się czymś poza swoją działką. Jest nas na to po prostu za mało, żebyśmy pilnowali tylko swoich podstawowych obowiązków. Będziesz robił to, co wszyscy, nawet brudną robotę. I zaczniesz już od dzisiaj, obejmiesz drugą wartę.

Tym razem szyderczo zachnął się La Vièrge. Charbonneau odszedł od ogniska, mrużąc coś pod nosem o tutejszej roślinie zwanej na cześć Lewisa lewizją, i położył się na posłaniu pod bêtard.

– Kto mu pozwolił zająć dzisiaj łódź? – poskarżył się La Vièrge.

Langevin chciał coś powiedzieć, lecz Dominique go powstrzymał.

– Daj spokój.

Rozdział 17

5 grudnia 1823 roku

Professeur obudził się nazajutrz rano pod wpływem dwóch silnych, bezpośrednich doznań: było mu zimno i musiał się wysikać. Gruby wełniany koc nie sięgał mu do kostek, nawet gdy starał się skulić swą długą postać i ułożyć na boku. Uniósł głowę tak, by patrzeć jedynym okiem, i stwierdził, że w nocy koc pokrył się szronem.

Pierwszy promień nowego dnia rozbłysnął niepewnie nad wschodnim fragmentem widnokręgu, lecz na niebie wciąż dominował jasny półksiężyc. Wszyscy mężczyźni oprócz Charbonneau spali dookoła przygasającego ogniska, ułożeni niczym szprychy w kole.

Professeur powoli wstał, mając nogi zeszywniałe z zimna. Przynajmniej wiatr ucichł. Dorzucił drewno do ognia i ruszył w kierunku wikliny. Przeszedł zaledwie kilkanaście kroków, kiedy potknął się o jakieś ciało. Charbonneau.

Pierwszą myślą Professeura było, że Charbonneau nie żyje, zabity podczas pełnienia warty. Wszczął alarm, lecz wtedy Charbonneau zerwał się na nogi i zaczął macać rękoma po ziemi w poszukiwaniu strzelby; oczy miał szeroko otwarte, próbujące zorientować się w sytuacji. „Zasnął na warcie” – pomyślał Professeur. – „Langevinowi to się nie spodoba”. Pilna potrzeba oddania moczu stała się jeszcze bardziej paląca. Minąwszy Charbonneau, popędził ku wiklinie.

Na wiele rzeczy, które przytrafiały mu się codziennie, Professeur reagował ze zdziwieniem. Tak było i tym razem. Poczul coś dziwnego i spojrzawszy w dół, zobaczył wystający z brzucha bełt strzały. Przez chwilę zastanawiał się, czy to jakiś nowy kawał La Vièrge'a. Potem pojawiła się druga strzała, a później trzecia. Professeur przyglądał się z przerażającą fascynacją piórom na końcach smukłych bełtów. Nagle przestał czuć, że ma nogi, i uświadomił sobie, że przewraca się na plecy. Słyszał, jak jego ciało opada ciężko na zmarzniętą ziemię. W ostatniej chwili przed śmiercią pomyślał: „Dlaczego to nie boli?”.

Słyszając odgłos upadku Professeura, Charbonneau się odwrócił. Wielki Szkot leżał na plecach z trzema strzałami sterczącymi mu z piersi. Uszu Charbonneau dobiegł jakiś syczący dźwięk i nagle poczuł pieczenie, gdy bełt drasnął go w ramię.

– Mèrde!

Instynktownie padł na ziemię i lustrował ciemną ścianę wiklinowych zarośli w poszukiwaniu łucznika. Ten ruch uratował mu życie. Czterdzieści jardów przed

nim atramentowy przedświt rozerwała erupcja strzałów z broni palnej.

Przez chwilę Charbonneau widział pozycje atakujących. Oceniał, że strzelb musi być co najmniej osiem, plus pewna liczba wojowników z łukami. Uniósł broń, skierował muszkę na najbliższy cel i wypalił. Jakaś ciemna postać osunęła się na ziemię. Z zagajnika wypadły kolejne pierzaste strzały. Odwrócił się i pognął w kierunku obozu, leżącego zaledwie dwadzieścia jardów dalej.

Krzyk Charbonneau zbudził śpiących, a salwa oddana przez Arikarów wywołała w obozie chaos. Kule z karabinów i strzały z łuków spadły niczym grad na półprzytomnych mężczyzn. Langevin wrzasnął, kiedy rykoszet trafił go w żebro. Dominique poczuł, jak coś małego rozrywa mu mięsień łydki. Glass otworzył oczy i zobaczył, że strzała zaryła się w piasku pięć cali od jego twarzy.

Mężczyźni przepychali się w kierunku skromnej osłony, jaką stanowiła wyciągnięta na brzeg łódź; nagle z wiklinowych zarośli wyłoniło się dwóch wojowników Arikara. Pędzili w kierunku obozu, ich gardłowe okrzyki wojenne unosiły się w powietrzu. Glass i La Vièrge zatrzymali się i wycelowali strzelby. Wypalili niemal równocześnie, gdy tamci znajdowali się w odległości kilkunastu jardów. Nie mając czasu na koordynację działań, ani nawet na zastawianie się, mierzyli do tego samego celu – wielkiego Arikary z bizonimi rogami na głowie. Trafiony dwoma kulami w pierś, wojownik zwałił się ciężko na ziemię. Drugi sadził pełnym rozpędem w kierunku La Vièrge'a, jego toporek wojenny już opadał łukiem na głowę podróżnika. La Vièrge oburącz uniósł strzelbę do góry, żeby zablokować cios.

Tomahawk zatrzymał się na lufie broni La Vièrge'a, lecz siła uderzenia rzuciła ich obu na ziemię. Arikara podniósł się pierwszy. Stojąc plecami do Glassa, wznosił toporek, żeby raz jeszcze uderzyć La Vièrge'a. Obiema rękoma Glass walnął kolbą strzelby w tył głowy Indianina. Poczuł, jak kość tamtego pęka, gdy metal zetknął się z czaszką. Zdumiony Arikara padł na kolana przed La Vièrge'em, który zdążył podnieść się już na nogi. Francuz wywinął strzelbę niczym maczugą i z całej siły uderzył w bok głowy Indianina. Wojownik padł, a Glass i La Vièrge wczółgali się za łódź.

Dominique uniósł się na chwilę, by wystrzelić w kierunku wikliny. Langevin podał swoją strzelbę Glassowi, jedną ręką uciskając ranę w boku.

– Ty strzelaj, ja będę ładował.

Glass wstał, żeby oddać strzał; z zimną precyzją namierzył cel i wypalił.

– Mocno oberwałeś? – zapytał Langevina.

– Lekko. *Ôu se trouve Professeur?*

– Leży martwy w lesie – odrzekł krótko Charbonneau, podnosząc się do strzału.

Kucali za łodzią, a kanonada z zarośli wikliny nie ustawała. Huk wystrzałów mieszał się z bzyczeniem kul i świstem strzał tłukących o cienkie poszycie *bâtard*.

– Charbonneau, ty sukinsynu – wrzasnął La Vièrge. – Zasnąłeś, co? –

Charbonneau zignorował go, w skupieniu wsypując proch w otwór lufy swojej strzelby.

– Teraz to nieważne – powiedział Dominique. – Przeciagniemy tę cholerną łódkę na wodę i wynośmy się stąd!

– Posłuchajcie mnie! – rzekł rozkazująco Langevin. – Charbonneau, La Vièrge, Dominique: wy trzej zataszczycie łódkę do rzeki. Wystrzelcie jeszcze po razie i zostawcie strzelby tutaj. – Wskazał na ziemię między sobą a Glassem. – Glass i ja będziemy was osłaniać ostatnią salwą, a potem do was dołą-czymy. Wtedy wy nas osłaniajcie z łodzi ogniem z pistoletów.

Z kontekstu Glass zrozumiał większość z tego, co mówił Langevin. Rozejrzał się po pełnych napięcia twarzach. Nikt nie miał lepszego pomysłu. Musieli uciec z tej plaży. La Vièrge wystawił głowę ponad krawędź łódky i wypalił, a po nim to samo zrobili Dominique i Charbonneau. Gdy tamci ładowali broń, Glass również wstał i strzelił. Odsłaniając się, powodowali gwałtowniejszy ostrzał ze strony Arikarów. W korze brzozonej na poszyciu czółna nieustannie pojawiały się nowe otwory po pociskach, ale podróżnikom udawało się – przynajmniej chwilowo – powstrzymać generalny szturm.

Dominique rzucił dwa wiosła na leżące pokotem strzelby.

– Dopilnujcie, żeby je także zabrać!

La Vièrge położył swoją broń na ziemi między Glassem a Langevinem i objął ramionami środkową ławkę w båtard.

– Idziemy! – Charbonneau wsunął się pod dziób łódky, Dominique pod jego rufę.

– Na moją komendę! – krzyknął Langevin. – Un, deux, trois! – Jednym ruchem unieśli båtard ponad głowy i ruszyli ku rzece oddalonej o dziesięć jardów. Usłyszeli okrzyki podniecenia, a potem wzmożoną kanonadę. Wojownicy Arikara zaczęli wychodzić z ukrycia.

Glass i Dominique wymierzyli. Pozbawieni osłony, musieli leżeć rozplaszczeni na ziemi. Od wikliny dzieliło ich zaledwie pięćdziesiąt jardów. Glass widział wyraźnie chłopięcą twarz jednego z Arikarów, mrużącego oczy przy napinaniu krótkiego łuku. Glass wystrzelił i chłopiec zwałił się na plecy. Sięgnął po broń Dominique'a. Gdy odwodził kurek, tuż obok eksplodowała strzelba Langevina. Glass namierzył kolejny cel i pociągnął za spust. W panewce pojawiła się iskra, ale ładunek nie odpalił.

– Jasna cholera!

Langevin sięgnął po strzelbę Charbonneau, a w tym czasie Glass ponownie wsypował proch do panewki w broni Dominique'a. Francuz złożył się do strzału, lecz Glass położył mu dłoń na ramieniu.

– Idziemy! – Pozbierali strzelby i wiosła, po czym pomknęli ku rzece.

Trzej mężczyźni znajdujący się przed Glassem i Langevinem zdążyli już dobiec

do rzeki wraz ze swoją båtard. W ogromnym pośpiechu wymuszonym ucieczką po prostu rzucili kanu na rzeczny nurt. Charbonneau wpadł do wody tuż za łódką, a teraz próbował się wgramolić do środka.

– Wywrócisz ją! – wrzasnął La Vièrge. Ciężar ciała Charbonneau zwisającego z jednej burty powodował szalone chybotanie jednostki – mimo to wciąż unosiła się na wodzie. Charbonneau przerzucił nogi przez krawędź burty i rozpląszczył się na dnie, na którym zdążyło się już zebrać trochę wody, sączącej się z otworów po pociskach. Wskutek impetu nadanego przez ciało Charbonneau łódka kręciła się coraz dalej od brzegu, gdy nurt napierał na ster. Długa cumą ciągnęła się z tyłu jak jakiś wąż. Bracia zobaczyli oczy Charbonneau wyglądające znad burty. W wodzie wokół nich wybuchały maleńkie gejzery wzbijane przez kule.

– Łap za linę! – krzyknął Dominique. Obaj bracia dali nura w kierunku cumy, rozpaczliwie pragnąc uniemożliwić łodzi odpłynięcie. La Vièrge chwycił linę oburącz, starając się utrzymać równowagę w wodzie sięgającej mu powyżej kolan. Z całych sił zaczął przyciągać łódkę; lina napięła się jak struna. Dominique przedzierał się z trudem przez wodę, by przyjść mu z pomocą, gdy nagle mocno uderzył stopą o kamień na dnie. Stęknął z bólu i poczuł, jak nurt pozbawia go oparcia. Upadł i zanurzył się cały. Na szczęście nie stracił przytomności; po chwili stał już dwa jardy od La Vièrge'a.

– Nie utrzymam jej! – wrzasnął La Vièrge. Dominique już sięgał po naprężoną linę, gdy La Vièrge nagle ją puścił. Dominique z przerażeniem patrzył, jak cumą ślizga się po powierzchni wody w ślad za dryfującą båtard. Rzucił się za nią w pław, lecz w tym samym momencie – rzuciwszy okiem na La Vièrge'a – zauważył jego zdumiony wyraz twarzy.

– Dominique... – wyjąkał La Vièrge – chyba dostałem. – Dominique rzucił się ku bratu. Z wielkiej dziury w górnej części jego pleców lał się strumień krwi.

W tejże chwili, gdy pocisk trafił La Vièrge'a, Glass i Langevin dotarli do rzeki. Zobaczyli z przerażeniem, jak trafiony mężczyzna chwieje się i puszcza linę. Mieli jeszcze nadzieję, że Dominique zdoła pochwycić cumę, ten jednak nie zwracał już na nią uwagi i interesował się tylko bratem.

– Łap łódkę! – warknął Langevin.

Dominique nie reagował. Pełen frustracji Langevin wrzasnął:

– Charbonneau!

– Nie mogę jej zatrzymać! – odkrzyknął tamten. Jednostka znajdowała się teraz kilkanaście jardów od brzegu. Bez wiosł Charbonneau faktycznie nie mógł nic zrobić, żeby nad nią zapanować. Nie ulegało też wątpliwości, że nie ma najmniejszego zamiaru próbować.

Glass odwrócił się do Langevina. Ten właśnie zaczynał coś mówić, gdy nagle pocisk z karabinu wbił mu się w tył głowy. Umarł, nim jego ciało wpadło do wody. Glass spojrzął w kierunku wiklinowych zarośli. Co najmniej kilkunastu

Arikarów pędziło w stronę rzeki. Trzymając w obu rękach strzelby, Glass rzucił się tam, gdzie stali Dominique i La Vièrge. „Muszę dopłynąć do łodzi”.

Dominique wspierał brata, starając się utrzymać jego głowę nad poziomem wody. Glass nie potrafił stwierdzić z całą pewnością, czy La Vièrge żyje czy już umarł. Pełen rozpacz, w stanie bliskim hysterii, Dominique wykrzykiwał coś niezrozumiale po francusku.

– Płyn do łodzi! – wrzasnął Glass. Chwycił Dominique’a za kołnierz i pociągnął go dalej w głąb rzeki, zmuszony do porzucenia jednej ze strzelb. Prąd objął trzech mężczyzn i porwał ich ze sobą. Deszcz pocisków nie ustawał; gdy Glass spojrzął za siebie, zobaczył wojowników Arikara stojących szeregiem na brzegu.

Glass z całych sił starał się trzymać jedną ręką La Vièrge’a, drugą zaś ostatnią strzelbę – jednocześnie jak szalony walczył, aby nie wpaść pod wodę. Dominique także walczył, wreszcie udało im się stanąć na nogi. Głowa La Vièrge’a co jakiś czas zniknęła pod powierzchnią. Obaj mężczyźni robili, co mogli, żeby ranny nie utonął. Dominique krzyknął coś, lecz zamilkł gwałtownie, kiedy silny nurt rzeczny uderzył go w twarz. Tenże nurt sprawił, że Glass niemal wypuścił jedyną strzelbę z rąk. Dominique zaczął przedzierać się w kierunku brzegu.

– Jeszcze nie! – poprosił Glass. – Dalej w dół rzeki! – Ale Dominique nie zwracał na niego uwagi. W wodzie sięgającej do piersi parł po dnie ku płyciźnie. Glass obejrzał się do tyłu. Głazy leżące przy brzegu tworzyły solidną barierę. Urwisko za owym naturalnym molo wyglądało na silnie zerodowane. Mimo wszystko Arikarom wystarczy zapewne kilka minut, żeby się tu dostać.

– Jesteśmy za blisko! – wrzasnął Glass. I znów Dominique go zignorował. Glass przez chwilę zastanawiał się, czy nie popłynąć do łódki w pojedynkę, lecz zdecydował się pomóc Dominique’owi wyciągnąć La Vièrge’a na brzeg. Ułożyli go na plecach, w pozycji półleżącej, wspartego o urwisko. Ranny zamrugał oczami, a potem zakaszła – z ust poleciała mu strużka krwi. Glass odwrócił go na bok, aby przyjrzeć się ranie.

Kula przeszła plecy La Vièrge’a tuż poniżej lewej łopatki. Zbyt blisko serca, pomyślał Glass. Dominique najwyraźniej doszedł do takiego samego wniosku. Glass sprawdził stan swojej strzelby. W tej chwili była cała mokra, więc bezużyteczna. Spojrzął na pas. Toporek tkwił na miejscu, pistolet jednak zniknął. Glass podniósł wzrok na Dominique’a. „Co chcesz zrobić?”

Usłyszeli przyciszony dźwięk i odwrócili się do La Vièrge’a – w kącie ust błąkał się mu słaby uśmiech. Poruszył wargami, a Dominique wziął brata za rękę i przysunął ucho jak najbliżej. Ledwie słyszalnym szeptem La Vièrge śpiewał:

Tu es mon compagnon de voyage...

Dominique natychmiast rozpoznał znaną mu piosenkę, choć nigdy dotąd nie

wydała mu się tak potwornie przygnębiająca. Jego oczy zalały się łzami, zaczął śpiewać łagodnym głosem:

*Tu es mon compagnon de voyage
Je veux mourir dans mont canot.
Sur le tombeau, près du rivage
Vous renverserez mon canot.*

*A ty, mój towarzyszu drogi
Gdy zginę kiedyś w tym kanu
Na mogile mej przy brzegu
Połóż je do góry dnem na grób.*

Glass spojrział w kierunku naturalnego mola, leżącego siedemdziesiąt jardów w górę rzeki. Na głazach pojawiło się dwóch Arikarów. Wycelowali strzelby i zaczęli nawoływać.

Glass położył dłoń na ramieniu Dominique'a.

– Idą... – zaczął, lecz huk dwóch wystrzałów powiedział wszystko sam za siebie. Kule załomotały o nadrzeczną skarwę.

– Dominique, musimy uciekać.

– Nie zostawię go – powiedział swym ciężkim akcentem.

– Więc znów trzeba szukać ratunku w rzece.

– Nie – Dominique gwałtownie pokręcił głową. – Z nim nie damy rady płynąć.

Glass ponownie spojrział na głazowisko. Roilo się tam już od Indian. „Nie ma czasu!”

– Dominique. – Glass mówił teraz z naciskiem. – Jeśli tu zostaniemy, wszyscy zginieemy. – Rozległy się grzmoty wystrzałów z kolejnych strzelb.

Lecz w tej strasznej chwili Dominique milczał i tylko delikatnie głaskał poblady policzek brata. La Vièrge patrzył spokojnie przed siebie, w jego oczach błyskało jeszcze mdłe światelko życia. Wreszcie Dominique zwrócił się do Glassa:

– Nie zostawię go. – Huk kolejnych wystrzałów.

W Glassie walczyły ze sobą sprzeczne instynkty. Potrzebował czasu na przemyślenie swych działań, na ich usprawiedliwienie – ale nie miał go wcale. Ze strzelbą w rękę skoczył w nurt rzeki.

Dominique usłyszał jękliwy odgłos i poczuł, jak kula wbija mu się w bark. Przypomniały mu się wszystkie potworne opowieści o torturach zadawanych przez Indian. Spojrział w dół na La Vièrge'a.

– Nie pozwolę, żeby nas pocięli na kawałki. – Chwycił brata pod rękę i zaciągnął do rzeki. Kolejny pocisk wbił mu się w plecy. – Nic się nie martw, braciszku – wyszeptał, poddając się nurtowi, jego przychylnym objęciom. – Stąd popłyniemy

już tylko z prądem.

Rozdział 18

6 grudnia 1823 roku

Glass przykucnął nagi obok niewielkiego ogniska. Złączonymi rękoma starał się pochwycić trochę ciepła. Trzymał je jak najbliżej płomieni, czekając do ostatniej chwili i ryzykując oparzenia skóry, po czym przyciskał obie gorące dłonie do ramion lub ud. Przez krótką chwilę czuł sączące się ciepło, któremu jednak nie udawało się pokonać zimna lodowatej wody Missouri, tkwiącego w głębi jego ciała.

Na trzech prowizorycznych suszarkach z gałęzi porozwieszał mokrą odzież. Zamsz nadal pozostawał wilgotny, aczkolwiek Glass stwierdził z ulgą, że bawełniana koszula prawie już wyschła.

Spłynął z nurtem prawie milę, zanim wylazł na brzeg i wpełzł w najgęstsze zarośla, jakie udało mu się znaleźć. Zakopał się pośród jeżyn, na ścieżce wydeptanej przez króliki, licząc, że żadne większe zwierzę się tutaj nie zapuszcza. Leżąc w płataninie roślin, gdzieś wśród wikliny i topól, ponownie oddawał się ponurej czynności oględzin własnych ran oraz inwentaryzowania pozostałego mu wyposażenia.

Jednak w porównaniu z tym, co przeżył niedawno, Glass przyjmował swą sytuację niemalże z ulgą. Miał wprawdzie sporo siniaków i otarć powstałych podczas walki i ucieczki przez rzekę. Odkrył nawet niewielkie draśnięcia na ramieniu, gdzie musnęła go kula. W zimnym powietrzu bolały go stare rany, ale nie sprawiały wrażenia zainfekowanych ani jątrzących. Wyszedł więc z ataku Arikarów cały, choć obecnie groziło mu nowe niebezpieczeństwo, i to bardzo realne – niebezpieczeństwo śmierci przez zamrożenie. Przez krótką chwilę znów stanął mu przed oczyma obraz Dominique' a i La Vièrge'a wtulonych w nadrzeczną skarpe. Odpędził go od siebie.

Jeśli chodzi o wyposażenie, najdotkliwszą stratą był zgubiony pistolet. Strzelba nasiąkła wodą, ale nadawała się do użytku. Wciąż miał swój nóż i torbę myśliwską z krzesiwem i draską. Miał też toporek, którym naciął podpałkę pod ognisko w płytkim dołku. Liczył, że proch strzelniczy jest mimo wszystko suchy. Odkorkował róg i wysypał na ziemię odrobinę zawartości. Przyłożył do niej płonący patyk z ogniska, a proch wybuchł, wydając zapach zgniłych jaj.

Torba zniknęła, a wraz z nią zapasowa koszula, koc i rękawice. Znajdowała się tam również odręczna mapa, na której Glass tak starannie pozaznaczał wszystkie dopływy Missouri i charakterystyczne elementy krajobrazu nad rzeką. Jednak jej

brak nie miał większego znaczenia, ponieważ obraz mapy tkwił mu w głowie. Czuł się zatem – relatywnie – całkiem dobrze wyposażony.

Zdecydował się włożyć bawełnianą koszulę, mimo że nadal była wilgotna. Ubiór ochroni przynajmniej jego obolałe ramię przed zimnem. Przez cały dzień dokładał do ogniska. Martwił się trochę dymem, ale jeszcze bardziej obawiał się śmierci z wyziębienia. Żeby nie myśleć o chłodzie, zajął się strzelbą: wysuszył ją dokładnie i nasmarował, korzystając z małego pojemniczka na smar, który miał w torbie myśliwskiej. Nim zapadł zmrok, ubranie było suche, a strzelba oporzędzona.

Rozważał, czy nie ruszyć w drogę przed nocą. Gdzieś niedaleko czaili się ci sami Arikara, którzy zaatakowali ich obozowisko. Nie mógł już dłużej usiedzieć w tym miejscu, mimo że było dość dobrze ukryte. Ale noc zapowiadała się bezksiężycowa, nic nie oświetlałoby jego drogi wzdłuż poszarpanego brzegu Missouri. Nie miał więc wyboru, musiał zaczekać do rana.

Przy ostatnich promieniach słońca Glass pozbiierał odzież z wiklinowych gałęzi i ubrał się. Następnie w pobliżu ogniska wykopał płytki, kwadratowy dołek. Za pomocą dwóch patyków usunął parzące kamienie otaczające palenisko pierścieniem, ułożył je w zagłębieniu i zasypał cienką warstwą ziemi. Dołożył do ognia tyle drewna, ile śmiał, po czym legł na rozgrzanych kamieniach. W suchym już niemal ubraniu, ogrzewany przez kamienie i ognisko, powalony zwykłym zmęczeniem – zasnął, zapewniwszy zziębniętemu ciału minimum niezbędnego ciepła.

Przez dwa dni włókł się wzdłuż Missouri. Przez pewien czas zmagał się z pytaniem, czy nie spoczywa na nim odpowiedzialność za kontynuowanie misji Langevina jako emisariusza wysłanego do Arikarów. Wreszcie uznał, że nie. Jego zobowiązanie wobec Brazeau polegało na dostarczaniu dziczyzny członkom ekspedycji, które to zadanie wykonał należycie. Nie miał przecież pojęcia, czy banda Języka Łosia reprezentowała stosunek całego plemienia Arikara do białych. W sumie miało to niewielkie znaczenie. Zasadzka, w którą wpadli, dobitnie wykazała, że pomysł podróżowania łódką w górę rzeki nie był najlepszy. Gdyby nawet Glass dostał gwarancje bezpieczeństwa od Arikarów, nie miał zamiaru wracać do Fort Brazeau. Miał ważniejsze sprawy do załatwienia.

Domyślał się słusznie, że osiedla Mandanów znajdują się już niedaleko. Choć plemię to znane było ze swego pokojowego nastawienia, Glassa martwiły ewentualne konsekwencje ich nowo zawartego sojuszu z Arikarami. „Czy w wioskach Mandanów będą Arikara? Jak przedstawią atak na podróżników?” Glass nie widział powodu, by chcieć się o tym przekonać. Wiedział, że dziesięć mil w górę Missouri, licząc od osiedli Mandanów, leży mała faktoria Fort Talbot.

Postanowił ominąć ziemię Mandanów i skierować się prosto do niej. Jego potrzeby były skromne, musiał nabyć tylko koc i parę rękawic, które z pewnością tam dostanie.

Wieczorem drugiego dnia po ataku Glass uznał, że nie może już unikać ryzyka związanego z polowaniem. Był wygłodniały, a ponadto posiadanie jakiegoś futra lub skóry zwierzęcej dawałoby mu walutę na wymianę. W pobliżu rzeki natrafił na świeże tropy łosia i szedł za nimi przez topolowy zagajnik, aż znalazł się na wielkiej polanie ciągnącej się wzdłuż rzeki na długości prawie pół mili. Niewielki strumień dzielił ją dokładnie na połowę. Glass ujrzał wielkiego byka, dwie samice łosia oraz trzy tłuste młode pasące się nad potokiem. Już prawie znajdował się w zasięgu strzału, gdy nagle coś zaalarmowało zwierzęta. Cała szóstka popatrzyła w kierunku Glassa. Ten wystrzelił i w tej chwili zdał sobie sprawę, że łosie nie spoglądają na niego – patrzą na coś za jego plecami.

Obejrzał się przez ramię i ujrzał trzech konnych wojowników wyłaniających się z zagajnika topól jakieś czterysta jardów za nim. Nawet z tej odległości mógł już odróżnić typowe uczesanie Indian Arikara, jakby szpice z włosów na głowie. Zobaczył, że wojownicy na coś pokazują, a następnie spinają konie i galopują w jego stronę. Zdesperowany rozejrzał się dookoła, szukając jakiegokolwiek schronienia. Najbliższe drzewa znajdowały się w odległości ponad dwustu jardów. Nie zdąży tam dobiec. Nie zdoła też dostać się do rzeki – był od niej odcięty. Mógł tylko stać i strzelać – lecz nawet jeśli trafi w cel, nie da rady ponownie naładować broni i powalić wszystkich trzech jeźdźców. W końcu ruszył biegiem ku odległym drzewom, ignorując ból w nodze.

Nie przebiegł nawet trzydziestu jardów, gdy nagle zatrzymał się przerażony – z lasu przed nim wyjechał jeszcze jeden konny wojownik. Glass się obejrzał. Galopujący Arikara przebyli już połowę dzielącej ich odległości. Przeniósł wzrok na nowego jeźdźcę – ten właśnie mierzył do Glassa ze swojej broni. Wystrzelił. Glass skrzywił się w oczekiwaniu uderzenia, lecz pocisk przeleciał wysoko nad jego głową. Znów odwrócił się ku trzem Arikara. Jeden z ich koni padł! Indianin znajdujący się przed Glassem strzelał do tamtej trójki! Strzelec zbliżał się galopem i Glass uświadomił sobie, że to jeden z Mandanów.

Niepojęte, ale najwyraźniej ów Indianin przychodził Glassowi z pomocą. Traper odwrócił się twarzą do napastników. Dwaj pozostali zbliżyli się już na odległość stu pięćdziesięciu jardów. Glass uniósł strzelbę i wymierzył. W pierwszej chwili starał się wycelować w któregoś z jeźdźców, ale obaj zgarbili się nisko nad końskimi łbami. Skierował więc broń na jednego z rumaków, wybierając niewielkie wgłębienie tuż pod szyją.

Nacisnął spust i strzelba wypluła pocisk. Koń zakwiczał, nogi ugięły się pod nim. Wrył się gwałtownie z ziemię, spod kopyt wytrysnęła fontanna pyłu, a jeździec przeleciał łukiem nad łbem martwego zwierzęcia.

Glass usłyszał za sobą tętent kopyt i spojrzał w górę na Indianina z plemienia Mandanów, który ruchem ręki kazał mu wskoczyć na konia. Co też zrobił, oglądając się na ostatniego Arikara: ten, trzymając konia za wodze, strzelił i spudłował. Mandan popędził konia w kierunku lasu. Gdy dotarli do topól, wstrzymał wierzchowca. Obaj mężczyźni zsiadli i zaczęli ładować strzelby.

– Ri – powiedział Indianin, używając skróconej wersji nazwy Arikara i wskazując w tamtym kierunku – Niedobrzy.

Glass skinął głową, wsypując do lufy porcję prochu.

– Mandan – rzekł Indianin i pokazał samego siebie. – Dobry przyjaciel. – Glass wycełował do Arikary, ale ostatni jeździec wycofał się już i wydostał poza zasięg strzału. Z obu jego stron biegli spieszeni wojownicy. Utrata dwóch koni pozbawiła ich chęci rzucenia się w pościg za białym.

Mandan nazywał się Mandeh-Pahchu. Tropił właśnie łosia, gdy natknął się na Glassa i Arikarów. Dobrze wiedział, skąd wziął się tu ów biały człowiek noszący tyle blizn. Zaledwie dzień wcześniej do osiedla Mandanów przybył tłumacz Charbonneau. Świetnie znany Mandanom z okresu, kiedy należał do ekspedycji Lewisa i Clarka, opowiedział im o ataku Arikarów. Mato-Tope, wódz Mandanów, rozgniewał się na Język Łosia i jego bandę odszczepieńców. Podobnie jak Kiowa Brazeau, wódz Mato-Tope chciał, żeby Missouri i jej okolice były otwarte dla handlu. Chęć zemsty, jaką żywił Język Łosia, była dla wodza zrozumiała, ale przecież podróżnicy mieli pokojowe zamiary. A nawet, przynajmniej według Charbonneau, wieźli podarunki i ofertę pokoju.

Mato-Tope od dawna obawiał się, że dojdzie do takiego incydentu; właściwie już od chwili, kiedy dowiedział się, iż grupka Arikarów wyruszyła na poszukiwanie nowej siedziby. Mandanowie bardzo uzależnili się od handlu z białymi ludźmi. Tymczasem od dnia ataku pułkownika Leavenwortha na plemię Arikara handel z południem zamarł. Teraz wieści o kolejnej napaści sprawiają, że ruch na rzece zniknie na dobre.

Informacja o wielkim gniewie wodza Mato-Tope lotem błyskawicy rozniosła się po osiedlu Mandanów. Młody Mandeh-Pahchu widział w uratowaniu Glassa szansę na zyskanie przychylności wodza. Mato-Tope miał piękną córkę, o którą starał się między innymi Mandeh-Pahchu. Wyobrażał już sobie, jak paraduje przez wieś ze swym nowym trofeum, jak dostarcza białego człowieka wodzowi Mato-Tope, jak wszyscy mieszkańcy osiedla patrzą i słuchają jego relacji. Lecz biały najwyraźniej miał zamiar wybrać jakąś inną, okrężną drogę. Uparcie powtarzał prostą frazę – „Fort Talbot”.

Siedząc na końskim grzbiecie, Glass przyglądał się Mandeh-Pahchu z żywym zainteresowaniem. Słyszał wcześniej wiele różnych opowieści o Mandanach, nigdy jednak nie widział żadnego z nich na własne oczy. Młody wojownik miał włosy upięte w koronę – najwyraźniej bardzo dbał o fryzurę, przywiązując do niej

wielką wagę. Z tyłu głowy, sięgając karku, zwisał mu kucyk obwiązany rzemykami z króliczej skóry. Włosy na czubie zwisały luźniej, opadając pasemkami na wszystkie strony; nasmarowane jakimś tłuszczem zostały przycięte na wysokości szczęki. Czoło zdobiła mu grzywka, także nasmarowana tłuszczem i uczesana. Nie brakowało innych rzucających się w oczy upiększeń. W prawym uchu Indianin nosił trzy wielkie grafitowe kolczyki, wystające z ziejących otworów w małżowinie. Naszyjnik z białych paciorków kontrastował ostro z miedzianą barwą skóry jego szyi.

Choć niechętnie, Mandeh-Pahchu zgodził się zabrać białego człowieka do Fort Talbot. Znajdował się on niedaleko, niecałe trzy godziny jazdy. Poza tym być może uda mu się czegoś wywiedzieć w forcie. Krążyły pogłoski o incydencie wywołanym tam przez Arikarów. Niewykluczone, że ludzie z faktorii będą chcieli przekazać Mato-Tope jakieś informacje. To wielka odpowiedzialność – przekazywać wiadomości. Mato-Tope byłby niewątpliwie zadowolony zarówno z uratowania białego człowieka, jak i z otrzymania ważnej wiadomości. Nie mówiąc już o jego córce, która z pewnością będzie pod wielkim wrażeniem.

Dochodziła północ, kiedy nagle ich oczom ukazała się onyksowa sylwetka Fort Talbot odcinająca się od monotonie ciemnego nieba. Nie paliły się w nim żadne światła, których blask byłby widoczny na równinie, i Glass ze zdziwieniem stwierdził, że znajdują się zaledwie sto jardów od długiej palisady.

Zobaczyli błysk ognia i w tym samym momencie usłyszeli ostry huk wystrzału dochodzący od strony fortu. Kula ze strzelby przeleciała ze świstem o kilka cali od ich głów.

Koń się spłoszył; Mandeh-Pahchu z wysiłkiem starał się nad nim zapanować. Glass, nateżywszy wszystkie siły, wydał z siebie gniewne zawołanie:

– Nie strzelać! Idą swoi!

Odpowiedziano mu pełnym podejrzliwości pytaniem:

– Kim jesteś? – Glass widział migotanie światła nad lufą karabinu oraz ciemny zarys czyjejś głowy i ramion.

– Jestem Hugh Glass z Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych. – Bardzo chciał, żeby jego głos rozbrzmiewał siłą i pewnością siebie, ale ledwie go było słychać na tę niewielką odległość.

– Co to za dzikus?

– To Mandan. Właśnie wyratował mnie z rąk trzech wojowników Arikara.

Mężczyzna na wieżycze krzyknął coś i Glass usłyszał fragment rozmowy. Na blokhauzie pojawiło się trzech kolejnych ludzi ze strzelbami. Za ciężką bramą dał się słyszeć jakiś hałas. Nagle odemknięto niewielkie okienko i znów poczuli, że znajdują się pod obserwacją. Nowy, opryskliwy głos dobiegający z okienka zażądał:

– Podjedźcie bliżej, żebyśmy mogli was lepiej widzieć.

Mandeh-Pahchu szturchnął konia i pokierował go nieco do przodu, pod bramę. Glass zsiadł z wierzchowca.

– Jest jakiś szczególny powód, że tak was korci pociągnąć za cyngiel? – zapytał.

– W zeszłym tygodniu przed tą bramą mój kompan został zamordowany przez Arikarów – odrzekł opryskliwy głos.

– No cóż, żaden z nas nie należy do tego plemienia.

– Niby skąd mam to wiedzieć, skoro czaicie się gdzieś w ciemnościach.

W przeciwieństwie do Fort Brazeau, Fort Talbot sprawiał wrażenie obleżonej twierdzy. Jego długie mury wyrastały na wysokość dwunastu stóp, tworząc regularny prostokąt, którego dłuższe boki mierzyły sto stóp, krótsze zaś – siedemdziesiąt. Dwa prymitywne blokhauzy stały ukośnie względem siebie na przeciwległych narożnikach, zbudowane tak, aby wewnętrzne węgły stykały się z zewnętrznymi zakątkami fortu. Dzięki tej pozycji można z nich było kontrolować cały obwód murów. Jeden z blokhauzów – ten przed nimi – kryty był prymitywnym zadaszaniem, ewidentnie wzniesionym po to, by ochronić przed niszczycielskim wpływem żywiołów obrotową armatę o wielkim kalibrze. Na drugim widać było elementy dachu, który nie został dokończony. Z jednej strony przylegał do fortu skromny korał, w którym jednak nie pasły się żadne zwierzęta.

Glass czekał, podczas gdy oczy w okienku nie przestawały go lustrować.

– Co cię tu sprowadza? – zapytał opryskliwy głos.

– Zmierzam do Fort Union. Potrzebuję paru rzeczy.

– Nie mamy tu zbyt wiele do zaoferowania.

– Nie trzeba mi żywności ani prochu. Tylko koc i rękawice, a potem ruszam w drogę.

– Nie wygląda na to, że masz coś na wymianę.

– Mogę wypisać weksel na hojną sumkę w imieniu Williama Ashleya. Na wiosnę Kompania Futrzarska Gór Skalistych przyśle tu grupę traperów. Dobrze zapłacą za wykupienie weksla. – Nastąpiła długa cisza. Glass dodał: – I łaskawiej spojrzą na faktorię, która przysłała z pomocą jednemu z ich ludzi.

Znów cisza, a potem okienko się zamknęło. Usłyszeli przesuwanie ciężkiej drewnianej belki i brama zaczęła obracać się na zawiasach. Opryskliwy głos okazał się należeć do cherlawego mężczyzny, który najwyraźniej tu rządził. Stał nieruchomo ze strzelbą w rękę i dwoma pistoletami za pasem.

– Tylko ty. Żadnych czerwonych dzikusów w moim forcie.

Glass spojrział na Mandeh-Pahchu, zastanawiając się, ile ten zrozumiał. Miał zamiar się odezwać, lecz zrezygnował i wszedł do środka, a brama z łoskotem zamknęła się za nim.

W obrębie ostrokołu stały dwa walące się budynki. W jednym z nich, zza nasmarowanych tłuszczem skór zwierzęcych służących za okna, migotało słabe światło. Drugą budowlę spowijała ciemność; Glass przypuszczał, że znajduje się

tam magazyn. Tylne ściany obu chat były jednocześnie fragmentem umocnień fortu. Ich fronty wychodziły na maleńki dziedziniec, nad którym unosił się smród zwierzęcych odchodów. Źródło odoru stało przywiązane do palika – dwa nędzne muły, zapewne jedyne zwierzęta, których Arikarom nie udało się ukraść. Oprócz nich na dziedzińcu znajdowała się wielka maszyna służąca do garbowania skórek, kowadło ustawione na pniu topoli oraz chwiejny stos drewna opałowego. Na przybysza czekało pięciu mężczyzn, do których wkrótce dołączył ten z blokhauzu. Słabe światło padało na pokrytą bliznami twarz Glassa, który czuł na sobie ich zaciekawione spojrzenia.

– Wejść do środka, jeśli chcesz.

Glass ruszył za mężczyznami w kierunku oświetlonego budynku i po chwili znalazł się w ciasnym pomieszczeniu baraku. W prymitywnym glinianym palenisku pod tylną ścianą płonął ogień, z którego unosiło się sporo dymu. Jedyną zaletą tego wnętrza wypełnionego kwaśnym odorem było panujące tu ciepło, wytwarzane nie tylko przez płomienie, lecz także ludzkie ciała.

Cherlawy chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie zaatakował go silny, mokry kaszel. Podobna dolegliwość najwyraźniej dokuczała większości tych mężczyzn i Glass przestraszył się, że mógłby się zarazić. Cherlawy w końcu przestał kaszleć i rzekł:

– Nie mamy tu nadmiaru żywności.

– Mówiłem już, że nie potrzebuję waszego jedzenia – odparł Glass. – Ustalmy cenę koca i rękawic, i ruszam w swoją drogę. – Glass wskazał stół w rogu. – Dorzucicie jeszcze ten nóż do skórowania.

Cherlawy szturchnął się w pierś, jakby poczuł się urażony.

– Nie jesteśmy tu skąpi, mister. Ale Ri trzymają nas w potrzasku. Ukradli całe bydło. W zeszłym tygodniu pięciu wojowników podjechało pod bramę, że niby chcą pohandlować. Otworzyliśmy, a oni zaczęli strzelać. Z zimną krwią zabili mojego kompana. – Glass milczał, mężczyzna mówił więc dalej: – Nie możemy stąd wyjść, nie możemy polować ani narąbać drzewa na opał. Rozumiesz więc pan, czemu tak oszczędzamy zapasy. – Patrzył na Glassa, oczekując jego aprobaty, ale na próżno.

– Strzelanie do białego i Mandana nie rozwiąże waszych problemów z plemieniem Arikara – rzekł wreszcie traper.

Ten, który strzelał, wystąpił do przodu. Był to niechlujny człowiek bez przednich zębów:

– Widziałem tylko jakiegoś Indiańca skradającego się w środku nocy. Skąd miałem wiedzieć, że jedziecie we dwóch?

– Może warto wyrobić w sobie nawyk, żeby przed oddaniem strzału zobaczyć, do kogo się strzela?

– To ja mówię moim ludziom, kiedy mają strzelać, mister – ponownie odezwał

się cherlawy. – Ri i Mandanowie niczym się dla mnie nie różnią. A poza tym teraz się skumali ze sobą. Jedno wielkie złodziejskie plemię. Wolę zabić niewłaściwego człowieka, niż zaufać komu nie trzeba. – Słowa płynęły z jego ust niczym woda z pękniętej tamy, a przy tym wymachiwał kościstym palcem. – Zbudowałem ten fort własnymi rękami i mam pozwolenie na prowadzenie tu handlu od samego gubernatora Missouri. Nie zamierzamy stąd odchodzić i zabijemy każdego czerwonoskórego, który się napatoczy. Nawet gdybyśmy musieli zastrzelić całe to cholerne plemię morderców i złodziei.

– A wtedy z kim będziecie handlować? – zapytał Glass.

– Damy sobie radę, mister. To placówka najwyższej wagi. Niedługo nadciągnie tu wojsko i zrobi z dzikusami porządek. Pojawi się mnóstwo białych zainteresowanych handlem, kursujących po rzece – jak sam pan mówiłeś.

Glass wyszedł w ciemność nocy, a brama zatrzęsnęła się za nim z hukiem. Odetchnął głęboko, obserwując, jak jego oddech kondensuje się w zimnym nocnym powietrzu, a potem znika w podmuchu mroźnej bryzy. Zobaczył Mandeh-Pahchu siedzącego na koniu nad rzeką. Indianin odwrócił się, słysząc odgłos zamykającej się bramy i ruszył w kierunku Glassa.

Ten dobył nowy nóż do skórowania i wyciął nim w kocu otwór, przez który następnie przecisnął głowę. Miał teraz coś w rodzaju płaszcza. Na dłonie włożył futrzane rękawice, zapatrzył się na Indianina i zastanawiał, co powiedzieć. Właściwie co tu było do powiedzenia? „Mam do załatwienia własne sprawy”. Nie zawsze postępował tak, jak powinien – a teraz po prostu nie mógł.

Podał nóż Mandeh-Pahchu.

– Dziękuję – powiedział do niego.

Mandan popatrzył na nóż, a potem na Glassa, szukając jego oczu. Przyglądał się, jak biały mężczyzna odwraca się i odchodzi w kierunku Missouri, jak znika w mroku nocy.

Rozdział 19

8 grudnia 1823 roku

John Fitzgerald szedł na swoje stanowisko wartownicze, kawałek w dół rzeki od Fort Union. Świnia już tam był, z jego unoszącej się i opadającej piersi wydobywał się oddech w postaci obłoków pary niknących w mroźnym nocnym powietrzu.

– Moja kolej – rzekł Fitzgerald tonem wręcz przyjaznym.

– Od kiedy to tak się cieszysz na wartę? – zapytał Świnia, a potem ruszył spacerowym krokiem do obozu, zadowolony z perspektywy czterogodzinnego snu przed śniadaniem.

Fitzgerald uciął sobie gruby kawał tytoniu. Poczul w ustach jego charakterystyczny, bogaty smak, który koił nerwy. Odczekał dłuższą chwilę, zanim splunął. Nocne powietrze piekło w płucach przy każdym oddechu, lecz Fitzgerald nie zważał na zimno. Zimno było funkcją idealnie czystego nieba – a Fitzgerald potrzebował czystego nieba. Księżyc w trzeciej kwarcie rzucał blask na rzekę. Wystarczający, pomyślał z nadzieją, żeby dało się łatwo sterować.

W pół godziny po zmianie wart Fitzgerald wszedł w gęste zarośla wikliny, gdzie wcześniej ukrył swój łup: paczkę bobrowych skórek, którymi można będzie handlować w dole rzeki, dwadzieścia funtów suszonego mięsa w jutowym worku, trzy rogi z prochem strzelniczym, sto ołowianych pocisków, niewielki garnek do gotowania, dwa wełniane koce oraz – rzecz jasna – anstadta. Ułożył to wszystko nad samym brzegiem, a potem poszedł do góry po łódkę.

Skradając się wzdłuż rzeki, zastanawiał się, czy kapitan Henry zada sobie trud wysłania kogoś jego śladem. „Głupi gnojek”. Fitzgerald nigdy dotąd nie spotkał takiego nieudacznika. Pod pechowym przywództwem Henry’ego ludzie z Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych nieustannie znajdowali się o krok od nieszczęścia. „To cud, że jeszcze nie wszyscy zginęliśmy”. Zostały im już tylko trzy konie, który to fakt wyznaczał zasięg traperskich wypadów, ograniczając je do kilku miejsc nad rzekami w bezpośredniej okolicy, już dawno przetrzebionych. Wytężone wysiłki Henry’ego zmierzające do nawiązania stosunków handlowych z miejscowymi plemionami i zdobycia koni (albo po prostu odkupienia skradzionych wierzchowców) zakończyły się całkowitą klęską. Zdobycie pożywienia dla trzydziestu mężczyzn stało się ich głównym codziennym problemem. Grupki myśliwych już od wielu tygodni nie napotkały żadnego bizona; podstawowym źródłem pokarmu traperów było żyłaste mięso antylop.

Kropla przepełniająca czarę przelała się tydzień temu, kiedy to Fitzgerald usłyszał od Krępego Billa przekazaną szeptem pogłoskę.

– Kapitan zastanawia się, czy nie przeprowadzić się z całym oddziałem do Yellowstone i zająć pozostałości po starym forcie Lisy nad Big Horn.

Fitzgerald nie wiedział, jak daleko jest do rzeki Big Horn, ale orientował się, że leży ona w kierunku przeciwnym do tego, w którym pragnął się udać. Wprawdzie życie na pograniczu okazało się lepsze, niż się spodziewał, uciekając z St. Louis, jednakże miał już dość tutejszego fatalnego zarcia, zimna oraz ogólnej niewygody wspólnego zamieszkiwania w towarzystwie trzydziestu nieładnie pachnących mężczyzn. Nie wspominając już o tym, że w każdej chwili można tu było zginąć. Tęsknił za smakiem taniej whiskey i zapachem tanich perfum. Dysponując kwotą siedemdziesięciu dolarów w złotych monetach – nagrodą za opiekę nad Glassem – nieustannie wracał myślami do hazardu. Minęło już półtora roku, sprawy w St. Louis powinny więc przycichnąć – a może nie tylko w St. Louis, ale nawet dalej na południe. Zamierzał się o tym przekonać.

Przy długiej plaży nieopodal fortu leżały dwa kanu odwrócone do góry dnem. Fitzgerald przyjrzał się im obu uważnie już kilka dni temu i uznał, że to mniejsze będzie się lepiej nadawać. Poza tym, mimo że zamierzał płynąć z prądem, czołno powinno być na tyle niewielkie, by sam sobie z nim poradził. Cicho je odwrócił, włożył do środka dwa wiosła i przeciągnął całość przez piasek nad linię wody.

„Teraz tamto”. Planując swoją dezercję, Fitzgerald zastanawiał się, w jaki sposób unieruchomić drugie kanu. Początkowo brał pod uwagę wybicie w poszyciu dziury, lecz potem wpadł na znacznie prostsze rozwiązanie. Wrócił do drugiego czołna i wyciągnął spod niego pagaje. „Kanu bez wiosła nie nadaje się do niczego”.

Zepchnął czołno na wodę, wskoczył do środka i dwukrotnie uderzył wiosłem, ustawiając łódkę dziobem do nurtu. Woda porwała kanu i uniosła z prądem. Po kilku minutach zatrzymał się, żeby pozbierać to wszystko, co wcześniej ukraść, po czym znów dał się ponieść nurtowi rzeki. W ciągu paru chwil Fort Union zniknął za jego plecami.

Kapitan Henry siedział samotnie w śmierdzącym stęchlizną wnętrzu swej kwatery, jedyne prywatnego pomieszczenia w całym Fort Union. Oprócz prywatności – rzadkiego dobra w tej placówce – miejsce to nie mogło się niczym pochwalić. Nieco światła i ciepła przedostawało się tu korytarzem z sąsiedniej sali. Henry siedział w zimnie i mroku, zastanawiając się, co robić.

Sam Fitzgerald stanowił niewielką stratę. Henry nie ufał temu człowiekowi od pierwszego dnia w St. Louis. Bez kanu też mogli się obyć – gorzej byłoby, gdyby ukraść im resztę koni. Zniknięcie paczki skórek z pewnością psuło humor, ale nie

groziło nikomu śmiercią.

Problem nie polegał na tym, że zniknął jeden człowiek, lecz na tym, jaki ów fakt miał wpływ na pozostałych. Dezercja Fitzgeralda stanowiła wyraz – stanowczy i jednoznaczny – tego, co myśleli sobie po cichu wszyscy: że Kompania Futrzarska Gór Skalistych jest do niczego. Że on jest do niczego. I co teraz?

Henry usłyszał, jak otwiera się zasuw na drzwiach baraku. Drobne, ciężkie kroki zaszurały po klepisku, kierując się wprost do jego kwatery, po czym w korytarzu stanął Krępy Bill.

- Murphy i jego grupa wracają – poinformował Krępy.
- Mają jakieś skóry?
- Nie, kapitanie.
- Żadnych?
- Żadnych, kapitanie. Właściwie, wie pan, jest jeszcze gorzej.
- Czyli?
- Koni też już nie mają.

Kapitan Henry potrzebował chwili na oswojenie się z tą wieścią.

- Coś jeszcze?

Krępy myślał przez jakiś czas, a potem dodał:

- Tak, kapitanie. Anderson nie żyje.

Kapitan nie powiedział już nic więcej. Krępy czekał, aż w końcu poczuł się w tej ciszy nieswojo i wyszedł.

Henry tkwił nieruchomo przez kilka kolejnych minut w zimnych ciemnościach, nim wreszcie podjął decyzję. Muszą opuścić Fort Union.

Rozdział 20

15 grudnia 1823 roku

Niecka tworzyła niemal idealną misę na dnie równiny. Z trzech stron otaczały ją niskie wzgórza, chroniąc od wiatrów nieustannie wiejących na prerii. W środku zagłębienia gromadziła się wilgoć, rosła tam grupka drzewiastych głógów. Wzgórza i drzewa stanowiły razem kryjówkę nie do pogardzenia. Niecka znajdowała się zaledwie pięćdziesiąt jardów od Missouri. Hugh Glass siedział po turecku przy małym ognisku, a języki płomieni lizały chudy korpus królika nabyty na wierzbową witkę.

Czekając, aż mięso się upiecze, Glass nagle uświadomił sobie wyraźny odgłos wydawany przez rzekę. Dziwne, że to zauważam, pomyślał. Przecież od wielu tygodni nie oddalał się od wody. Teraz zaś usłyszał jej obecność z całą ostrością zmysłów, doświadczył jej jako nowego odkrycia. Odwrócił się od ogniska i zapatrzył w rzekę. Zaskoczyła go myśl, że łagodny nurt wody może wydawać z siebie jakikolwiek dźwięk. Podobnie zresztą jak wiatr, jeśli już o to chodzi. Pomyślał, że odgłosy wydają nie sama woda czy wiatr, lecz coś, co staje im na drodze. Zwrócił się twarzą do ogniska.

Poczuł znajomy ból w nodze i zmienił pozycję. Rany nieustannie przypominały mu, że wprawdzie wraca do zdrowia, ale jeszcze daleko mu do pełni sił. Zimno potęgowało dolegliwości obu nóg i ramienia. Domyślał się już, że nigdy nie odzyska normalnego głosu. I oczywiście jego twarz stanie się wieczną pamiątką tego, co wydarzyło się nad Grand. Ale nie jest tak źle, pomyślał. Plecy już nie bolą, może też jeść, nie bojąc się cierpienia, co cieszyło go szczególnie wobec zapachu królika na rożnie.

Ustrzelił zwierzę kilka minut wcześniej, w gasnącym świetle dnia. Od tygodnia nie widział żadnych oznak pobytu Indian w okolicy, a kiedy podczas wędrówki natrafił na tłustego królika, nie mógł zmarnować takiej okazji.

Ćwierć mili od Glassa, w górze rzeki, John Fitzgerald wypatrywał właśnie miejsca, w którym mógłby przybić do lądu, kiedy nagle usłyszał bliski odgłos wystrzału. „Cholera!” Podpłynął szybko w kierunku brzegu, żeby spowolnić bieg czółna. Zarzuciło go na jakimś wirze; zaczął wiosłować do tyłu, próbując jednocześnie w gasnącym świetle dnia znaleźć tego, który strzelał.

„Za daleko na północ jak na Arikarów. Może to Assiniboinowie?” Fitzgerald żałował, że nie widzi zbyt dobrze. Po chwili gdzieś w oddali zamigotało ognisko. Zobaczył sylwetkę mężczyzny w skórzanej bluzie, ale nie mógł rozróżnić

szczegółów. Zapewne jakiś Indianin. Żaden biały nie miałby interesu zapuszczać się tak daleko na północ, zwłaszcza w grudniu. „Czy jest ich tu więcej?” Światło dnia gasło bardzo szybko.

Fitzgerald rozważał swoje możliwości. Było jasne jak słońce na niebie, że nie może tu zostać. Gdyby spędził noc na brzegu, ów strzelec prawdopodobnie odkryłby rano jego obecność. Zastanawiał się, czy nie podkraść się i nie zabić tego człowieka, ale przecież nie miał pewności, czy jest on sam czy w towarzystwie innych. Zdecydował się wreszcie na próbę szybkiego przemknięcia w kanu. Zaczeka, aż zapadnie zmrok, a wtedy blask ogniska sprawi, że strzelec – albo też jego towarzysze – nie zechce obserwować rzeki. On tymczasem przy pełni księżyca popłynie dalej.

Fitzgerald odczekał prawie godzinę, po czym cicho wciągnął dziób kanu na miękki nadbrzeżny piasek. Na zachodnim widnokregu zniknęły ostatnie pozostałości dziennego światła, blask rzucany przez ognisko stał się wyraźniejszy. Sylwetka strzelca garbiła się nad ogniem; Fitzgerald uznał, że mężczyzna pewnie przygotowuje sobie posiłek. „Teraz”. Sprawdzał anstadta i dwa pistolety, układając je w zasięgu ręki. Potem zaciągnął czółno do wody i wskoczył do środka. Dwukrotnie odbił się wiosłem i wprowadził łódkę na nurt. Sterował teraz za pomocą jednego pagaja, delikatnie przekładając go raz na jedną, raz na drugą stronę. W miarę możliwości pozwalał czółnu dryfować.

Hugh Glass wziął się za tylną łapę królika. Udziec był miękki, z łatwością oderwał go od reszty. Traper zatopił zęby w soczystym mięsie.

Fitzgerald starał się ustawić kanu jak najdalej od brzegu, ale prąd biegł właściwie tuż obok niego. Ognisko zbliżało się z oszałamiającą prędkością. Fitzgerald próbował obserwować rzekę, a jednocześnie nie spuszczać z oczu pleców mężczyzny przy ogniu. Widział już kapotę zrobioną z koca oraz coś, co wyglądało na wełnianą czapkę. „Wełniana czapka. Biały człowiek?” Fitzgerald spojrzął na rzekę. Ze spowitej mrokiem wody wystawał wielki głaz – zaledwie trzy jardy od niego!

Zanurzył wiosło głęboko i pociągnął jak najmocniej. Następnie wyjął pagaj z wody i odbił się nim od skały. Kanu zawróciło – ale niewystarczająco. Jego burta zaszurała o głaz, wydając ostry zgrzyt. Fitzgerald wiosłował z całych sił. „Już za późno, żeby się ukrywać”.

Glass usłyszał plusk, a po nim długi zgrzyt. Instynktownie sięgnął po strzelbę i odwrócił się w stronę Missouri, szybko wychodząc z kręgu światła. Podczołgał się rażno ku rzece, jego oczy dostosowywały się do ciemności.

Lustrował wodę w poszukiwaniu źródła dźwięku. Usłyszał plusk wiosła, a zaraz potem w odległości jakichś stu jardów zobaczył kanu. Uniósł broń, odciągnął kurek i wycelował w ciemną postać człowieka z pagajem. Palec zacisnął się na spuście... i znieruchomiał.

Glass zrozumiał, że strzelanie nie ma sensu. Kimkolwiek był ten mężczyzna, najwyraźniej miał zamiar uniknąć z nim kontaktu. W każdym razie zmierzał w przeciwnym kierunku. Niezależnie od swych zamiarów ów uciekający podróżnik stanowił dla Glassa niewielkie zagrożenie.

Tymczasem w czółnie Fitzgerald wiosłował ciężko, aż wreszcie udało mu się dopłynąć do zakola rzeki, ćwierć mili od ogniska. Pozwolił, by prąd niósł kanu przez prawie milę, po czym skierował je ku przeciwnemu brzegowi i zaczął szukać odpowiedniego miejsca do wyjścia na ląd.

Gdy je wreszcie znalazł, wyciągnął czółno z wody i przewrócił do góry dnem, a pod spodem ułożył sobie posłanie. Żując kawałek suszonego mięsa, wciąż zastanawiał się nad człowiekiem przy ognisku. „Cholernie dziwne miejsce, jak na białego, w dodatku w grudniu”.

Starannie ułożył strzelbę i dwa pistolety przy boku, po czym opatulił się kocem. Jasny księżyc zalewał obozowisko bladą poświatą. Anstadt odbijał światło, jego srebrne wykończenia lśniły jak lustra.

Kapitan Henry w końcu doczekał się szczęśliwej karty. Działo się tyle pozytywnych rzeczy, jedna po drugiej, że już sam nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć.

Po pierwsze, od dwóch tygodni niebo było czyste i fioletowoniebieskie, wręcz indygo. Dzięki dobrej pogodzie oddział pokonał dwieście mil dzielących Fort Union od rzeki Big Horn w zaledwie sześć dni.

Opustoszały fort wyglądał prawie tak samo, jak zapamiętał go Henry. W roku 1807 pewien chytry handlarz – Manuel Lisa – założył faktorię u zbiegu rzek Yellowstone i Big Horn. Nazwał ją Fort Manuel i traktował jako punkt wypadowy dla handlu i eksploracji obu rzek. Szczególnie dobre stosunki utrzymywał z plemionami Wron i Płaskogłowych, którzy broń kupowaną od Lisy wykorzystali do wzniesienia wojny z Czarnymi Stopami. Ci z kolei stali się zażartymi wrogami białych.

Zachęcony swym skromnym sukcesem handlowym, w roku 1809 Lisa założył Kompanię Futrzarską St. Louis Missouri. Jednym z inwestorów finansujących to nowe przedsięwzięcie był Andrew Henry. Stanął on na czele niesławnej wyprawy do Three Forks, w której uczestniczyła grupa składająca się ze stu traperów. Wtedy, w drodze do Yellowstone, Henry zatrzymał się na popas w Fort Manuel. Nadal pamiętał jego strategiczne położenie, obfitość dzikiej zwierzyny oraz bogactwo okolicznych lasów. Henry wiedział, że Fort Manuel opustoszał kilkanaście lat temu, miał jednak nadzieję przywrócić tę placówkę do życia.

Stan, w jakim się znajdowała, był gorszy, niż się obawiał. Lata opuszczenia odbiły się fatalnie na budynkach, bardzo już zniszczonych, choć drewno, z

których je wykonano, nadal sprawiało solidne wrażenie. Odkrycie to oszczędziło im wiele tygodni ciężkiej pracy związanej z wycinaniem i transportowaniem pni drzewnych.

Także stosunki Henry'ego z miejscowymi plemionami indiańskimi (przynajmniej w początkowej fazie) odbiegały od nieszczęsnego wzorca znanego z Fort Union. Do swych nowych sąsiadów – głównie Płaskogłowych i Wron – wysłał delegację pod kierunkiem Allistaira Murphy'ego, zasypując ich mnóstwem podarków. Odkrył, że jeśli chodzi o relacje z Indianami, zbiera owoce dyplomacji swojego poprzednika. Oba plemiona wydawały się dość zadowolone z ponownego zasiedlenia fortu. A przynajmniej nie miały nic przeciwko handlowi.

Wrony na przykład miały w swym posiadaniu tabuny koni. Murphy wytargował od nich aż siedemdziesiąt dwie sztuki tych zwierząt. W pobliskich Górach Big Horn nie brakowało strumieni, w związku z czym kapitan Henry opracował plan aktywnego spożytkowania swych traperów, od teraz już mobilnych.

Od dwóch tygodni Henry nieustannie zachowywał czujność, jakby w obawie, że pech znów zakradnie się podstępem w jego życie. Pozwalał sobie tylko na odrobinę optymizmu. „Może szczęście zaczęło mi jednak sprzyjać?” Mylił się.

Hugh Glass stał przed tym, co pozostało z Fort Union. Brama leżała na ziemi, wyrwana z zawiasów, gdy kapitan Henry opuszczał faktorię. W środku dowodów upokarzającej klęski całego przedsięwzięcia było jeszcze więcej. Zabrano wszystkie metalowe okucia, zapewne po to – domyślił się Glass – żeby wykorzystać je w nowym miejscu. Z palisady powyrywano drewniane bale; ten, kto zapanował nad tym miejscem po odejściu Henry'ego, prawdopodobnie zużył je na opał. Ściana jednego z baraków była szerniała, świadcząc o nieudanej próbie spalenia fortu. Śnieg na dziedzińcu zryły dziesiątki końskich kopyt.

„Gonię jakąś złudę”. Ile dni już szedł – a właściwie włókł się – aż do dziś? Wrócił myślami do polany nad źródłem nieopodal rzeki Grand. „Jaki był wtedy miesiąc? Sierpień? A teraz co mamy? Grudzień?”

Po prymitywnej drabinie wspiął się na blokhauz i z góry uważnie zlustrował całą dolinę. Jakieś ćwierć mili przed sobą zobaczył rdzawą plamkę, na którą składało się kilkanaście antylop grzebiących w śniegu w poszukiwaniu bylic. Nad rzeką, składając w locie skrzydła, lądował wielki klucz gęsi. Poza tym nie dostrzegł żadnych oznak życia. „Gdzie oni są?”

Obozował w forcie dwa dni, niezdolny tak po prostu odejść z miejsca, do którego długo i uparcie dążył. Wiedział jednak, że jego prawdziwym celem nie jest żadne miejsce, lecz dwaj ludzie – dwaj ludzie i podwójny akt ostatecznej pomsty.

Po opuszczeniu Fort Union Glass szedł wzdłuż rzeki Yellowstone. Mógł się jedynie domyślać, w którą stronę udał się Henry. Wątpił przy tym, by kapitan ryzykował powtórkę porażki nad Górną Missouri. Pozostawała więc Yellowstone.

Po pięciu dniach podążania za rzeką znalazł się nagle na wysokiej skarpie. I stanął oniemiały.

Ujrzał przed sobą – łączące niebo z ziemią – góry Big Horn. Ponad najwyższymi szczytami kłębiło się parę chmur, potęgując jeszcze złudzenie wielkiego muru sięgającego nieskończoności. Oczy zaszklily mu się od blasku słońca odbitego od śniegu, ale nie odwrócił wzroku. Żadne dotychczasowe doświadczenie z dwudziestoletniego pobytu na równinach nie przygotowało Glassa na ten widok.

Kapitan Henry często opowiadał im o ogromie Gór Skalistych, ale Glass przypuszczał, że historie te nasączone są obowiązkową dawką przesady potrzebnej do ubarwienia opowieści przy wieczornym ognisku. A w rzeczywistości, myślał wtedy Glass, opisy Henry'ego mają fatalnie mało wspólnego z faktami. Henry był prostym człowiekiem i mówiąc o górach, traktował je raczej jako przeszkody na drodze, bariery do pokonania w celu utrzymania drożności łańcucha dostaw handlowych między wschodem a zachodem. W opisach Henry'ego zupełnie brakowało wzmianki o tej wręcz nadprzyrodzonej potędze, którą emanowały masywne szczyty wznoszące się przed Glassem.

Rzecz jasna Glass rozumiał praktyczne podejście Henry'ego. Doliny rzek już same w sobie stanowiły trudny teren. Glass ledwie mógł sobie wyobrazić, ile wysiłku musiało kosztować transportowanie skór przez góry takie jak te.

W ciągu następnych dni podziw dla gór jeszcze w Glassie narastał; rzeka Yellowstone prowadziła go coraz bliżej masywu. Wznosił się tam niczym wyraźny znak, punkt odniesienia rzucający wyzwanie samemu czasowi. Tego rodzaju ogrom, znacznie przewyższający człowieka, może u niektórych budzić uczucie niepokoju. Lecz Glass miał wrażenie, że płynie stamtąd w jego kierunku coś w rodzaju sakramentu, nieśmiertelność, która sprawiała, że wszystkie jego codzienne cierpienia i dolegliwości stawały się błahe i nieistotne.

Szedł tak, dzień po dniu, w kierunku gór wyrastających na końcu wielkiej równiny.

Fitzgerald stał przed prymitywną palisadą, znosząc przesłuchanie prowadzone przez chuderlawego, kaszłającego człowieka na wale obronnym ponad bramą.

Podczas długich dni spędzonych w kanu Fitzgerald wyćwiczył się w swym kłamstwie.

– Wiozę do St. Louis wiadomość dla kapitana Henry'ego z Kompanii

Futrzarskiej Gór Skalistych.

– Kompania Futrzarska Gór Skalistych? – prychnął chuderlawy. – Właśnie mieliśmy tu jednego z twoich, który zmierzał w przeciwnym kierunku. Niewychowany gość podróżujący na jednym koniu z jakimś czerwonoskórym. Jeśli jesteś z tej samej firmy, możesz dopisać się do jego weksła.

Fitzgerald poczuł, jak kurczy mu się żołądek, nagle zaczął szybciej oddychać. „Ten biały człowiek nad rzeką!” Starał się mówić spokojnie, wręcz nonszalancko.

– Musieliśmy się gdzieś minąć. Jak się nazywał?

– Gdzieżbym pamiętał. Daliśmy mu parę rzeczy i poszedł.

– Jak wyglądał?

– O, tego akurat nie zapomnę. Cała twarz w bliznach, jakby go przeżuło jakieś dzikie zwierzę i wypluło.

„Glass! Żyje! Niech to jasna cholera!”

Fitzgerald wymienił dwie bobrowe skórki na suszone mięso i jak najszybciej wrócił nad rzekę. Dryfowanie z prądem już go nie zadowalało, wiosłował z całych sił. Jak najdalej stąd, wciąż przed siebie. Być może Glass zmierza w przeciwnym kierunku, myślał Fitzgerald, ale nie ma najmniejszych wątpliwości, jakie ten stary łajdak żywi zamiary.

Rozdział 21

31 grudnia 1823 roku

Śnieg zaczął padać około południa. Z różnych stron nadciągały chmury burzowe, stopniowo zasłaniając słońce, tak powoli, że Henry i jego ludzie prawie tego nie zauważyli.

Nie mieli powodów do zmartwienia. Odrestaurowany fort stał bezpieczny, gotowy wytrzymać napór wszystkich żywiołów. Poza tym kapitan Henry ogłosił dziś święto. Dla jego uczczenia rozdał swoim ludziom coś, co wprowadziło ich w szaloną ekstyzację – alkohol.

Henry ponosił porażki na wielu polach, rozumiał jednak siłę zachęty. Dał swym ludziom zacier drożdżowy na jagodach świdośliwy, fermentujących w beczce od miesiąca. Powstała w ten sposób mikstura smakowała jak kwas. Wszyscy pili ją, krzywiąc się niemiłosiernie, nikt jednak nie zrezygnował ze sposobności. Płyn powodował głębokie i niemal natychmiastowe upojenie.

Henry miał dla swoich ludzi jeszcze jeden bonus. Grał całkiem niezłe na skrzypcach i po raz pierwszy od wielu miesięcy był w na tyle dobrym nastroju, że wyjął swój podniszczony instrument. Jego piskliwy dźwięk w połączeniu z pijackimi śmiechami składał się na radosny rozgardiasz panujący w zatłoczonym baraku.

Wielką uciechę okazywali szczególnie mężczyźni skupieni wokół Świni, którego otyłe cielsko spoczywało przed paleniskiem z rozrzuconymi rękoma i nogami. Jak się okazało, jego tolerancja alkoholu nie szła w parze z tuszą.

– Wygląda, jakby nie żył – powiedział Black Harris i mocno kopnął leżącego w brzuch. Stopa Harrisa na chwilę zniknęła w miękkim brzuszysku. Świnia jednak nie zareagował.

– No cóż, skoro nie żyje... – rzekł Patrick Robinson, cichy mężczyzna, którego większość traperów przed zaaplikowaniem księżycówki kapitana nigdy nie słyszała mówiącego – to jesteśmy mu winni porządny pochówek.

– Za zimno – odezwał się inny traper. – Ale możemy przygotować mu odpowiedni całun. – Pomysł ten wzbudził u pozostałych wielki entuzjazm. Wyciągnięto skądś dwa koce, igłę oraz grubą nić. Robinson, zręczny krawiec, zaczął ciasno zszywać całun na potężnym cielsku. Black Harris wygłosił wzruszające kazanie, po czym mężczyźni jeden po drugim rzucali kilka słów pożegnania.

– Był dobrym człowiekiem, bogobojnym – rzekł jeden z mówców. – Zwracamy

Ci go, Panie, w stanie dziewiczym... nigdy bowiem nie tknął się mydła.

– Jeśli zdołasz go unieść, Panie – podjął inny – błagamy Cię, żebyś go wyniósł aż do wieczności.

Nagle uwagę żalobników zwróciły odgłosy kłótni. Allistair Murphy i Krępy Bill mieli różne zdania co do tego, który z nich lepiej strzela z pistoletu. Murphy wyzwał Krępego Billa na pojedynek, ale ten pomysł kapitan Henry zdusił w zarodku. Pozwolił jednak na zorganizowanie zawodów w strzelaniu.

Najpierw Krępy Bill zaproponował, żeby obaj na zmianę strzelali do cynowego kubka ustawionego na głowie przeciwnika. Lecz nagle, mimo stanu upojenia, dotarło do niego, że tego rodzaju konkurs mógłby podsycić groźne w skutkach ambicje. W ramach kompromisu ostatecznie postanowiono, iż rywale będą starać się strącić cynowy kubek ustawiony na głowie Świni. Zarówno Murphy, jak i Krępy Bill uważali Świnie za kolegę, dlatego mieli dostatecznie silny bodziec, by wykrzesać z siebie pełnię umiejętności strzeleckich. Spowite w całun ciało Świni ustawiono w pozycji siedzącej, opierając je o ścianę, a potem umieszczono na jego głowie kubek.

Mężczyźni rozsunęli się, tworząc w środku długiego baraku ścieżkę; na jej jednym końcu znajdowali się strzelcy, na drugim tkwił Świnia. Kapitan Henry schował w dłoni kulę do karabinu; Murphy wylosował ją za pierwszym razem i postanowił, że będzie strzelać jako drugi. Krępy Bill wyciągnął zza pasa pistolet i dokładnie sprawdził proch w panewce. Przerzucał ciężar ciała z jednej nogi na drugą, aż w końcu wypracował sobie odpowiednią pozycję, bokiem do celu. Zgiął ramię tak, by tworzyło idealny kąt prosty z pistoletem wycelowanym w sufit. Kciukiem odwiódł kurek, czemu towarzyszył pełen dramatyzmu trzask, jedyny dźwięk w pełnej napięcia ciszy zapadłej w pomieszczeniu. Chwiejąc się lekko na nogach, powolnym, pełnym gracji ruchem obniżył broń i wycelował.

A potem się zawahał. Gdy patrzył przez muszkę pistoletu na rozlazłe ciało Świni, nagle stanęły mu przed oczami ewentualne skutki chybnego strzału. Krępy Bill lubił Świnie. Nawet bardzo. „To zły pomysł”. Poczł strużkę potu ściekającą mu wzdłuż niedługiego kręgosłupa. Kątem oka dostrzegł mężczyzn tłoczących się z obu stron. Jego oddech stał się nierówny, ramię z pistoletem unosiło się rytmicznie w górę i w dół. Broń wydała mu się nagle bardzo ciężka. Wstrzymał oddech, chcąc zapobiec kołysaniu, lecz po chwili brak powietrza sprawił, że zakręciło mu się w głowie. „Nie wolno strzelić zbyt nisko”.

Zdając się wyłącznie na łut szczęścia, pociągnął wreszcie za spust i zamknął oczy, oślepienie błyskiem wybuchającego prochu. Kula uderzyła z impetem w drewnianą ścianę z bali ponad Świnie, równe dwanaście cali powyżej kubka na spowitej w całun głowie tłuszciocha. Widzowie wybuchnęli śmiechem.

– Ładny strzał, Krępy!

Murphy wystąpił do przodu.

– Za dużo myślisz. – Jednym płynnym ruchem wyciągnął broń, wycelował i strzelił. Proch eksplodował, a pocisk wbił się w podstawę cynowego kubka na głowie Świni. Kubek rozpadł się, jego kawałki uderzyły o ścianę, po czym spadły z chrzęstem na podłogę w pobliżu śpiącego mężczyzny.

Żaden ze strzałów nie uśmiercił Świni, natomiast drugi przynajmniej zdołał go obudzić. Baryła w całunie zaczęła skręcać się w szalonych wygibasach. Zebrani z uznaniem przyjęli strzał, ale ich nieokiełznana wesołość wzrosła dwukrotnie na widok wijącego się całunu. Nagle od środka przebiło go długie ostrze noża, wycinając w kocu wąską szczelinę. Ukazała się w niej para rąk, które rozdarły koc. Po chwili z otworu wyłoniło się mięsiste oblicze Świni, który – oślepiiony światłem – mrugał mocno oczami. Nastąpił kolejny wybuch śmiechu i nowe docinki.

– Jakby się rodziło jakieś ciele!

Strzały z broni palnej stanowiły punkt zwrotny w całej imprezie; niebawem wszyscy zebrani jęli walić z pistoletów w sufit. Czarny prochowy dym zasnuł całe pomieszczenie, rozległy się gromkie okrzyki „Szczęśliwego nowego roku!”.

– Hej, kapitanie – zawołał Murphy. – Powinniśmy odpalić z działa! – Henry nie miał nic przeciwko temu, choćby dlatego, że lepiej było wyprowadzić traperów z baraku, zanim zniszczą go do cna. Z wielkim zgiełkiem ludzie zatrudnieni przez Kompanię Futrzarską Gór Skalistych otworzyli drzwi i wylegli w ciemność nocy, zataczając się en masse ku palisadzie.

Zdumiała ich intensywność burzy. Lekki popołudniowy wiatr przeszedł w solidną zadymkę, kłębiące się wichry przygnały ciężki śnieg. Zaległo już prawie dwanaście cali świeżego puchu, tam gdzie tworzyły się zaspasy – jeszcze głębszego. Gdyby byli trzeźwi, ludzie ci powinni w tym momencie docenić przychylny los, który powstrzymywał dotąd wszelkie burze, dając im czas na zbudowanie sobie schronienia. Oni jednak woleli skupić się wyłącznie na armatce.

Tę czterofuntową haubicę należałoby uznać raczej za sporych rozmiarów strzelbę niż za działą, ponieważ została zaprojektowana nie do obrony fortyfikacji, lecz do umieszczenia na dziobie łodzi. Obracała się na przegubie w narożniku blokhauzu, dzięki czemu można było kontrolować dwie spośród czterech części fortowych murów. Jej żeliwna tuba, wzmocniona trzema czopami, mierzyła zaledwie trzy stopy (zbyt mało, jak się miało okazać).

Jeden z traperów, zwalisty Paul Hawker, uważał się za zawołanego kanoniera. Twierdził nawet, że podczas wojny roku 1812 służył w artylerii. Większość jego kompanów wątpiła w te zapewnienia, przyznawano jednak, iż Hawker przekonująco wydaje rozkazy przy załadunku działa. Teraz Hawker i dwóch innych ludzi wdrapywali się po drabinie opartej o blokhauz. Reszta stała poniżej, zadowolając się obserwowaniem ich poczynań ze stosunkowo bezpiecznego miejsca na poziomie gruntu.

– Kanonierzy na stanowiska! – krzyknął Hawker. On może znał swój fach, ale jego podkomendni z pewnością nie. Gapili się tępym wzrokiem, czekając, aż ktoś wytłumaczy im ich obowiązki w zrozumiałym języku. Mruknawszy coś pod nosem, Hawker wskazał jednego z nich i uściślił: – Ty łap się za proch i pakuły. – Pokazując drugiego, rzekł: – A ty podpalisz lont. – I wracając do postawy wojskowej, krzyknął: – Ładuj!

Pod kierunkiem Hawkera mężczyzna z prochem strzelniczym wsypał do miarki, przechowywanej w tym celu w blokhauzie, trzydzieści drachm. Hawker skierował mosiężną lufę działka ku niebu, po czym wspólnie umieścili w niej proch. Następnie wsadzili do środka pakuły ze starej tkaniny, a wyciorem ubili wszystko ciasno w głębi lufy.

Czekając, aż przyniosą lont, Hawker rozwinął ceratę, w której znajdowały się spłonki – trzycalowe fragmenty gęsich piór pokryte prochem strzelniczym i z obu końców uszczelnione odrobiną wosku. Jedną ze spłonek umieścił w małym otworze w zamku działka. Kiedy tłący się lont zostanie przystawiony do pióra, jego temperatura stopi wosk i spowoduje zapłon umieszczonego wewnątrz prochu, co z kolei odpali główny ładunek w zamku.

Człowiek z lontem wszedł po drabinie. Lont przywiązany był do długiego kija z otworem na końcu. Tkwiła w nim gruba lina potraktowana saletrą, by się lepiej paliła. Hawker dmuchnął na rozżarzony węgielek na końcu kija – ognisty blask padł na jego twarz złowieszczą czerwienią. Z pompą kadeta z akademii West Point zawołał:

– GOTÓW!

Mężczyźni na dole unieśli głowy, niecierpliwie oczekując wielkiej eksplozji. Hawker samemu sobie wydał komendę „OGNIA!” i przyłożył iskrę do spłonki.

Żar węgielka szybko przebił się przez topniejący wosk. Spłonka zaiskrzyła z sykiem, a potem „wystrzeliła”. W porównaniu z gigantycznym wybuchem, jakiego się spodziewano, szcęk wydany przez działko nie był głośniejszy niż klaśnięcie w dłoń.

– Co to, do cholery, było? – zawołał ktoś z dziedzińca, rozległo się parę gwizdów i szydercze śmiechy. – Może lepiej po prostu walnąć w jakiś garnek!

Hawker gapił się na działko przerażony faktem, że owa demonstracja siły wypadła aż tak marnie. Należało to koniecznie naprawić.

– Po prostu się rozgrzewa! – krzyknął ku tym na dole. Potem ponaglił swoich ludzi: – Kanonierzy na stanowiska!

Dwaj mężczyźni patrzyli teraz na Hawkera podejrzliwie, nagle przestraszeni o własną reputację, której groziło nadwerężenie.

– Ruszać się, idioci! – syknął Hawker. – Potroić ładunek! – Więcej prochu powinno pomóc. Ale może problem polegał na tym, że dali za mało pakuł? Albo trzeba było to bardziej ubić, rozmyślał Hawker, i wtedy opór byłby większy, a

eksplozja głośniejsza. Już ja im urzędę wybuch.

Wsypano potrójną miarkę prochu do lufy. „Co wykorzystać jako pakuły?” Hawker rozdarł swą skórzaną bluzę i upchnął ją we wnętrzu działka. „Więcej”. Hawker popatrzył na pomocników.

– Dajcie mi swoje bluzy – polecił.

Tamci gapili się nań, wyraźnie poruszeni.

– Zimno jest, Hawker!

– Dawajcie te cholerne okrycia!

Mężczyźni niechętnie wykonali polecenie, po czym Hawker wcisnął ich odzież w charakterze armatniej pakuły do lufy. Szyderstwa nie ustawały, a tymczasem Hawker z wściekłością ponownie ładował działko. Kiedy skończył, cała lufa była wypełniona skórzanymi ubraniami, ciasno ubitymi.

– Gotowe! – zawołał Hawker, sięgając po tłący się lont. – OGNIA! – Przystawił iskrę do spłonki i działko eksplodowało. Naprawdę eksplodowało. Ubrania istotnie spowodowały dodatkowy opór – tak wielki, że armatka rozpadła się na tysiące maleńkich kawałków.

Przez krótką migotliwą chwilę płomień wybuchu rozświetlił nocne niebo, po czym wielki obłok gryzącego dymu spowił cały blokhauz. Mężczyźni padli na ziemię, kiedy odłamki uderzyły w drewnianą ścianę fortu i z sykiem zapadły się w śniegu. Eksplozja zrzuciła obu pomocników Hawkera na dziedziniec. Wskutek tego upadku jeden z nich miał złamaną rękę, a drugi dwa zębra. Obaj niechybnie by zginęli, gdyby nie to, że wylądowali w głębokiej zaspie.

Kiedy wiejący wiatr przegonił chmurę dymu znad blokhauzu, wszystkie oczy zwróciły się ku górze w poszukiwaniu dzielnego artylerzysty. Przez chwilę nikt się nie odzywał, aż wreszcie kapitan wykrzyknął:

– Hawker!

Minęła jeszcze dłuższa chwila. Wirujący wichur rozwiął resztkę dymu nad blokhauzem. Zobaczyli rękę wystającą znad krawędzi ostrokołu. Sekundę później pokazała się druga ręka, a potem głowa Hawkera. Wskutek wybuchu twarz miał czarną jak węgiel. Czapkę zwiąło mu z głowy, z obu uszu sączyła się krew. Trzymał się blokhauzu oburącz, lecz mimo to chwiało się jak pijany. Większość zebranych spodziewała się, że za chwilę padnie w przód i zginie. On tymczasem zawołał:

– Szczęśliwego nowego roku, parszywe sukinsyny!

Gromki ryk zachwytu wzbił się w ciemność nocy.

Hugh Glass potknął się w zaspie i ze zdumieniem stwierdził, że śnieg jest już bardzo głęboki. Na dłoni, którą zawsze pociągał za cyngiel, nie miał rękawicy, dlatego podczas upadku oparł się o śnieg nieosłoniętą ręką. Lodowate pieczenie

sprawiło, że się skrzywił. Włożył dłoń pod kapotę, aby ją ogrzać i wysuszyć. Wcześniej śnieg zaledwie prószył, i to z rzadka, co raczej nie uzasadniało potrzeby poszukiwania schronienia. Teraz Glass zdał sobie sprawę ze swego błędu.

Rozejrzał się dookoła, próbując ocenić, ile zostało jeszcze dnia. Burza wisiała nad horyzontem ciężkimi chmurami, wysokie góry w tle zniknęły zupełnie. Dostrzegał cienką linię piaskowców i samotne sosny, stojące gdzieś tam niczym wartownicy. Poza tym wzgórza zdawały się zlewać z szarobiałymi, bezkształtnymi chmurami na niebie. Glass cieszył się, że rzeka Yellowstone prowadzi go tak pewnie. „Godzina do zachodu słońca?” Z torby myśliwskiej wyjął rękawicę i wsunął w nią sztywną, wilgotną dłoń. „Przy tej pogodzie i tak nie będzie do czego strzelać”.

Mijał piąty dzień od opuszczenia Fort Union. Glass wiedział już, że Henry i jego ludzie z pewnością tędy szli; nietrudno było wytropić ślady trzydziestu mężczyzn. Z mapy, którą kiedyś studiował, Glass pamiętał opuszczoną faktorię Manuela Lisy nad rzeką Big Horn. „Henry na pewno nie zepuści się dalej – nie o tej porze roku”. Miał dość blade pojęcie o dystansie, jaki musiał jeszcze pokonać. Ale ile przeszedł do tej pory? Glass mógł się tego tylko domyślać.

Wraz z nadejściem burzy temperatura znacznie spadła, ale Glassa martwił przede wszystkim wiatr. Zdawał się potęgować zimno, które penetrowało każdy szew jego odzienia. Najpierw poczuł bolesne ukąszenia na odsłoniętych częściach ciała, głównie na nosie i uszach. Wiatr wywiewał mu łzy z kącików oczu, poza tym ciekło mu z nosa, co jeszcze wzmagало wrażenie zimna. W miarę jak brnął przez coraz głębszy śnieg, ostre ukłucia przeradzały się powoli w bolesne odrętwienie, a jego sprawne dotąd palce stawały się zgrudleniami bezużytecznych mięśni. Musiał znaleźć schronienie, dopóki był jeszcze w stanie zdobyć drewno na opał – i dopóki jego palce dadzą sobie radę z krzesiwem i draską.

Po przeciwnej stronie rzeki widać było stromy brzeg. Niewykluczone, że mógłby znaleźć tam osłonę, nie miał jednak szansy na sforsowanie nurtu. Teren po jego stronie był płaski i monotony, niezdolny stawić oporu wiejącym wichrom. W odległości mniej więcej mili Glass zobaczył kępę kilkunastu topól, ledwie widocznych w śnieżnej zadymce i gęstniejących ciemnościach. „Na co ja czekałem?”

Przebycie tej odległości zajęło mu dwadzieścia minut. W niektórych miejscach chłoszczące podmuchy wiatru zmiotły cały śnieg, odsłaniając nagą glebę, lecz w innych wyrastały zasy sięgające kolan. Mokasyń miał pełne śniegu; w duchu sklął się za brak dobrze dopasowanych onuc. Zamszowe spodnie najpierw namokły od śniegu, a potem zamarły mu na łydkach niczym sztywne skorupy. Gdy doszedł do zagajnika, nie czuł już palców u nóg.

Burza przybierała na sile; Glass lustrował kępę drzew w poszukiwaniu jak

najlepszej osłony. Zdało mu się, że wiatr wieje jednocześnie ze wszystkich kierunków, co tylko utrudniało wybór miejsca. W końcu zdecydował się na powaloną topolę. Wydarte ziemi korzenie sterczały w powietrzu, tworząc ponad grubą podstawą pnia strzelisty łuk, niczym parawan chroniący z dwóch stron przed wichrem. „Gdyby tylko przestało wiać ze wszystkich czterech stron naraz”.

Odłożył strzelbę i od razu zabrał się za zbieranie opału. Znalazł mnóstwo drewna. Problem stanowiła jedynie podpałka. Na ziemi zalegało kilka cali śniegu. Gdy zaczął w nim kopać, odkrył tylko wilgotne, do niczego nieprzydatne liście. Spróbował nałamać małych gałązek wikliny, te jednak były wciąż zielone. Glass zabrał się za penetrowanie małej polanki między drzewami. Światło dzienne gasło powoli; z rosnącym niepokojem uświadomił sobie, że jest później, niż sądził. Nim zebrał to, czego potrzebował, panowały już zupełne ciemności.

Drewno na opał ułożył na kupce obok powalonego drzewa, po czym zaczął gorączkowo kopać dołek na ognisko. By lepiej przygotować rozpałkę, zdjął rękawice, ale zmarznięte palce nie chciały go słuchać. Przyłożył do ust złączone dłonie i chuchnął. Oddech ogarnął ręce dreszczykiem ciepła, które natychmiast zniknęło pod naporem mroźnego powietrza. Poczul kolejne uderzenie wściekłego wichru na plecach i karku, który zdawał się wlażyć pod skórę, a nawet jeszcze głębiej. „Czyżby wiatr się zmienił?” Znieruchomiał na chwilę, rozmyślając, czy powinien przenieść się na drugą stronę topolowego zagajnika. Ponieważ wiatr trochę osłabł, Glass postanowił nie ruszać się z miejsca.

Porozkładał rozpałkę w płytkim dołku, po czym sięgnął do swego sac au feu po krzesiwo i draskę. Przy pierwszej próbie rozpalenia ognia skaleczył się krzesiwem w knykięć kciuka. Palący ból ogarnął całe ramię, niczym wibracja kamertonu. Starał się go zignorować i znów uderzył o draskę. Wreszcie iskra spadła na rozpałkę, która zaczęła płonąć. Teraz Glass ułożył się przy małym ogniku, chroniąc go od wiatru swoim ciałem, zdecydowany tchnąć w ogień choćby własne życie. Nagle poczul potężny, wirujący pęd wichru, a na twarzy spowitej dymem wylądowały drobiny piasku z zagłębienia w ziemi. Zakaszłał i przetaił oczy, a kiedy znów mógł je otworzyć, płomienia nie było. „Jasna cholera!”

Uderzył krzesiwem o draskę. Posypały się iskry, ale poprzednio spalił zbyt dużo rozpałki. Bolały go zewnętrzne, niczym nieosłonięte części dłoni. W palcach zupełnie stracił czucie. „Użyj prochu”.

Ułożył resztkę podpałki najlepiej jak potrafił, tym razem dodając nieco większych drewnienek. Z rogu odsypał trochę prochu strzelniczego; zaklął, gdy co nieco wysypało mu się do dołka. Przesunął ciało tak, żeby możliwie jak najbardziej osłonić przyszłe ognisko od wiatru, po czym uderzył krzesiwem o draskę.

We wnętrzu zagłębienia błysnęło; Glass poczul, że ma poparzone ręce i osmaloną twarz. Prawie nie zwracał uwagi na ból, tak bardzo pragnął utrzymać

plomień, które drżały niespokojnie na wietrze. Przykucnął nad ogniem i rozłożył swą kapotę tak, by stworzyć jeszcze szerszy parawan. Większość podpałki zniknęła, lecz z ulgą stwierdził, że niektóre większe drewnianki nadal płoną. Dołożył do ognia i po kilku minutach był już pewny, że nie przestanie się palić.

Oparł się właśnie wygodnie o powalone drzewo, gdy kolejny silny podmuch wichru niemal zgasił ognisko. I znów Glass rzucił się chronić płomień, rozkładać kapotę dla ochrony przed wiatrem i dmuchać delikatnie w żarzące się węgielki. Osłonięte, ognisko rozgorzało z nową mocą.

Glass pozostawał w tej pozycji, zgarbiony nad ogniem, z rozłożonymi szeroko ramionami, w których podtrzymywał swój płaszcz, przez prawie pół godziny. Wokół niego gromadził się coraz grubsza warstwa śniegu, w tym krótkim czasie wypiętrzając się o kolejne kilka cali. Tam, gdzie kapota stykała się z gruntem, czuł ciężar kumulującego się puchu. I poczuł coś jeszcze, a gdy to sobie uświadomił, skurczył mu się żołądek. „Wiatr się zmienił”. Wciąż chłostał Glassa po plecach, ale już nie wirował, tylko stale i nieustępliwie nacierał. Zagajnik topól nie stanowił żadnej osłony. Gorzej nawet – chwycił wiatr i obracał go przeciwko człowiekowi i jego ognisku.

Glass starał się zwalczyć narastającą panikę, błędne koło przeciwstawnych lęków. Punkt wyjścia był jasny – bez ognia zamarznie na śmierć. A jednocześnie nie mógł już dłużej utrzymać obecnej pozycji, nachylony nad płomieniami, z rozpostartymi szeroko rękoma i zadymką śnieżną walącą go w plecy. Był wyczerpany, a burza mogła tak trwać całymi godzinami, a nawet dniami. Potrzebował schronienia, jakiegokolwiek. Wydawało się, że wiatr wieje teraz z jednego kierunku, na tyle, żeby zaryzykować przenosiny na drugą stronę drzewa. Gorzej nie mogło już być, choć Glass wątpił, by udało mu się tam przenieść bez zgaszenia ogniska. Czy da radę rozpalić kolejne, od zera? W ciemnościach? Bez podpałki? Nie widział innego wyjścia, musiał spróbować.

Przyszedł mu do głowy pewien plan. Popędzi szybko na drugą stronę leżącej topoli, wykopie nowy dołek pod ognisko, a potem spróbuje je tam przenieść.

Nie ma na co czekać. Chwycił strzelbę i tyle opału, ile tylko zdołał udźwignąć. Wiatr jakby wyczuł obecność nowego celu i natarł na niego z jeszcze większą furją. Glass wsunął głowę w ramiona i brodząc, obszedł wielkie korzenie dookoła, klnąc, gdyż śnieg znów sypał mu się do mokasynów.

Z drugiej strony drzewa rzeczywiście sytuacja wyglądała lepiej, jeśli chodzi o ochronę przed wiatrem, choć śnieg był tu równie głęboki. Glass rzucił strzelbę i drewno na ziemię, i zaczął kopać. Oczyszczenie terenu pod ognisko zajęło mu pięć minut. Wrócił pędem na tamtą stronę, starając się biec po własnych śladach na śniegu. Z powodu chmur zrobiło się już niemal zupełnie ciemno; miał tylko nadzieję, że pomoże mu blask rzucany przez ogień. „Nie ma światła – nie będzie

ogniska”.

Jedyną pozostałością po ognisku było niewielkie zagłębienie w śnieżnej zaspie. Glass zaczął w nim kopać wiedziony głupią nadzieją, że może wciąż żarzy się tam jakiś węgielek. Nie znalazł nic. Ciepło ogniska zdążyło jeszcze zmienić śnieg w błotnistą maź, która przesiąkała mu przez wełniane rękawice. Poczul na rękach mroźną wilgoć, a potem dziwną mieszaninę bólu, piekącego i lodowatego zarazem.

Szybko wrócił ku bardziej osłoniętej części drzewa. Wiatr zdawał się obierać jeden konkretny kierunek, ale jednocześnie wiał coraz mocniej. Glassa bolała cała twarz, jego ręce znów utraciły sprawność. Nie zwracał uwagi na stopy, co było dość łatwe, ponieważ poniżej kostek przestał cokolwiek czuć. Ponieważ wiatr dał teraz tylko z jednej strony, topola skutecznie pełniła rolę parawanu. Ciągle, niestety, spadała temperatura; Glass znów pomyślał, że bez ognia czeka go śmierć.

Nie było czasu na szukanie podpałki, nawet przy nie najgorszym oświetleniu. Zdecydował, że toporkiem natnie odpowiednią ilość drewniek, a potem będzie się modlić, by kolejny wybuch prochu strzelniczego wystarczył do rozpalenia ogniska. Przeszło mu przez myśl, że powinien oszczędzać proch. „Najmniejszy z moich problemów”. Przystawił ostrze toporka do krótkiego pieńka i zaczął ciosać drewno.

Odgłos powstały przy tej czynności nieomal zagłuszył inny dźwięk – stłumione klaśnięcie podobne do odległego grzmotu. Glass znieruchomiał i obrócił głowę do tyłu w poszukiwaniu jego źródła. „Strzał karabinowy? Nie – za mocny”. Podczas burz śnieżnych zdarzało mu się nieraz słyszeć grzmoty, ale nigdy przy tak niskiej temperaturze.

Odczekał kilka minut, nasłuchując uważnie. Przez wyjący wichur nie przebił się już żaden dźwięk i Glass raz jeszcze zdał sobie sprawę z przeszywającego bólu rąk. Wędrówka w zadymce śnieżnej w poszukiwaniu źródła tego dziwnego odgłosu zakrawałaby na czyste szaleństwo. „Rozpalaj ten cholerny ogień!” Przyłożył ostrze toporka do kolejnego pnia.

Gdy naciął już wystarczającą ilość podpałki, ułożył ją w stosik i sięgnął po róg z prochem. Z przestrachem zauważył, że pozostało go bardzo niewiele. Sypiąc proch, zastanawiał się, czy nie powinien zostawić trochę na kolejną próbę. Ręka mu się omsknęła, ledwie był zdolny poruszać zmarzniętymi palcami. „Nie – do końca”. Opróżnił róg, a potem po raz kolejny sięgnął po krzesiwo i draskę.

Uniósł je, chcąc uderzyć o metal, lecz zanim zdążył to zrobić, potężny ryk rozniósł się po całej dolinie Yellowstone. Tym razem już wiedział. Nie dający się z niczym pomylić wystrzał armatni. „Henry!”

Glass sięgnął po broń i wstał. Wichur napotkał nowy cel i zaatakował ze zdwojoną siłą, niemal przewracając człowieka, który zaczął brnąć przez głęboki

śnieg w kierunku rzeki. „Mam nadzieję, że jestem na tym brzegu, co trzeba”.

Kapitana Henry’ego wzburzyła strata działka. Wprawdzie podczas rzeczywistej walki broń ta na niewiele by się zdała, stanowiła jednak istotny czynnik odstraszający. Poza tym prawdziwy fort powinien mieć działo, Henry chciał więc mieć takie u siebie.

Nie licząc kapitana, utrata armatki nie zgasiła ducha obchodów noworocznych w forcie. Przeciwnie nawet – wielka eksplozja najwyraźniej podkręciła jeszcze zabawę. Zamieć zmusiła traperów do schowania się w baraku, którego zatłoczone wnętrze pulsowało nieustanną kakofonią totalnego rozgardiaszu.

W pewnej chwili drzwi otworzyły się – otworzyły na oścież – jak gdyby pod działaniem potężnej siły, która czaiła się na zewnątrz tylko po to, by wbić je nagle do środka. Przez otwarte odrzwia wdarły się żywioły, mroźne palce wyciągały się ku zgromadzonym we wnętrzu ludziom, chcąc ich pozbawić wygody i ciepła.

– Zamknij wejście, cholerny kretynie! – wrzasnął Krępy Bill, nie oglądając się na drzwi. Lecz potem spojrzeli wszyscy. Na dworze wyl wicher. Spowita wirującym śniegiem majacząca w progu postać wyglądała jak posłaniec burzy, przedstawiciel bezlitosnego żywiołu, nieodłączny element dziczy.

Jim Bridger z przerażeniem patrzył na tę zjawę. Śnieg oklejał każdy fragment powierzchni jej ciała, pokrywając postać mroźną bielą. Przylegał do nędznej brody, kryształowymi sztyletami zwisał z otoka wełnianej czapki. Upiór mógłby wydawać się wytworem zimy – gdyby nie karmazynowe smugi rozległych blizn dominujących na jego obliczu, gdyby nie oczy gorejące niczym roztopiony ołów. Bridger patrzył, jak oczy te lustrują wnętrze baraku, niespiesznie, szukając czegoś konkretnego.

Pełna zdumienia cisza wypełniała wnętrze pomieszczenia, podczas gdy zebrani mężczyźni próbowali pojąć, co się dzieje. W przeciwieństwie do pozostałych Bridger zrozumiał to od razu. Wielokrotnie miał ów widok przed oczami. Poczucie winy ogarnęło go ze wzmożoną siłą, kotłowało mu się w żołądku jak koło młyńskie. Rozpaczliwie pragnął stąd zbiec. „Czy można uciec od czegoś, co nosi się w duszy?” Wiedział, że zjawą przysłała po niego.

Minęło parę chwil, nim wreszcie Black Harris powiedział:

– Jezu Chryste. To Hugh Glass.

Glass przebiegał wzrokiem zdumione twarze. Poczul ciężar zawodu, że nie znajduje wśród nich Fitzgeralda – dostrzegł jednak Bridgera. Ich oczy by się niechybnie spotkały, tylko że Bridger odwrócił głowę. „Tak jak wtedy”. Glass zauważył znajomy nóż, tkwiący u pasa Bridgera. Podniósł broń i wycelował.

Owładnęło nim przemożne pragnienie zastrzelenia Bridgera na miejscu. Czekał przecież na ten moment, czołgając się i włokąc, od stu dni, a teraz mógł dokonać

zemsty od razu – jedyne, co musiał w tym celu zrobić, to delikatnie pociągnąć za spust. Ale zwykła kulka w łeb wydała mu się nagle czymś zbyt banalnym, by wyrazić targający nim gniew, chwilką nic nieznaczącą, podczas gdy on łaknął głębszej satysfakcji. Niczym człowiek wygłodzony, gotujący się do uczyty, napawał się jeszcze krótką chwilą nienasyceń, które niebawem miało zostać zaspokojone. Glass odłożył broń i oparł ją o ścianę.

Podszedł powoli do Bridgera; pozostali mężczyźni rozstępowali się przed nim.

– Gdzie jest mój nóż, Bridger? – Glass stanął przed młodzieńcem, a ten odwrócił głowę i spojrzał w górę na niego. Poczł dobrze znany wewnętrzny rozdziew między pragnieniem udzielenia wyjaśnień a całkowitą niezdolnością, by to zrobić.

– Wstań – rozkazał Glass.

Bridger wstał.

Pierwszy cios trafił go z pełną siłą w twarz. Bridger nie stawiał oporu. Widział, że nie uniknie uderzenia, ale nie odwrócił głowy, nawet się nie skrzywił. Glass poczuł, jak w nosie Bridgera pęka chrząstka, zobaczył buchający strumień krwi. Tysiąc razy wyobrażał sobie rozkosz owej chwili, aż teraz wreszcie stała się ona rzeczywistością. Cieszył się, że nie zastrzelił Bridgera – że nie pozbawił się całej pełni krwawej przyjemności zemsty.

Drugi cios zadany przez Glassa trafił Bridgera w podbródek i rzucił nim o drewnianą ścianę baraku. I znów Glass pławił się w czystej radości bezpośredniego uderzenia. Ściana uchroniła Bridgera przed upadkiem, wciąż trzymał się na nogach.

Glass podszedł teraz bardzo blisko i zadał młodemu całą serię ciosów prosto w twarz. Gęsta krew płynęła tak obficie, że uderzenia stały się nieefektywne, gdyż ręka ześlizgiwała się z celu. Wtedy zaatakował brzuch. Bridger skulił się, tracąc oddech i wreszcie upadł na podłogę. Glass zaczął go kopać. Bridger nie mógł albo nie chciał walczyć. Już wcześniej wiedział, że ten dzień nadejdzie. To było wyrównanie rachunków, nie miał żadnego prawa stawiać oporu.

W końcu zareagował Świnia. Mimo zamroczenia alkoholem Świnia zrozumiał ewentualne konsekwencje aktu przemocy. Niewątpliwie Bridger i Fitzgerald skłamałi w sprawie Glassa. A jednak nie wypadało tak po prostu pozwolić, żeby teraz tu wszedł i zatłukł ich kolegę i towarzysza. Świnia wystąpił, by złapać Glassa od tyłu.

Ale ktoś złapał jego. Świnia odwrócił się i ujrzał kapitana Henry'ego.

– Nie pozwoli pan chyba zabić Bridgera? – rzekł do niego.

– Nic nie zrobię – odparł kapitan. Świnia zaczął protestować, ale Henry mu przerwał. – Zdecyduje sam Glass.

Ten zaś wyprowadził kolejnego brutalnego kopniaka. Bridger – choć starał się go dzielnie przyjąć – jęknął z bólu. Glass stał nad skurczoną postacią u swoich

stóp, dysząc z wysiłku, którym okupił miarowe bicie. Czuł w skroniach łomot serca; nagle jego wzrok ponownie spoczął na nożu tkwiącym za paskiem Bridgera. Oczyma wyobraźni ujrzał Bridgera stojącego wtedy na skraju polany i chwyającego nóż, który rzucił mu Fitzgerald. „Mój nóż”. Glass schylił się i wyciągnął długie ostrze z pochwy. Dotyk modelowanej rękojeści był niczym uścisk dobrze znanej dłoni. Pomyślał, ileż to razy potrzebował tego noża, a wtedy nienawiść rozgorzała w nim na nowo. Nadeszła długo wyczekiwana chwila.

Od kiedy karmił się nadzieją na ten moment? Oto teraz chwila nadeszła, i to w formie zemsty jeszcze doskonalszej, niż Glass potrafiłby sobie wyobrazić. Obracał ostrze w ręku, czuł jego ciężar, przygotowywał się do ciosu w serce.

Spojrzał w dół na Bridgera i nagle stało się coś niespodziewanego. Doskonałość tej długo wyczekiwanej chwili zaczęła się ulatniać. Bridger wytrzymał spojrzenie Glassa, a w jego oczach – zamiast czystego zła – Glass dostrzegł strach, zamiast oporu – rezygnację. „Walcz, do cholery!” Przejaw najdrobniejszą chęć sprzeciwu, żeby usprawiedliwić ostateczny cios.

Cios nie nastąpił. Glass wciąż trzymał nóż i wpatrywał się w chłopaka. „Chłopak!” Nagle nowe obrazy zasłoniły wspomnienia o skradzionym nożu. Przypomnił sobie chłopca, który opatrywał mu rany, który spierał się z Fitzgeraldem. Zobaczył też inne obrazy, na przykład pobladłą jak płótno twarz La Vièrge’a nad brzegiem Missouri.

Oddech Glassa zaczął się uspokajać. Przestało mu pulsować w skroniach pod dyktando łomoczącego serca. Rozejrzał się po pomieszczeniu, jakby nagle uświadomił sobie obecność mężczyzn tworzących wokół nich krąg. Długo wpatrywał się w nóż w ręku, a potem wsunął go sobie za pas. Odwróciwszy się do chłopca plecami, Glass zdał sobie sprawę, że jest mu zimno, i podszedł do ognia, wyciągając zakrwawione dłonie ku ciepłu trzaskających płomieni.

Rozdział 22

27 lutego 1824 roku

Parowiec o nazwie Dolly Madison przybył do St. Louis przed tygodniem. Wiózł ładunek towarów z Kuby, w tym cukier, rum i cygara. William H. Ashley uwielbiał cygara; przez chwilę zastanawiał się, dlaczego grube kubańskie sterczące mu z ust nie sprawia zwykłej przyjemności. Oczywiście, znał odpowiedź na to pytanie. Przychodził codziennie na nabrzeże nie w oczekiwaniu na parowce transportujące różne błahostki z Karaibów. Nie, zjawiał się, gdyż nie mógł już dłużej wytrzymać gorączkowego wyczekiwania na wyładowaną zwierzęcymi skórami łódź z Dzikiego Zachodu. „Gdzie oni są?” Od pięciu miesięcy nie miał żadnej wiadomości od Andrew Henry’ego i Jedediaha Smitha. „Od pięciu miesięcy!”

Ashley przemierzał tam i z powrotem swój ogromny gabinet w siedzibie Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych. Cały dzień nie mógł usiedzieć spokojnie. Po raz kolejny zatrzymał się przed ogromną mapą na ścianie, bardzo wyszukaną w formie, albo która przynajmniej kiedyś taka była. Ashley nawtykał w nią więcej szpilek niż krawiec w poduszczyk, a grubym ołówkiem ponanosił usytuowanie rzek, strumieni, faktorii handlowych i innych charakterystycznych elementów krajobrazu.

Śledził wzrokiem szlak w górę Missouri, starając się zwalczyć w sobie przeczucie nadchodzącego bankructwa. Na chwilę zatrzymał się w swej wędrówce zapatrzony w punkcik nad rzeką, nieco na zachód od St. Louis, gdzie zatonała jedna z jego łodzi, transportująca towar o wartości dziesięciu tysięcy dolarów. Drugą przerwę zrobił sobie przy szpilce oznaczającej osiedla Arikarów, gdzie zginęło i zostało obrabowanych szesnastu jego ludzi, i gdzie nawet potęga Armii Stanów Zjednoczonych nie była w stanie oczyścić pola dla jego przedsięwzięć handlowych. Zatrzymał wzrok także na jednym z zakoli Missouri, powyżej osiedli Mandanów, gdzie przed dwoma laty Assiniboinowie pozbawili Henry’ego aż siedemdziesięciu koni. Śledził wzrokiem bieg Missouri od Fort Union aż do Great Falls; to tutaj, w następstwie ataku Czarnych Stóp, Henry musiał wycofać się w dół rzeki.

Ashley rzucił okiem na list, który trzymał w ręku, najnowsze zapytanie od jednego z inwestorów. W liście żądano świeżych wiadomości na temat „aktualnego stanu spraw nad Missouri”. „Nie mam zielonego pojęcia”. A przecież cały osobisty majątek Ashleya, co do pensa, został utopiony w przedsięwzięciu, za

które odpowiadali Andrew Henry i Jedediah Smith.

Ashley czuł neodparte pragnienie działania, ruszenia się z miejsca, zrobienia czegoś, czegokolwiek – nic więcej jednak nie mógł uczynić. Udało mu się już załatwić pożyczkę na nową łódź i zakup nowych towarów. Łódź stała na nabrzeżu, towary leżały na składzie w magazynie. Rozpoczął się zaciąg do kolejnego oddziału traperów, a chętnych było więcej niż miejsc. Kilka tygodni zajęło mu selekcjonowanie czterdziestu mężczyzn spośród setki, która się zgłosiła. W kwietniu osobiście poprowadzi tych ludzi w górę Missouri. „Jeszcze ponad miesiąc!”

Ale dokąd mają iść? Kiedy w sierpniu Ashley wyprawiał w trasę Henry’ego i Smitha, wstępnie planowali spotkać się gdzieś w drodze – miejsce spotkania miało zostać ustalone za pośrednictwem posłańców. „Posłańców!”

Skierował wzrok z powrotem ku mapie. Przesuwał palcem wzdłuż wijącej się linii oznaczającej rzekę Grand. Pamiętał, jak ją rysował, jak musiał się domyślać jej rzeczywistego biegu. „Czy nie pomyliłem się gdzieś?” Czy Grand zmierza bezpośrednio w kierunku Fort Union? A może skręca w inną stronę? Ile czasu zajęło Henry’emu i jego ludziom dotarcie do fortu? Bardzo dużo, jak się wydaje, skoro nie byli w stanie przeprowadzić jesiennych polowań w celu zgromadzenia zapasów. „Czy oni w ogóle jeszcze żyją?”

Kapitan Andrew Henry, Hugh Glass i Black Harris siedzieli przy dogasających węglach ogniska w baraku fortu nad rzeką Big Horn. Henry wstał i wyszedł z budynku, by po chwili wrócić z naręczem drewna. Ułożył jedną ze szczap na tłącym się żarze; trzej mężczyźni obserwowali, jak wygłodniałe płomienie ogarniają świeże paliwo.

– Potrzebny mi posłaniec, który wróci do St. Louis – powiedział Henry. – Powinienem był wysłać go wcześniej, ale chciałem poczekać, aż się zadomowimy nad Big Horn.

Glass z miejsca skorzystał z nadarżającej się okazji.

– Ja pójdę, kapitanie. – Fitzgerald wraz z anstadtem znajdowali się gdzieś nad Missouri, w jej dolnym biegu. Poza tym miesiąc w towarzystwie Henry’ego to więcej niż trzeba, żeby Glass przypomniał sobie o ciągle towarzyszącym kapitanowi pechu.

– Dobrze. Dam ci trzech ludzi i konie. Zgadzasz się chyba, że powinniście oddalić się od Missouri?

Glass skinął głową.

– Myślę, że trzeba kierować się wzdłuż Powder, w dół rzeki, aż do Platte. Stamtąd już prosta droga do Fort Atkinson.

– Dlaczego nie Grand?

– Większe prawdopodobieństwo spotkania Arikarów. Poza tym przy odrobinie szczęścia może nad Powder wpadniemy na Jeda Smitha.

Nazajutrz Świnia usłyszał od trapera Reda Archibalda, że Hugh Glass wraca do St. Louis z wiadomościami dla Williama H. Ashleya. Natychmiast odszukał Henry'ego i zgłosił się jako ochotnik. Obawiał się wprawdzie podróży i żał mu było stosunkowej wygody, którą zapewniał fort, jednak perspektywa pozostawania tutaj wydała mu się jeszcze gorsza. Świnia nie nadawał się do traperskiego życia i był tego świadomy. Często rozmyślał o swym poprzednim wcieleniu czeladnika w zakładzie bednarskim. Tęsknił za tamtym życiem i za jego prostymi przyjemnościami bardziej, niż mógłby sobie kiedyś wyobrazić.

W drogę wybierał się również Red oraz jego przyjaciel, Anglik o pałakowatych nogach, William Chapman. Red i Chapman planowali wspólnie dezercję, kiedy rozeszła się pogłoska o wysłaniu do St. Louis posłańców. Ochotnicy mieli otrzymać od kapitana Henry'ego bardzo sową zapłatę. Przyszła podróż z Glassem oszczędziła im więc problemu. Teraz mogli wyjechać stąd legalnie, w dodatku dobrze opłaceni. Chapman i Red aż nie chcieli uwierzyć w tak nieoczekiwany obrót koła fortuny.

– Pamiętasz ten bar w Fort Atkinson? – zapytał Red.

Chapman roześmiał się. Pamiętał go dobrze, ponieważ tam po raz ostatni czuł w ustach smak porządnej whiskey w drodze w górę Missouri.

John Fitzgerald nie zwracał uwagi na sprośne żarty i hałas panujący w barze w Fort Atkinson. Był zanadto skupiony na grze w karty; brał je kolejno do ręki, jedną po drugiej, od rozdającego, który rzucał je na poplamiony blat stołu: as... „Może szczęście wreszcie zaczyna mi sprzyjać...” piątka... siódemka... czwórka... a potem – as. „Tak!” Potoczył wzrokiem po siedzących przy stole. Nadęty porucznik za wielkim stosem monet rzucił na blat trzy karty i rzekł:

– Dla mnie trzy. Wchodzę za pięć dolarów.

Markietan trzepnął o stół całą piątką kart.

– Ja pasuję.

Mocno zbudowany marynarz wymienił tylko jedną i przesunął pięć dolarów na środek stołu.

Fitzgerald odrzucił trzy karty i analizował rywali. Marynarz to idiota, pewnie dobiera do strita albo koloru. Porucznik ma chyba parę, ale nie taką, która mogłaby przebić jego dwa asy.

– Daję piątkę i dorzucam następną.

– Dajesz pan piątkę i dorzucasz kolejną? Niby w jaki sposób? – zapytał porucznik.

Fitzgerald poczuł, jak krew uderza mu do twarzy, znał to pulsowanie w

skroniach. Był sto dolarów na minusie – wydał wszystko co do pensa z kwoty uzyskanej od markietana, któremu tegoż popołudnia sprzedał skórki zwierzęce. Teraz zwrócił się do tego człowieka.

– Dobra, stary. Sprzedam ci drugą partię bobrowych futerek. W tej samej cenie: pięć dolców za sztukę.

Markietan, choć słabo grał w karty, był jednak przebiegłym handlarzem.

– Ceny spadły. Dam ci trzy dolary za jedną skórę.

– Ty sukinsynu – syknął Fitzgerald.

– Nazywaj mnie, jak sobie chcesz – odparł markietan – ale taka jest moja cena.

Fitzgerald ponownie obrzucił wzrokiem nadętego porucznika, a potem skinął głową dostawcy na znak zgody. Handlarz odliczył sześćdziesiąt dolarów ze skózanego pugilaresu i położył stosik monet przed Fitzgeraldem, on zaś przesunął dziesięć dolarów na środek stołu.

Rozdający rzucił marynarzowi jedną kartę, a następnie po trzy Fitzgeraldowi i porucznikowi. Fitzgerald podnosił je po kolei... Siódemka... walet... trójka. „Niech to diabli!” Starał się zachować kamienny wyraz twarzy. Podniósł oczy i stwierdził, że porucznik gapi się na niego, a w kącikach ust błąka mu się maleńki uśmieszek.

„Ty gnojku”. Fitzgerald popchnął pozostałą kwotę pieniędzy ku środkowi stołu.

– Podnoszę stawkę o pięćdziesiąt dolarów.

Marynarz gwizdnął i rzucił karty na blat.

Oczy porucznika spoczęły na kupce monet pośrodku stołu, a następnie skierowały się na Fitzgeralda.

– To dużo pieniędzy, panie... Jak się pan nazywa? Fitzpatrick?

Fitzgerald z trudem zapanował nad sobą.

– Fitzgerald.

– Fitzgerald, tak, przepraszam.

Taksował porucznika wzrokiem. „Złamię się – ma za słabe nerwy”.

Porucznik trzymał karty w jednej ręce, a palcami drugiej bębnił po stole. Ściągnął usta, przez co jego długie wąsy oklapły jeszcze bardziej. Drażniło to Fitzgeralda, zwłaszcza sposób, w jaki tamten mu się przyglądał.

– Oto pańskie pięćdziesiąt dolarów. Sprawdzam – oznajmił porucznik.

Fitzgerald poczuł, że kurczy mu się żołądek. Zaciskając szczęki, odwrócił i pokazał parę asów.

– Para asów – rzekł porucznik. – No cóż, jest silniejsza od mojej pary. – Rzucił na stół dwie trójki. – Tyle że ja mam jeszcze jedną. – Kolejna trójka znalazła się na blacie. – Myślę, że już dość na dzisiaj, panie Fitzcoście. Chyba że nasz dobry markietan odkupi od pana czółno. – Porucznik sięgnął po stos monet pośrodku stołu.

Fitzgerald wyciągnął zza pasa nóż do skórowania i uderzył nim w dłoń porucznika. Porucznik wrzasnął, gdy ostrze przybiło jego rękę do stołu. Fitzgerald

chwycił butelkę po whiskey i roztrzaskał ją o głowę nieszczęśnika. Miał właśnie wbić poszarpaną krawędź szkła porucznikowi w gardło, gdy dwóch żołnierzy złapało go od tyłu i rzuciło na ziemię.

Fitzgerald spędził noc w strażnicy. Obudziwszy się rano, stwierdził, że jest skuty kajdanami, po czym zaprowadzono go przed oblicze majora do kantyny przystrojonej tak, by udawała salę sądową.

Major rozprawiał dość długo i patetycznie, głosem sztucznym i napuszczonym, na ogół niezrozumiale dla Fitzgeralda. Na rozprawie obecny był porucznik z ręką w zakrwawionym bandażu. Major przesłuchiwał go przez pół godziny, a potem to samo uczynił z markietanem, marynarzem oraz trzema innymi świadkami z baru. Fitzgerald uznał całą tę procedurę za śmieszną, ponieważ nie miał najmniejszego zamiaru zaprzeczać, że dźgnął porucznika nożem.

Po godzinie major kazał Fitzgeraldowi zbliżyć się do „ławy sędziowskiej”, zdaniem oskarżonego przypominającej raczej zwykle biurko, za którym usadowił się major.

– Sąd wojskowy – zaczął tenże – uznaje was winnym rozboju. Macie do wyboru dwa wyroki skazujące: pięć lat więzienia albo trzy lata służby w Armii Stanów Zjednoczonych. – W tym roku zdezerterowała jedna czwarta załogi Fort Atkinson. Major zamierzał skorzystać z każdej okazji uzupełnienia stanu osobowego podległych mu oddziałów.

Podjęcie decyzji nie nastroczało Fitzgeraldowi żadnych trudności. Wiedział, jak wygląda wnętrze strażnicy. Był pewien, że zdołałby stamtąd uciec, jednak zaciągnięcie się do wojska dawało jeszcze więcej możliwości.

Tego samego dnia po południu John Fitzgerald uniósł prawą dłoń i złożył przysięgę wierności konstytucji oraz Armii Stanów Zjednoczonych jako nowy szeregowiec w Szóstym Regimentcie. Miał oczywiście zamiar zdezerterować, ale do tego czasu Fort Atkinson musiał stać się jego domem.

Hugh Glass przytracał właśnie torbę do końskiego siodła, gdy zobaczył Jima Bridgera idącego w jego kierunku przez dziedziniec. Aż do tej chwili chłopak unikał go jak mógl. Teraz szedł jednak zdecydowanie, nie spuszczać wzroku. Glass przerwał pracę i patrzył, jak młodzieniec zbliża się do niego.

Bridger podszedł do Glassa i stanął.

– Chcę, żebyś wiedział, że żałuję tego, co zrobiłem. – Przerwał na chwilę i dodał: – Musiałem ci to powiedzieć przed wyjazdem.

Glass zaczął mówić, ale nagle zamilkł. Już wcześniej zastanawiał się, czy chłopak odważy się doń podejść. Ułożył sobie nawet długą wypowiedź i ćwiczył ją w myślach. Teraz jednak, gdy patrzył na chłopca, cała ta przemowa zaczęła ulatniać mu się z głowy. Z zaskoczeniem stwierdził, że czuje dziwną mieszaninę współczucia i szacunku.

Wreszcie powiedział po prostu:

– Idź swoją drogą, Bridger. – I odwrócił się twarzą do konia.
Godzinę później Hugh Glass i jego trzech towarzysze opuścili konno fort nad Big Horn, kierując się ku rzekom Powder i Platte.

Rozdział 23

6 marca 1824 roku

Jeszcze tylko na szczytach najwyższych wzgórz zostały ostatnie blaski słonecznego światła. Lecz także one zgasły na oczach obserwującego krajobraz Glassa. Było to interludium, które uważał za równie święte jak niedziela, krótki łącznik między światłością dnia a mrokiem nocy. Znikające słońce zabierało ze sobą surowe oblicze równin. Wyjące wichry cichły, zapadało całkowite milczenie, które wydawało się nie na miejscu na tak rozległych przestrzeniach. Zmieniały się również barwy. Wyraziste odcienie, widoczne za dnia, bladły i zacieraly się zastępowane przez łagodne i coraz ciemniejsze fiolety i granaty.

Był to moment zadumy nad tą przestrzenią, tak rozległą, że musiała mieć w sobie pierwiastek boski. Jeśli istnieje jakiś bóg, myślał Glass, to musi mieszkać gdzieś tu, na tym zachodnim bezmiarze. Nie w sensie fizycznym, lecz jako idea, coś wykraczającego poza ludzki rozum, coś jeszcze potężniejszego.

Ciemność gęstniała. Glass dostrzegł już pierwsze gwiazdy, najpierw niewyraźne na nocnym niebie, potem jasne jak światło bijące z latarni morskiej. Od dawna już nie przyglądał się gwiazdom, chociaż lekcja udzielona kiedyś przez starego holenderskiego kapitana wryła mu się w pamięć: „Poznaj gwiazdy, a zawsze będziesz mieć przy sobie kompas”. Glass odnalazł wzrokiem Wielką Niedźwiedzicę, a następnie Gwiazdę Polarną. Szukał Oriona dominującego nad wschodnim horyzontem. Orion, myśliwy, miecz zemsty wzniesiony do ciosu.

Ciszę przerwał Red.

– Pełnisz ostatnią wartę, Świnia. – Red zajmował się przydzielaniem obowiązków i bardzo pilnował ich wykonania.

Świni nie trzeba było o tym przypominać. Owinął się mocno kocem po samą głowę i zamknął oczy.

Tej nocy obozowali w suchym wąwozie, który przecinał równinę niczym wielka szrama. Uformowany został przez wodę, ale nie tę życiodajną, w postaci krótkich opadów deszczu, jak w innych miejscach. Woda pojawiała się tutaj jako rwąca powódź wiosenna lub gwałtowna nawałnica letniej burzy. Grunt nie mógł już przyjąć więcej wilgoci. Woda nie niosła ze sobą sił życiodajnych, lecz niszczycielskie.

Świnia byłby przysiągł, że dopiero co zasnął, kiedy poczuł uparte szturchanie; to Red trącał go stopą.

– Wstawaj – powiedział.

Świnia stęknął, dźwignął ciało do pozycji siedzącej i dopiero po chwili wygramolił się na nogi. Smuga Drogi Mlecznej wyglądała jak wielka biała rzeka na nocnym niebie. Świnia spojrzał szybko do góry, ale jego jedyną myślą było, że czyste niebo oznacza jeszcze większe zimno. Owinął ramiona kocem, podniósł strzelbę i zszedł do wąwozu.

Zza kępy bylic zmianie wart przyglądało się dwóch Szoszonów. Dwunastoletni chłopcy, Mały Niedźwiedź i Królik, wybrali się na równinę nie w poszukiwaniu chwały, lecz mięsa. Lecz oto tuż przed nimi, w postaci pięciu koni, jawiła się szansa na zdobycie sławy. Chłopcy już wyobrażali sobie, jak galopują prosto do swojej wioski. Oczyma wyobraźni widzieli ogniska i ucztę na swoją cześć. Wyobrażali sobie, jak będą wszystkim opowiadać o swym sprycie i męstwie. Wpatrując się w wąwóz, ledwie mogli uwierzyć, że mają aż takie szczęście, choć bezpośrednia bliskość szansy sprawiała, że oprócz ekscytacji czuli również strach.

Odczekali do ostatniej godziny przed świtem, licząc, że wraz z głęboką nocą czujność wartownika osłabnie. Słyszeli jego chrapanie, gdy wyczołgiwali się z kępy bylic. Dotarli do wąwozu, a tam pozwolili, żeby konie ich zobaczyły i poczuły. Zwierzęta stały napięte, lecz ciche; z pionowo sterczącymi uszami obserwowały zbliżających się Indian.

Kiedy chłopcy dotarli wreszcie do rumaków, Mały Niedźwiedź powoli wyciągnął przed siebie ramiona, pogłaskał najbliżej stojące zwierzę po długiej szyi i uspokajająco coś szepnął. Królik poszedł w jego ślady. Przez kilka chwil delikatnie poklepywali konie, starając się zyskać ich zaufanie, po czym Mały Niedźwiedź wyciągnął nóż i zaczął rozcinać pęta na przednich nogach każdego ze zwierząt.

Zdołali usunąć pęta czterem spośród piątki koni, gdy nagle usłyszeli, że wartownik się wierci. Zamarli, gotowi do skoku na koński grzbiet i ucieczkę w galopie. Wpatrywali się w ciemną, masywną sylwetkę strażnika; ten po chwili znów znieruchomiał. Królik zamachał gwałtownie do Małego Niedźwiedzia: Chodźmy stąd! Mały Niedźwiedź stanowczo pokręcił głową, wskazując piątego konia. Podeszedł do zwierzęcia i pochylił się, żeby przeciąć więzy. Ale nóż stępił się, powolne przedzieranie się przez poskręcany rzemień trwało boleśnie długo. Coraz bardziej zdenerwowany, Mały Niedźwiedź z całej siły szarpnął nożem. Rzemień pękł, ramię chłopca odskoczyło do tyłu. Łokieć wylądował na goleni konia, który zarżał w proteście.

Dźwięk ten wyrwał Świnie ze snu. Wstał gwałtownie na nogi, uniósł strzelbę i biegnąc ku koniom, zaczął się rozglądać na boki. Stał jak wryty, gdy tuż przed nim wyrosła jakaś ciemna postać. Ślizgając się na niepewnych nogach, ze zdumieniem stwierdził, że ma do czynienia z chłopcem. Chłopiec ów – Królik – wyglądał równie groźnie jak jego imiennik, z wybałuszonymi oczami i patykowatymi kończynami. W jednej z owych kończyn trzymał jednak nóż, w

drugiej kawałek sznura. Świnia nie bardzo wiedział, co robić. Jego zadanie polegało na strzeżeniu koni, ale nawet z tym nożem mały chłopiec stojący przed nim nie wyglądał raczej na jakieś poważne zagrożenie. Wreszcie Świnia po prostu uniósł strzelbę, wycelował i wrzasnął:

– Stój!

Mały Niedźwiedź przyglądał się tej scenie z przerażeniem. Nigdy dotąd nie widział białego człowieka, a ten tutaj nie wyglądał nawet na istotę ludzką. Był ogromny, z klatką piersiową jak u niedźwiedzia, twarzą pokrytą ognistym zarostem. Olbrzym podszedł do Królika, dziko wrzeszcząc i unosząc broń. Bez namysłu Mały Niedźwiedź ruszył na monstrum i zatopił nóż w jego piersi.

Zanim jeszcze poczuł uderzenie, Świnia zobaczył jakby rozmazaną mgłę. Stał nieruchomo, bezbrzeżnie zdumiony. Mały Niedźwiedź i Królik także się nie ruszali, wciąż pełni strachu przed tą istotą. Nogi Świni nagle zwiotczały, padł na kolana. Instykt nakazał mu pociągnąć za spust. Broń wystrzeliła, pocisk uleciał ku gwiazdom, nikomu nie czyniąc krzywdy.

Królik zdołał złapać konia za grzywę i wcisnął się w grzbiet zwierzęcia. Krzyknął na Małego Niedźwiedzia, który rzucił ostatnie spojrzenie na umierającego potwora, po czym wskoczył za plecy przyjaciela. Nie mieli żadnej kontroli nad koniem, który nieomal zrzucił ich z siebie, nim cała piątka wierzchowców pogalopowała w dół wąwozu.

Glass i pozostali pojawili się na miejscu na tyle wcześnie, żeby zobaczyć swoje konie znikające w ciemnościach nocy. Świnia nadal klęczał z rękoma przyciśniętymi do piersi. Przewrócił się na bok.

Glass pochylił się nad nim i siłą odsunął jego dłonie zakrywające ranę. Potem rozerwał mu koszulę. Trzej mężczyźni posepnie przyglądali się ciemnej szczelinie tuż nad sercem.

Świnia podniósł wzrok na Glassa, a w jego oczach widać było straszliwą mieszaninę błagania i strachu.

– Uratuj mnie, Glass.

Glass ujął masywną dłoń kompana i mocno ją ścisnął.

– Chyba mi się nie uda, Świnia.

Ranny zakaszłał. Wielkim ciałem wstrząsnął silny dreszcz, jaki poprzedza niechybny upadek ogromnego drzewa. Glass poczuł, że ręka towarzysza wiotczeje.

Olbrzymi mężczyzna wydał z siebie ostatnie tchnienie i umarł pod jasnymi gwiazdami świecącymi nad równiną.

Rozdział 24

7 marca 1824 roku

Hugh Glass dźgnął nożem ziemię. Ostrze wbiło się najwyżej na cal, niżej zmarzlina stawiała zdecydowany opór. Od niemal godziny Glass ciosał martwy grunt, nim wreszcie Red stwierdził:

– W takiej ziemi nie da się wykopać grobu.

Glass usiadł, ponieważ nogi się pod nim ugięły, i dyszał z wysiłku.

– Zrobiłbym więcej, gdybyście chcieli pomóc.

– Mogę pomóc, ale według mnie ta dłubanina w lodzie nie ma większego sensu. Chapman długo przyglądał się im znad żeberka antylopy, po czym dodał:

– Dla Świni potrzebna jest duża dziura.

– Możemy zbudować mu takie rusztowanie, jakie Indianie robią dla swoich zmarłych – zaproponował Red.

Chapman się zachnął.

– Z czego niby je zbudujesz? Z bylicy? – Red rozejrzał się dookoła, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że w okolicy nie ma żadnych drzew. – A poza tym – ciągnął Chapman – Świnia jest za wielki, żeby go podnieść i ułożyć na rusztowaniu.

– A może byśmy przykryli go wielką stertą kamieni? – Pomysł wydał im się na tyle sensowny, że przez następne pół godziny przeczesywali teren w poszukiwaniu kamieni. Ostatecznie udało im się znaleźć ich zaledwie kilkanaście. Większość trzeba było wydłubywać z zamarzniętej gleby.

– Wystarczy tylko na zakrycie głowy – powiedział Chapman.

– No cóż – rzekł Red. – Wtedy przynajmniej sroki nie rozdziobią mu twarzy.

Nagle Red i Chapman zaskoczeni ujrzeni, jak Glass odwraca się do nich plecami i wychodzi z obozowiska.

– A ten dokąd się wybiera? – zapytał Red. – Hej! – krzyknął za Glassem. – Dokąd idziesz? – Glass zignorował ich i szedł dalej w kierunku niewielkiego pagórka oddalonego o ćwierć mili.

– Mam nadzieję, że Szoszoni nie wrócą akurat wtedy, kiedy jego tutaj nie będzie.

Chapman skinął głową, potwierdzając słowa przedmówcy.

– Dołożmy do ognia i upieczmy resztkę antylopy.

Glass powrócił godzinę później.

– U podnóża tej góry znajduje się skalista wyrwa – powiedział. – Na tyle duża,

żeby Świnią mógł się w niej zmieścić.

– Jaskinia? – zapytał Red.

Chapman zastanawiał się przez chwilę.

– Mogłoby to robić za kryptę.

Glass spojrział na obu mężczyzn i dodał:

– To najlepsze, co możemy teraz zrobić. Zgaście ogień i ruszamy.

Transportowanie Świni nie miało szans odbyć się w sposób dostojny. Brakowało im materiałów do skonstruowania noszy, a zwłoki były zbyt ciężkie, żeby je nieść. Ostatecznie złożyli je na kocu, twarzą ku ziemi, i ciągnęli w stronę pagórka. Dwaj zmieniali się przy tej czynności, podczas gdy trzeci dźwigał wszystkie cztery strzelby. Starali się jak mogli – ze zmiennym szczęściem – omijać kaktusy i jukę porastające ten teren. Dwukrotnie Świnią zsuwał się z koca, jego bezwładne ciało spadało na ziemię bezkształtną, żalospną masą.

Dotarcie do pagórka zajęło im ponad pół godziny. Przewrócili Świnię na plecy i okryli kocem, po czym zaczęli zbierać kamienie, których leżało tu całe mnóstwo, żeby zabezpieczyć prowizoryczną komorę grobową. Wyrwa powstała w piaskowcu miała pięć stóp długości i dwie wysokości. Kolbę strzelby należącej do Świni Glass oczyścił wewnątrz maleńkiej pieczary. Jakieś zwierzę zrobiło tu sobie norę, aczkolwiek nie znaleźli świeżych oznak jego bytności.

Zebrane piaskowce ułożyli w luźny stos. Było ich więcej, niż potrzebowali – najwyraźniej nikomu nie spieszyło się do fazy końcowej. Wreszcie Glass rzucił na stertę ostatni kamień.

– Wystarczy – powiedział. Podszedł do ciała Świni, a dwaj pozostali mężczyźni pomogli mu zaciągnąć zwłoki do otworu niby-krypty. Złożyli Świnię w jej wnętrzu i wpatrywali się w martwe ciało.

Zadanie wygłoszenia paru słów przypadło Glassowi. Zdjął z głowy czapkę, a tamci szybko poszli za jego przykładem, jakby zawstydzeni, że trzeba im o tym przypominać. Glass spróbował odchrząknąć. Szukał słów z wersetu o „dolinie śmierci”, ale nie pamiętał tego fragmentu na tyle, żeby go odpowiednio przytoczyć. W końcu jedynym, co zdołał wymyślić, była modlitwa Pańska. Wyrecytował ją najsilniejszym głosem, jaki mógł z siebie wydobyć. Zarówno Red, jak i Chapman już od bardzo dawna nie odmawiali żadnej modlitwy, jednak mamrotali coś pod nosem, gdy jakaś fraza wydawała im się znajoma z odległych czasów.

Gdy skończyli, Glass rzekł:

– Jego strzelbę będziemy nieść na zmianę. – Po czym pochylił się i wyjął nóż Świni, tkwiący za pasem. – Red, wyglądasz na takiego, co potrafi posługiwać się nożem. Chapman, ty weź jego róg na proch.

Chapman uroczystym gestem wziął róg do rąk. Red obracał nóż w dłoniach. Z krótkim uśmiechem i błyskiem głębokiego zadowolenia rzekł:

– Całkiem niezłe ostrze.

Glass zdjął też niewielką sakiewkę, którą Świnią nosił u szyi. Jej zawartość wysypał na ziemię. Krzesiwo i draska do rozpalania ognia, kilka kul do karabinu, trochę tkaniny na pakuły – oraz delikatna metalowa bransoletka. Zaskakująca błyskotka, pomyślał Glass, jak na takiego faceta. „Jaka historia wiąże się z tą elegancką ozdóbką u Świni? Co go z nią łączyło? Pamiątka po zmarłej matce? Po ukochanej, która została gdzieś daleko?” Nigdy się tego nie dowiedzą; ostateczność tej tajemnicy sprawiła, że Glass zaczął snuć pełne melancholii myśli na temat własnych pamiątek.

Pozbierał krzesiwo i draskę, pociski i pakuły, i włożył je do swojej torby myśliwskiej.

Promienie słoneczne odbijały się od bransoletki. Red wyciągnął po nią rękę, ale Glass chwycił go za nadgarstek.

Red próbował się bronić.

– On już tego nie potrzebuje.

– Ty też nie. – Glass umieścił bransoletkę z powrotem w sakiewce, po czym uniósł wielką głowę Świni, żeby założyć mu ją na szyję.

Doprowadzenie roboty do końca zajęło im kolejną godzinę. Żeby Świnią zmieścić się w grobie, musieli zgiąć mu nogi. Nie pozostało nawet tyle miejsca, by okryć zwłoki kocem. Glass zrobił co mógł, żeby ciasno owinąć tkaniną przynajmniej wokół głowy zmarłego. Najlepiej jak potrafili, zamknęli kamieniami otwór pieczary. Glass położył ostatni głaz na stercie, wziął swoją strzelbę i odszedł. Red i Chapman wpatrywali się jeszcze przez chwilę w kamienny mur, który wzniesli, po czym popędzili za Glassem.

Przez dwa kolejne dni wędrowali wzdłuż rzeki Powder u podnóża gór aż do miejsca, w którym rzeka ostro skręcała na zachód. Znaleźli tam strumień zmierzający na południe i szli za nim, dopóki nie zniknął pochłonięty przez solnisko, najbardziej paskudny skrawek ziemi, przez jaki dane im było iść. Utrzymywali południowy kierunek marszu ku niskiej górze, z wierzchołkiem płaskim jak stół. U stóp owej góry płynęła szeroka i płytka rzeka North Platte.

Dzień po tym, jak dotarli do Platte, zerwał się silny wiatr, a temperatura zaczęła gwałtownie spadać. Późnym rankiem niebo zapełniło się niskimi, puszystymi chmurami, wielkimi jak poduchy. Glassowi żywo przypomniawszy się śnieżycę, którą przeżył nad Yellowstone, i obiecał sobie w duchu, że tym razem nie będzie ryzykował. Zatrzymali się przy najbliższym zagajniku topól. Red i Chapman zbudowali prymitywne, ale solidne schronienie, podczas gdy Glass ustrzelił i sprawił sarnę.

Późnym popołudniem znad doliny North Platte nadciągnęła potężna

zawierucha. Wielkie topole trzeszczały pod naporem wyjącego wichru, wokół nich szybko zbierał się mokry śnieg, jednak schronienie stało niewzruszone. Mężczyźni owinęli się kocami, a przed swym szałasem palili wielkie ognisko, dbając, żeby nie zgasło. W nocy ze sterty żarzących się karmazynowo węgli sączyło się ku nim ciepło. Upiekli dziczyznę nad ogniem; ciepły pokarm rozgrzewał ich od wewnątrz. Wiatr zaczął cichnąć na godzinę przed świtem, a o wschodzie było już po zawiei. Słońce wstało nad światem tak jednostajnie białym, że pod naporem jaskrawego światła musieli mrużyć oczy.

Red i Chapman zwijali obóz, a Glass wybrał się na zwiady w dół rzeki. Z trudem brnął przez śnieg. Cienka skorupa na jego powierzchni wytrzymała ciężar ciała, ale tylko przez sekundę – potem stopa zniknęła w głębokiej warstwie śniegu. Niektóre zaspy miały cztery stopy wysokości. Domyślał się, że marcowe słońce stopi je w ciągu jednego lub dwóch dni, na razie jednak śnieg spowolni ich marsz. Glass znów przeklął stratę koni. Zastanawiał się, czy nie powinni poczekać, by wykorzystać ten czas na uzupełnienie zapasów suszonego mięsa. Zasobność w ten artykuł oznaczałaby, że nie będą musieli skupiać się na codziennym zdobywaniu pokarmu. A przecież im szybciej będą się przemieszczać, tym lepiej. Wiele plemion traktowało okolice rzeki Platte jako swoje tereny łowieckie – Szoszoni, Czejenowie, Paunisi, Arapaho, Siuksowie. Niektóre z nich mogły żywić wobec białych przyjazne uczucia, jakkolwiek śmierć Świni jednoznacznie świadczyła, że ryzyko istniało.

Glass wspiał się na wzgórze i nagle stanął jak wryty. Sto jardów przed sobą zobaczył niewielkie stado bizonów liczące około pięćdziesięciu osobników, zbitych w gromadkę. Tworzyło ono kolistą formację obronną, jakby wciąż jeszcze walczyło z niedawną nawałnicą śnieżną. Byk przewodnik zauważył go natychmiast. Zwierzę odwróciło się ku stadu i wielka masa bizonów zaczęła się przemieszczać. „Zaraz rzucą się w popłochu do ucieczki”.

Glass padł na jedno kolano i przystawił strzelbę do ramienia. Wycelował w tłustą samicę i pociągnął za spust. Zobaczył, jak się zachwiała, ale utrzymała na nogach. „Za mało prochu jak na tę odległość”. Podwoił ładunek; ponowne załadowanie broni trwało dziesięć sekund. Znów wymierzył w krowę i wystrzelił. Padła na śnieg.

Przepychając wyciorem lufę, lustrował widnokrąg. Gdy ponownie spojrzął na stado, ze zdziwieniem stwierdził, że wcale nie uciekło i nadal znajduje się w zasięgu strzału – choć każde zwierzę poruszało się tak, jakby płynęło. Przyjrzał się uważniej bykowi przewodzącemu stadu. Rzucił się do przodu, ale tonął aż po pierś w głębokim i mokrym śniegu. „Ledwie mogą zrobić krok”.

Glass rozważał, czy nie ustrzelić jeszcze jednej krowy, a może cielaka, szybko jednak doszedł do wniosku, iż mają już więcej jedzenia, niż potrzebują. „Szkoda”, pomyślał. „Mógłbym zabić z tuzin, gdybym chciał”.

Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł – aż się zdziwił, że nie wpadł na to wcześniej. Podszedł do stada na odległość czterdziestu jardów, wycelował w największego byka, jakiego zdołał wypatrzyć i strzelił. Naładował broń ponownie i błyskawicznie powalił kolejnego. Nagle za jego plecami rozległy się dwa wystrzały. Na śnieg upadło ciele; odwróciwszy się, Glass zobaczył Chapmana i Reda.

– Hurrra! – wrzasnął Red.

– Tylko byki – krzyknął Glass.

Red i Chapman zbliżyli się do niego i gorączkowo ładowali broń.

– Dlaczego? – zapytał Chapman. – Cielaki lepiej smakują.

– Potrzebujemy skór – odparł Glass. – Zrobimy łódź z bizonich skór.

Pięć minut później w niewielkiej kotlinie leżało jedenaście martwych byków. Więcej niż potrzebowali, ale Red i Chapman, raz spróbowawszy, wpadli w szal zabijania. Glass zdecydowanymi ruchami przepychał wycior i ponownie ładował broń. Lufę miał pełną zanieczyszczeń po serii strzałów. Dopiero po zabezpieczeniu ładunku i podsypyaniu prochu na panewce, ruszył do najbliższego leżącego byka.

– Chapman, wejdz na ten pagórek i rozejrzyj się. Narobiliśmy sporo hałasu. Red, zacznij używać swojego nowego noża.

Glass zbliżył się do byka. W jego szklistym oku zastygła ostatnia iskra życia, życiodajna krew rozlała się na śniegu, tworząc kałużę. Następnie podszedł do krowy. Wyciągnął nóż i poderznął jej gardło. To zwierzę zjedzą, dlatego chciał mieć pewność, że wykrwawi się w sposób właściwy.

– Chodź tutaj, Red. Łatwiej zdjąć z niej skórę, jeśli zrobimy to razem.

Przetoczyli samicę bizona na bok, a wtedy Glass wykonał głębokie nacięcie na całej długości brzucha. Red rękoma odsunął skórę, Glass zaś, pomagając sobie nożem, zdjął ją z martwego zwierzęcia. Ułożyli skórę włosiem do dołu i zabrali się za wycinanie najsmakowitszych kawałków: języka, wątroby, kłębu i polędwicy. Wrzucili mięso na skórę, a potem zajęli się sprawianiem byków.

Kiedy Chapman wrócił, Glass kazał mu wziąć się do roboty.

– Z każdej skóry musimy uzyskać jak największy kwadrat, więc nie tnij jak popadnie.

Z rękoma czerwonymi od krwi Red spoglądał znad wielkiego cielska bizona leżącego u jego stóp. Strzelanie do tych zwierząt stanowiło świetną rozrywkę, natomiast zdejmowanie z nich skór powodowało potworny bałagan.

– Czemu po prostu nie zbudujemy tratwy? – zapytał zrzędlowie. – Nad rzeką nie brak drewna.

– Platte jest za płytka, zwłaszcza o tej porze roku. – Poza obfитоścią budulca, wielką zaletą łodzi ze skór bizonich było jej zanurzenie: zaledwie dziewięć cali. Do roztopów, które przyniosą wodę z gór i spowodują wystąpienie rzeki z

brzegów, pozostawało jeszcze parę miesięcy. Na samym początku wiosny Platte płynęła płytką strugą.

Koło południa Glass wysłał Reda do obozu, aby rozpałił ogniska, przy których będzie można ususzyć mięso. Red ciągnął za sobą skórę zdartą z samicy bizona, ze stertą przysmaków. Wszystkim bykom wycięli języki, lecz poza tym interesowały ich tylko skóry.

– Upiecz wątrobę i kilka języków na dzisiejszy wieczór – zawołał za nim Chapman.

Zdjęcie skór stanowiło dopiero pierwszy etap pracy. Glass i Chapman starali się z każdej sztuki wyciąć jak największy kwadrat – potrzebowali kawałków o równych krawędziach. Noże stępiły im się szybko na gęstej zimowej sierści, musieli więc przerywać pracę, by je ostrzyć. Uporawszy się z tym zadaniem, trzykrotnie wracali do obozu, ażeby przetransportować tam wszystkie skóry. Kiedy na polanie nieopodal obozowiska złożyli ostatnie futro, na wodach North Platte tańczył już wesoło księżyc w nowiu.

Trzeba przyznać, że Red spisał się należycie. Trzy niewielkie ogniska płonęły w prostokątnych nieckach. Całe mięso zostało pocięte na cienkie plasterki i zwisało z suszarek wykonanych z wiklinowych witek. Red opychał się mięsem przez całe popołudnie, a zapach pieczystego był nie do zniesienia. Glass i Chapman wsuwali soczyste platy, jeden kęs za drugim. Na jedzeniu minęło im kilka godzin; cieszyli się nie tylko z obfitości pożywienia, lecz także z braku wiatru i chłodu. Wydawało im się teraz nieprawdopodobne, że poprzedniej nocy kulili się z zimna podczas śnieżnej zawiei.

– Budowałeś kiedyś łódź skórzaną? – zapytał Red w pewnej chwili.

Glass skinął twierdząco głową.

– Paunisi używają ich na rzece Arkansas. Trochę trwa, zanim się ją zrobi, ale nie jest to zbyt trudne. Na szkielecie z gałęzi rozpina się skóry i powstaje coś jakby wielka misa.

– Nie mogę sobie wyobrazić, jak to unosi się na wodzie.

– Skóra napina się jak bęben, kiedy wysycha. Trzeba tylko codziennie rano uszczelniać ją na szwach.

Skonstruowanie łodzi ze skór bizonów zajęło im tydzień. Glass nalegał na zbudowanie dwóch mniejszych łódek zamiast jednej dużej. W razie konieczności i tak wszyscy zmieściliby się w jednej. Mniejsza jednostka byłaby ponadto lżejsza, zdolna unosić się na wodzie nawet o głębokości stopy.

Pierwszy dzień spędzili na wycinaniu z bizonów ścięgien i konstruowaniu szkieletów łódek. Na okrężnice użyli większych gałęzi topoli, uginając je tak, by tworzyły koło. Następnie skupili się na tworzeniu okręgów o coraz mniejszym obwodzie. Między kręgami umieszczali wsporniki wykonane z twardych wierzbowych gałęzi, a ich końcówki zwiążali ścięgnami.

Najwięcej czasu zajęła im praca przy skórach. Do budowy jednej łodzi potrzeba było ich aż sześciu. Ich zszywanie wymagało naprawdę żmudnej, benedyktyńskiej pracy. Czubkami noży wywiercili otwory, po czym mocno połączyli futra ze sobą za pomocą ścięgien. W rezultacie powstały dwa ogromne kwadraty, każdy składający się z czterech skór w układzie dwa na dwa.

Pośrodku każdego kwadratu umieścili drewniane szkielety. Naciągnęli skóry na okrężnice, sierścią do wnętrza łodzi. Obcięli naddatki, po czym ścięgnami obszyli krawędzie. Na koniec przewrócili łódki do góry dnem, żeby wyschły.

Proces uszczelnienia poszycia wymagał kolejnej wędrówki do zwłok bizonich zalegających w kotlinie.

– Jezu, ale cuchnie – zauważył Red. Słoneczna pogoda, która nastąpiła po zawiejach, roztopiła śniegi i sprawiła, że padlina gniła. Unosiło się nad nią mnóstwo srok i kruków; Glass obawiał się, że krążący w powietrzu padlinożercy sygnalizują ich obecność. Ale niewiele mogli w tej sprawie zrobić, poza szybkim wykończeniem łodzi i opuszczeniem tego miejsca.

Wykroili z padłych zwierząt łój, a kopyta pocięli toporkami na kawałki. W obozie tę śmierdzącą mieszankę połączyli jeszcze z wodą i popiołem, gotując długo i powoli nad gorącym żarem aż do uzyskania kleistej, płynnej masy. Dysponowali jedynie niewielkim garnkiem, dlatego przygotowanie odpowiedniej ilości wsadu, niezbędnej do otrzymania tego, czego potrzebowali, zajęło im dwa dni.

Masą uszczelniającą pokryli następnie szwy i złączenia, szafując nią szczerze. Glass sprawdzał łodzie schnące w marcowym słońcu, który to proces wspomagał jeszcze suchy, zacinający wiatr. Był zadowolony z efektów.

Nazajutrz rano odpłynęli, Glass i zapasy w jednej łodzi, Red i Chapman w drugiej. Dopiero po przebyciu kilku mil nauczyli się sterować swymi niezgrabnymi jednostkami; od dna i brzegów Platte odpychali się tyczkami z drewna topolowego, ale łódki okazały się solidne.

Od śnieżycy minął już tydzień, czyli zbyt wiele, by siedzieć w jednym miejscu. Do Fort Atkinson mieli drogę łatwą i prostą – pięćset mil w dół Platte. Dzięki łodziom bez problemu uda im się nadrobić stracony czas, muszą po prostu płynąć. „Dwadzieścia pięć mil dziennie?” To znaczy, że dotrą na miejsce w trzy tygodnie, jeśli tylko pogoda się utrzyma.

Fitzgerald nie mógł ominąć Fort Atkinson, myślał Glass. Wyobrażał sobie, jak tamten przechadza się po forcie z jego anstatdem. Jakie kłamstwo wymyślił, żeby wyjaśnić swoje przybycie? Jedno było pewne – Fitzgerald nie przemknął niezauważony. Niezbyt wielu białych wędruje nad Missouri zimą. Glass przywołał w pamięci haczykowaną bliznę na twarzy Fitzgeralda. Człowiek taki jak on robi na innych wrażenie. Niczym ufający swym instynktom bezwzględny drapieżnik, Glass miał pewność, że jego zdobycz znajduje się już w zasięgu ręki,

że z każdą mijającą godziną jest coraz bliżej. Znajdzie Fitzgeralda; nie spocznie, póki tak się nie stanie.

Wbił długą tyczkę w dno rzeki Platte i pchnął.

Rozdział 25

28 marca 1824 roku

Platte niosła Glassa i jego towarzyszy swym spokojnym nurtem. Przez dwa dni płynęła prosto na wschód, między żółtawymi wzniesieniami niewysokich gór. Trzeciego dnia skręciła nagle ostro na południe. Ponad wzgórzami wyrosły pokryte śniegiem szczyty, niczym głowy na szerokich ramionach. Przez pewien czas wydawało się, że zmierzają wprost ku nim, jednak Platte zmieniła bieg, który ustalił się na kursie południowo-wschodnim.

Płynęli szybko. Od czasu do czasu przeciwne wiatry spowalniały ich tempo, lecz głównie pomagała im wiejąca zza pleców chłodna zachodnia bryza. Spore zapasy suszonego mięsa bizonów eliminowały konieczność polowania. Gdy wieczorem rozbijali obóz, odwrócone do góry dnem łodzie dawały im solidne schronienie. Każdego ranka przez godzinę uszczelniali szwy i złączenia swych łódek za pomocą kleistej substancji, której zapas wieźli ze sobą. Lecz poza tym każdą godzinę dnia spędzali na wodzie, wkładając w dryfowanie w kierunku Fort Atkinson jedynie minimum wysiłku. Glass czuł wdzięczność, że rzeka odwała za nich kawał roboty.

Był ranek piątego dnia nad rzeką. Glass smarował łodzie uszczelniaczem, gdy nagle do obozowiska wpadł, potykając się, Red.

- Za tym pagórkem jest Indianin! Konny wojownik!
- Widział cię?

Red mocno potrząsnął głową.

- Chyba nie. Tam jest strumień. Wydaje mi się, że sprawdzał zastawione sidła.
- Potrafisz określić, do jakiego plemienia należy? – zapytał Glass.
- Wyglądał na Arikarę.
- Cholera! – rzucił Chapman. – Co Arikara robią nad Platte?

Glass powątpiewał w rzetelność doniesień Reda. Nie sądził, żeby Arikara zapuszczali się aż tak daleko od Missouri. Wydawało się bardziej prawdopodobne, że Red widział jakiegoś Czejena albo Paunisa.

– Przyjrzyjmy się mu. – I ze względu na Reda dodał: – Nie strzelać, dopóki nie dam sygnału.

Na czworakach podczołgali się do krawędzi wzniesienia, ze strzelbami w zgiętych ramionach. Śnieg stopniał już dawno, przedzierali się więc przez krzewy bylicy i suche kępki trawy preriowej.

Ze szczytu wzgórza zobaczyli jeźdźca, a właściwie jego plecy, jadącego w dół

Platte, w odległości około pół mili. Z trudem rozpoznali w koniu srokacza. Nie mieli szans stwierdzić, do jakiego plemienia należy Indianin; pewne było tylko to, że jest ich więcej i że muszą być niedaleko.

– I co teraz zrobimy? – zapytał Red. – On nie jest sam. Wiadomo, że obozują gdzieś nad rzeką.

Glass obrzucił Reda podenerwowanym spojrzeniem. Ten człowiek ma niesamowity talent do wyszukiwania wszelkich problemów oraz całkowitą niezdolność do ich rozwiązywania, pomyślał. Lecz niestety, tym razem ma chyba rację. Jak dotąd mijali tylko niewielkie dopływy rzeki. Indianie z pewnością trzymają się blisko Platte, czyli także blisko ich trasy. „Ale jaki mamy teraz wybór?”

– Niewiele możemy zrobić – powiedział Glass. – Kiedy wpłyniemy na bardziej otwarty teren, któryś z nas wysiądzie na brzeg i rozejrzy się po okolicy.

Red zaczął mamrotać coś pod nosem, ale Glass mu przerwał.

– Dam sobie radę sam. Wy możecie iść, dokąd chcecie, ja płynę dalej. – Odwrócił się i ruszył ku łódkom. Chapman i Red jeszcze długo przyglądali się znikającemu jeźdźcowi, po czym udali się za Glassem.

Po dwóch kolejnych, niczym niezakłóconych dniach w łodziach Glass obliczał, że przebyli już blisko sto pięćdziesiąt mil. Zmierzchało, kiedy dotarli do podstępnych wód zakola Platte. Glass chciał zatrzymać się tu na noc i poczekać do rana, żeby przy świetle dnia nawigować przez cieśń, nigdzie jednak nie mogli znaleźć odpowiedniego miejsca na lądowanie.

Łańcuch wzgórz zmuszał rzekę do zwężenia łożyska, wskutek czego woda była tu głębsza, a nurt bystrzejszy. Przy północnym brzegu leżała topola do połowy długości zanurzona w wodzie, niczym blokada, przy której gromadziły się różne materiały spływające rzeką. Łódź Glassa wyprzedzała towarzyszy o jakieś dziesięć jardów. Nurt unosił go wprost na powalone drzewo. Zanurzył tyczkę w wodzie, żeby odbić w inną stronę. Dna nie było.

Prąd przyspieszył, sterczące konary topoli wydały mu się nagle podobne do groźnych włóczy. Jeden silny cios i łódka zatonię. Glass uklęknął na jedno kolano, a drugą nogą wsparł się o żebrowanie. Uniósł tyczkę i szukał jakiegoś miejsca, gdzie mógłby jej użyć. Dostrzegł płaski fragment na powierzchni pnia i skierował tam żerdź. Żerdź zetknęła się z drzewem. Glass z całej siły odbił swą niesterowną łódź, starając się przeciwstawić prądowi. Słyszał szorowanie wody o poszycie, gdy nurt uniósł go do góry, a następnie zakreślił łódką wokół drzewa.

Zwrócony był teraz w stronę przeciwną niż przed chwilą; bezpośrednio przed oczyma miał Reda i Chapmana. Obaj przygotowywali się na starcie, ich łódka kołysała się niepewnie. Red uniósł tyczkę do góry i niemal trzepnął nią

Chapmana w twarz.

– Uważaj, idioto! – Chapman odepchnął się żerdzią od topoli, podczas gdy prąd napierał silnie od tyłu. Red wreszcie zapanował nad tyczką i bezładnie uderzył nią w rzeczne śmieci.

Fala uniosła obu mężczyzn do góry, a po chwili zmusiła ich do pochylenia głów, gdy prąd wpełznął ich na półzanurzone drzewo. Jedna z gałęzi zaczepiła się o koszulę Reda i wygięła gwałtownie. Koszula rozdarła się, a gałąź wystrzeliła do tyłu, trafiając Chapmana prosto w oko. Chapman wrzasnął z bólu, upuścił żerdź i przycisnął dłonie do twarzy.

Glass cały czas zwrócony był w stronę przeciwną do nurtu, który znosił łódki w kierunku południowego brzegu, omijając wzgórze. Chapman klęczał, obie dłonie nadal przyciskał do oka. Red spoglądał w dół rzeki, poza Glassem i jego czółnem. Nagle na jego twarzy pojawiło się przerażenie. Red rzucił tyczkę i desperacko sięgnął po strzelbę. Glass odwrócił się.

Przy południowym brzegu Platte, niecałe pięćdziesiąt jardów od nich, wznosiło się ponad dwadzieścia indiańskich tipi. Nad wodą bawiła się gromadka dzieci. Zauważyły łódzie i zaczęły krzyżeć. Glass patrzył, jak dwóch wojowników siedzących przy ognisku zrywa się na równe nogi. Red miał rację, zdał sobie sprawę Glass, ale było już za późno. Arikara! Nurt popychał obie łódzie prosto na obóz. Glass usłyszał wystrzał; mężczyźni chwyтали za broń i pędzili wzdłuż rzeki, w kierunku wysokiej skarpy. Po raz ostatni odepchnął się od dna i wziął do ręki strzelbę.

Red wypalił, a wtedy jeden z Indian przewrócił się i przekoziółkował przez wał rzeczny.

– Co się dzieje? – krzychał Chapman, próbując coś zobaczyć jedynym widzącym okiem.

Red chciał mu odpowiedzieć, lecz nagle poczuł dziwne pieczenie w okolicach żołądka. Spojrzał w dół i zobaczył krew ciekącą z dziury w koszuli.

– O cholera, Chapman, dostałem! – Spanikowany wstał i rozdarł tkaninę, żeby przyjrzeć się ranie. Dwa kolejne strzały rozległy się jednocześnie; Red poleciał do tyłu. Padając, zaczepił nogami o okrężnicę, przechylając łódkę. Jej krawędź zbliżyła się do pędzącej masy wody, a ta wdarła się do środka, przewracając kanu.

Na pół oślepiiony, Chapman znalazł się nagle pod wodą. Rzeka była paraliżująco zimna. Przez jedną chwilę zdawało się, że jej dziki nurt nieco zwolnił, a wtedy Chapman spróbował ogarnąć śmiertelne zagrożenie. Jedynym funkcjonującym okiem widział ciało Reda unoszone przez prąd; jego krew barwiła rzekę strugą czarnego atramentu. Słyszał odbijające się w wodzie echa wielu kroków, dochodzących z brzegu, coraz bliższych. „Idą po mnie!” Rozpaczliwie pragnął złapać powietrze, wiedział jednak – ze strasliwą pewnością – co czeka go na powierzchni.

W końcu nie mógł już dłużej wytrzymać. Wysunął głowę ponad powierzchnię wody i łapczywie nabrał powietrza do płuc. Ale nie dane mu było zaczerpnąć kolejnego oddechu. Ponieważ ciągle nie widział na jedno oko, nie mógł też dostrzec opadającego na jego głowę tomahawka.

Glass wycelował do najbliższego stojącego Arikary i strzelił. Z przerażeniem patrzył, jak kilku wojowników brnie przez wodę i zadaje ciosy Chapmanowi, którego głowa wynurzyła się na powierzchnię. Zwłoki Reda spływały samotnie w dół rzeki. Glass sięgnął po strzelbę Świni i nagle usłyszał dziki okrzyk. Ogromny Indianin cisnął włócznią z brzegu. Glass schylił się instynktownie. Włócznia czysto weszła w bok łodzi, a jej ostrze przebiło się przez żebrowanie na drugą stronę. Glass wychylił się ponad burtę i strzelił, zabijając wielkiego Indianina na brzegu.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch i omiótł wzrokiem koryto rzeki. W miejscu, gdzie Platte zwężała się niebezpiecznie, stało trzech Arikarów. „Nie ma szans, żeby chybili”. Rzucił się przez plecy do wody w momencie, gdy rozległo się trio wystrzałów.

Początkowo zamierzał za wszelką cenę utrzymać w rękach strzelbę, lecz niemal natychmiast ją wypuścił. Zrezygnował też z pomysłu, aby spróbować płynąć z prądem i w ten sposób uciec pogoni. Lodowata woda prawie go sparaliżowała. Poza tym Arikara lada moment dosiędą wierzchowców, a może już to zrobili. Galopujący koń z łatwością prześcignie meandrującą Platte. Pozostało mu jak najdłuższe pozostawanie pod wodą i dotarcie do przeciwległego brzegu. Niech rzeka znajdzie się między nimi – a wtedy zyska szansę na znalezienie jakiejś kryjówki. Glass płynął z całych sił, kopiąc wodę nogami i wyrzucając ramiona do przodu.

Kanał powstały pośrodku rzeki był głęboki, woda zakrywała tu dorosłego mężczyznę. Nagle jakaś smuga przecięła wodę tuż przed Glassem; zdał sobie sprawę, że to strzała. Kule karabinowe siekły rzekę niczym minitorpedy, szukające tylko jego. „Widzą mnie!” Glass spróbował zanurzyć się jeszcze głębiej pod powierzchnię wody, ale czuł ucisk w piersi wywołany brakiem powietrza. „Co jest na tamtym brzegu?” Zanim powstało to całe zamieszanie, nie miał nawet okazji, by mu się przyjrzeć. „Muszę zaczerpnąć tchu!” Skierował się ku powierzchni.

Jego głowa wychyłała z wody, a wówczas usłyszał staccato kolejnych wystrzałów. Z grymasem na twarzy wziął głęboki oddech, spodziewając się, że w każdej chwili pocisk może roztrzaskać mu czaszkę. Wokół niego z pluskiem wpadały do wody kule karabinowe i strzały z łuków – żadna jednak go nie trafiła. Zlustrował północny brzeg, nim ponownie zanurkował. To, co zobaczył, dawało pewną nadzieję. Na odcinku mniej więcej czterdziestu jardów rzeka tworzyła tam piaszczystą łachę. Nie zapewniała ona żadnej ochrony; jeśli wyjdzie tu na brzeg,

zabijają go bez dwóch zdań. Jednakże na samym końcu owej łachy woda dochodziła do niskiego, trawiastego zbocza. Stanowiło ono jedyną szansę Glassa.

Zanurkował i płynął silnymi pociągnięciami rąk, a nurt go w tym wspomagał. Wydało mu się, że przez mętną wodę widzi już koniec piaszczystej łachy. Trzydzieści jardów. Pociski i strzały przecinały wodę. Dwadzieścia jardów. Skręcił bezpośrednio w stronę brzegu, a jego płuca bezwzględnie domagały się powietrza. Dziesięć jardów. Uderzył stopami o kamieniste dno, ale wciąż się nie wynurzał; desperackie pragnienie zaczerpnięcia tchu było słabsze niż strach przed pociskami Arikarów. Gdy woda stała się już nazbyt płytka, wstał, chwytając łapczywie powietrze, po czym zanurkował w wysoką, przybrzeżną trawę. Poczł szarpnięcie w łydce, ale zignorował je. Wczołgał się w gęste zarośla wikliny.

Ze swej chwilowej kryjówki obserwował to, co działo się nad rzeką. Po drugiej stronie czterech jeźdźców ponaglało konie do zejścia stromą skarpią w dół, na brzeg. Sześciu Indian stało na granicy wody i wskazywało na zarośla. Nagle coś przykuło uwagę Glassa. Nieco powyżej miejsca, w którym się znajdował, dwóch Arikarów wyciągało na brzeg ciało Chapmana. Glass odwrócił się i zaczął uciekać, lecz zatrzymał go ostry ból w nodze. Spojrzał w dół i zobaczył strzałę sterczącą z łydki. Nie przebiła kości. Krzywiąc się niemiłosiernie, wyciągnął strzałę jednym szybkim ruchem ręki. Odrzucił ją i podczołgał się w głąb zagajnika.

Pierwszym szczęśliwym dla Glassa zrzędzeniem losu okazała się decyzja młodej, nieco narowistej klaczy, która jako pierwsza z czwórki koni znalazła się w wodach Platte. Agresywne okładanie biczem zmusiło zwierzę do wejścia na płyciznę, lecz gdy straciło grunt pod nogami, ogarnęła je panika. Klacz zarżała i zaczęła rzucać łbem na boki, ignorując silne szarpnięcia cuglami; nie zważając na nic, wróciła na brzeg. Pozostałe trzy konie żywiły podobne zastrzeżenia w stosunku do zimnej wody i bardzo chętnie poszły w ślady młodej klaczy. Zbuntowane zwierzęta wpadły na siebie, wzburzając wodę w Platte i zrzucając do rzeki dwóch jeźdźców.

Nim ci zdołali odzyskać nad końmi kontrolę i batogami zmusić je do ponownego wejścia do wody, minęły cenne sekundy.

Glass przedarł się przez wiklinę i wypadł wprost na piaszczystą skarpię. Wdrapał się na nią i zobaczył pod sobą wąską rzecznią odnogę. Osłonięta od słońca przez większą część dnia, spokojna woda odnogi pozostawała zamarznęta, a na jej lodowej powierzchni zalegała cienka warstewka śniegu. Po drugiej stronie widać było kolejną stromą skarpię, a za nią gęstą masę wikliny i drzewa. „Tam”.

Glass ześliznął się po zboczu i wskoczył na zamarznęta taflę. Cienka warstwa śniegu nie dawała żadnego oparcia nogom i natychmiast ustąpiła. Mokasyny nie uzyskały najmniejszej przyczepności, Glass przewrócił się na plecy. Przez chwilę leżał nieruchomo, zaskoczony, wpatrując się w blade światło wieczornego nieba. Przewrócił się na bok i potrząsnął głową, żeby odzyskać jasność myśli. Słyszał

rzenie konia; zerwał się na nogi. Tym razem już bardzo ostrożnie przeszedł po wąskim kanale, a następnie wdrapał się na przeciwległy brzeg. Z tyłu dobiegał go odgłos końskich kopyt. Czym prędzej schował się w zaroślach.

Czterech jeźdźców Arikara wjechało na szczyt skarpy i spoglądało w dół. Nawet w przyćmionym świetle zmierzchu widać było wyraźnie ślady na powierzchni zamarznętej odnogi. Indianin przewodzący reszcie podciął konia. Ten wkroczył na lód, ale nie poszło mu lepiej niż Glassowi. A nawet gorzej, ponieważ płaskie kopyta zwierzęcia nie miały żadnej przyczepności. Zwierzę zaczęło w panice przebierać wszystkimi kończynami, które rozjechały się na boki i koń padł, miażdżąc nogę jeźdźcy. Indianin krzyknął z bólu. Korzystając z tej ewidentnej nauzki, pozostali trzej szybko zsiadli z koni i kontynuowali pościg na piechotę.

Ślad po Glassie szybko nikał w gęstych zaroślach po drugiej stronie odnogi. W świetle dnia byłby wyraźnie widoczny. Podczas desperackiej ucieczki Glass nie zwracał najmniejszej uwagi na fakt, że łamie za sobą gałęzie czy pozostawia odciski stóp na śniegu. Teraz jednak ostatnia blada poświata dnia ustępowała gęstniejącej ciemności. Wszelkie cienie zniknęły, rozpuszczając się w postępującym mroku.

Glass usłyszał krzyk przywalonego jeźdźcy i zatrzymał się. „Są na lodzie”. Obliczał, że dzieli go od pogoni jakieś pięćdziesiąt jardów gęstego zagajnika. Zdał sobie sprawę, że w tych ciemnościach głównym zagrożeniem są wydawane przez niego odgłosy. Przed nim zamajaczyła wielka topola. Chwycił rękoma za nisko zwisający konar i podciągnął się do góry.

Na wysokości ośmiu stóp główne gałęzie drzewa tworzyły szerokie rozwidlenie. Glass przykucnął tam, starając się powstrzymać przyspieszony oddech. Sięgnął do pasa i z ulgą dotknął rękojeści noża, bezpiecznie spoczywającego w pochwie. Nie brakowało również sac au feu z krzesiwem i draską. Wprawdzie strzelba spoczywała na dnie Platte, ale róg na proch wciąż wisiał mu przy szyi. Przynajmniej rozpalenie ognia nie będzie nastęcać problemów. Myśl o ogniu uświadomiła mu nagle, że ma przemoczone ubranie i po kąpieli w rzece jest przemarznięty do szpiku kości. Zaczął drzeć w sposób niekontrolowany, ze wszystkich sił starając się pozostać w bezruchu.

Trzasnęła gałązka. Glass wpatrywał się w polankę poniżej. W zaroślach stał tyczkowaty wojownik. Jego oczy lustrowały polanę w poszukiwaniu najmniejszych oznak obecności ściganego. Indianin trzymał w ręku długi karabin, za pas miał zatknięty toporek. Gdy wkroczył na przecinłę, Glass wstrzymał oddech. Idąc powoli w kierunku topoli, wojownik uniósł broń gotową do strzału. Nawet przy słabym świetle Glass wyraźnie widział na jego szyi lśniąco biały naszyjnik z zębów łosia oraz błyski mosiężnych bransoletek na przegubie. „Boże, tylko niech nie spojrzy do góry”. Serce waliło mu młotem z taką siłą, jakby chciało się wyrwać z piersi.

Indianin dotarł do pnia topoli i stanął. Jego głowa znajdowała się teraz nie dalej niż trzy jardy od Glassa. Wojownik ponownie przyjrzał się ziemi, a następnie rosnącym nieopodal zaroślom. Glass instynktownie znieruchomiał jak posąg, licząc, że wojownik po prostu pójdzie dalej. Im dłużej jednak spoglądał w dół, tym bardziej zaczynał przekonywać się do innego pomysłu – zabicia Indianina i odebrania mu broni. Sięgnął powoli po nóż i dotknął pokrzepiającej rękojeści; zaczął delikatnie wysuwać nóż z pochwy.

Skupił wzrok na gardle Indianina. Szybkie przecięcie tętnicy szyjnej nie tylko go zabije, ale także zdławi wszelki krzyk. Z powolnością, która wystawiła jego cierpliwość na wielką próbę, Glass uniósł ciało i napiął je przed skokiem.

Nagle na skraju polanki dał się słyszeć ponagląjący szept. Glass zobaczył drugiego wojownika wychodzącego z zarośli, z solidną włócznią w ręku. Zamarł. Gotując się do skoku, zdążył się już wysunąć z mizernej osłony, jaką dawał mu rozgałęziony pień drzewa. Tylko ciemność zasłaniała go teraz przed wzrokiem dwóch ścigających go wojowników.

Indianin znajdujący się pod Glassem odwrócił się, potrząsnął głową i wskazał na ziemię, po czym wykonał gest w stronę zarośli. Wyszeptał coś w odpowiedzi. Wojownik z włócznią podszedł do topoli. Glass miał wrażenie, że czas się zatrzymał; za wszelką cenę starał się zachować zimną krew. „Wytrzymaj”. Wreszcie Indianie podjęli decyzję i każdy z nich zniknął w innej przerwie w gęstych zaroślach.

Glass nie ruszał się z topoli przez kolejne dwie godziny. Słuchał nawoływań prześladowców i zastanawiał się nad następnym posunięciem. Po jakiejś godzinie jeden z Arikarów przeciął polankę, najwyraźniej w drodze powrotnej ku rzece.

Kiedy Glass w końcu zszedł z drzewa, odnosił wrażenie, że stawy zeszywniały mu na zawsze. Stopy miał jak sparaliżowane; musiało minąć kilka minut, zanim znów mógł chodzić normalnie.

Przetrwa tę noc, nie ulegało jednak wątpliwości, że Arikara wrócą o świcie. Glass zdawał też sobie sprawę, że za dnia zarośla nie dadzą mu schronienia i nie ukryją śladów jego obecności. Zaczął przebijać się przez gąszcz, starając się zachować kierunek równoległy do Platte. Chmury zakryły księżyc, temperatura nieco przekraczała zero. Nie mógł się pozbyć chłodu bijącego od mokrego ubrania, ale przynajmniej ciągły ruch sprawiał, że krew krążyła w nim żywiej.

Po trzech godzinach dotarł do źródelka, z którego brał początek niewielki strumień. Nadawał się idealnie. Glass brodził w wodzie, starając się pozostawić kilka wyraźnych śladów jednoznacznie wskazujących, że poszedł w górę potoku – w stronę przeciwną do Platte. Pokonał w ten sposób ze sto jardów, aż znalazł odpowiednie miejsce, skalisty brzeg, na którym nie pozostawia się żadnych tropów. Wyszedł z wody i przez skałki dostał się do zagajnika przysadzistych drzewek.

Były to głogi, których cierniste gałęzie stanowiły ulubione miejsce gniazdowania ptaków. Glass zatrzymał się i sięgnął po nóż. Odciął niewielki, postrzępiony kawałek swej bawełnianej koszuli i nabił go na kolce. „Nie sposób tego przeoczyć”. Potem zawrócił i przez skałki wlaźł z powrotem do strumienia, tym razem dokładając starań, aby nie zostawiać żadnych śladów. Brodząc, dotarł do jego środkowego odcinka i ruszył ku rzece.

Potok meandrował leniwie przez płaską równinę, a potem wpadał do Platte. Glass nieustannie potykał się na śliskich kamieniach zalegających w łożysku ciemnego strumienia. Woda sprawiała, że cały czas był mokry, ale starał się nie myśleć o zimnie. Nim doszedł do Platte, stracił czucie w stopach. Stał, trzęsąc się, w wodzie sięgającej kolan, z obawą myśląc, co ma teraz robić.

Przyglądał się rzece, chcąc zobaczyć coś więcej niż zarys drugiego brzegu. Widać tam było wiklinę i kilka topól. „Tylko nie zostaw śladów”. Wszedł do wody i oddychał coraz szybciej, w miarę jak jej poziom stopniowo dosięgał brzucha. W panujących ciemnościach Glass nie zauważył podwodnej półki. Zrobił krok do przodu i nagle zapadł się w wodzie po szyję. Dysząc gwałtownie z powodu szoku, jakim było zetknięcie się klatki piersiowej z lodowatą wodą, płynął zdecydowanie w kierunku drugiego brzegu. Gdy znów mógł stanąć na nogach, wołał pozostać w rzece. Szedł wzdłuż linii brzegowej, dopóki nie natrafił na dogodne wyjście – skaliste nadbrzeże graniczące z wikliną.

Ostrożnie przedzierał się przez wiklinę, a potem między topolami, zważając na każdy swój krok. Miał nadzieję, że Arikara nabiorą się na jego fortel przy źródle i strumieniu – z pewnością nie zakładali, że będzie chciał wrócić nad Platte. Mimo wszystko wołał nie zostawiać niczego ślepemu przypadkowi. Gdyby wpadli na jego trop, nie miałby się czym bronić, dlatego robił wszystko, co w jego mocy, by nie dać im tej szansy.

Błada poświata stała już na wschodzie, kiedy wreszcie wyszedł spomiędzy topól. W świetle pierwszego brzasku zobaczył ciemny zarys wielkiego płaskowyżu oddalonego o milę czy dwie. Jak okiem sięgnąć, ciągnął się on równoległe do rzeki. Tam go nie znajdą, tam zorganizuje sobie jakąś kryjówkę, może jaskinię, tam rozpali ognisko – wysuszy się i ogrzeje. Kiedy sytuacja się uspokoi, wróci nad Platte i uda się w dalszą drogę do Fort Atkinson.

W rodzącym się świetle nowego dnia Glass szedł ku majaczącemu przed nim płaskowyżowi. Pomyślał o Chapmanie i Redzie i poczuł nagłe ukłucie winy. Odpędził te myśli od siebie. „Teraz nie czas”.

Rozdział 26

14 kwietnia 1824 roku

Porucznik Jonathan Jacobs uniósł rękę i wykrzyknął krótką komendę. Kolumna składająca się z dwudziestu koni i jeźdźców zatrzymała się za nim, wzbijając tuman kurzu. Porucznik poklepał konia po spoconym boku i sięgnął po manierkę. Pociągając z niej długi łyk, starał się udawać nonszalancję. Prawdę mówiąc, każda minuta spędzona poza stosunkowo bezpieczną przystanią Fort Atkinson budziła w nim żywą niechęć. Nie cierpiał zwłaszcza chwili, gdy galopujący zwiadowca mógł przywieźć złe wieści wszelkiego rodzaju. Paunisi i banda zbuntowanych Arikarów grasowali na całej długości Platte, odkąd tylko stopniały śniegi. Porucznik starał się pohamować wyobraźnię i czekał na raport.

Zwiadowca, posiwiwały człowiek Dzikiego Zachodu, nazwiskiem Higgins, dogalopował aż na sam początek kolumny i dopiero wtedy ściągnął wodze. Frędzle na jego skórzanej kurtce zakołysały się, gdy wielki gniadosz zarył kopytami w ziemię.

– Idzie tu jakiś człowiek. Jest za wzgórzem.

– To znaczy Indianin?

– No chyba, poruczniku. Nie podjechałem tak blisko, żeby mu się przyjrzeć.

W pierwszym odruchu porucznik Jacobs chciał odesłać Higginsa z powrotem, dodając mu dla towarzystwa sierżanta i dwóch ludzi. Niechętnie doszedł jednak do wniosku, że powinien sprawdzić to sam.

Gdy zbliżyli się do krawędzi wzgórza, pozostawili jednego człowieka przy koniach, zaś reszta oddziału zaczęła się czołgać na brzuchach. Szeroka dolina Platte rozciągała się przed nimi na setki mil. W odległości kilkuset jardów samotna postać wędrowała brzegiem rzeki od ich strony. Z kieszeni na piersi bluzy porucznik Jacobs wyciągnął niewielką lunetę. Rozłożył ów mosiężny instrument na całą długość i pilnie wpatrywał się w okular.

Widział wprawdzie w powiększeniu, ale obraz cały czas ruszał się w górę i w dół, podczas gdy Jacobs próbował ustawić ostrość. W końcu znalazł obiekt – ubranego w zamszowy strój mężczyznę – i zatrzymał się na nim. Nie mógł dostrzec twarzy, widział tylko krzaczastą plamę brody.

– Niech mnie diabli – powiedział ze zdumieniem. – To biały. Co on tu robi, do cholery?

– To nie jest jeden z naszych – odrzekł Higgins. – Wszyscy dezercerzy walą prosto do St. Louis.

Być może dlatego, że człowiek ten nie wydawał się znajdować w bezpośrednim niebezpieczeństwie, w porucznika niespodziewanie wstąpił duch rycerski.

– Podjedźmy do niego.

Major Robert Constable reprezentował, aczkolwiek nie z własnej woli, czwarte pokolenie mężczyzn z rodziny Constable'ów, którzy kroczyli drogą kariery wojskowej. Jego pradziad walczył z Francuzami i Indianami jako oficer Dwunastego Regimentu Piechoty Jego Królewskiej Mości. Również dziadek dochował wierności rodzinnej tradycji – choć już niekoniecznie królowi – i bił się z Brytyjczykami w szeregach Armii Kontynentalnej pod wodzą Waszyngtona.

Natomiast ojciec Constable'a na polu zdobywania wojennej chwały miał pecha – podczas Rewolucji był jeszcze zbyt młody, a w czasie wojny 1812 roku zbyt stary, by brać w nich udział. Pozbawiony okazji, żeby własnymi zasługami uzyskać wojskowe dystynkcje, uznał, że powinien przynajmniej poświęcić armii jedynego syna. Młody Robert bardzo pragnął oddać się karierze prawniczej, marzyła mu się toga sędziowska. Jego ojciec nie miał jednakże najmniejszego zamiaru utrzymywać w kręgu rodzinnym jakiegoś prawniczego krętacza i wykorzystał znajomość z pewnym senatorem, aby zapewnić synowi miejsce w akademii West Point. Tak więc przez dwadzieścia nudnych lat major Robert Constable wspinał się z wolna po szczeblach kariery wojskowej. Żona przestała podążać za nim jakąś dekadę temu i mieszkała obecnie w Bostonie (w bezpośrednim sąsiedztwie swego kochanka, znanego sędziego). Gdy generał Atkinson i pułkownik Leavenworth wrócili na wschód kraju, żeby spędzić tam zimę, major Constable przejął tymczasowe dowództwo nad fortem.

Lecz nad czymże to sprawował władzę? Nad trzystoma żołnierzami piechoty (wśród których jedną połowę stanowili niedawni imigranci, a drugą – świeżo skazani przestępcy), stoma kawalerzystami (w których posiadaniu – co za pechowa asymetria – znajdowało się tylko pięćdziesiąt koni) oraz tuzinem porzewiałych dział. Jako jedyny władca dzielił się z poddanymi zamieszkującymi jego maleńkie królestwo gorczą swej skrzywionej kariery.

Major Constable siedział za długim biurkiem, mając u boku adiutanta, podczas gdy porucznik Jacobs przedstawiał mu zahartowanego od wiatru i deszczu trapera, którego był uratował.

– Znaleźliśmy go nad Platte, panie majorze – zameldował Jacobs jednym tchem. – Przeżył atak Arikarów nad północnym rozwidleniem rzeki.

Porucznik Jacobs stał opromieniony jasnym blaskiem swego bohaterstwa, oczekując niechybnych dowodów uznania dla owego aktu odwagi. Major Constable ledwie zaszczycił go spojrzeniem i rzekł:

– Jest pan wolny.

– Wolny, panie majorze?

– Tak przecież mówię.

Porucznik Jacobs nadal stał na miejscu, co nieco skonfundowany tak obcesowym potraktowaniem. Constable sformułował więc swój rozkaz bardziej dobitnie:

– Wyjdź pan stąd. – Uniósł rękę i machnął nią w powietrzu, jakby przeganiał komara. Do Glassa zwrócił się zaś z pytaniem: – Nazwisko?

– Hugh Glass. – Głos tego człowieka był tak samo poorany jak jego twarz.

– I jakimż to cudem znaleźliście się nad rzeką Platte?

– Jestem posłańcem niosącym wiadomość dla Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych.

O ile pojawienie się tego białego mężczyzny, całego pokrytego bliznami, nie wzbudziło najmniejszego zainteresowania zblazowanego majora, o tyle wzmianka o Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych – owszem. Przyszłość Fort Atkinson, nie mówiąc już o ratowaniu kariery wojskowej majora, zależała od handlu skórą i jego opłacalności. Cóż bowiem innego miała do zaoferowania ta niemal bezludna dzicz zamknięta nieprzebytymi górami?

– Z Fort Union?

– Fort Union jest opuszczony. Kapitan Henry przeniósł się do dawnej faktorii założonej przez Lisę nad Big Horn.

Major pochylił się do przodu w swoim fotelu. Całą zimę słał sumienne raporty do St. Louis. Żaden z nich nie zawierał niczego bardziej interesującego niż ponure doniesienia o panującej między jego ludźmi dyzenterii lub kurczącej się liczbie kawalerzystów, którzy dysponowali jeszcze końmi. A teraz wreszcie coś miał! Uratowanie człowieka pracującego dla Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych! Fort Union opuszczony! Nowy fort nad rzeką Big Horn!

– Proszę dać znać do kantyny, żeby przysłali panu Glassowi gorący posiłek.

Przez całą godzinę major zarzucał Glassa pytaniami o Fort Union, o nową faktorię nad Big Horn, o opłacalność całego przedsięwzięcia z handlowego punktu widzenia.

Glass starannie unikał dyskusji na temat osobistych motywów, które stały za jego powrotem na pogranicze. W końcu jednak musiał zadać to pytanie.

– Czy nie przewinął się człowiek z blizną w kształcie haczyka na ryby? Powinien nadejść od strony Missouri. – Palcami Glass pokazał kształt blizny tamtego, w kąciku ust.

Major Constable długo wpatrywał się w oblicze Glassa. Na koniec rzekł:

– Czy się przewinął? Nie...

Glass poczuł ostre ukłucie zawodu.

– Został tutaj – ciągnął Constable. – Wolał zaciąg do wojska niż wtrącenie do więzienia po awanturze w tutejszym barze.

„Jest tu!” Glass starał się zapanować nad sobą, wyprać twarz z wszelkich emocji.

– Domyślam się, że zna pan tego człowieka?

– Owszem.

– Czy to dezertter z Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych?

– Zdezertterował z czego się tylko dało. Poza tym jest złodziejem.

– To bardzo poważne oskarżenie. – Constable poczuł utajoną ekscytację niedoszłego sędziego.

– Oskarżenie? Nie przyszedłem tu pozywać nikogo do sądu, majorze. Mam zamiar wyrównać swoje rachunki z człowiekiem, który mnie okradł.

Constable wziął głęboki oddech, a jego podbródek uniósł się z wolna. Wypuściwszy powietrze z płuc, przemówił z taką cierpliwością, jakby instruował dziecko:

– Nie jesteśmy w dziczy, panie Glass. Radziłbym panu odzywać się do mnie z szacunkiem. Jestem majorem Armii Stanów Zjednoczonych i dowódcą tego fortu. Traktuję pańskie zarzuty poważnie. Dołożę wszelkich starań, by zostały szczegółowo zbadane. I oczywiście, będzie miał pan możliwość przedstawić dowody w sprawie...

– Dowody? On ma moją strzelbę!

– Panie Glass! – irytacja Constable’ a rosła. – Jeżeli szeregowy Fitzgerald ukradł pańską własność, zostanie ukarany zgodnie z przepisami prawa wojskowego.

– To nie musi być aż tak skomplikowane, majorze. – Glass nie potrafił ukryć szyderstwa w głosie.

– Panie Glass! – wybuchnął Constable. Bezsensowna służba na tej zapomnianej przez Boga placówce dostarczała codziennie przeróżnych okazji do sprawdzenia, jak major radzi sobie z racjonalizowaniem rzeczywistości. Nie miał zamiaru tolerować braku respektu dla powierzonej mu władzy. – Ostrzegam pana po raz ostatni. To ja tu wymierzam sprawiedliwość!

Major Constable zwrócił się do swego adiutanta.

– Znacie miejsce przydziału szeregowego Fitzgeralda?

– Jest w kompanii E, panie majorze. Udali się po drewno, wrócą dziś wieczorem.

– Aresztować go, kiedy pojawi się w forcie. Przeszukać jego kwaterę. Jeśli znajdziecie strzelbę, zabrać. Jutro rano o ósmej proszę przyprowadzić szeregowego do sali sądowej. Panie Glass, spodziewam się, że pan też będzie obecny. Ale wcześniej proszę się doprowadzić do porządku.

Za salę sądową majora służyła przestronna kantyna. Kilku żołnierzy przyniosło

biurko Constable'a z jego gabinetu i postawiło je na prowizorycznym podwyższeniu. Dzięki temu major miał możliwość prowadzić rozprawę z należytych wyzyn swej sędziowskiej władzy. W razie gdyby ktoś ośmielił się kwestionować jego oficjalne uprawnienia sędziego, Constable kazał umieścić za biurkiem dwie wielkie flagi.

Jeśli nawet kantynie brakowało splendoru prawdziwej sali rozpraw, była przynajmniej obszerna. Po wyniesieniu stołów mieściło się w niej stu widzów. Aby zapewnić sobie stosowną frekwencję, major Constable zwykle zwalniał prawie wszystkich mieszkańców fortu z innych zajęć. Rozrywek było tu niewiele, dlatego przedstawienia sądowe pod kierunkiem majora zawsze miały pełną salę. Zainteresowanie obecną wokandą przybrało szczególne rozmiary. Wieści o człowieku pogranicza z twarzą pokrytą bliznami i jego zdumiewających oskarżeniach rozniosły się po całym forcie z szybkością błyskawicy.

Siedząc na ławce ustawionej przy biurku majora, Hugh Glass obserwował salę; nagle drzwi kantyny otworzyły się gwałtownie.

– Baacznooość! – Zebrani wstali, gdy major Constable wkroczył do środka. Towarzyszył mu porucznik Neville K. Askitzen, którego żołnierze nazywali porucznikiem Ass-Kisserem{9}.

Constable przystanął, żeby obrzucić wzrokiem publiczność, po czym z królewską dumą ruszył na przód sali; Askitzen dreptał za nim. Usiadłszy, major skinął na porucznika, by zezwolił słuchaczom spocząć.

– Wprowadzić oskarżonego – rozkazał Constable. Drzwi otworzyły się ponownie i ukazał się w nich Fitzgerald, z rękami zakutymi w kajdany i strażnikami z obu stron. Publiczność wierciła się, chcąc widzieć jak najwięcej, podczas gdy strażnicy podprowadzili Fitzgeralda na przód sali, gdzie zbudowano coś w rodzaju barierki, ustawionych prostopadle i na prawo w stosunku do biurka majora. Więzień znalazł się tym samym dokładnie naprzeciwko Glassa, który siedział po lewej stronie majora.

Oczy Glassa wwierciły się w przybysza niczym świder w miękkie drewno. Fitzgerald miał teraz krótkie włosy i zgoloną brodę. Granatowe sukno zastąpiło skórzaną bluzę. Glass poczuł odrazę – ten człowiek siedział tutaj odziany w mundur, który zasługiwał przecież na szacunek.

Wydawało mu się zupełnie nierealne, że oto tamten znajduje się tak blisko. Glass walczył z ogarniającym go pragnieniem, by rzucić się na łajdaka, zacisnąć ręce na jego gardle i wycisnąć zeń życie. „Nie mogę tego zrobić. Nie tutaj”. Ich oczy spotkały się na jedną krótką chwilę. Fitzgerald skinął głową – jakby uprzejmie pozdrawiał Glassa!

Major Constable odchrząknął i zaczął:

– Niniejszym otwieram posiedzenie sądu wojskowego. Szeregowy Fitzgerald, macie prawo stanąć twarzą w twarz z waszym oskarżycielem oraz wysłuchać

formalnych zarzutów, jakie wnosi się przeciwko wam. Poruczniku, proszę odczytać zarzuty.

Porucznik Askitzen rozłożył kartkę papieru i zaczął dostojnie czytać w przytomności zebranych:

– Wysłuchamy dzisiaj skargi pana Hugh Glassa, zatrudnionego w Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych, przeciwko szeregowemu Johnowi Fitzgeraldowi, Armia Stanów Zjednoczonych, Szósty Regiment, kompania E. Pan Glass zarzuca oskarżonemu, że w czasie gdy pracował on dla Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych, ukradł powodowi strzelbę, nóż oraz inne należące do niego przedmioty. Jeśli pan Fitzgerald zostanie przez sąd wojskowy uznany za winnego, czeka go dziesięć lat więzienia.

Przez zebrany tłumek przebiegł szmer. Major Constable uderzył młotkiem sędziowskim o biurko i w sali zaległa cisza.

– Niech powód podejdzie do stołu. – Glass, zmieszany, podniósł wzrok na majora, który rzucił mu zniecierpliwione spojrzenie, a potem gestem przywołał do siebie.

Porucznik Askitzen już tam stał, z Biblią.

– Proszę podnieść prawą rękę – zwrócił się do Glassa. – Czy przysięga pan mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, tak mi dopomóż Bóg? – Glass skinął głową i powiedział „tak” swym słabym głosem, którego nie cierpiał, lecz którego nie mógł zmienić.

– Panie Glass, słyszał pan odczytane zarzuty? – zapytał Constable.

– Tak.

– Czy wszystko się zgadza?

– Tak.

– Czy chce pan wygłosić oświadczenie?

Glass się zawahał. Nie był przygotowany na tak formalny proces, cała ta procedura budziła w nim zdumienie. Z całą pewnością nie spodziewał się obecności setki świadków. Rozumiał, że Constable rządzi w tym forcje. Ale to była sprawa tylko między nim a Fitzgeraldem, nie zaś widowisko urządzone dla rozrywki jakiegoś aroganckiego oficera i setki nudzących się żołnierzyków.

– Panie Glass, czy ma pan coś do powiedzenia wysokiemu sądowi?

– Już wczoraj mówiłem, co się wydarzyło. Fitzgerald i chłopak nazwiskiem Bridger mieli za zadanie doglądać mnie po tym, jak zostałem zaatakowany przez niedźwiedzia grizzly nad rzeką Grand. Tymczasem po prostu zostawili mnie swemu losowi. Nie mam im tego za złe. Ale odchodząc, okradli mnie ze wszystkiego. Zabrali moją strzelbę, mój nóż, a nawet krzesiwo i draskę. Wzięli wszystko, co było niezbędne do przetrwania.

– Czy to jest strzelba, do której rości pan sobie prawa? – Major wyjął anstadta spod biurka.

– Tak, to moja strzelba.

– Czy może pan wskazać jakąś jej cechę szczególną?

Glass poczuł, jak wobec takiego żądania krew napływa mu do twarzy. „Dlaczego to mnie się tutaj przesłuchuje?” Wziął głęboki oddech:

– Na kolbie jest wygrawerowane nazwisko wytwórcy: J. Anstadt, Kutztown, Penn.

Major wyciągnął z kieszeni parę okularów i uważnie zbadał kolbę. Odczytał na głos:

– J. Anstad, Kutztown, Penn. – Przez salę przeszedł kolejny szmer.

– Czy chciałby pan coś jeszcze dodać, panie Glass?

Glass pokręcił głową.

– Jest pan wolny.

Glass wrócił na swoje miejsce naprzeciwko Fitzgeralda, a major kontynuował rozprawę.

– Poruczniku Askitzen, proszę zaprzysiąc oskarżonego. – Askitzen podszedł do barierki. Kajdany na rękach Fitzgeralda zadzwoniły, gdy kładł rękę na Biblii. Jego mocny, uroczysty głos składający przysięgę rozlegał się w całej kantine.

Major Constable odchylił się w fotelu.

– Szeregowy Fitzgerald, słyszeliście zarzuty stawiane przez pana Glassa. Co macie na swoją obronę?

– Dziękuję, że dano mi możliwość obrony, wysoki są... to znaczy panie majorze.

– Słyszając to przejęzyczenie, Constable rozpromienił się, a Fitzgerald ciągnął dalej. – Spodziewa się pan zapewne, że powiem, że Hugh Glass to kłamca, ale nie zamierzam tego robić, panie majorze. – Constable pochylił się do przodu z zaciekawionym wyrazem twarzy. Oczy Glassa zwięzły się; on także nie wiedział, do czego Fitzgerald zmierza.

– Wiem, że Hugh Glass to porządny człowiek, szanowany przez wszystkich traperów pracujących dla Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych. Rozumiem, że Hugh Glass wierzy, że każde wypowiedziane przez niego słowo w tej sprawie to najprawdziwsza prawda. Problem polega tylko na tym, panie majorze, że to, w co on wierzy, to stek bzdur, coś, co nigdy się nie wydarzyło. A prawda jest taka, że zanim go zostawiliśmy, majaczył w gorączce przez dwa dni. Ostatniego dnia temperatura bardzo mu podskoczyła, myśleliśmy, że to agonia. Jęczał i wykrzykiwał coś, widać było, że się męczy. Czuję się bardzo źle, że nic więcej nie możemy dla niego zrobić.

– W takim razie co dla niego zrobiliście?

– No cóż, nie jestem doktorem, ale starałem się jak najlepiej. Przygotowywałem gorące kompresy na jego gardło i plecy. Ugotowałem rosół i chciałem go nim nakarmić. Ale gardło miał w tak złym stanie, że nie mógł ani połykać, ani gadać.

To było dla Glassa aż nadto. Najdonioślejszym głosem, jaki zdołał z siebie

wydobyć, powiedział:

– Kłamstwo przychodzi ci z łatwością, Fitzgerald.

– Panie Glass! – zagrmiał Constable, a jego twarz przybrała nagle gniewny wyraz oburzenia. – To moja wokanda! Ja biorę świadków w krzyżowy ogień pytań. A pan niech trzyma język za zębami, albo oskarżę go o obrazę sądu!

Constable pozwolił, by waga jego oświadczenia wybrzmiała w sali, po czym zwrócił się do Fitzgeralda.

– Mówcie dalej, szeregowy.

– Nie dziwię się, że on nic nie pamięta, panie majorze. Przez cztery dni obozowaliśmy nad źródelkiem przy strumieniu niedaleko Grand. Zostawiłem przy rannym Glassie Bridgera, a sam poszedłem na polowanie nad główną rzekę. Nie było mnie przez większą część ranka. Jakąś milę od obozu natknąłem się na oddział Arikarów, będących na wojennej ścieżce. – Kolejny szmer poruszenia rozległ się wśród widowni; większość obecnych na sali tworzyli weterani wątpliwej sławy walk z plemieniem Arikara. – Początkowo Indianie mnie nie widzieli, popędziłem więc do obozu ile sił w nogach. Ale zauważyli mnie, kiedy dotarłem do strumienia. Ruszyli galopem, a ja już wbiegałem do obozu. Powiedziałem Bridgerowi, że zaraz tu będą Arikara i kazałem mu przygotować obóz tak, żeby stawić opór. Wtedy właśnie Bridger powiedział, że Glass nie żyje.

– Ty łajdaku! – Glass zerwał się i ruszył w kierunku Fitzgeralda. Dwóch żołnierzy z karabinami i bagnetami zagrodziło mu drogę.

– Panie Glass! – wrzasnął Constable, waląc młotkiem sędziowskim w stół. – Zechce pan usiąść i powstrzymać swój język albo każę pana aresztować!

Major potrzebował dłuższej chwili, by odzyskać panowanie nad sobą. Poprawił kołnierz kurtki wysadzanej mosiężnymi guzami i wrócił do przesłuchiwania Fitzgeralda.

– Jak widać, pan Glass wcale nie umarł. Czy zbadaliście go wtedy?

– Rozumiem, dlaczego Hugh jest taki wściekły, panie majorze. Nie powinienem był uwierzyć Bridgerowi na słowo. Ale kiedy tamtego dnia popatrzyłem na Glassa, był blady jak kreda i leżał kompletnie bez ruchu. Słyszeliśmy, że Arikara się zbliżają, prowadził ich strumień. Bridger zaczął krzyczeć, żebyśmy się stamtąd wynosili. Byłem pewien, że Glass nie żyje, dlatego uciekliśmy i schowaliśmy się.

– Ale wcześniej wzięliście jego strzelbę.

– Bridger wziął. Powiedział, że głupio zostawiać strzelbę i nóż Indianom. Nie było czasu, żeby się na ten temat spierać.

– Ale to wy byliście w posiadaniu strzelby.

– Tak jest, panie majorze, ja. Kiedy wróciliśmy do Fort Union, kapitan Henry nie miał pieniędzy, żeby zapłacić nam za pozostanie z Glassem. Henry poprosił, abym w ramach wynagrodzenia przyjął tę strzelbę. Oczywiście, panie majorze, cieszę się, że mam teraz szansę zwrócić ją Hugh.

– A co z krzesiwem i draską?
– Nie zabraliśmy ich, panie majorze. Przypuszczam, że dostały się Arikarom.
– Dlaczego jednak Indianie nie zabili pana Glassa, nie zdjęli mu skalpu, jak to zwykle czynią?

– Wyobrażam sobie, że także uznali go za martwego. Bez obrazy, ale na Hugh nie było zbyt wiele skalpu do zdjęcia. Niedźwiedź poharatał go strasznie; Arikara uznali chyba, że nie ma już sensu bardziej go okaleczać.

– Przebywacie w tej placówce od sześciu tygodni, szeregowy. Dlaczego nie zrzuciliście z ramion ciężaru i nie opowiedzieliście nikomu tej historii, aż do tej chwili?

Fitzgerald zrobił starannie obliczoną pauzę, zagryzł wargi i zwiesił głowę. Wreszcie podniósł wzrok na majora. Cichym głosem rzekł:

– Bo chyba, panie majorze, chyba było mi po prostu wstyd.

Glass patrzył na tę scenę, nie wierząc własnym oczom. Nie tyle zdumiewał go Fitzgerald, po którym można się było spodziewać wszelkiego rodzaju oszukaństwa, lecz raczej major, który zaczął kiwać głową w takt słów wypowiedzianych przez Fitzgeralda, niczym szczur tańczący pod dyktando piszczałki. „On mu wierzy!”

Fitzgerald kontynuował:

– Dopiero wczoraj dowiedziałem się, że Hugh Glass żyje, ale wcześniej naprawdę myślałem, że zostawiłem człowieka bez należytego pochówku. Każdy na to zasługuje, nawet na pograniczu...

Glass nie mógł więcej zdzierżyć. Sięgnął pod kapotę i wyjął zatknięty za pas, ukryty dotąd pistolet. Wypalił. Kula mocno chybiła celu, grzęznąc w barku Fitzgeralda. Glass usłyszał, jak tamten wrzasnął, i w tej samej chwili poczuł chwyt silnych rąk z obu stron. Szarpnął się z całych sił. W sali sądowej wybuchło pandemonium. Askitzen coś krzyczał; kątem oka Glass widział majora i jego złote epolety. Poczuł ostry ból z tyłu głowy i zapadła ciemność.

Rozdział 27

28 kwietnia 1824 roku

Glass ocknął się w ciemności zalatującej stęchlizną, z pulsowaniem w głowie. Leżał twarzą w dół na podłodze z nieheblowanych desek. Powoli przewrócił się na bok i dotknął ściany. Nad głową dostrzegł światło sączące się z wąskiej szczeliny w ciężkich drzwiach. Strażnica Fort Atkinson składała się z wielkiego pomieszczenia, w którym przetrzymywano pijaków i osoby dopuszczające się pospolitych przestępstw, oraz z dwóch drewnianych cel. Z tego, co Glass mógł usłyszeć ze swojej, wynikało, że we wspólnej ciupie siedzi trzech lub czterech ludzi.

Przestrzeń zdawała się kurczyć wokół leżącego, zamykała się wokół niego niczym trumna. Cela skojarzyła mu się nagle z zawilgoconą ładownią okrętu, przypomniało mu się tamto nieznośne, pełne ograniczeń życie na morzu, które zdążył znienawidzić. Nad brwiami zbierały mu się strużki potu, oddychał szybko, sporadycznie dysząc. Starał się zapanować nad sobą, nie myśleć o zamkniętej przestrzeni więzienia, lecz o otwartych równinach prerii, o falującym bezkresnym oceanie trawy, sięgającym aż po góry na odległym horyzoncie.

Liczył mijający czas na podstawie obserwacji ustalonego porządku dnia w strażnicy: zmiana wart o świcie, dostawa chleba i wody około południa, zmiana wart o zmierzchu, potem noc. Po dwóch tygodniach usłyszał skrzypienie bramy wejściowej i poczuł powiew świeżego powietrza.

– Trzymać się z dala, wy śmierdzący kretyni, bo porozwalam wam łby – powiedział wypalony głos, który zbliżał się coraz bardziej ku celi Glassa. Więzień usłyszał brzęk kluczy, a potem trzaśnięcie zamka. Rygiel odskoczył, drzwi się otworzyły.

Pod wpływem światła musiał zmrużyć oczy. W korytarzu stał sierżant z żółtymi naszywkami i siwymi bokobrodami.

– Major Constable wydał rozkaz. Możesz wyjść. A właściwie musisz wyjść. Do jutra do południa masz zniknąć z tego fortu, albo oskarżą cię o kradzież pistoletu i użycie go do zrobienia dziury w szeregowym Fitzgeraldzie.

Po dwóch tygodniach spędzonych w celi światło dnia oślepiło Glassa. Gdy nagle ktoś powiedział: „Bonjour, Monsieur Glass”, potrzebował minuty, aby skoncentrować wzrok na tłustym, dziobatym obliczu Kiowy Brazeau.

– Co pan tu robi, Kiowa?

– Przypłynąłem z St. Louis z dostawą towarów.

– Pomaga mi pan wydostać się z więzienia?
– Tak. Jestem w dobrych stosunkach z majorem Constable'em. Pan natomiast, jak się wydaje, wpakował się w niezłe tarapaty.

– Jedyne mój problem to ten, że pistolet nie strzelał celnie.
– O ile wiem, ten pistolet nie należał do pana. Ale to – owszem. – Kiowa wręczył Glassowi strzelbę, a Glass skupił na niej wzrok.

Anstadt. Chwycił strzelbę za dolną część kolby i lufę, przypominając sobie jej solidny ciężar. Sprawdził zamek i spust, które potrzebowały świeżego smaru. Na ciemnej strukturze kolby widać było kilka nowych zadrapań; Glass zauważył wyryte w niej niewielkie litery – „JF”.

Zalała go fala gniewu.

– Co się stało z Fitzgeraldem?
– Major Constable przywrócił go do pełnienia obowiązków.
– Bez żadnej kary?
– Musi oddać dwa miesięczne żołdy.
– Dwa żołdy!
– No cóż, ma też dziurę w ramieniu, której tam wcześniej nie było. A pan odzyskał strzelbę.

Kiowa wpatrywał się w Glassa i z łatwością czytał z jego twarzy.

– W razie gdyby strzeliło coś panu do głowy, radziłbym nie używać anstadta na terenie tego fortu. Constable uwielbia pełnić rolę sędziego i chętnie poprowadziłby rozprawę o usiłowanie morderstwa. Ustąpił, ponieważ przekonałem go, iż jest pan protegowanym Monsieur Ashleja.

Szli razem przez plac apelowy. Stał tam maszt z flagą, podtrzymujące go liny były mocno naprężone, przeciwstawiając się naporowi zimnej, wiosennej bryzy. Flaga łopotiała na wietrze, jej brzegi postrzępiły się od nieustannego trzepotania.

– Widzę, że głupie myśli chodzą ci jednak po głowie, przyjacielu – odezwał się Kiowa. Glass zatrzymał się i spojrzał Francuzowi prosto w oczy. Ten mówił dalej:
– Przykro mi, że nie doszło do takiego spotkania z Fitzgeraldem, jakiego by pan sobie życzył. Ale chyba zdążył już pan zauważyć, że nie wszystko w życiu układa się po naszej myśli.

Stali tak przez chwilę, jedynym dobiegającym ich dźwiękiem był łopot flagi.

– To nie takie proste, Kiowa.
– Oczywiście, że nie. Kto mówi, że to jest proste? Ale wie pan co? Nie zawsze wszystko da się zapiąć na ostatni guzik. Trzeba zadowolić się takimi kartami, jakie się dostało. I ruszać dalej. – Kiowa kuł żelazo: – Niech pan jedzie ze mną do Fort Brazeau. Jeśli wszystko potoczy się dobrze, zrobię z pana swojego współnika.

Glass powoli pokręcił głową.

– To bardzo szczodra oferta, Kiowa, ale nie wydaje mi się, bym umiał gdzieś

zagrzać miejsce na dłużej.

– W takim razie co pan planuje?

– Mam wiadomość do przekazania Ashleyowi w St. Louis. Co zrobię później, nie wiem jeszcze. – Glass zamilkł na chwilę, a potem dodał: – I ciągle mam pewne sprawy do załatwienia tutaj.

Nie powiedział już nic więcej. Także Kiowa milczał przez dłuższy czas. Wreszcie rzekł cicho:

– Il n'est pire sourd que celui qui ne veut pas entendre. Wie pan, co to znaczy?

Glass pokręcił głową.

– To znaczy: najbardziej głuchy jest ten, kto nie chce słuchać. Po co przyjechał pan na pogranicze? – zapytał stanowczym tonem Kiowa. – Żeby wytropić pospolitego złodzieja? Żeby nasycić się zemstą, która potrwa sekundę? Myślałem, że chodzi panu o coś więcej.

Glass nadal milczał. Wreszcie Kiowa rzekł:

– Jeśli chcesz umrzeć w tej strażnicy, twoja sprawa. – Francuz odwrócił się na pięcie i ruszył przez plac apelowy. Glass zawahał się, po czym poszedł za nim.

– Napijmy się whiskey – krzyknął Kiowa przez ramię. – Chciałbym coś usłyszeć o rzekach Powder i Platte.

Kiowa pożyczył Glassowi pieniądze na zakup nowych zapasów i ekwipunku, a także na nocleg w czymś, co w Fort Atkinson uchodziło za zajazd – a był to rząd sienników na strychu budynku należącego do armijnego dostawcy. Whiskey zwykle wpływała na Glassa usypiająco, lecz tego wieczoru było inaczej. Nie pomogła mu jednak rozjaśnić myśli kłębiących się w głowie, na próżno starał się je poukładać. Jaka jest odpowiedź na pytanie zadane przez Kiowę?

Glass wziął anstadta i wyszedł na plac apelowy, wprost na rzeńskie powietrze. Nocne niebo, choć bezksiężycowe, było idealnie czyste, wysadzone miliardem migotliwych gwiazd. Po prymitywnych schodkach wszedł na wąską palisadę otaczającą fort. Widok stamtąd był powalający.

Obejrzał się przez ramię na zabudowania fortu. Po drugiej stronie placu apelowego znajdowały się koszary. „On tam jest”. Ileż to setek mil musiał przebyć, żeby znaleźć Fitzgeralda? A teraz jego zwierzyna spała sobie spokojnie o kilka kroków stąd. Poczul w rękę zimny metal swojego anstadta. „Czy mogę teraz tak po prostu stąd odejść?”

Odwrócił się i ponad palisadą fortu spojrzął ku rzece Missouri.

Na jej ciemnych wodach tańczyły gwiazdy, ich refleksy znaczyły obecność nieba na ziemi. Glass szukał źródeł tych promieni. Znalazł pochyły ogon Wielkiej i Małej Niedźwiedzicy, a także Gwiazdę Polarną – jej krzepiącą, niezmienną obecność. „Gdzie jest Orion? Gdzie myśliwy ze swoim mieczem pomsty?”

Nagle lśniąca iskra wielkiej gwiazdy o nazwie Wega zabłysła, jakby chciała zwrócić na siebie uwagę Glassa. Tuż obok niej rozpoznał gwiazdozbiór zwany Cygnus – Łabędziem.

Wpatrywał się w Łabędzia, a im dłużej patrzył, tym bardziej jego prostopadłe linie wydawały się formować krzyż. Krzyż Północy. Tak potocznie nazywają gwiazdozbiór Cygnus, pomyślał. Chyba bardziej stosowna nazwa.

Tamtej nocy Glass długo stał na wysokich umocnieniach fortu, słuchając szumu Missouri i wpatrując się w gwiazdy. Rozmyślał nad miejscami, w których woda bierze swój początek, nad potężnymi górami Big Horn, których szczyty dane mu było widzieć, lecz nigdy do nich dotrzeć. Zdumiewał się gwiazdami i nieboskłonem, znajdując w ich nieskończoności pociechę wobec małych spraw swego niewielkiego świata. Wreszcie zszedł po schodkach z palisady i wsunąwszy się do budynku, szybko zapadł w sen, który nie chciał doń przyjść wcześniej.

Rozdział 28

7 maja 1824 roku

Jim Bridger już miał zapukać do drzwi kapitana Henry'ego, ale zawahał się. Od siedmiu dni nikt nie widział, żeby kapitan wychodził ze swojej kwatery. Dokładnie tydzień temu Indianie z plemienia Wron znów ukradli konie. Nawet powrót Murphy'ego z udanego polowania nie mógł wywabić Henry'ego z jego samotni.

Bridger wziął głęboki oddech i zapukał. Ze środka dobiegł go jakiś szelest, a potem zapadła cisza.

– Kapitanie? – Znów cisza. Bridger odczekał chwilę, a następnie otworzył drzwi.

Henry siedział zgarbiony za biurkiem skleconym z dwóch beczek i jednej deski. Ramiona miał okryte wełnianym kocem w taki sposób, że przypominał Bridgerowi starca pochylonego nad piecykiem w jakimś sklepie kolonialnym. W jednej ręce trzymał gęsie pióro, w drugiej kartkę papieru. Bridger rzucił na nią okiem. Długie rzędy cyfr biegingy z lewej ku prawej stronie kartki, ich kolumny sięgały od góry do dołu. Wszystko plamiły kleksy atramentu, jakby pióro napotykało częste przeszkody i musiało się zatrzymywać, plując tuszem niczym krwią. Na całej powierzchni biurka i na podłodze wały się kule zmiętego papieru.

Bridger czekał, aż kapitan zechce się odezwać albo przynajmniej unieść wzrok. Długo nic się nie działo. Nareszcie kapitan podniósł głowę. Sprawiał wrażenie, jakby nie spał od wielu dni, nabiegłe krwią oczy spoglądały sponad zwisających, szarych worków. Bridger zastanawiał się, czy to, co powiadali niektórzy traperzy, było prawdą: że kapitan traci zmysły.

– Znasz się na rachunkach, Bridger?

– Nie, panie kapitanie.

– Ja też nie. W każdym razie nie bardzo. Właściwie to cały czas mam nadzieję, że jestem zbyt głupi, żeby to wszystko prawidłowo podliczyć. – Kapitan znów spojrział na papier. – Kłopot w tym, że wykonuję te same działania od nowa i ciągle wychodzi ten sam wynik. To chyba nie moje zdolności matematyczne są tu problemem, tylko to, że ten wynik zupełnie nie jest po mojej myśli.

– Nie wiem, o czym pan mówi, panie kapitanie.

– Mówię o tym, że jesteśmy ugotowani. Mamy trzydzieści tysięcy dolarów w plecy. Bez koni nie będziemy mieć w terenie odpowiednio dużo ludzi, żeby odrobić tę stratę. A nie zostało nam nic, co moglibyśmy wymienić za konie.

– Murphy właśnie wrócił z gór Big Horn, z dwoma tobołami skór.

Kapitan filtrował tę wiadomość przez nieprzyjemne doświadczenia ze swojej przeszłości.

– To jest nic, Jim. Dwa toboły futer nie sprawią, że staniemy na nogi. Nawet dwadzieścia takich tobołów.

Rozmowa nie zmierzała w kierunku, na który liczył Jim. Od dwóch tygodni zbierał się w sobie, żeby odbyć to spotkanie z kapitanem. A teraz wszystko szło niewłaściwym torem. Zwalczył chęć rejterady. „Nie. Nie tym razem”.

– Murphy mówi, że wysyła pan kilku ludzi w góry, aby poszukali Jeda Smitha.
– Kapitan nie raczył potwierdzić tej informacji, lecz Jim brnął dalej. – Chcę jechać z nimi.

Henry spojrział na chłopaka. W jego oczach jaśniała nadzieja, niczym jutrzienka przed wiosennym dniem. Ileż to czasu minęło od chwili, gdy on sam odczuwał choćby odrobinę owego młodzieńczego entuzjazmu? „Dużo czasu – było, minęło”.

– Oszczędzę ci kłopotu, Jim. Byłem w tych górach. Są jak fałszywy szyld burdelu. Wiem, czego szukasz, ale tego tam nie ma.

Jim nie miał pojęcia, jak na to odpowiedzieć. Nie rozumiał, dlaczego kapitan tak dziwnie się zachowuje. Może faktycznie zwariował. Bridger nie znał się na tym, ale wiedział i wierzył z niezachwianą pewnością, że kapitan Henry się myli.

Znów na długo zaległa między nimi cisza. Skrępowanie rosło, ale Jim nie odchodził. Wreszcie kapitan spojrział na niego i rzekł:

– Twój wybór, Jim. Jedź, skoro tego chcesz.

Bridger wyszedł na dziedziniec, mrużąc oczy w jaskrawym świetle poranka. Ledwie zauważał rzeźkie powietrze, które szczypało go w twarz, pozostałość odchodzącej pory roku. Nim zima wreszcie odpuściła, spadło jeszcze trochę śniegu, ale wiosna już zaczynała brać równiny w swoje posiadanie.

Jim wspiął się po krótkiej drabinie na palisadę. Oparł się łokciami o jej krawędź i zagapił na góry Big Horn. Po raz kolejny wyszukał wzrokiem głęboki kanion, który wyglądał, jakby wrzynał się w sam środek gór. „Czy tak rzeczywiście jest?” Uśmiechnął się na myśl o nieskończonych możliwościach, o tym, co mogło znajdować się za owym kanionem, za szczytami gór, co otwierało się przed nim jeszcze dalej.

Uniósł oczy na horyzont, który roztaczał się ponad ośnieżonymi wierzchołkami gór, śnieżnobiałymi na tle zimnobłękitnego nieba. Gdyby chciał, mógłby się tam wspiąć. Wspiąć się tam i dotknąć widnokrzęgu, przeskoczyć przez niego i zobaczyć następny.

Nota historyczna

Czytelnik ma prawo się zastanawiać, czy wydarzenia przedstawione w tej powieści odpowiadają prawdzie historycznej. Na epokę traperów składa się mroczna mieszanka faktów i legend, a niektóre z owych legend znalazły bez wątpienia swój wyraz w historii Hugh Glassa. Powieść Zjawa należy do beletrystyki. Mimo to starałem się pozostać wierny prawdzie historycznej w odmalowaniu głównych wydarzeń.

O Hugh Glassie wiadomo na pewno, że jesienią 1823 roku, podczas zwiadu, jako jeden z członków grupy pracującej na rzecz Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych, zaatakowany przez niedźwiedzia grizzly został straszliwie poturbowany; że później jego towarzysze pozostawili go na pastwę losu, w tym także ci dwaj mężczyźni, których zadaniem było doglądać Glassa. Wiadomo też, że udało mu się mimo wszystko przeżyć i rozpocząć swą wielką epopeję w poszukiwaniu zemsty. Najbardziej wyczerpującym dziełem historycznym traktującym o Glassie jest jego zajmująca biografia autorstwa Johna Myersa Myersa, zatytułowana *The Saga of Hugh Glass*. W sposób poruszający opisuje Myers niektóre z najbardziej niezwykłych epizodów z życia Glassa, w tym jego uwięzienie przez pirata Jeana Lafitte'a oraz – w późniejszym okresie – pojmanie przez Indian z plemienia Paunisów.

Między historykami istnieje różnica zdań, czy rzeczywiście jednym z dwóch mężczyzn pozostawionych do opieki nad Glassem był Jim Bridger, jakkolwiek większość z nich przychyliła się do tej tezy (choć jeden z badaczy, Cecil Alter, w swojej biografii Bridgera z roku 1925 żarliwie temu twierdzeniu się przeciwstawia). Mamy poważne dowody świadczące o tym, że w forcie nad rzeką Big Horn doszło do konfrontacji Glassa z Bridgerem i że Glass tamtemu w końcu wybaczył.

W kilku miejscach tej opowieści pozwoliłem sobie – ze względów literackich – na pewne zmiany w materiale historycznym, o których chciałbym wspomnieć. Istnieją przekonujące dowody, że Glass ostatecznie dopadł Fitzgeralda w Fort Atkinson i że ów zdrajca nosił wówczas mundur Armii Stanów Zjednoczonych. Jednakże relacje z tego spotkania są bardzo pobieżne. Brak dowodów na przeprowadzenie oficjalnego procesu sądowego, który tu przedstawiłem. Postać majora Constable'a jest całkowicie fikcyjna, podobnie jak incydent, w którym Glass strzela Fitzgeraldowi w ramię. Dysponujemy jednak materiałami wskazującymi, że Hugh Glass odłączył się od grupki Antoine'a Langevina jeszcze

przed atakiem Arikarów (Touissant Charbonneau rzeczywiście był wtedy z Langevinem i wyszedł z napaści cało, ale okoliczności jego ocalenia nie są jasne). Postaci Professeura, Dominique'a Cattoire'a i La Vièrge' a Cattoire'a są całkowicie fikcyjne.

Wymyśliłem również Fort Talbot i jego mieszkańców, lecz poza tym wszystkie geograficzne punkty odniesienia w jego okolicy starałem się uczynić jak najbardziej wiarygodnymi. Atak, który Indianie Arikara przeprowadzili wiosną 1824 roku na Glassa i jego towarzyszy, faktycznie miał miejsce, podobno u zbiegu rzek North Platte i (jak ją później nazwano) Laramie. W tym miejscu, po jedenastu latach od owych wypadków, powstał Fort William, poprzednik Fort Laramie.

Czytelnicy zainteresowani epoką traperów docenią historyczną ucztę, którą oferują m.in.: klasyczna pozycja autorstwa Hirama Chittendena *The American Fur Trade of the Far West* oraz najnowsza książka Roberta M. Utleya *A Life Wild and Perilous*.

W latach, które nastąpiły po okresie przedstawionym w tej powieści, jej główni bohaterowie wciąż wiedli życie pełne przygody, zakończone tragedią lub chwałą. Warto wspomnieć o najważniejszych postaciach z tego grona:

Kapitan Andrew Henry: Latem roku 1824 Henry i grupa jego ludzi spotkali się z oddziałem Jeda Smitha na terenie dzisiejszego stanu Wyoming. Henry'emu udało się wreszcie zdobyć pokaźną ilość skór, aczkolwiek nie tyle, by wystarczyło na pokrycie długów. Smith pozostał w terenie, natomiast Henry wrócił do St. Louis z całą zdobyczą. W najlepszym razie można ją było uznać za skromną, Ashley uważał jednak, iż ilość pozyskanych futer uzasadnia natychmiastowe ponowne wyruszenie w drogę. Zdobył fundusze na kolejną ekspedycję, która pod dowództwem Henry'ego opuściła St. Louis w dniu 21 października 1824 roku. Z powodów nieodnotowanych przez historię niedługo później Henry zrejterował z pogranicza.

Gdyby Henry wytrzymał w Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych jeszcze rok, stałby się – podobnie jak inne znaczące postaci w tym syndykacie – człowiekiem zamożnym i mógłby spokojnie przejść na emeryturę. Lecz oto po raz kolejny kapitan dowiódł swej osobliwej inklinacji do pecha. Swoje udziały w firmie sprzedał za niewielką kwotę. Nawet te ograniczone środki pozwoliłyby mu na wygodne życie, lecz Henry wolał zainwestować w prowadzenie firmy udzielającej poręczeń. Gdy okazało się, że kilku dłużników nie spłaciło należności, zbankrutował i stracił wszystko. Zmarł bez grosza w roku 1832.

William H. Ashley: Warto odnotować, jak bardzo mogą się różnić losy dwóch wspólników tej samej firmy. Mimo ciągle rosnących długów Ashley

niezachwianie wierzył, że handel futrami przyniesie mu fortunę. Przegrawszy wybory na stanowisko gubernatora stanu Missouri w roku 1824, poprowadził grupę traperów nad południowe rozwidlenie rzeki Platte. Został pierwszym białym człowiekiem, który pływał po rzece Green, aczkolwiek przedsięwzięcie to nieomal skończyło się dlań katastrofą u ujścia dzisiejszej rzeki Ashley.

Eskapada okazała się niezbyt owocna, futer pozyskali niewiele. Pewnego dnia Ashley i jego ludzie spotkali grupę zniechęconych do swej pracy traperów z Kompanii Zatoki Hudsona. Wskutek owianej tajemnicą transakcji Ashley wszedł w posiadanie stu tobołów bobrowych skórek. Niektórzy twierdzą, że doszło wtedy do splądrowania składów tej firmy. Jednak według bardziej wiarygodnych relacji Ashley po prostu bardzo mocno się targował i jedyną jego winą było zrobienie świetnego interesu. Tak czy owak, jesienią 1825 roku sprzedał owe futra w St. Louis za ponad 200 tysięcy dolarów – za co mógł przeżyć w dostatku resztę życia.

W roku 1826, podczas spotkania z Jedediahem Smithem, Davidem Jacksonem i Williamem Sublettem, Ashley sprzedał im swoje udziały w Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych. Jako pomysłodawca systemu, w którym odbiorcy futer spotykali się w ustalonych lokalizacjach z traperami, aby przejąć towar, Ashley stał się ojcem sukcesu wielu z nich, zapewniając sobie w historii miejsce potentata epoki handlu skórkami. Osiągnąwszy sukces, ostatecznie wycofał się z branży handlowej.

W 1831 roku mieszkańcy stanu Missouri wybrali Ashleya na swojego przedstawiciela w Kongresie w miejsce Spencera Pottisa (który zginął w pojedynku). Ashley dwukrotnie jeszcze zwyciężał w wyborach i odszedł z polityki w 1837 roku. Zmarł w roku 1838.

Jim Bridger: Jesienią 1824 roku Jim Bridger przekroczył Góry Skaliste i jako pierwszy biały człowiek stanął nad wodami Wielkiego Jeziora Słonego. W roku 1830 został współnikiem w Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych i żył z handlu skórkami aż do załamania się tej branży w latach czterdziestych XIX wieku. Gdy opłacalność polowań na zwierzęta futerkowe dramatycznie spadła, Bridger załapał się na drugą falę ekspansji na Zachód. W 1838 roku na terenach dzisiejszego stanu Wyoming zbudował Fort Bridger, który stał się ważną placówką handlową na Szlaku Oregońskim, później przekształconą w posterunek wojskowy oraz stację szybkiej konnej poczty Pony Express. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XIX wieku Bridger pełnił często funkcję przewodnika nowych osadników, grup badawczych oraz Armii Stanów Zjednoczonych.

Jim Bridger zmarł 17 lipca 1878 roku niedaleko Westport w stanie Missouri. Ze względu na swe życiowe osiągnięcia trapera, eksplorera i przewodnika, Bridger bywa określany mianem Króla ludzi gór. Dziś na całym Zachodzie spotyka się

górskie szczyty, strumienie i miasteczka noszące jego imię.

John Fitzgerald: O Johnie Fitzgeraldzie wiadomo niewiele. Istniał naprawdę; to on jest powszechnie uważany za jednego z dwóch mężczyzn, którzy zostawili Hugh Glassa na pastwę losu. Uważa się również, że zdezerterował z Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych, by w Fort Atkinson zaciągnąć się do Armii Stanów Zjednoczonych. Pozostałe elementy dotyczące jego życia są wyłącznie moim wymysłem.

Hugh Glass: Jak się wydaje, z Fort Atkinson Glass powędrował w dół rzeki do St. Louis z wiadomością od Henry'ego do Ashleya. W St. Louis przyłączył się do oddziału traperów zmierzającego do Santa Fe. Spędził rok, polując nad rzeką Helo. Około roku 1825 Glass znalazł się w Taos, ówczesnym centrum handlu futrami na południowym zachodzie kraju.

Te niezbyt obfitujące w dziką zwierzynę okolice szybko zupełnie opustoszały i Glass znów skierował się ku północy. Zakładał pułapki nad rzekami Colorado, Green i Snake, aż wreszcie znalazł się w dorzeczu Missouri. W 1828 roku tak zwani „wolni traperzy” wybrali Glassa na reprezentanta swych interesów podczas negocjacji mających na celu przełamanie monopolu Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych. W poszukiwaniu zwierzyny Glass zapuszczał się bardzo daleko na zachód, do samej rzeki Columbia, a po pewnym czasie skupił swą uwagę na wschodniej grani Gór Skalistych.

Zimą roku 1833 spędził w placówce zwanej Fort Cass, niedaleko dawnego fortu Henry'ego, u zbiegu rzek Yellowstone i Big Horn. Pewnego ranka, w lutym, Glass w towarzystwie dwóch innych traperów przekraczał zamarzną Yellowstone, wyruszywszy właśnie na kolejny rekonesans. Cała trójka wpadła w zasadzkę zastawioną przez trzydziestu wojowników z plemienia Arikara i została zabita.

Podziękowania

Wielu moich przyjaciół i członków rodziny (a także kilku bardzo uprzejmych nieznanym) poświęciło mi swój cenny czas, czytając wstępne wersje tej książki i czyniąc ją lepszą dzięki krytyce i słowom zachęty. Na liście tych, którym dziękuję, znajdują się następujące osoby: Sean Darragh, Liz i John Feldmanowie, Timothy Punke, Peter Scher, Kim Tilley, Brent i Cheryl Garrettwie, Marilyn i Butch Punke, Randy Miller, Kelly MacManus, Marc Glick, Bill i Mary Strongowie, Mickey Kantor, Andre Solomita, Ev Ehrlich, Jen Kaplan, Mildred Hoecker, Monte Silk, Carol i Ted Kinneyowie, Ian Davis, David Kurapka, David Marchick, Jay Ziegler, Aubrey Moss, Mike Bridge, Nancy Goodman, Jennifer Egan, Amy i Mike McManamenowie, Linda Stillman oraz Jacqueline Cundiff.

Dziękuję ponadto grupce zupełnie wyjątkowych nauczycieli z Torrington w stanie Wyoming: Ethel James, Betty Sportsman, Ediemu Smithowi, Rodgerowi Clarkowi, Craigowi Sodaro, Randy'emu Adamsowi oraz Bobowi Latcie. Jeśli kiedykolwiek zadawaliście sobie pytanie, czy nauczyciele wywierają jakiś wpływ na uczniów, wiedzcie, proszę, że w moim przypadku tak się z pewnością stało.

Szczególne słowa wdzięczności kieruję do fantastycznej Tiny Bennett z agencji Janklow & Nesbit. To Tinie książka ta zawdzięcza swoje zalety, natomiast za wszystkie jej niedostatki ponoszę odpowiedzialność wyłącznie ja sam. Dziękuję utalentowanej asystentce Tiny, Svetlanie Katz, która (między innymi) nadała tej powieści tytuł. Podziękowania składam także Brianowi Siberellowi z Creative Artists Agency za jego wspaniałe dokonania w Hollywood oraz Philipowi Turnerowi i Wendie Carr z firmy Carroll & Graf.

Ale najważniejsze, wyjątkowe słowa wdzięczności należą się mojej rodzinie. Dziękuję Ci, Sophie, za pomoc w eksperymentowaniu z ruchomą pułapką. Dziękuję, Bo, że w tak niesamowity sposób naśladowałeś zachowanie niedźwiedzia grizzly. A Tobie, Traci, dziękuję za nieustannie wsparcie i cierpliwą uwagę podczas wyteżonej lektury książki, którą przeczytałaś sto razy.

Bibliografia

- Cecil J. Alter, Jim Bridger, 1925.
- Stephen E. Ambrose, Undaunted Courage, 1996.
- Biblioteka Kongresu Stanów Zjednoczonych, The North American Indian Portfolios, 1993.
- Tom Brown, Tom Brown's Field Guide to Wilderness Survival, 1983.
- Hiram Martin Chittenden, The American Fur Trade of the Far West, tomy I i II, 1902.
- Bernard DeVoto, Across the Wide Missouri, 1947.
- Andrew Garcia, Montana 1878, Tough Trip through Paradise, 1967.
- Dennis H. Knight, Mountains and Plains: The Ecology of Wyoming Landscapes, 1994.
- David Lavender, The Great West, 1965.
- Scott McMillion, Mark of the Grizzly, 1998.
- Clyde A. Milner i inni, The Oxford History of the American West, 1994.
- Ted Morgan, A Shovel of Stars, 1995.
- Ted Morgan, Wilderness at Dawn: The Settling of the North American Continent, 1993.
- John Myers Myers, The Saga of Hugh Glass: Pirate, Pawnee, and Mountain Man, 1963.
- Grace Lee Nute, The Voyageur, 1931.
- Carl P. Russell, Firearms, Traps, & Tools of the Mountain Men, 1967.
- Robert M. Utley, A Life Wild and Perilous: Mountain Men and the Paths to the Pacific, 1997.
- Stanley Vestal, Jim Bridger, Mountain Man, 1946.
- Terry Willard, Edible and Medicinal Plants of the Rocky Mountains and Neighbouring Territories, 1992.
- Zjava

{1} William Szekspir, Juliusz Cezar, akt 4, scena III, tłum. Leon Ulrich.

{2} Sacajawea, Sacagawea lub Sakakawea (ur. ok. 1784 roku, zm. w 1812 lub 1884 roku) – indiańska przewodniczka i tłumaczka podczas ekspedycji Lewisa i Clarka na zachód, żona francuskiego trapera Toussainta Charbonneau.

{3} Putains (fr.) – ladacznice.

{4} La Vièrge (fr.) – dziewica.

{5} Zebulon Montgomery Pike (ur. 5 stycznia 1779 roku – zm. 27 kwietnia 1813 roku) – amerykański wojskowy, podróżnik i odkrywca. Jako kapitan Armii Stanów Zjednoczonych poprowadził w latach 1806–1807 ekspedycję celem zbadania i skartowania południowo-zachodnich obszarów Luizjany oraz odnalezienia źródeł rzeki Red.

{6} Bâtard (fr.) – mieszany, pośredni.

{7} Petit cadeau (fr.) – mały upominek.

{8} Malade com un chien (fr.) – bardzo chory.

{9} Ass-kisser (ang.) – lizus, wazeliniarz, dupowłaz